

„Niesamowicie pomysłowy debiut, zmrozi cię do kości.”
SIMON BECKETT, autor CHEMII ŚMIERCI

FIONA CUMMINS

Prowadzi dwa życia. W jednym jest taki jak my.
W drugim to kustosz rodzinnego muzeum makabry.
Teraz chce dodać nowe eksponaty do kolekcji...

GRZECHOT KOŚCI




AMBER

FIONA CUMMINS

**GRZECHOT
KOŚCI**

Przekład
MACIEJ NOWAK-KREYER



Redaktor serii
Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna
Anna Tłuchowska

Korekta
Halina Lisińska
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© dade72/Shutterstock

Tytuł oryginału
Rattle

Copyright © Fiona Cummins 2017
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6293-2

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysienki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

JJ, za nietracenie wiary

Od Autorki

Syndrom człowieka z kamienia (*fibrodysplasia ossificans progressiva* – postępujące kostniejące zapalenie mięśni) – rzadka, upośledzająca choroba genetyczna, w wyniku której mięśnie i stawy powoli zamieniają się w kości, rośnie drugi szkielet, dosłownie zamykający chorego w kostnej klatce. Co charakterystyczne, choroba oszczędza oczy, język, przeponę i serce. Obecnie nie ma na nią leku.

Tommy Rawhead – legendarny potwór, zwykle przedstawiany z głową obdartą ze skóry lub z całkiem gołą czaszką. Straszy się nim dzieci. Jego imię często pojawia się w zestawieniu z określeniem „Krwawe Gnaty” (*Oxford English Dictionary*).

Prolog

W spokojne noce, kiedy krzywizna zimowego księżycy rozmywa się w nurcie rzeki Quaggy, zmarli wołają do niego.

Zadiera głowę i wśród szepczących ciemności wyławia pojedyncze szlochy dziecka.

Przytłumiona dziecięca udręka ciągnie ku niemu poprzez rozłożyste miasto, a on walczy z chęcią, żeby natychmiast wyjść. Nawet mijające lata nie są w stanie uspokoić drżenia, jakie go przenika, gdy kontempluje dzieło swojego życia.

Każde pokolenie ma własną kolekcję. Jego ojciec, ojciec jego ojca i ci, którzy byli przed nimi.

Lecz teraz nastał jego czas, jego przywilej i jego powinność.

Rozkoszuje się tym, jak księżycowy blask sący się przez szczeliny w żaluzjach w domu jego ojca i jak to światło obmywa kości.

Wstęgi i płyty skostniałej tkanki. Mosty i stalagmity. Wykręcone płyty i gruzły. Plakietka z wygrawerowaną literą C.

Cienie w domu gęstnieją. Stoi samotnie w holu i napawa się pięknem szkieletu, ustawionego w szklanej gablocie, zahipnotyzowany jego zniekształceniami, wtargnięciem kości w przestrzeń klatki piersiowej, wapiennymi lamówkami zdobiacymi kręgosłup.

Chłopiec zamknięty w więzieniu z kości.

Od lat szukał tego najrzadszego z okazów, wśród żywych i martwych. Zawsze czujny, zawsze pełen nadziei.

A teraz, wreszcie, znalazł następnego.

PIĄTEK

1

Godzina 15.21

Gdyby Erdman Frith wybrał pizzę zamiast pieczonej wołowiny, być może jego synowi nic by się nie stało.

Gdyby Jakey Frith był trochę bardziej zwyczajny, straszycie nawiedzające cienie jego życia stałyby się tylko wspomnieniem z dzieciństwa, które można odkurzać i obśmiewać na rodzinnych spotkaniach.

Gdyby rodzice Clary Foyle nie byli tak zajęci sobą, a nieco bardziej skupieni na pięcioletniej córce, nigdy nie doszłoby do jej zaginięcia.

A jeśli chodzi o detektyw Ettę Fitzroy, to gdyby nie dręczyły jej myśli o tym, co mogłoby być i kim mogłaby być, oboje dzieci sturlałoby się z gazetowych nagłówek do najciemniejszych zakątków niesławy.

Ale żadne z nich w to wilgotne, listopadowe popołudnie, zaledwie kilka godzin przez tym, jak ich losy zderzyły się ze sobą i pękły, nie przeczuwało ani jednej z tych rzeczy, które ukazały prawdę o nich samych.

Zwłaszcza nie przewidywał tego Erdman Frith, targany rozterkami w dziale mrożonek. Czy miał teraz iść alejką numer trzy po pepperoni i nagrodę, czy może alejką numer pięć, po to, by stać się tak martwym, jak kawałek wołowej połówicy, który wiózł w swoim wózku.

Nie, Erdman Frith w ogóle nie myślał o śmierci. Bardziej martwił się, co Lilith powie, kiedy zobaczy... tamtamtamtam... czerwone mięso.

Wyobraził sobie, jak zaciska usta, ciaśniej niż komar dupę.

„Erdman, a co z zawartością tłuszczów nasyconych?”

„Erdman, a czy czerwone mięso przypadkiem nie powoduje raka jelit?”

Dupa komara zaciska się coraz bardziej.

„Albo chorobę wściekłych krów. Mówią, że już ją zlikwidowali, ale kto wie, czy mówią prawdę?”

Czy naprawdę spodziewała się, że jej odpowie?

Kiedys może by się z nią podrażnił i zdjął z jej twarzy te zmarszczki.

„Lilith, a wiesz skąd się wzięła nazwa: napięcie przedmiesiączkowe?”

„Nie wiem, skąd się wzięła nazwa: napięcie przedmiesiączkowe”.

„Stąd, że nazwa choroba wściekłych krów była już zajęta”.

Kurtyna.

Ale teraz nie potrafił nawet wzbudzić u niej uśmiechu.

Jej oczy śledziły każdy ruch Jakeya, lęki nie znikły, ale tysiącrotnie się wzmogły, za sprawą okrutnego wroga, redukującego ich syna, a teraz także ich małżeństwo, do motyli z papieru, takich delikatnych i łatwych do zniszczenia.

Powiedzieli im, że ich synek, synek Lilith i Erdmana, ma drobny problem z kośćmi. To było spore niedomówienie. Problem Jakeya w przyszłości miał go zabić.

Zespół odbierający poród zaczął podejrzewać to od razu, dzięki szczególnej deformacji dużych palców u stóp. *Fibrodysplasia ossificans progressiva*. Trzydzieści pięć liter. Mniej więcej jedna litera za każdy rok, który jak się spodziewano, przeżyje Jakey. Tyle wynosiła przeciętna, spodziewana długość życia. Więcej to już byłby bonus.

Jedna z pielęgniarek na oddziale położniczym spędziła sześć miesięcy, pracując w australijskim szpitalu, gdzie przyjęto nastolatkę z dziwnym rozrostem kości i coraz większymi ograniczeniami ruchu. Podano jej domięśniowo środki przeciwbólowe, chirurgicznie usunięto dodatkową tkankę kostną, ale to wszystko pogorszyło sprawę milion razy. Kiedy została wreszcie zdiagnozowana, była już praktycznie posągami, ledwie mogła się ruszyć, poza mówieniem. Wciąż mogła mówić. Pielęgniarka oznajmiła o tym tak, jak gdyby stanowiło to jakieś błogosławieństwo.

Minęło sześć lat i nawet specjaliści byli zdumieni szybkimi postępami choroby. Tym, że zapalenia Jakeya okazywały się niezwykle poważne jak na taki młody wiek. Że to, co działo się z jego ciałem, chociaż charakterystyczne dla tej choroby, dosięgło ramion znacznie wcześniej, niż przewidywano. Że każdy upadek, każde stłuczenie mogło potencjalnie zagrażać życiu.

Żeby cieszyli się tym czasem, jaki mogą spędzić z synem.

Palce Erdmana tarły chłodne, wilgotne opakowanie leżące w wózku. Powinien je odłożyć. Lilith go zabije, a on przecież tak naprawdę wcale nie chciał jej złościć. Tęsknił za radosną wolnością ich miłości, zanim jeszcze uwikłała się w lekarstwa i umówione wizyty w szpitalu. Ale był już tak znużony robieniem zawsze tego, co Lilith mu kazała.

A poza tym jak dotąd nie dostał BSE, choroby Creutzfeldta-Jacoba, czy jak to tam się jeszcze nazywało i właśnie zbliżał się do czterdziestki. Jeśli nawet wdepnął w to gówno, przecież i tak już miał zasrane życie. Gdyby doszło do najgorszego, nawet by nie zauważył

przemiany z mężczyzny w średnim wieku w roślinę. Ziemiak miał więcej frajdy z życia od niego.

A chuj z tym. Jakey uwielbia pieczeń i roślinie.

Gdyby Erdman wiedział, że w tym niezwykle urokliwym miejscu, w Tesco przy Lewisham Road, właśnie przypieczętowuje los syna, cała jego rodzina przeszłaby na wegetarianizm. Jednak nie wiedział i ruszył do domu, zadowolony, że skoro zrobił zakupy, to ma przywilej zadecydowania, co będzie na podwieczorek.

2

Godzina 15.23

Tryłyły, kot jest zły, małpiszona ktoś pokona, a odpadasz ty!

Poppy Smith wskazała na Clarę Fole, chichocząc przez szczerbę między górnymi zębami. Clara się nie śmiała.

– Nie bawię się – stwierdziła, potem odwróciła się plecami do grupki dzieci grających w berka.

Pomaszerowała w stronę furtki na drugim końcu placu zabaw, trzymając dłonie głęboko w kieszeniach. Było prawie pusto, tylko kilku maruderów czekało, aż starsi chłopcy skończą zaimprovizowany mecz w nogę. Poppy coś za nią wołała, układając palce na kształt szczypców homara, a wszyscy się z tego śmiali, jednak Clara udawała, że nie słyszy. Matka Poppy miała jej pilnować, lecz akurat plotkowała z inną matką, odwrócona do dziewczynki plecami i nie zauważyła, że Clara właśnie odchodzi.

Wtedy po raz pierwszy mu się poszczęściło.

Pani Foyle nazywała ścierwojadami te matki, które popołudniami zbijały się w nieprzenikalne gromady u wejścia do szkoły. Clarze przypominały ptaszyska, z chybczącymi się głowami, różową szminką i ładnymi ubraniami. Nie wiedziała, że niektóre ptaki chętnie oskubują cudze życie aż do kości.

Kilka minut wcześniej pociągnęła za płaszcz matki Poppy i szepnęła jej, że musi do toalety. Pani Smith nie odpowiedziała, tylko rozmawiała dalej, wymachując rękoma jak skrzydłami.

Clara zacisnęła nogi i skakała, a teraz miała mokre rajstopki. Ocierały ją, gdy szła.

– Nie, mamusiu, ja w ogóle nie lubię Poppy – jęknęła rano, gdy usłyszała, kto ją dzisiaj odbierze ze szkoły.

– Przykro mi kochanie, ale inaczej nie da rady. Będiesz się dobrze bawić. Tak czy siak, Gina ma wolne popołudnie, a ja akurat dzisiaj jestem umówiona.

Clara marudziła i płakała, ale bez skutku. Matka pozostała nieprzejednana. Dla pani Foyle perfekcyjna fryzura była ważniejsza niż oddychanie.

Wiatr naprężył muskuły, przesuwając liście po placu zabaw. Clarze było zimno, bolała ją głowa i chciała do mamy. Poklepała się po plecaczku, żeby się upewnić, że portmonetka jest na miejscu. Dzieciom nie wolno było przynosić pieniędzy do szkoły, jednak Clara wsunęła portmonetkę do worka na śniadanie, kiedy Gina akurat nie patrzyła. Lubiła brzęk stukających o siebie monet.

Chłodne powietrze znowu ją uszczypnęło. Pomyślała o ojcu o, tym jak szczypał jej policzki, a potem były zaczerwienione i bolały.

Clara wzdrygnęła się i zaczęła mozolić z zamkiem kurtki. Pani Lewis, jej nauczycielka, dostrzegła ją z okna pokoju nauczycielskiego i pomachała. Clara nieśmiało uniosła dłoń w odpowiedzi na pozdrowienie, a potem zarzuciła na ramię plecak, prawie tak duży jak ona sama.

Boczna furtka była otwarta. Pan Crofton, woźny, miał ją zamknąć późnym popołudniem, teraz jednak ciężkie metalowe rygle tkwiły zablokowane w zielonym, metalowym ogrodzeniu, a droga do wolności stała otworem.

Czując uderzenia serca, walącego jak młot pneumatyczny, Clara wyslizgnęła się przez szkolną furtkę i stanęła na chodniku. To, że drżała, nie miało nic wspólnego z przejmującym, chłodnym wiatrem. Szybko obejrzała się za siebie. Po drugiej stronie betonowej płaszczyzny placu zabaw Poppy bawiła się z Sashą, a matka Poppy wciąż paplała, wymachując rękami. Jeszcze trzy kroki, a Clara znajdzie się za rogiem i poza zasięgiem jej wzroku.

Dziewczynka uśmiechnęła się do siebie nerwowo.

Po drugiej stronie ulicy jakiś mężczyzna w czarnej, prążkowanej marynarce gramolił się właśnie z auta, parkującego tam co popołudnie już od dwóch tygodni. On także zaczął iść. Stawiał dłuższe kroki niż Clara i wkrótce ją dogonił. Dziewczynka jednak zbyt była zaabsorbowana własną ucieczką, by go zauważyć.

Kilka ulic dalej, kobieta wychodząca z kiosku pomyślała, że to dosyć dziwny widok, taka mała dziewczynka, samotnie maszerująca do domu w piątkowy wieczór. Zauważyła kapelusik od szkolnego mundurka, wzrokiem poszukała kogoś dorosłego w pobliżu i kątem oka dostrzegła mężczyznę w czarnej, prążkowanej marynarce. Ich wzrok się zetknął. W tej chwili zawieszenia spojrzeń przypomniła sobie starego psa, który kiedyś był w jej rodzinie. Zdechł ostatniego lata, od wewnątrz wyjadły go larwy – straszna, powolna śmierć na muszyce. Kiedy znaleźli Buddy'ego, był w szoku, ale jeszcze żył i miał puste oczy. Takie puste jak tamten mężczyzna. Ogarnęło ją obrzydzenie, a plastikowa butelka mleka, którą właśnie trzymała, wciąż jeszcze okryta wilgocią skondensowaną w sklepowej lodówce, zaczęła wysuwać się z palców. Mężczyzna odwrócił wzrok, a kobieta przypomniła sobie,

by mocniej zacisnąć dłoń na butelce, zanim uderzy o chodnik i się roztrzaska.

Prawie natychmiast zapomniała wyglądu jego twarzy.

Mężczyzna skręcił do sąsiedniego sklepu. W środku był tylko sprzedawca rozmawiający przez telefon po pendzabsku. Żuchwą przytrzymał słuchawkę przy ramieniu, bazgrojąc jakieś liczby na kawałku papieru. Obliczał koszty instalacji monitoringu i nawet nie spojrzął na nowego klienta.

Clara weszła w ślad za nim, zwabiona słodyczami. Uwielbiała słodkie, a w sklepie pyszniły się rzędy krówek w jaskrawych opakowaniach, irysów w błyszczących papierkach, butelek coli, rodzynek w czekoladzie i jeszcze tęcza landrynek o każdym smaku.

Jeden, dwa, trzy, cztery różne kolory, policzyła Clara w myślach. Pięć. Tyle samo, ile mam lat.

Zaburczało jej w brzuszku. Lunch był prawie cztery godziny temu, a ona przecież zawinęła swój pasztecik z indykiem w serwetkę i wyrzuciła do kosza, kiedy pani Goddard krzyczała na Saffron Harvey za to, że rozrzuciła fasolkę po jadalni.

Stał przed nią jakiś pan w czarnym płaszczu. Clara była mała, nie mogła więc zobaczyć jego twarzy, dostrzegła jedynie plamę wielkości pięciopensówki, przypominającą rdzę, na białych prążkach na jego kieszeni. Miała niewiele lat, ale dobrze się znała na rdzy, bo ojciec narzekał, że ogrodnik pozwala, by narzędzia rdzewiały i pokazywał jej grabie. Teraz to jednak nie była rdza. To była zaschnięta krew. A ona niczego nie wiedziała o krwi. Jeszcze nie.

– Poproszę dziesięć deko czekoladek malinowych – powiedział.

Kiedy po kilku chwilach Clara wychodziła ze sklepu, trzymając papierową torebkę truskawkowych cukierków w jednej ręce, a drobne z reszty w drugiej, mężczyzna czekał na zewnątrz, oparty o ogrodzenie.

– Co kupiłaś?

Był wesoły, przyjacielski, zaszeleścił torebką, zanim wybrał jakiś cukierek i odwinął go z papierka. Wrzucił czekoladkę do ust, uśmiechnął się szeroko.

– Mm... pyszne... Chcesz jednego?

Potrząsnął przed nią torebką, a ona zrobiła krok do tyłu, uderzyła plecakiem o słup telegraficzny, potknęła się.

– Spokojnie, nie gryzę.

Torebka zadrżała ponownie. Clara pochyliła się, nagle oczarowana połyskującymi, różowymi zawijasami. Sięgnęła, aby się poczęstować, a wtedy kościste palce mężczyzny zacisnęły się na jej nadgarstku.

– Mamusia poprosiła mnie, żebym cię odprowadził do domu. Bo nie lubisz ciemności. Dobrze?

Z zawstydzeniem kiwając głową, pozwoliła się prowadzić ulicą, w stronę rzędu rozpadających się garaży. Mgła późnego popołudnia zaczynała opadać, zamazując kontury

aut i chodnik przed nią. Mrok miał zapaść o szesnastej dziewięć, za dwadzieścia minut.

Przysunęła się bliżej mężczyzny, denerwując się jego obecnością, ale jeszcze bardziej nadchodzącym zmierzchem, gwałtownym blaknięciem kolorów nieba. Mężczyzna odwrócił się w jej stronę, oczy miał niczym czarne grudki.

Ulica była wąska, z topornymi blokami po obydwu stronach. Przed budynkami nie było trawników, tylko pasmo betonu zastawione przepełnionymi kontenerami na śmieci. Jedno, dwa mieszkania na samej górze były zupełnie ciemne, jednak w większości okien na dole jaśniało światło. Wzrok Clary przyciągnęły ogromne ekrany telewizyjne, widoczne zza okien w co najmniej jednym salonie. Znowu zaburczało jej w brzuszku i wsunęła lewą dłoń do kieszeni, skąd wyjęła cukierek. Na koniuszkach palców pozostał ślad różowego pyłu. Zaczęła mocno ssać słodycz, która na chwilę usunęła z ust gorzki, denerwujący smak.

Clara mieszkała w Pagoda Drive w Blackheath, enklawie drogich domów, w zupełnie innym świecie niż te pomazane graffiti budynki wśród krzaków. Miała własną sypialnię, pomalowaną na różowo i szafę w takim samym kolorze, pełną sukni księżniczek Disneya. Szczególnie lubiła sukienkę Śpiącej Królowej.

Próbowała powiedzieć mężczyźnie, że zmieniła zdanie, że spróbuje sama znaleźć drogę do domu, ale on jej nie słuchał. Szedł, cały czas trzymając ją za przegub. Kiedy próbowała się wyrwać, jego paznokcie zagłębiły się w bladym pasku ciała, wystającym z mankietu płaszczyka.

Na krańcu pustej ulicy była opuszczona fabryka z kilkoma powybijanymi oknami i tablicą „ZAKAZ WSTĘPU”. Pod nią stała poobijana, szara furgonetka Forda bez okien.

Mężczyzna odwrócił się do dziewczynki i tym razem wokół jego oczu nie było już przyjaznych zmarszczek. Nadal trzymając ją za nadgarstek, pomachał kluczykami, a furgonetka wydała piskliwy odgłos. Wskazał auto szarpnięciem głowy.

– Wsiadaj – polecił, głos miał szorstki.

Clara wcale nie miała ochoty wsiadać do tej furgonetki, dlatego potrząsnęła głową i znów spróbowała się wyrwać, ale nie miała szans. Kiedy otworzyła usta, aby krzyknąć, mężczyzna wsunął jej dłoń między zęby. Mocno go ugryzła. W groźbie zawartej w jego wzroku była wściekłość, palce siniaczyły delikatną skórę.

Szarpała się, próbowała wierzgać nogami, tak jak nauczyła się na lekcji pływania, ale to nic nie dało. Mężczyzna złapał ją w pasie i wsadził do auta. Potem sam wszedł do środka i zatrzasnął drzwi.

Pani Smith, matka Poppy, zauważyła zniknięcie Clary jakieś sześć minut po tym, jak dziewczynka opuściła plac zabaw. Kiedy przetrząsnęła teren szkoły i z komórki zadzwoniła na policję, niebo już pociemniało, a furgonetka odjechała.

Dwie godziny i siedemnaście minut po uprowadzeniu Clary Erdman siedział naprzeciwko swojej rodziny. Lilith kroїła Jakeyowi marchewki, jej usta wykrzywiało niezadowolenie. Jakey śpiewał coś pod nosem, myślami wędrując gdzieś daleko.

Erdman palcami przeczesał sobie włosy, a raczej ich pozostałości, spłowiął jak farba na zabawkowym samochodziku Jakeya, tym, który dwa tygodnie przeleżał w brodziku, a teraz był właściwie do niczego.

Do niczego.

Te słowa znał dobrze. Wciąż nie potrafił wyzbyć się wrażenia, że zawiódł oczekiwania: swojej matki, Lilith, swoje własne. Zawsze przekonywał sam siebie, że przecież ma jeszcze mnóstwo czasu, jednak kiedy przybyło mu centymetrów w pasie, a włosy zrzedły, zaczął mieć nieprzyjemną świadomość, że najprawdopodobniej jego życiu bliżej już końca, niż do początku.

Kiedy spojrzał na syna, serce zadrżało mu w dziwny sposób. Jakey wzbudzał w nim niezwykłą mieszaninę uczuć opiekuńczych i oszołomienia, której nawet po pięciu latach usilnych prób wciąż nie umiał pojąć. Usta chłopca poruszyły się, ale Erdman nie zdołał zrozumieć słów.

Kiedy próbował znaleźć jakąś drogę w głąb tej ciszy, dostrzegł, że Lilith krzywi się nad swoim talerzem. Taki sam wyraz twarzy miała rano w łóżku, gdy przypadkiem poglądził ją po udzie.

– Będiesz kroїł to mięso, czy nie? – Tylek komara zacisnął się. – Kto w ogóle je kotlety w piątek wieczorem?

Słowa mające rozluźnić atmosferę, zastygły mu na wargach. Już bez apetytu spojrzał na wołowinę, z marmurkowym deseniem tłuszczu, ociekającą różowawymi sokami i włączył elektryczny nóż. Niskie brzęczenie przypominało odgłos, jaki czasem słyszał z łazienki, gdy Lilith oznajmiała, że musi się wymoczyć i potrzebuje pół godziny spokoju, a potem zamykała za sobą drzwi. Pożałował, że dzisiaj nie wymknął się do domu wcześniej, zamiast iść do pubu.

Lilith patrzyła przez ociekające deszczem okno, gdzieś w ciemny prostokąt ogrodu. Chciałby wciągnąć ją z powrotem w swoje życie, ale nie wiedział jak.

Niespodziewanie pojawiło się wspomnienie lunchu w pubie, kilka miesięcy po tym, jak się spotkali.

Zwykle niezbyt przepadał za większymi grupami ludzi, ale Lilith oczarowała jego przyjaciół anegdotami ze szkoły, w której kiedyś pracowała. Kiedy wyszli, wsunęła dłoń w

jego rękę, a on wciąż pamiętał tamto swoje absurdalne poczucie dumy.

Boże, tęsknił za nią.

Jakey zanucił kilka nut. Często tak robił podczas posiłków. Erdman zastanawiał się, czy to jest może sposób jego syna na zagłuszenie dźwięku rozpadającej się rodziny.

– Co to za piosenka? – zapytała Lilith, marszcząc czoło.

– Choleraaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa! To znaczy, aua!

W palcu Erdmana zapłonął ból, kiedy ostrze ześlizgnęło się i ząbkami głęboko wpiło w skórę i tkankę pod nią. Jakey przestał śpiewać, spojrzał oczyma wielkimi jak spodki. Woda w szklankach wibrowała. Pusty talerz Erdmana zbryzgały rubinowe krople, wyglądał teraz jak mroczna wersja obrazu Jacksona Pollocka, który widział w zeszłym miesiącu w Tate.

Nóż zataczał gorączkowe okręgi, dopóki Lilith go nie wyłączyła. Erdman wpadł na żonę i po raz pierwszy od kilku miesięcy przez chwilę doświadczył pełni jej piersi.

Po kilku sekundach oszołomienie minęło, Lilith usadziła go w fotelu i teraz patrzył na swoją dłoń, którą ściśle owinęła serwetą. Mógłby przysiąc, że materiał był do niedawna biały, teraz jednak miał kolor żywego szkarłatu.

– Przynies tacie trochę wody – powiedziała Lilith. Chłopiec nie drgnął. – No, idź.

Z typową dla sześciolatka niechęcią do opuszczenia miejsca, w którym lała się krew i coś się działo, Jakey pokuśtykał do kuchni. Kiedy dotarł do wejścia, zatrzymał się na chwilę i odwrócił, aby spojrzeć na ojca. Erdman zmusił się do uśmiechu. I do nieznacznego machnięcia, oczywiście lewą ręką.

Jego palec zaczynał pulsować. *Scheisse*. Erdman położył zranioną dłoń na udzie i pozwolił Lilith unieść wilgotną chustkę. Świeża krew złośliwie skapnęła, plamiąc jasny laminat podłogi. Nie potrafił się zmusić do patrzenia na rozcięcie, na gruby płat zniszczonej skóry. To, jak Lilith gwałtownie wciągnęła powietrze, powiedziało mu wszystko.

Na zewnątrz zawył alarm samochodowy.

To nie był alarm samochodowy.

Jakey.

Lilith wypuściła jego dłoń i popędziła do kuchni. Erdman wstał. Ściany wokół niego drżały jak wewnątrz basenu. Poczekał, aż przestaną się poruszać i pokuśtykał w ślad za żoną. Gdy zobaczył, co się stało, serce podeszło mu do gardła.

Jakey leżał na podłodze, z jednym ramieniem pod ciałem, drugim wyciągniętym przed siebie. Głowę miał przekreconą w bok. Krzesło było przewrócone, a odłamki szkła porzucane na kafelkach. Przy kuchence zbierała się woda.

Po twarzy Lilith przetaczały się poczucie winy, strach i oskarżenia. Jakey próbował usiąść, krztusząc się i płacząc.

– Już dobrze, spokojnie, kochanie – powiedziała.

Erdman odsuwając na bok własny ból, wyciągnął do syna niezranioną dłoń.

– Gdzie cię boli, mistrzu?

Jakey nie złapał ojca za rękę tak, jak to robił zwykle. Zamiast tego gwałtownie nabrał powietrza, skrzywił się i znowu zaczął płakać. Przez króciutką chwilę spojrzenie Erdmana zetknęło się ze wzrokiem Lilith.

– Tatusiu, moja ręka – powiedział chłopiec przez wodospady łez. – Upadłem na rękę.

Kiedy Lilith delikatnie postawiła Jakeya na nogi, Erdman ocenił szkody. Sprawna ręka Jakeya, ta, której używał do jedzenia, picia, zabawy i pisania, wisiała teraz u jego boku pod dziwnym kątem, zaczynała puchnąć. Erdmanowi przypominała napęczniałą, różową kiełbasę, tuż przed pęknięciem skórki. Druga ręka, sztywna i nieruchoma, pozostawała zgięta łokciu od kiedy chłopiec skończył trzy lata.

– Gdzieś jeszcze, Jakey? – zapytał. – Uderzyłeś się w głowę? Upadłeś na kolana? Co z twoimi żebrami? Ze sto razy ci mówiliśmy, żebyś uważał, jak stajesz na krześle. Nie użyłeś uchwytów na ręce? Dlaczego nie wyjąłeś wody z lodówki?

Dolna warga syna zadrzała i znowu zaczął szlochać, głośno i bełkotliwie. Sądząc po spojrzeniu, jakim teraz mierzyła go żona, Erdman uznał, że posunął się za daleko. Syn nadal nie ruszał ramieniem, które teraz pokryły dziwne, purpurowe plamy.

– Usiądź, słoneczko – powiedziała Lilith. – Dostaniesz coś do picia. I to ciastko, które lubisz.

W uszach Erdmana szeptała Lilith sięgającej teraz do kredensu po plastikowy dzbanek zabrzmiała podniecająco. Na chwilę przypomniał sobie dotyk jej ust, lecz ból dłoni i troska o Jakeya ściągnęły go do rzeczywistości.

– Słuchaj, musisz jechać na szycie. To jest głębokie rozcięcie. Paskudne. Nie chcę straszyć Jakeya, ale jego też lepiej zabierzmy na pogotowie. Teraz dam mu sterydy, ale pewnie trzeba będzie zrobić prześwietlenie. – Jej usta zadrzały. – Myślę, że ma złamaną rękę.

Erdman jęknął, przez chwilę żałował zmarnowanego posiłku, ale prawdę powiedziawszy i tak stracił apetyt.

Jakey połknął środek przeciwpalny. Przestał głośno płakać, ale łzy spływały mu po twarzy. Potrząsnął głową, kiedy Lilith uniosła mu kubek ust. Erdman, używając zdrowej ręki, posadził sobie syna na biodrze, ostrożnie, żeby mu nie sprawić bólu. Po kilku sekundach rozboleł go biceps, ale zignorował to i wyniósł chłopca na zewnątrz, do samochodu. Zamigotały światła auta. Krew z dłoni Erdmana zostawiała ślady na podjeździe. Syn przekręcił mu się w ramionach, aby na nią popatrzeć.

– Czy umrzesz? – Twarz Jakeya była bladym księżycem na tle zimowego, nocnego nieba.

– Oczywiście, że nie, mistrzu – powiedział Erdman. Przypiął chłopca do jego fotelika i pocałował we włosy. – Tatusz potrzebuje tylko kilku małych szwów. – Zmusił się, aby mówić spokojnie. – A ciebie trzeba zbadać. Nie możesz chodzić z taką ręką.

Kiedy Lilith wiozła ich do szpitala, Jakey znowu zaczął śpiewać. Głos miał cichy, ale Erdman siedział obok niego z tyłu i wyraźnie słyszał melodię wśród ulicznego hałasu.

W przeciwieństwie do Lilith, znał piosenkę, którą właśnie podśpiewywał Jakey. To była ta, o której chłopiec mówił, że nauczył go wujek Carlton. Znał ją, bo Carlton – brat Erdmana – też mu ją śpiewał, kiedy byli mali.

Tyle że Carlton nie żył już od trzydziestu sześciu lat.

W szpitalu Royal Southern Jakeya i Lilith skierowano na oddział dziecięcy, a Erdman musiał czekać godzinę, aż jakiś zmęczony stażysta obejrzy jego skaleczenie. Plakietka na piersi oznajmiała, że to doktor Hassan.

– Wydaje się, że drasnął pan kość, ale nie sędzę, żeby ścięgno było uszkodzone. – Lekarz ściągnął lateksowe rękawiczki. – Pewnie tylko kilka dni poboli, ale dobrze pan zrobił, przychodząc tutaj. Szybciej wyleczy się ze szwami.

Zaszeleściła zasłona i pojawiła się głowa Lilith. Erdman dostrzegł, że ma zbielałe kostki od wysiłku związanego z pchaniem Jakeya na szpitalnym wózku.

Latem najłżejsze tknięcie słońca sprawiało, że chłopcu wyskakiwały piegi, wyglądał wtedy jak taka łamigłówka z kropkami. Teraz jednak, wieczorem szesnastego listopada, skóra Jakeya była kompletnie bezbarwna, zdawało się, że sieć żył i naczyń pod jej powierzchnią wypełniona jest mlekiem.

– Przepraszam – wymamrotała do lekarza. – Po prostu chciałam powiedzieć mężowi, co z synem. – Nie czekała na pozwolenie, tylko się uśmiechnęła. – Nie sędzą, żeby było złamanie, ale na wszelki wypadek jedzie na prześwietlenie.

Dłoń ściskająca żołądek Erdmana rozluźniła uścisk.

– Serio? Ale wyglądało, jak gdyby... – Poczul na sobie spojrzenie Jakeya. – To naprawdę wspaniale.

– Właśnie powiedziałem pani mężowi, że przydałoby mu się kilka szwów – oznajmił doktor Hassan.

I znowu padło to słowo. Erdman skupił się teraz na zatrzymaniu lunchu w żołądku i próbował zignorować łomot w uszach. Nad górną wargą zaperlił mu się pot. Zamknął oczy. Wiedział, że wygląda jak kawał gówna.

– On ma fobię na punkcie igieł – wyjaśniła Lilith. – I krwi. Zemdłał, kiedy rodził się Jakey. Musieli go szybko odwieźć na wózek. Doszedł do siebie dopiero po kilku dobrych godzinach. – Pochyliła się i ścisnęła Erdmana za kolano, aby w ten sposób usunąć jad ze swoich słów.

Doktor Hassan zachichotał i poklepał Erdmana po plecach.

– Zdarza się najlepszym. Ja zemdlałem na swojej pierwszej sekcji.

– Co to jest sekcja? – spytał Jakey, oczy błysnęły mu z ciekawości.

– No, młody człowieku, to jest wtedy, gdy...

Lilith przerwała lekarzowi.

– Kochanie, to jest taka medyczna sprawa. Teraz chodźmy na prześwietlenie, a potem rozejrzemy się za czymś do jedzenia.

4

Godzina 18.01

Clara miała przyciśnięte do ust coś chropowatego, co przy każdym szarpnięciu ocierało dół podbródka. Przeguby skrępowano jej za plecami, medycznym przyklepcem, krzyżującym się na delikatnej skórze. Więzy wrzynały się głęboko w przestrzeń między kciukiem a resztą palców.

Furgonetka podskakiwała na wybojach, tył auta opadał nisko na każdym wzniesieniu, a ból podbródka i dziwaczność całej tej sytuacji sprawiały, że skurczył się jej żołądek. Zazwyczaj niewiele potrzebowała do płaczu, ale tym razem łzy się nie pojawiały. Ogarnęło ją otepienie.

Mężczyzna posadził Clarę, opierając ją o jakąś skrzynkę i wtykając między dwa zrolowane dywany. Z tyłu auta czymś śmierdziało, jak gdyby zgniłym mięsem. Było zimno i ciemno, niczego nie dało się zobaczyć.

Coś szło jej po policzku. Chciała krzyczeć, ale ten mężczyzna powiedział, że jeśli tak zrobi, to zabije jej matkę. Clara wierzyła mu. Mówił to z uśmiechem, ale zanim zatrzasnęła drzwi furgonetki, już wiedziała, że to wcale nie dowcip.

Znowu zaburczało jej w brzuchu. W trakcie popołudniowej przerwy Poppy powiedziała Clarze, że na podwieczorek dostanie kielbaski i frytki. Matka Clary nigdy czegoś takiego nie jadła. Furgonetka znowu podskoczyła. Myśli pomknęły z powrotem do matki, do jej różowych paznokci i grubych kresek wokół oczu i tego, jak przesuwała okulary w górę nosa za każdym razem, gdy karmiła córkę. Do sposobu, w jaki przyciskała policzek do policzka córki, zawsze jednak pozostawiając wolną przestrzeń między nimi. Pani Foyle nie lubiła lepkich dłoni i lepkich twarzy.

Furgonetka zatrzyma się, a potem szybko cofnęła. Ucichł pomruk silnika. Rzległo się jakieś stukanie. Głośny metaliczny dźwięk sprawił, że Clara aż podskoczyła. Uświadomiła sobie, że słyszy odgłos odsuwanych drzwi furgonetki. Żarówka bez klosza, zwisająca z sufitu, dawała akurat tyle światła, by zobaczyła, że jest teraz w jakimś garażu.

Garaż stanowił część domu, wysokiego i wąskiego jak mężczyzna, która ją tutaj zabrał. Clara nie mogła tego zobaczyć, lecz dom miał niewielkie okna z okiennicami i schody z

poręczą, prowadzące do piwnicy. Dróżka ze splekanych czarnych i białych płytek, przerośnięta zielskiem, wiodła do drzwi wejściowych, pokrytych łuszczącą się niebieską farbą, której odpadające płyty zostawiały ślady kształtem przypominające kontury państw. Kuta metalowa cyfra dwa, zmatowiała ze starości lub za sprawą pogody, straciła jedną ze śrubek i teraz wisiała do góry nogami, przypominając cedyllę. Na chodnik padały splunięcia mroźnego deszczu. Było już prawie zupełnie ciemno.

Mężczyzna wyniósł Clare z auta. Kiedy stopy dziewczynki dotknęły betonowej podłogi, światło jakby zelżało, a żarówka pstryknęła i zgasła.

Zmroziła ją nagle zmiana temperatury, zamrugała wśród ciemności. Mężczyzna wpił palce w ramiona dziewczynki i pociągnął ją ku wewnętrznym drzwiom.

Tak bardzo skupiała się na tym, by zachować równowagę, że nie zauważyła schodka, przewróciła się, drąc rajstopki i ocierając sobie kolana.

Po kilku chwilach była w holu. Kiedy jej oczy przywykły już do półmroku, zobaczyła, że podłoga jest goła i w pomieszczeniu nie ma żadnych mebli poza niewielką szklaną gablotą na blacie biurka w rogu. Potem dostrzegła jeszcze jedną. I jeszcze jedną. Gdy starała się zrozumieć, co widzi, mężczyzna wyszedł z cienia, ocierając ręce w ręcznik. Zdjął jej więzy i podał szklankę mleka. Jakiś instykt ostrzegał, żeby nie pić, lecz była taka spragniona, że jednak się napiła. Skrzywiona twarz mężczyzny jak gdyby się osunęła i już po raz drugi tego dnia wszystkie krawędzie się rozmyły.

5

Godzina 19.52

Amy Foyle siedziała na łóżku córki, doskonale opanowana, a wokół niej trwał ruch.

Dwóch policjantów przeszukiwało sypialnię Clary, otwierając jej szafę, komodę, a nawet drewnianą szkatułkę na biżuterię, którą dostała na czwarte urodziny i samodzielnie pomalowała. Ktoś podniósł szczotkę do włosów dziewczynki i wsadził do przejrzystej torebki na dowody.

– Na próbki DNA – wyjaśnił. – Mogę potrzebować też jej szczoteczki do zębów.

Nie dotykaj tego, miała ochotę krzyknąć Amy. To nie twoje.

Policja zjawiała się akurat wtedy, gdy zmywano jej farbę z włosów, a gardło miała odsłonięte i podatne na ciosy. Nie słyszała wiadomości gorączkowo nagrywanych na pocztę głosowej przez matkę Poppy Smith. Telefon leżał zagrzebany głęboko w jej torebce od

Hermèsa.

Wyprowadzili ją na zewnątrz, wciąż jeszcze w czepku nałożonym przez fryzjera. Dopiero gdy zbliżali się do domu, uświadomiła sobie, że przecież zostawiła w salonie płaszcz i zapomniała zapłacić.

Po godzinie, kiedy zjawił się Miles w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy, którzy przyjechali w godzinach szczytu, aby zabrać go z prywatnego gabinetu przy London Bridge, wciąż miała na sobie ten czeppek. Odpiął rzep, czeppek delikatnie upadł na podłogę. Ten gest wydał się jej jakiś nieodpowiedni, jak gdyby Miles rozbierał ją przed pójściem do łóżka.

– Lepiej żeby się nie wygłupiała – powiedział. – A zresztą: znajdzie się.

– Ale jest już ciemno. Są ulice, jest jezioro na Heath... – Zakryła sobie usta dłonią, żeby powstrzymać wymykającą się z nich grozę.

Wyjął szklankę z jej dłoni, objął żonę ramionami, a ona przytknęła twarz do wilgotnego materiału garnituru. Pachniał mydłem i bezpieczeństwem.

– Co robi policja? – Puścił Amy, powiesił marynarkę na oparciu krzesła, przeczesał palcami szpakowate włosy.

Przekazała mu okropne szczegóły. Mówiła o tym, jak prosili o opis Clary, o kilka niedawnych fotografii, pytali o kolor płaszczyka i rękawiczki, które miała dzisiaj na sobie. Jak pukali do drzwi sąsiadów, przeszukując ulice w pobliżu domu, w okolicy Common i dalej, aż do Greenwich Park, jak wzięli numery telefonów do rodziców wszystkich kolegów Clary. Jak przez wzgląd na wiek i bezbronność dziewczynki planowali ogłosić ogólnokrajowy Alert Ratowania Dziecka, jeżeli nie znajdą jej w ciągu najbliższych kilku godzin.

Mówiła o tym, że większość zaginionych dzieci bezpiecznie wraca do domu.

Większość, ale nie wszystkie.

– Znajdzie się – powtórzył spokojnym głosem. – Gdzie jest Eleanor?

– U twojej matki. Pomyślałam, że tak będzie lepiej...

– Chcę, żeby była z nami. Potrzebuje teraz swojej rodziny.

Amy nie lubiła mu wytykać, że jego matka to także ich rodzina. Patrzyła, jak mąż otwiera teczkę i wyjmuje laptop.

– Co robisz?

– Muszę tylko skończyć raport.

Amy podniosła szklankę z blatu w holu i pozwoliła, żeby prześlizgnęła się jej między palcami. Na dźwięk szkła rozbijającego się o kafelkową posadzkę przez drzwi wetknął głowę jakiś policjant.

Ujrzała własne zdenerwowanie odbijające się w zmarszczkach na twarzy Milesa i uświadomiła sobie, że zajęcie się pracą na komputerze to dla niego tylko sposób radzenia sobie z sytuacją, zachowania jakiejś kontroli. Mimo to nie potrafiła się powstrzymać. Wirował w niej ból. Rzuciła w męża słowa jak kamienie.

– Nasza córka zaginęła. Nie sądzisz, że to znacznie ważniejsze od jakiegoś pierdolonego

raportu? – podniosła marynarkę, cisnęła nią w niego. – Czy nie powinieneś być teraz na dworze i jej szukać?

Spojrzał na nią znad okularów.

– Amy, nie histeryzuj. Policja musi spokojnie pracować, a ja chcę być tutaj, kiedy Clara wróci do domu.

Nie potrafiła na niego patrzeć. Nie potrafiła dzielić jego optymizmu. Zawsze ten jego pierdolony optymizm. I ten cholerny, rzeczowy ton. Tyle że w tych słowach tkwiła prawda, której nie mogła zignorować.

– Masz rację. – Sięgnęła po dłoń męża i szybko ją uściśniła. – Przepraszam. Po prostu się boję.

Poklepał ją po ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze.

Ale i tak mu nie wierzyła.

Policjanci chodzili po domu, głosy mieli poważne. Stali obok ich domowego komputera, rozmawiali o uwodzeniu nieletnich, o serwerach dla graczy i mediach społecznościowych, chociaż Amy ciągle im powtarzała, że Clara jest za mała, aby tego używać. Przyglądała się, jak obserwują Milesa, starając się oszacować jego reakcje i domyślała się, że jej również się przyglądają. Usłyszała, że proszą męża o listę pacjentów, których przyjął dzisiaj po południu. „Aby potwierdzić alibi”. Ten dziwny pomysł sprawił, że poczuła się, jak gdyby zdryfowała ze swojego życia. Wzorzec ich piątkowych wieczorów – wino, kolacja, seks – zmienił się w coś nierozpoznawalnego, paskudnego.

Jeden z policjantów, nie potrafiła sobie przypomnieć nazwiska, tyłu ich tutaj było, wszedł do przedpokoju. Wyraz twarzy miał obojętny, niczego nie dało się wyczytać.

– Doktorze Foyle, pani Foyle. Chciałbym żebyście oboje państwo przeszli teraz do salonu i usiedli.

Amy wnętrzem dłoni oparła się o ścianę. Poczowała ból w piersi, jak gdyby przejechała tam druciana szczotka.

Znaleźli ją?

Znaleźli ją.

Jeśli żyje, to już by nam powiedzieli.

Czyli, że nie żyje.

Nie żyje.

Nie.

Proszę, nie.

Policjant, który do nich przyszedł, stanął obok kominka, jego kolega pod oknem. Obaj mężczyźni przełknęli jednocześnie ślinę, a drganie ich jabłek Adama skojarzyło się Amy z wisielczą pętlą.

– Chcemy państwa powiadomić, że ogłoszono Alert Ratowania Dziecka – oznajmił

pierwszy funkcjonariusz. – To dosyć nowy, ale bardzo wydajny sposób przekazania wszystkim krajowym mediom informacji o tym, że Clara zaginęła. Jeśli ktokolwiek widział Clare, zaraz się o tym dowiemy.

– Dobrze – powiedział Miles.

– Interpol wydaje Żółtą Notę, na wypadek gdyby ktoś próbował opuścić z nią kraj. Poszukiwaniami zajmie się teraz detektyw mający duże doświadczenie w sprawach zaginięć.

– Dobrze – powtórzył Miles.

– Hm. Ale wcześniej mówiliście państwo, że chcecie poczekać z ogłoszeniem tego alertu, że chcecie mieć absolutną pewność, że właśnie to należy zrobić i że Clara prawdopodobnie tylko się zgubiła. – Serce Amy забиło mocniej. – Zastanawiam się, dlaczego zdecydowaliście się państwo akurat teraz.

Spojrzenia funkcjonariuszy spotkały się na króciuteńką chwilę, a Amy poczuła oddech strachu na karku. Chwyciła między zęby fragment wewnętrznej części policzka i zagryzła. Dźgnięcie bólu uświadomiło jej, że wszystko dzieje się naprawdę.

– Bardzo mi przykro to mówić, ale wiarygodny świadek, dzisiaj po południu, widział małą dziewczynkę, pasującą do rysopisu Clary, pod sklepem ze słodyczami w Blackheath Village.

– Ta kobieta nie widziała wiele, tylko tył głowy, ale Clara rozmawiała z jakimś mężczyzną.

– Twarz policjanta wyrażała współczucie. – Odeszła, trzymając go za rękę.

6

Godzina 20.13

W oświetlonej sztucznym światłem norze, która była izbą przyjęć na oddziale ratunkowym szpitala Royal Southern, Erdman siedział z głową między nogami i brał głębokie wdechy. Jakiś nastolatek ze złamaną nogą chichotał. Erdman nie miał do niego pretensji. To był zabawny widok, dorosły mężczyzna z kolanami po obu stronach głowy i kartonową miską w rękach. Mówiąc szczerze, wyglądał jak cipa.

Lilith i Jakey byli w bufecie, gdzie jedli przepłacone kanapki. Jego syn nie miał złamanej ręki. Ta wiadomość przyniosła wyczuwalną ulgę, lecz Erdman wiedział, że krytycznych okaże się dopiero następnych kilka dni. Szykował się już na możliwość wystąpienia zapalenia, na cierpienie na twarzy Jakeya drapiącego zaczerwienioną skórę, połączone z jego własną bezsilnością, gdy liczyłby i przeliczałby na nowo guzy poprzedzające inwazję kości. Miał nadzieję, że sterydy zrobią swoje, chociaż to pociągało za sobą inne problemy.

Erdmana straszne bolało za każdym razem, gdy patrzył, jak syn z maniakalnego niepokoju, przez lekarstwo wpada w stan depresyjnego otępienia. Zwłaszcza że szanse na to, że lek zadziała, wynosiły i tak pół na pół.

Chryste, jak długo jeszcze? Doktor Hassan obiecał, że nie będzie dużo czekania, a siedział tutaj już od paru godzin. Przecież jeśli długo ktoś nie zajmie się skaleczeniem, to razem z raną zamknie się możliwość jej zszycia.

Ostrożnie uniósł głowę. Poczekalnia odpłynęła w bok, zamknął więc oczy, w ustach czując posmak wymiocin. Kiedy otworzył je ponownie, świat zrobił się mniej więcej stabilny. Chciał się napić wody, ale nie ważył się schylić po plastikowy kubek. Zamiast tego zabijał czas, przyglądając się niefortunnym pacjentom szpitala.

Mężczyzna w wymiętej koszuli z równie wymiętą twarzą trzymał przy prawym oku roztapiającą się mrożonkę z kukurydzy. Inny wpatrywał się w telewizor zawieszony na ścianie obok kilku wyblakłych plakatów, nakłaniających młode matki do karmienia piersią, a palaczy do rzucenia nałogu. Jakaś młoda matka, mająca nie więcej niż dwadzieścia lat, próbowała uspokoić kwilące dziecko. I ona wzrok miała przyklejony do ekranu.

Erdman przekręcił głowę, starając się nie poruszać nią zbyt szybko. Wyglądam jak cholerna sowa Bubo, pomyślał. Powinienem teraz być w domu i oglądać *Starcie tytanów*, a nie tkwić w tej dziurze przy telewizorze.

Jakaś blondynka o starannej fryzurze i zbyt szerokich ustach mówiła coś, czego Erdman nie był w stanie dosłyszeć. Makijaż osiadł jej w zmarszczkach wokół oczu. Wyglądała przez to staro, chociaż pewnie chciała osiągnąć odwrotny efekt. Wzrok Erdmana przykuł teraz wizerunek dziewczynki z dołeczkami i warkoczykami, po którym nastąpił materiał na żywo, pokazujący policjantów oraz gromadę ludzi z latarkami.

Wyteżył się, aby słyszeć słowa prezentera, lecz telewizor był za cichy. Spojrzeniem podążył więc za żółtym paskiem u dołu ekranu,

„Wiadomość z ostatniej chwili. Pięcioletnia Clara Foyle zaginęła po samowolnym opuszczeniu szkolnego placu zabaw. Sąsiedzi wraz z policją przeczesują Greenwich Park i okolice Heath”.

Mignął kolejny obraz. Clara Foyle chichocząca z kimś, kto wyglądał na jej starszą siostrę. Słońce oświetlało włosy od tyłu, łagodziło kontrast piegów i tworzyło coś na kształt aureoli. Kolejny materiał na żywo – teraz pokazywano sklep odgradzony policyjną taśmą. Dalszy ciąg napisów na żółtym pasku.

„Clare Foyle widziano po raz ostatni w sklepie ze słodyczami w Blackheath, w południowo-wschodnim Londynie, około godziny piętnastej trzydzieści. Miała na sobie żółto-czarny mundurek szkolny. Rodzice błagają o dobre wieści”.

Erdman przetarł oczy zdrowymi palcami. Biedni. Jakby on zniósł sytuację, gdyby Lilith, w jakieś piątkowe popołudnie, zadzwoniła do niego do pracy, akurat wtedy gdy myślałby o urwaniu się do pubu i powiedziała, że Jakey zaginął, że po lekcjach nie wrócił do domu?

Otrząsnął się, wyrzucając tę myśl z głowy, jak gdyby już samo wyobrażenie sobie czegoś podobnego mogło sprawić, że to się wydarzy. Najgorsza byłaby niepewność. I czekanie. Czekanie na pukanie do drzwi. „Proszę pana, bardzo nam przykro. Zależliśmy ciążo”. Jak zniosłoby to jego małżeństwo? Nic dziwnego, że tyle ludzkich losów płacze się i wikła, kiedy jakieś dziecko gubi się lub umiera. Albo kiedy okazuje się bardzo chore. Erdman przełknął ślinę.

– Boże, a ty cały czas czekasz? – pojawiła się Lilith z Jakeyem i z wiotkim trójkątem kanapki obłożonej serem.

– Tak, to już nie powinno potrwać długo.

Lilith klapnęła na krzesło obok, a Jakey przyglądał się kilku kroplom krwi, zakrzepłym na podłodze.

– Widziałam na stołówce. W końcu musiałam odciągnąć Jakeya od telewizora. Cały czas się pytał, czy ktoś ją ukraść. Straszne, co? Biedni ci jej rodzice. Chociaż, co ona do cholery robiła sama?

Zamilkli z poczuciem winy, przytłoczeni ładnie opakowanymi obrazkami rodziny takiej samej jak oni.

Po kilku chwilach Lilith dotknęła łokcia męża.

– Erd, nie zapomniałeś o poniedziałkowym popołudniu?

– Mhm?

Lilith westchnęła.

– Zapomniałeś, prawda? To dzień „Przyprowadź tatę do szkoły”. Pamiętasz, tatuśku? Do klasy przychodzą wszyscy ojcowie. Panna Haines mówi, że będzie zabawnie.

Erdman nie potrafił znaleźć niczego mniej zabawnego. Jednak nie mógł o tym powiedzieć synowi.

– Będę – oznajmił.

Siedzieli dłuższą chwilę. Dwóch ratowników medycznych szybko przeszło z noszami, ale ekscytujące zamieszanie trwało tylko kilka chwil, ich podopieczny o szarej twarzy przemknął dalej. Tablica na ścianie informowała nowo przybyłych, że przeciętny czas oczekiwania wynosi cztery godziny. Barwa wieczornego nieba przeszła w głęboki granat. Z tyłu sprzątacze w żółtej koszulce i spodniach przesuwali mopem tam i z powrotem po podłodze.

– Boże, co za paskudny uniform – wymamrotała Lilith.

Żołądek Erdmana nie mógł się uspokoić, w czym nie pomagał smród brudnych pieluch dziecka kilka miejsc dalej. Jakey zwił na krześle, zatykając palcem nos. Stopa Lilith unosiła się i opadała rytmicznie, a pasek z wiadomościami przesuwiał się, powtarzając poruszającą serca historię nieszczęśliwej rodziny.

Erdman starał się nie myśleć o ostrzu igły, o nici przechodzącej przez dziury w jego skórze. O tym, jak na krawędzi pola widzenia robiło mu się biało za każdym razem, gdy dostawał zastrzyk. Zastanawiał się, czy to może mieć związek z jakimś ukrytym

wspomnieniem.

Dzięki Bogu, razem z Lilith zdołał doprowadzić do tego, aby Jakey dostał szczepionki doustnie. Nasłuchał się już straszliwych historii o tym, co zastrzyki mogą zrobić dzieciom takim jak Jakey. Lekarze w Pensylwanii dzięki swoim badaniom dokonywali kolejnych przełomów, lecz nadal nie było żadnego lekarstwa. Powoli wypuścił powietrze, starając się zdusić panikę, która nadciągała za każdym razem, gdy myślał o przyszłości chłopca. Spojrzał na syna.

– Nudzę się – jęknął Jakey.

– Razem się nudzimy, mistrzu – oznajmił Erdman. Marnowanie piątkowego wieczoru w tak przygnębiającym miejscu również dla niego nie było powodem do radości

Lilith przeglądała na telefonie portale informacyjne. Ziewnęła, nie zasłaniając ust.

– Dlaczego nie zabierzesz Jakeya do domu? – zapytał. Sam nie wiedział, co właściwie zamierza powiedzieć i zaraz tego pożałował.

– Na pewno?

Pytanie Lilith było wyłącznie retoryczne. Już wstała, wciągała palto i pomagała chłopcu uporać się z kurtką.

– Zabiorę auto, dobrze? Dasz sobie radę w autobusie...

Tak, jasne, że dam radę. Bo przecież tak bardzo lubię wracać do domu autobusem po tych wszystkich piątkowych pijaństwach.

– Poradzę sobie.

Kiedy przyglądał się Lilith i Jakeyowi znikającymi za automatycznymi drzwiami szpitala, jak wśród deszczowej nocy szli w stronę parkingu A, wciąż jeszcze miał nadzieję, że może jednak zostaną.

Nie mógł mieć do niej pretensji. Tyle godzin spędzała tutaj z Jakeyem. Tyle tych godzin spędzili oboje. Nienawidził tego miejsca prawie równie mocno jak ona.

Mijały kolejne minuty.

– Erdman Frith! – zawołała pielęgniarka. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

Wreszcie. Poszedł za nią do gabinetu zabiegowego, potykając się o znak „Uwaga, mokra podłoga”. W przepaszającym gości uniósł rękę w stronę sprzątacza, który w odpowiedzi skinął głową.

Dłoń Erdmana zbadał jakiś lekarz o obwisłych wusach, potem ją wypuścił. Odwrócił się do pacjenta plecami, można jednak było dosłyszeć jego rozmowę z pielęgniarką.

– Powiedz Kalebowi, żeby, kurwa, nie marnował mi czasu. I bez tego mamy masę roboty.

Pielęgniarka uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Panie Frith, przykro nam, że tak długo musiał pan czekać, ale doktor Levison nie sądzi, żeby szycie było potrzebne. Opatrzę pańską ranę, nie jest aż taka głęboka, jak początkowo

sądzono.

Kiedy wychodził ze szpitala, deszcz siekł po twarzy. Wzmógł się wiatr, ziębiąc wilgotną skórę. Czegoż by nie dał, aby teraz siedzieć przed telewizorem, z podkreśnionym ogrzewaniem zatrzymującym wszelki chłód, czy to małżeński, czy jakikolwiek inny.

Spojrzał na rozkład jazdy. Jeśli dobrze go odczytał, autobus przyjeżdżał za dwadzieścia minut, ale wcale nie był przekonany, czy odczytał go dobrze. Wciąż jeszcze próbował odcyfrować drobny czarny druk, kiedy ujrzał nadjeżdżający pojazd.

Erdman grzebał w kieszeni, szukając swojej karty Oyster. Znalazł, upuścił na sieczoną deszczem podłogę i rumieniąc się, przejechał nią po żółtym czytniku. Znalazł sobie miejsce pod oknem, pustym wzrokiem patrząc przez zaparowaną szybę.

Kiedy tylne światła autobusu zniknęły wśród nocy, Erdman zamknął powieki i zastanowił się, czy ktokolwiek by zauważył, gdyby nie wrócił teraz do domu.

Jednak nie powinien tracić czasu na użalanie się nad sobą.

Jego syn był już w niebezpieczeństwie.

A on miał zalewie dziesięć dni, żeby ocalić mu życie.

7

Godzina 21.31

Lilith wrzuciła ostatnie okruchy szkła do zamykanego na klapę kosza i skupiła się na podłodze salonu. Krew z ręki Erdmana zakrzepła, tworząc rdzawe plamy. Aby to wyczyścić, musiała skrobać wypolerowane drewno.

Usiadła na podłodze, przyglądając się efektom swojej pracy. Boże, jaka czuła się zmęczona, a jeszcze musiała posprzątać po ich zepsutej kolacji. Erdman nie wrócił ze szpitala, lecz przynajmniej Jakey leżał już w łóżku. Od kiedy przyjechali do domu, był taki trudny – markotny i wycofany. Chociaż przeprosił za „wypadek samochodowy”, poczuła ulgę, zamykając za nim drzwi i samotnie schodząc po schodach.

Lilith nie miała pojęcia, co wstąpiło w jej zazwyczaj łagodnego syna, ale cokolwiek to było, nie podobało się jej. Zanotowała w pamięci, żeby odstawić zafajdany samochód do serwisu.

Za karę nie przeczytała mu bajki. Jakey jakoś się tym nie przejął. To była jedna z książek Erdmana, jakieś straszne podania ludowe, miał ją od dzieciństwa. Na okładce widniał wysoki, szczupły mężczyzna z wyszczerzoną czaszką zamiast głowy. Potwór polujący na

dzieci. Przechodziły ją ciarki na ten widok. Ale Jakey co wieczór prosił o czytanie z niej bajek, od kiedy znalazł ją w pudle ze starymi rzeczami Erdmana. Ale dzisiaj nie. Dzisiaj cisnął ją na drugi koniec pokoju.

Westchnęła i zdrapała z talerza zastygły sos i zimne kartofle. Może to wina lekarstwa, a może po prostu zmęczył się wizytą w szpitalu. Może powinna mu darować, ale był tak cholernie niegrzeczny. A co gorsza, starała się akurat dojechać do domu w ulewnym deszczu. Wtedy właśnie, gdy w aucie po raz pierwszy zapiszczał sygnał ostrzegawczy, wyświetlając informację na desce rozdzielczej.

„Zapnij tylny pas”.

– Jakey – rzuciła. – Nie baw się pasami. Zapnij je zaraz, proszę.

– Ja ich nie rozpiąłem.

– Jakey. – Głos miała jak ze stali.

– Nie rozpiąłem.

– Nie gadaj głupot.

– Nie – prawie krzyknął. – Nawet ich nie dotknąłem.

Lilith wiedziała, że kłamie. Informacja wyświetlała się tylko wtedy, gdy pasażer na tylnym siedzeniu rozpiął pasy albo w ogóle ich nie zapiął.

Spróbowała inaczej.

– Kochanie, gdybyśmy mieli wypadek w tę paskudną pogodę, mógłbyś zostać poważnie ranny. Proszę zrób to. Dla mamusi.

– Nie rozpiąłem ich – upierał się.

Plasnęła dłonią o kierownicę, auto zbczyło na przeciwległy pas. Spanikowana, zbyt gwałtownie skręciła, a kierowca jadący za nią głośno zatrąbił.

– Cholera.

– Nie rozpiąłem ich – powtórzył, tym razem łagodniej.

Nie zwróciła na niego uwagi, tylko wzrokiem przeczesywała ulicę, szukając miejsca, gdzie można się zatrzymać. Przecież, cholera, może stanąć i sama zapiąć mu te pasy. Jednak przez deszcz trudno było cokolwiek dostrzec, a wstęga czerwonych tylnych świateł przed nią zmuszała do hamowania.

Gdy zatrzymali się w korku, odwróciła się, żeby spojrzeć na syna. Patrzyła na nią blada plama jego twarzy, oświetlana przednimi reflektorami mijających ich aut.

– Jakey, ja tylko chcę, żebyś był bezpieczny.

– Nie rozpiąłem swoich pasów – powiedział i wybuchnął płaczem.

Zastanawiała się, czy nie wytłumaczyć mu, że przecież ciężar ciała pasażera uruchamia czujnik, powiadamiający kierowcę, kiedy pasy są rozpięte i że z tyłu poza nim nikogo nie ma, ale pomyślała, że i tak tego nie zrozumie.

Zerknęła w dół, na pasy Jakeya.

Klamra była zapięta, bezpiecznie zakleszczona.

Jednak komunikat się nie zmieniał.

„Zapnij tylny pas”.

Zerknęła, czy obok chłopca nie leży jej torebka. Nosiła tyle kłopotów, że mogło się okazać, że to wszystko waży tyle, ile mały człowiek, ale tym razem miejsce było puste.

To po prostu jakiś błąd w systemie auta, które najlepsze dni miało już za sobą.

Zaczęła przeproszać syna, wyjaśniać, że nawet dorośli czasem popełniają błędy, kiedy usłyszała, że Jakey mamrocze coś wśród nieustającego bębnienia deszczu.

– Idź stąd – syknął. – Idź stąd i zostaw mnie w spokoju.

– To, że tak cicho mówisz, wcale nie znaczy, że ciebie nie słyszę.

– Mamusiu, ja...

– Wiem, że to był męczący, paskudny dzień, ale to żadna wymówka. Do mamusi tak się nie odzywa. – Palce Lilith zabębniły na dźwigni zmiany biegów.

– Ale ja...

– Wciąż ze mną dyskutujesz, A może byś tak powiedział „przepraszam”?

– Ty mnie nigdy nie słuchasz! – wybuchnął. – Nigdy, nigdy, przenigdy. Jesteś najgorszą mamą na świecie. Chcę do tatusia.

Samochody znowu ruszyły, deszcz zelżał. Widziała twarz Jakeya w tylnym lusterku, skrzywioną, zasmuconą. Pożałowała swojej surowości, poczuła ukłucie matczynego poczucia winy.

– Hej – powiedziała. – Nie chciałam na ciebie naskakiwać.

Jednak nie odpowiedział, tylko spoglądał przez okna na deszcz, oczy miał zażawione i nucił tę dziwną piosenkę.

Zostawiła wszystko tak jak było, ale kiedy dotarła do domu, syn oznajmił, że chce się położyć spać. Kiedy przyszła go utulić, odmówił i odwrócił się do niej plecami, bez buziaka na dobranoc.

Teraz była sama i uświadomiła sobie, że miał rację. Nie kłopotowała się tym, aby go wysłuchać ani dać mu szansę, żeby się wytłumaczył. Niektóre dzieci były kompulsywnymi kłamcami, ale Jakey, aż do teraz, zawsze postępował bardzo uczciwie.

To nie jego wina, że nie mieli pieniędzy na lepszy samochód.

Zauważyła, że nie może się uspokoić. Skończyła sprzątanie i nerwowo przechadzała się po domu, czekając na Erdmana.

Dzięki Bogu, że z ręką Jakeya wszystko w porządku. Była tak pewna, że doszło do złamania, że dała mu nawet dodatkową dawkę sterydów, aby uśmierzyć zapalenie. Jednak zlecony przez lekarzy rentgen wykazał, że ramię jest tylko bardzo poobijane.

Pomyślała o tym, jak wyglądała ta ręka, napuchła, zniekształcona i zmówiła cichą modlitwę.

Tylko siniak, tak powiedział lekarz. Tylko siniak. Boże, proszę, niech tak zostanie.

SOBOTA

8

Godzina 2.57

Detektyw Etta Fitzroy potrafiła powiedzieć dużo o kimś tylko na podstawie stanu drzwi wejściowych do jego domu.

Widywała już drzwi z łuszczącą się farbą, zepsutym dzwonkiem albo z potrzaskanym drewnem w miejscu, gdzie je kopnięto, albo z czterema różnymi zamkami mającymi powstrzymać nieproszonych gości. Te jednak należały do jej ulubionego rodzaju: niedawno malowane, o błyszczącej srebrem kołatce i z podwieszoną doniczką, w której rośliny ociekały jeszcze wilgocią po ostatnim deszczu.

Tyle że dzisiaj nie chciała stawać na tym progu przywilejów i bogactwa i niweczyć nadziei rodziny.

Kiedy Fitzroy skręciła w Pagoda Drive, ciągnąc walizkę, wyjęła chusteczkę z kieszeni i wytarła twarz. Ci rodzice spodziewali się chłodnego profesjonalisty. Zasłużyli na niego.

Deszcz przestał padać, ale chodniki wciąż były czarne i śliskie, a pachnące dymem powietrze chłodziło skórę. Dwupiętrowy dom Foyle'ów zbudowany w stylu króla Jerzego był największy na ulicy. Fitzroy zgadywała, że wart jest pewnie co najmniej trzy miliony. W oknach paliło się światło, chociaż dochodziła już trzecia rano.

Idąc ścieżką przez ogród, nerwowo wciągnęła wilgotne powietrze. Nigdy nie wiedziała, czy ma się spodziewać wściekłych, oskarżycielskich głosów, czy też spokojnych pytań tonących we łzach. Ale zrozumie i wybaczy każdą reakcję, bo będzie za nią stać rozpacz.

Dłoń policjantki z wahaniem zawisała nad kołatką, ale nim zdążyła zastukać w lakierowane drewno, drzwi otworzyła jakaś siwa kobieta w nieokreślonym wieku, zapinając żakiet dopasowanej garsonki. Oczy miała zmęczone. Przez chwilę, może dwie, wpatrywały się w policjantkę. Fitzroy już do czegoś takiego przywykła. Miała jedno oko brązowe, a drugie

przejrzyście niebieskie, więc musiała się nauczyć to ignorować. Tymczasem kobieta przypomniała już sobie, o co chodzi.

– Proszę wejść – powiedziała. – Na pewno pani zmokła.

Fitzroy wyciągnęła ku niej prawą rękę.

– Zapewne pani Foyle?

Kobieta roześmiała się, to był nieoczekiwany dźwięk. Ukazała dwa rzędy doskonale białych zębów.

– Nie, nie. W zasadzie tak, jestem panią Foyle, ale nie tą, z którą przyszła się pani zobaczyć. Jestem Elisabeth, teściowa.

– Przykro mi z powodu państwa trosk.

Usta Elisabeth Foyle zacisnęły się w posępną linię.

– Dziękuję – powiedziała. – Proszę za mną.

Poprowadziła Fitzroy ogromnym holem z szachownicową posadzką i po szerokich mahoniowych schodach. Minęły kilka bogato umeblowanych pomieszczeń i dotarły do zamkniętych drzwi na krańcu korytarza. Elisabeth zapukała delikatnie, ale nie czekała na odpowiedź. Przytrzymała otwarte drzwi i cofnęła się, żeby przepuścić Fitzroy.

Pokój był ogromny, miał okna sięgające od podłogi do sufitu, detektyw doszła do wniosku, że pewnie wychodzą na wypielegnowane trawniki. Na wprost drzwi dominował ceglany kominek, a na bladozielonej sofie w rogu siedziała jakaś kobieta. Lśniące włosy miała ściągnięte w kucyk, przez co unosiła się wokół niej aura młodości, chociaż nawet z odległości kilku metrów detektyw Fitzroy dostrzegła głębokie bruzdy wokół ust i oczu. Kobieta garbiła się, jak gdyby godząc z klęską. W kącie cicho rozmawiało dwóch mundurowych.

Tej nocy nikt tutaj nie zaśnie.

– Mogę przynieść coś do picia? – zaświergotała Elisabeth. Jej maska już się zsuwała. Nie po raz pierwszy Fitzroy spotykała kobietę taką jak starsza pani Foyle. Podekscytowanie faktem, że rodzina znalazła się w samym centrum ogólnokrajowego dramatu, pojawiała się znacznie częściej, niż można przypuszczać.

– Poproszę herbatę – oznajmiła.

Rozejrzała się po pokoju, zauważyła kulę opartą o kominek. Płomienie odbijały się na metalowej powierzchni niczym tuziny małych fajerwerków. Na gzymsie kominka stały rodzinne fotografie, takie niezgrabne, pozowane zdjęcia.

– Mąż mówi, że ona wróci do domu.

Głos Amy Foyle był szorstki, urywany, jak gdyby jedynym sposobem utrzymania cierpienia w ryzach było opakowanie go tak szczelne, aby nie wyciekła żadna emocja. Z doświadczenia Fitzroy wynikało, że właśnie oschłe kobiety załamują się pierwsze.

Nie czekając na zaproszenie, usiadła obok niej na sofie.

– Pani Foyle, a co pani o tym wszystkim sądzi?

– To pani jest tutaj ekspertem. To chyba pani powinna mi to powiedzieć.

Fitzroy uznała, że nie, wcale nie powinna. Nie powinna mówić temu wyniszczonemu cieniowi kobiety o tym, że spędziła dwadzieścia minut, wisząc na telefonie, podczas gdy zastępca koronera sprawdzał, czy na pewno nie odnaleziono już ciała Clary. O tym, że właśnie w tej chwili policja przygotowuje się, aby o świcie wznowić poszukiwania. O tym, że poza osobami, które widziały Clare, szukać też będą strzępów jej płaszczyka albo tornistra. Jej bielizny ze świnką Peppą.

O tym, że cały czas starają się wyeliminować męża Amy Foyle z kręgu podejrzanych.

– Przepraszam, że jestem tak późno – powiedziała zamiast tego. – Było mnóstwo telefonów i czekałam, żeby mieć najświeższe informacje.

Pani Foyle wyprostowała się.

– Ma pani jakieś wieści?

Fitzroy skłęła się w duchu za niezdarną wypowiedź. Ujęła rękę kobiety we własną dłoń. Dostrzegła, że francuski manicure podpadał na krawędziach paznokci. Ta niedoskonałość w wypolerowanej fasadzie pani Foyle wstrząsnęła nią bardziej niż jakiegokolwiek ły.

– Nie. Przykro mi.

Pani Foyle przygryzła wargę i zapatrzyła się w ekran telewizora. Tam Clara uciekała przed starszą siostrą Eleanor, ścigającą ją z węzłem ogrodowym. Dźwięk był wyłączony, ale Fitzroy prawie słyszała piski pełne uciechy pomieszanej z dreszczykiem emocji.

– Mąż nagrał to latem. – Głos pani Foyle był beznamiętny. – Teraz jest na górze, stara się uspokoić Eleanor. Miała właśnie okropny koszmar.

– Pani Foyle, czy przyszło pani do głowy jeszcze coś, co może przydać się w śledztwie? Cokolwiek? Jakikolwiek pozornie nieważny szczegół, związany z pani córką? Czy wspominała, że coś ją niepokoi? Czy kiedykolwiek mówiła o tym, że zaczepiał ją ktoś obcy?

– Wszystko już powiedzieliśmy pani kolegom.

– Oczywiście. – Fitzroy była łagodna. – Ale czasem można sobie nagle coś przypomnieć i nawet jeśli to nie wydaje się ważne, może okazać się tą częścią informacji, która pomoże nam znaleźć Clare.

Po policzku pani Foyle spłynęła pojedyncza łza. Fitzroy przypatrywała się, jak spada z podbródka.

– Wiem, że to trudne. Wiem, że odpowiedziała już pani na setki pytań o córkę. Wiem, że jest pani przestraszona i wykończona, i że czuje się pani jak podczas jakiegoś najazdu, mając w domu policję przeszukującą go, sprawdzającą komputer, dotykającą rzeczy Clary. Proszono mnie jednak, żebym przyszła tutaj dzisiaj, bo mam pewne doświadczenie w sprawach takich jak ta i mogę pani pomóc.

Fitzroy nachyliła się tak, że ich kolana prawie się zetknęły.

– Pani Foyle, czy Clara jest zdrowym, szczęśliwym dzieckiem?

Przed udzieleniem odpowiedzi powstrzymało ją zjawienie się Elisabeth, która wygłosiła

monolog, nalewając mleko i rozdając ciasteczka.

– Wolałabym, żeby tego nie robiła – oznajmiła Amy Foyle, gdy teściowa wyszła.

– Czego nie robiła? – Fitzroy nie zmieniała tonu głosu.

– Żeby nie zachowywała się tak, jak gdyby nic się nie stało. Ciągłe opowiada, jakie to urządzimy przyjęcie, kiedy Clara wróci do domu, a przecież wszyscy wiemy, że ona przypuszczalnie...

Przerwała, nie mogąc wyartykułować wniosku, do którego doszli dawno wszyscy kanapowi komentatorzy. A potem, tak jak dokładnie przewidziała Fitzroy, pani Foyle się załamała.

Nie wyła, nie krzyczała ani nie protestowała przeciwko niesprawiedliwości tego wszystkiego. Po prostu siedziała na fotelu i płakała, aż zatkał się jej nos, a na policzkach wystąpiły plamy. Nie była w stanie wypowiedzieć jednego zrozumiałego zdania.

Fitzroy poczuła przypływ współczucia. W urywanym szlochu pani Foyle słyszała echa wszystkich rodzin zaginionych i zmarłych.

Conchita, matka Grace Rodriguez, stała przy zlewie.

Fitzroy przyglądała się, jak zajmuje się zmywaniem, czyszcząc niezliczone filiżanki i talerze, z których nie piła ani nie jadła.

Dawała jej ostatnich kilka sekund nadziei.

Conchita, wyczuwając jej obecność, odwróciła się i zobaczyła detektyw w kuchennych drzwiach. Spodek, który właśnie wycierała, wysliznął jej się z palców. Fitzroy wciąż jeszcze słyszała dźwięk, który wydał, uderzając o terakotę i rozpadając się na pół.

Conchita Rodriguez nie potrzebowała słów Fitzroy. Jedno spojrzenie na twarz policjantki powiedziało wszystko.

Ugięły się pod nią kolana, upadła na zimne, twarde kafelki. Fitzroy też osunęła się na podłogę i płakała razem z nią.

Rok później, kiedy David spał, Fitzroy wpatrywała się w ciemność, przegrzebując materiał dowodowy, poszukując czegokolwiek, co mogła przeoczyć. Przeprowadzi córkę z powrotem do matki, tak jak obiecała.

Ale teraz potrzebowała jej Amy Foyle.

Objęła młodą kobietę ramieniem. Poprzez kosztowny jedwab ubrania wyczuła obojczyk, konwulsje szoku i niedowierzania.

To było okrutne przypomnienie codziennych horrorów, jakie oglądała w swojej policyjnej pracy. Czy zdoła znieść kolejne dziecko w tym ponurym krajobrazie współczesnego świata, czy potrafi znowu wystawić się na ryzyko straty?

Tak, pomyślała. O, tak.

Pani Foyle pociągnęła łyk ze szklanki i otarła oczy chusteczką. Fitzroy wyczuła w jej oddechu zapach alkoholu.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie ma za co przepraszać.

Amy drżącym palcami obciągnęła spódnicę.

– Pytała mnie pani, czy Clara jest szczęśliwa. Ja nie jestem wcale taka pewna, czy jest.

Fitzroy usiadła ponownie, wysunęła pierś do przodu, zachęcając do zwierzeń i skupiając całą uwagę na młodej matce przed sobą. To było ważne. Chciała, żeby to pani Foyle wypełniła teraz przestrzeń między nimi wszystkimi powodami tego, że Clara nie czuła się szczęśliwa.

Po policzkach Amy spłynęły łzy. Nie kłopotowała się, aby je obetrzeć.

– Widzi pani, bo to moja wina. Chciałam ufarbować włosy, poprosiłam więc przyjaciółkę, żeby ją odebrała, chociaż Clara nie chciała z nią iść, ale ją zmusiłam. – Zakryła twarz dłońmi i znowu zaczęła szlochać. – Zmusiłam ją.

– Dlaczego Clara nie chciała z nią iść?

– Poppy Smith i dziewczynki z klasy, one...

Fitzroy czekała.

– Okazują jej takie wrodzone, dziecięce okrucieństwo.

– Dlaczego to robią?

Amy skubała szorstkie krawędzie polakierowanych paznokci.

– Clara ma tak zwane szczypcy kraba. Na obu dłoniach nie ma palców.

Dzyń.

W takich sytuacjach Fitzroy lubiła wsłuchiwać się w melodię w swojej głowie i gdy ta zabrzmiała, chwytala się jej. Niektórzy nazywali to instynktem, policyjnym nosem, ale dla Ety wszystko działo się w mózgu, to była ta cicha pieśń procesów myślowych. Kalectwo Clary wyjaśniało, dlaczego sama opuściła teren szkoły, sprawiało też, iż jej bezbronność czyniła ją łatwiejszym celem.

Krótki lot nadziei zakończył się jednak katastrofą.

To jeszcze nie było wszystko.

– Nie miała operacji?

Pani Foyle opuściła głowę.

– Clara jest dosyć nietypowa. Większość dzieci przechodzi taką operację przed ukończeniem osiemnastu miesięcy, a czasem nawet w znacznie młodszym wieku, lecz ja nie chciałam, żeby ją zrobiono. Nienawidziłam samej myśli o tym, że Clara doświadczy jeszcze jakiegoś bólu, pomyślałam, że nauczy się z tym żyć. Mój mąż się ze mną nie zgadzał, zwłaszcza że lekarze twierdzili, że gdy Clara będzie starsza, operacja stanie się trudniejsza. Strasznie się o to kłóciliśmy. Nie chcieli operować bez mojej zgody, ale po prostu nie mogłam znieść myśli o tym, że będą ciąć jej rączki – westchnęła ciężko. – Jej przypadek jest dość ekstremalny, brakuje jej trzech środkowych palców u każdej dłoni.

Pani Foyle odchyliła głowę, opierając ją o sofę i zamknęła oczy. Siedziała tak dłuższą chwilę, a w pokoju panowała cisza, wyjąwszy od czasu do czasu trzaśnięcie przesuwającego

się w kominku polana. Najpierw wyglądało, jak gdyby zasnęła, ale potem zaczęła płakać, cichym, urywanym szlochem. Próbując składać słowa wśród rozpacz, sięgnęła po rękę Fitzroy. Potrzeba wypisana na jej twarzy była straszliwa.

– Czy moje dziecko żyje?

Od zniknięcia Clary minęło wiele godzin, a Fitzroy już raz okłamała Amy Foyle, zapytana o wieści.

Owszem, miała wieści, ale nie takie, którymi chciałyby się dzielić. Ekipa prowadząca dochodzenie została wręcz zasypana wiadomościami od osób, które rzekomo widziały dziewczynkę. Alert Ratowania Dziecka zawsze niósł ze sobą takie ryzyko. Uginali się teraz pod ciężarem informacji, starając się odcedzić rzeczy najwyższej wagi od zwyczajnego chłamu.

Fitzroy nie była gotowa kłamać ponownie.

– Nie wiem – odparła, unikając składania obietnic tak pustych jak czerwone kaloszki, które zauważyła przy drzwiach wejściowych. – Ale mogę pani powiedzieć, że wiele zaginionych dzieci wraca do swoich rodzin.

– A co z tymi, które ukradli obcy ludzie? – Znowu zaczęła szlochać, zmierzając już na skraj hysterii.

– Pani Foyle, wiem, że jest ciężko, ale mogę pani obiecać, że robimy wszystko, co w naszej mocy.

– Musicie ją znaleźć! Musicie! – W jej głosie brzmiała panika.

Fitzroy starała się zignorować nagłe wspomnienie o Grace Rodriguez, które niechciane wypłynęło teraz na powierzchnię.

Ostrożnie dobierała następne słowa.

– Ma pani jakiś pomysł, kim mógł być tamten człowiek?

Pani Foyle nie miała pojęcia. W związku z brakiem jakichkolwiek męskich krewnych poza Milesem, policja zajęła się już ojcami i mężami przyjaciół Clary, jej nauczycielami ze szkoły, a nawet majstrem, który w zeszłym miesiącu naprawiał rynnę.

Sprawdzano też każdą z zarejestrowanych w okolicy osób, skazanych za molestowanie seksualne, chociaż o tym Fitzroy już nie mówiła.

– Czyli że dla pani córki to był po prostu zwyczajny dzień?

– Tak, z wyjątkiem odebrania przez panią Smith.

Fitzroy przetała oczy. Chociaż czuła się zmęczona, nie było już sensu wracać do domu. David postanowił przenocować w hotelu, by samotnie celebrować swoje urodziny, a ona i tak by nie zasnęła.

Między kobietami wytworzył się bezmiar ciszy. Etta zastanawiała się, czy David leży już w łóżku, czy może wciąż jest przy barze, gawędząc z nocną zmianą. Kiedy po raz pierwszy ją do siebie zabrał, poruszyły ją kwiaty, którymi ozdobił pokój i to, że nie liczył na nic w zamian. To właśnie w nim lubiła. Teraz jednak sprawy się zmieniły, to ona miała swoje

oczekiwania.

Znacznie później, kiedy przesuujące się cienie przybrały kształt poranka i nie było już nic więcej do powiedzenia, Amy zawołała teściową i Elisabeth zmaterializowała się, niosąc palto Fitzroy. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Amy pociągała kolejny łyk swojego drinka.

– Przepraszam, pani... pani detektyw – wyszeptała Elisabeth. – Jest chyba wyczerpana nerwowo.

– To zrozumiałe.

– Wie pani, dostała okres. Niezbyt to dobrze się łączy z pigułkami i alkoholem.

Fitzroy zacisnęła usta i zmusiła się do czegoś na kształt słabego uśmiechu.

– Dziękuję za herbatę.

Podniosła walizkę, po czym otworzyła drzwi na nowy dzień.

Na zewnątrz powietrze było złociste, za sprawą owej rzadkiej właściwości światła wieszczącego wczesnozimowy świt. Taka jasność przywodziła na myśl dziecięcą skórę, zarys policzka w stłumionym poblasku lampki nocnej i oddech spokojnego snu.

Ale Fitzroy nie potrafiła myśleć o świetle, nie myśląc o mroku. W jej świadomość wryła się bladość śmierci, zasadzająca się na młodziutki rozkwit. Zastanawiała się, czy skradające się palce Kostuchy muskały już twarz Clary.

9

Godzina 7.38

Otwiera drzwi, nasłuchując znajomego skrzeku.

– Czy to ty, kochanie?

Czyli, że nie śpi. Boli go serce.

– Tak, to ja – woła.

W pokoju jest duszno od snu i drożdżowego zapachu jej ciała. Wdycha tę woń i pochyla się, aby odgarnąć wilgotne włosy. Ból krzywi jej twarz. Po tylu latach już nie musi pytać. Dzisiaj nie ruszy się z łóżka. Grzebie w jej szufladzie, szukając środków przeciwbólowych, przyciska do jej ust szklanekę z wodą.

– Na pewno jesteś zmęczony – mówi ona.

Uśmiecha się do niej, potrząsa głową. Nie, tutaj chodzi o to, że to ona jest zmęczona, nawet jeśli już od lat nie ruszała się z łóżka. Podnosi jej nocnik. Krawędź jest nieco obsypana talkiem. To łagodzi przesuwanie metalu po delikatnej skórze.

– Herbata – mówi. – Tost.

Kiedy wraca z tacą, jej udaje się jakoś podnieść na poduszkach. Dzięki temu nie widać, że kręgosłup wygięty jest jak litera S. Ale ból pleców wypycha głowę do przodu, zmusza ramiona do przygarbienia się.

Kroi tost na cztery kwadraty, wręcza jej jeden. Zasłony są zaciągnięte, w pokoju panuje półmrok, lecz ona nie lubi, gdy świat zagląda tutaj, zanim zostanie ubrana i przewinięta.

Po zakończonym posiłku odnosi tacę do kuchni, napełnia miednicę ciepłą wodą. Napiera na niego sen, powieki stają się ciężkie, lecz w dalszym ciągu się nie kładzie. Zamiast tego włącza radio, spijając poranne wieści jak człowiek, który długo przebywał na pustyni.

Niesie korytarzem pełną miednicę, ostrożnie, starając się nie rozlać zawartości na ciemnobrązowe zawijasy dywanu. Oczy znowu mu się zamykają, ale je otwiera na dźwięk uderzenia emaliowanego metalu o siedzenie drewnianego krzesła. Na zewnątrz po niebie ciągną się pierwsze macki purpurowego świtu.

Znów uśmiecha się do niej, takim czułym uśmiechem, unosi gąbkę do jej twarzy, wymywa ropę z oczu i zakrzepłą ślinę z podbródka. Jej twarz porały zmarszczki, ale on tego nie dostrzega. Ciało jest powyginane, tylko oczy w ogóle się nie zmieniły.

Nocna koszula jest za duża, ale zaczyna się, gdy podciąga ubranie nad zniekształconym garbem na jej plecach. Myje ją pod pachami, między nogami, ogląda skórę, szukając odleżyn. Wszystko w porządku, przez głowę wkłada czystą koszulę nocną, potem odsuwa zasłony. Na wprost okna sypialni jest przystanek autobusowy. Patrzy, jak miejsca w pojeździe zapełniają się pasażerami.

– Telewizja, radio czy książka? – pyta.

Ona nie wypytuje go o plany. Nie przejmuje się tym, bo rozumie, że zasięg jej świata skurczył się do tego domu i do tego pokoju.

Dopiero gdy jej wzrok pada na ekran telewizora, waży się odezwać ponownie.

– Muszę już iść...

Macha wychudzoną ręką, nie odrywając spojrzenia od ekranu.

– Wiem, wiem, też je trzeba nakarmić i napoić.

Na zewnątrz trawa jest wilgotna, a powietrze przesycone parą. Szopa pachnie słomą. Wdycha tę słodką woń.

Kiedy kończy pracę w ogrodzie, śpi godzinę, dwie. Bierze prysznic. Ona nadal ogląda telewizję, zamiast do niego, mówi do ekranu.

– Przesłuchują matkę Grace Rodriguez – odzywa się. – Tej „dziewczynki z lasu”. Tej nastolatki, która zaginęła w drodze na egzamin z baletu.

Wyjaśnia, że panią Rodriguez poproszono, aby podzieliła się swoimi doświadczeniami, bo właśnie zaginęła jakaś pięciolatka.

On wsłuchuje się w udawane współczucie prezenterów telewizji śniadaniowej, ich żal w technikolorze, dotyczący sprawy, która położyła cienie pod oczyma pani Rodriguez.

Przypominają widzom najbardziej paskudne szczegóły, to, jak policja natknęła się na szczątki Grace w Oxleas Wood i to, że brakowało większości ciała. Właściwie brakowało wszystkiego poza czubkami palców rąk i stóp, zamkniętych w małych plastikowych torebkach i starannie poukładanych.

Zamyka za sobą drzwi, przyrządza kanapkę, którą owija w papier pergaminowy.

Kiedy przechodzi obok niej, ma już na sobie garnitur. Ona nie pyta, dokąd się wybiera.

10

Godzina 15.46

Czy to jakiś kawał? – zapytał szef.

Fitzroy uważnie przyjrzała się podobiznie Clary, przyczepionej do ściany w centrum operacyjnym południowego dystryktu wydziału zabójstw i ciężkich przestępstw londyńskiej policji metropolitalnej.

Znajdziemy cię, kochanie. Obiecuję.

Po drugiej stronie pokoju pracowało kilkunastu funkcjonariuszy odbierających telefony. Błede twarze w świetle komputerowych monitorów. Reszta zespołu chodziła po domach lub przyłączyła się do grup poszukiwawczych.

– Kurwa – powiedział szef i z trzaskiem odłożył słuchawkę. Wyciągnął pigułkę z blistra schowanego do kieszeni i połknął bez popijania. Na zewnątrz jasne punkciki miasta rozświetlały zbierającą się ciemność.

Fitzroy przełknęła ślinę.

– Wszystko w porządku?

– Nie, kurwa, nic nie jest w porządku – powiedział i przetarł oczy. – Pierdolone gazety planują jakiś artykuł o Milesie Foyle’u.

Fitzroy nie musiała nawet pytać, jaki artykuł. Kilka godzin temu, w ramach rutynowej procedury, przepuściła jego nazwisko przez bazy danych policji metropolitalnej CRIS i CRIMINT.

Czytając uzyskane informacje, szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Dwukrotne pouczenie w związku z zaczepianiem ulicznych prostytutek, sprzed niecałych sześciu miesięcy. Jedna z dziewczyn nie miała ukończonych osiemnastu lat, czyli mogąc legalnie uprawiać seks, była poniżej wieku, od którego mogła legalnie uprawiać prostytutkę. Pojawił się również zarzut o napaść i porwanie, stawiany przez praktykantkę, później wycofany.

– Dużo czasu im to nie zajęło.

– Nie, kurwa, a moment nie mógłby być już gorszy, przez tę konferencję prasową w poniedziałek. Chcemy, żeby opinia publiczna im współczuła, a nie, cholera, wytykała ich palcami.

– Co teraz?

– Nie ma wyjścia, trzeba to przetrwać, sądzę jednak, że lepiej będzie go ostrzec – westchnął i przewertował kilka kartek leżących na biurku. Wiedziała, co teraz będzie.

– Pójdiesz tam. Płacenie za seks młodocianej prostytutce nie czyni go winnym uprowadzenia własnej córki, ale chcę, żebyś spadła na Milesa Foyle’a jak cholerna wysypka.

Tym razem drzwi wejściowe były szeroko otwarte, a szachownicową podłogę oświetlał blask żyrandola. Z domu wychodziła właśnie jakaś młoda kobieta. Miała zaczerwienione oczy i opadające kosmykami, przycięte blond włosy. Jej dłonie spoczywały na ramionach siedmio- albo ośmioletniej dziewczynki.

– Nie chcę iść – powiedziała dziewczynka.

Kobieta kiwnęła głową Fitzroy, a potem skierowała wzrok na dziecko.

– Kochanie, poczujesz się trochę lepiej. Nie możesz cały dzień przesiadywać pod dachem. Może po drodze do domu wstąpimy na gorącą czekoladę, do tej kawiarni, którą tak lubisz?

– Czy pan Foyle jest w domu?

Koniuszki palców kobiety zbieleły, kiedy ścisnęła ramiona dziewczynki.

– Gdzieś tam jest. Myślę, że na piętrze.

Fitzroy nacisnęła dzwonek i weszła do holu. Poczekała. Odchyliła się i nacisnęła dzwonek ponownie. Raz jeszcze zdumiała się przepychem tego domostwa, tak różnego od domu jej dzieciństwa, bliźniaka w Kent, którego ponurą atmosferę rozjaśniało tylko zamięłowanie matki do jazzu z połowy lat czterdziestych.

– Gina – zawołał męski głos. – Możesz otworzyć?

Fitzroy zastanawiała się, co się stało z oficerem łącznikowym rodziny Foyle’ów. Nikt się nie pojawiał.

– Halo? Halo?

Miles Foyle wystawił głowę zza balustrady. Na widok policjantki przygładził włosy i ruszył w dół schodów. Od zaginięcia Clary minęło czterdzieści sześć godzin, a każdy ich moment wymalowany był w jego nabiegłych krwią oczach i na zarośniętym szczecinią podbródka.

– Amy wyszła na spacer. Wariuje od przesiadywania tutaj przez cały dzień.

Czyli, że oficer łącznikowy wyszedł z nią.

– To nie z panią Foyle chciałam się spotkać.

– Gina gdzieś tu była – rozejrzał się przelotnie. – Mówiła, że zabiera Eleanor do koleżanki.

– Panie Foyle, cały czas czekamy na listę pacjentów, których przyjął pan w piątkowe popołudnie. Czy może mi ją pan teraz przekazać?

Uniósł wzrok, zaskoczony.

– Hm. Nie jestem pewien, czy jestem w stanie to zrobić.

– Czy w pańskim gabinecie jest ktoś, kto może mi ją skopiować? Mogę po nią kogoś wysłać. A może da się przesłać mailem?

Miles pogrzebał w kieszeni, szukając chusteczki do nosa. Wysmarkał się.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe.

Fitzroy zerknęła w lewo. Z haka na klucze w holu zwisał zalaminowany identyfikator, przyczepiony do materiałowej smyczy. Na plastyku widniały litery RSH, skrót od Royal Southern Hospital.

– Pracował pan wtedy gdzieś indziej? Zakładam, że przyjmuje pan nie tylko prywatnych pacjentów?

Podążył za jej spojrzeniem.

– Tak, pracuję też w szpitalu Royal Southern, ale zazwyczaj w środy.

Fitzroy poczuła zniecierpliwienie.

– Panie Foyle, czy mogę panu przypomnieć, że zaginęła pańska córka? Nie mam ochoty pana aresztować za utrudnianie śledztwa, sugeruję więc, żeby pan postarał się być odrobinę bardziej pomocny...

– Nie mogę pani dać takiej listy, ponieważ jej nie mam.

– Był pan w piątek w swoim gabinecie, prawda? Odebraliśmy pana stamtąd.

Westchnął przeciągle.

– Tak, byłem tam.

– To dlaczego nie ma pan takiej listy?

– Bo w piątkowe popołudnie nie przyjmowałem pacjentów.

– Aha. Jednak nie sądzę, żeby to był jakiś większy problem. Jeżeli był pan zajęty robotą papierkową, na pewno może poręczyć za pana recepcjonistka.

– Odesłałem ją do domu.

Dzyń.

– No tak, ale na pewno jest ktoś, ko widział pana w pańskim gabinecie. A może rozmawiał pan z kimś przez telefon. Może jest cokolwiek, czego potrzebujemy, aby upewnić się, że był pan tam wtedy, gdy...

– ...gdy zaginęła Clara. To właśnie pani sugeruje, prawda? To, że miałem coś wspólnego ze zniknięciem własnej córki.

Z układu jego ust, z kropli śliny na podbródku, potrafiła wyczytać wściekłość. Rozumiała to, zdziwiłby ją brak tego. Ale Fitzroy widziała już taką wściekłość na twarzach wielu innych ojców, którzy zgwałcili i zadusili swoje małe dziewczynki.

– Nikt tego nie twierdzi, panie Foyle. Musimy tylko się dowiedzieć, co pan wtedy robił. To standardowa procedura.

– Dobra. Byłem z kimś. W porządku? Jest pani zadowolona?

Fitzroy dała sobie chwilę, by w pełni dotarły do niej te słowa.

– Z kim? Musimy z nią porozmawiać. Albo z nim.

– To była ona. – Jego twarz stanowiła gładką maskę. – I nie może pani z nią porozmawiać.

– Dlaczego nie, panie Foyle? – Odczekała chwilę. – Czy to prostytutka?

Odwrócił wzrok. Fitzroy patrzyła, jak porusza lewym policzkiem. Zęby gryzły mięsiste wnętrze. Spróbowała jeszcze raz.

– Panie Foyle, zdaje pan sobie sprawę, że w jutrzejszych gazetach będą pisać o pana zamięłowaniu do korzystania z usług ulicznych prostytutek?

Gwałtownie spochmurniał.

– O, kurwa.

– Czy pańska żona o tym wie?

Spojrzał na nią.

– Sugeruję, aby jej powiedzieć.

– Nie mogę. – Jego głos był szeptem.

– Proszę mi wierzyć, będzie gorzej, jeżeli dowie się o tym z gazet. Tymczasem chciałabym, aby pan bardzo starannie przemyślał to, o co proszę. Jak już panu mówiłam, odmowa dostarczenia informacji ważnych dla toczącego się śledztwa może zostać uznana za jego utrudnianie. Gdy będzie pan już gotów, aby ze mną porozmawiać, wie pan, gdzie mnie znaleźć.

Na dworze było już chłodniej. Mróz kąsał równie ostro, jak wspomnienia o Grace Rodriguez.

Lasy okryły bielutkie igielki, nieomylny znak przymrozków. Pod ich stopami trzeszczała twarda jak żelazo ziemia.

Szli między drzewami, za Severndroog Castle, starym budynkiem, wzniesionym przez pogrążoną w żałobie wdowę dla uczczenia pamięci męża. Fitzroy zastanawiała się, jakich przerażających rzeczy była świadkiem ta gotycka wieża.

Jeszcze głębiej w las. W zmrożoną ciemność zimowego poranka.

– Zwykle tędy nie chodzę – powiedział mężczyzna, jego pies węszył mu przy nogach. Wskazał małą torebkę, jasnoróżowy kontur widoczny był na ziemi tak wyraźnie, jak księżyc na niebie.

Fitzroy wpatrywała się w naklejkę z imieniem właścicielki, łuszczącą się teraz po tylu dniach w wilgoci i chłodzie, jednak uparcie trzymającą się skóry.

– Natychmiast sprowadzić tutaj specjalistów z laboratorium kryminalistycznego – zawołała, a las ze zgrozą odpowiedział echem.

Chociaż od zaginięcia Grace minął rok, frustracja Fitzroy wcale się nie zmniejszyła. Jej myśli skoczyły z powrotem ku Milesowi Foyle'owi. Jeszcze nie wiedziała, czy mu uwierzyć, chociaż to jego cierpienie wyglądało na szczere.

A w dodatku...

Większość porywaczy małych dziewczynek była znana swoim ofiarom. Większość była biała, bezrobotna. Większość figurowała w policyjnych kartotekach. Trzech na czterech. Statystyki nie świadczyły na jego korzyść.

I nie miał alibi. A przynajmniej nikogo, kto mógłby je potwierdzić. Jednak nie chciała go zamknąć. Piętno w związku z aresztowaniem, a zwłaszcza aresztowaniem ojca podejrzanego o uprowadzanie własnego dziecka, zdrapywało się potem latami. Ale przecież mogła tutaj jeszcze wrócić. Mogła dać Foyle'owi jeszcze kilka dni, a tymczasem zespół od łączności z rodziną bacznie mu się przyjrzy. Jeśli zacznie puszczać farbę, zaraz się o tym dowie.

Miles z okna na parterze budynku przy Pagoda Drive przypatrywał się policjantce zmierzającej do auta. Jej kroki odbijały się echem od kamienia. Kiedy czerwone światła zniknęły za rogiem, Foyle wziął kurtkę i wyszedł z pustego budynku, w którym już nie czuł się jak w domu.

11

Godzina 16.36

W większości przypadków, przed zabraniem się do pracy z nożem, woli poczekać, aż umrą. Lubi sztukę dysekcji, ostrożne wyjmowanie organów, zrywanie skóry. Resztę pozostawia swojej kolonii.

Oczyścił i naoliwił narzędzia i wypuścił chrząszcze skórnikowate, mopem umył podłogę pokoju preparatorskiego, po schodach wyszedł z piwnicy domu ojca i zamknął za sobą drzwi na klucz. Wróci za kilka godzin, kiedy chrząszcze skończą upiorny striptiz, usuwając mięso z delikatnych kości. Teraz wącha swoją prążkowaną marynarkę. Przyłgął do niej zapach martwego ciała.

Na górze otula go cisza. Zamyka oczy i bierze głęboki oddech. Tam właśnie jest jego miejsce. Wśród kości z kolekcji jego rodziny. W Ossuarium.

W skarbcu niezwykłości, przekazywanym przez niezliczone pokolenia. Powstałym za sprawą sojuszu hieny cementarnej i królewskiego chirurga, gromadzonym przez męską linię rodziny, jego rodziny – i wystawionym tutaj, w tym domu.

Przemierza pokoje. Nie ma w nich mebli, nie ma rodzinnych fotografii. Tam, gdzie kiedyś mieściła się kuchnia, teraz w małej szklanej szkatułce leży rozbita ludzka czaszka. Obok, pokryte bliznami, kostne szczątki syfilityka. W wyłożonym drewnem przedpokoju, w przeszklonych gablotach połyskują kości. Zna ich sekrety i to go ekscytuje. Jednak to za

mało. Teraz za mało.

Zerka na zegarek. Zamarudził i będzie musiał jechać szybko ulicami śliskimi od deszczu.

Zastanawia się, co tym razem będzie miał dla niego pan B., przedsiębiorca pogrzebowy. Maca się po brązowej kopercie w kieszeni na piersi. Przyjmuje większość darów pana B., ale nie bierze ofiar wypadków samochodowych. Ani skoczków. Za dużo bałaganu. Za dużo uszkodzeń. Czasem znajduje w ich ciałach coś, co ma jakąś wartość, co można sprzedać. Może skórę, może jakiś organ. Zawsze znajdzie się ktoś, kto zapłaci. Jednak nie zawsze jest to warte jego czasu. Za dużo wysiłku i za mało korzyści, jak powiedziałby ojciec.

Bo tak jak żywych, kupować można martwych.

Wchłania go dom i jego cienie. Stoi w holu, u stóp schodów i wpatruje się w szkielet chłopca, zamkniętego w podwójnym więzieniu kości i szkła.

Myśli o drugim takim chłopcu i przeszywa go dreszcz rysujących się możliwości.

„Frith”. To nazwisko brzmi przecież jak „freed”, uwolniony. Uśmiecha się, rozbawiony tą ironią. Nazwisko przesuwa mu się po języku. To na pewno nie przypadek.

W ciszy domu powietrze wibruje szlochem tak cichym, aż zastanawia się, czy sobie go nie wyobraził. Obsesyjnym ruchem chwyta za cienki srebrny łańcuszek na szyi. Zamocowany na nim wisiołek, osobliwość odziedziczona po ojcu, wydaje się ciepły w dotyku, ciężki od krwawej przeszłości.

Zamyka oczy, łapie wisiołek między kciuk i palec wskazujący. Ciemność otula go jak kochanka. Te wszystkie cienie przypominają mu o ojcu, o nauce z młodości.

Szturchają go wspomnienia, zabierają go do niego, do czasów, gdy sam miał osiem lat. Pogarda na twarzy ojca, ciężar ojcowskiej dłoni na ramieniu, smak porażki w ustach.

– To łatwe – mówił mu Marshall. – Wyobraź sobie, że zaciągasz zasłonę, opuszczasz żaluzje. Stajesz się częścią scenerii, tak jakbyś był tam od zawsze. Tak po prostu.

Zacisnął powieki, starając się zrobić to, co polecił ojciec. Jednak nie potrafił zniknąć.

– Patrz na mnie.

Marshall stał na ruchliwej, głównej ulicy, jego twarz miała obojętny wyraz.

Kobiety dźwigały skrzynie przejrzałych owoców, przekupnie przekrzykiwali się, lawirując między straganami. Marshall wtopił się w sobotni tłum i już tylko od czasu do czasu dostrzegał gdzieś mignięcia ojcowskiej marynarki. A kiedy sprzedawcy wrócili do swych zajęć, okazało się, że Marshall ukradł im wypchane banknotami pasy na pieniądze.

Później, tego samego dnia, poszli do sklepu tytoniowego. Marshall odwrócił się w stronę syna i uśmiechnął szeroko. Nad kasą migotała fluorescencyjna lampka. Ojciec wszedł do sklepu, wziął sobie paczkę Will Embassy i butelkę szkockiej. Kiedy wracali do domu, wypuszczał kółka dymu.

– To łatwe – powtórzył.

Jednak uzyskanie takich samych umiejętności, jakie miał ojciec i jego przodkowie, zajęło mu całe lata. Teraz umiał już przesuwać pokrętko znikania i wtapiać się w tłum, kroczyć

niezauważony przez ciemne krawędzie życia. Nie jak ktoś z innego świata, nie jak duch. Po prostu było to coś, co potrafił, jak inni potrafili na zawołanie zrobić rozbieżnego zeza albo posługiwać się lewą ręką równie zręcznie jak prawą.

Spóźni się do pana B., ale to nie problem. Panu B. można ufać, że będzie miał oczy szeroko otwarte, a usta zamknięte na kłódkę. Pan B. rozumie jego potrzeby. Nazywa go „kolekcjonerem dziwnych kości”. Kolekcjoner Kości. Podoba mu się to.

Pan B. wyznaje nieskomplikowaną filozofię. Jeśli jakaś rodzina jest przekonana, że wewnątrz trumny leży jej bliski, po co wyprowadzać ją z błędu? Tutaj chodzi wyłącznie o prostą matematykę. Ciężar przeciętnego ludzkiego ciała jest równy mniej więcej ciężarowi dwóch dużych płyt chodnikowych.

Owszem, zazwyczaj przed rozpoczęciem pracy z nożem, woli poczekać, aż umrą. Ale czasem nie potrafi się oprzeć. Czasem nie umie zmusić się do czekania.

Na przykład ta dziewczynka. Taka obiecująca. W okazy takim jak ona tyle do podziwiania, tyle do odkrycia. Pragnie eksperymentować, zrywać warstwy jej skóry i spoglądać na kości. Ukazać eksponat, który wciąż się porusza i oddycha.

Trafia pod drzwi, nasłuchując jej dziecięcej mamrotaniny. Raz czy dwa pozwolił sobie poprawić okrywającą ją pościel, kiedy spała.

Przypomina mu, kim mógłby być w innym życiu.

Ale oczywiście z tym wiąże się ryzyko. Zawsze się wiąże ryzyko.

Pytanie brzmi: trzymać przy życiu, czy zabić?

Ciało czy kość?

NIEDZIELA

12

Godzina 4.00

Twarz dziecka była czerwona i wykrzywiona, płakało, wydając bezustanne „ł-ł-ł”, które unosiło się ponad lepką podłogą oddziału położniczego, lokując w samym centrum środkowego płata skroniowego i kory okołoczdolowej.

Nie wiedząc o nagłym wzroście aktywności swojego mózgu, dokładnie jedną setną milisekundy po tym, jak pierwsze kwilenie dotarło do uszu, wyciągnęła dłoń, aby poruszyć szpitalną kołyską. Oczy miała wciąż zamknięte, próbując trzymać się ostatnich pozostałości snu. To nic nie dało, biologicznie była zaprogramowana tak, aby od razu reagować na płacz siedemnastogodzinnego syna.

– Wszystko dobrze – wyszeptwała. – Już dobrze.

Brzuch miała miękki po porodzie i obolały po cesarskim cięciu, na pościeli widniała plama krwi. Piersi wysunęły się jej z rozpiętej koszuli nocnej, a na czubku sutka nagromadziła się kropla siary. Twarz była pusta ze zmęczenia. Nie przejmowała się tym. Czuła się przepełniona miłością.

Dwa łóżka dalej, zza zasuniętych zasłon uniosło się kolejne kwilenie, coraz głośniejsze i intensywniejsze. Dołączyło się następne dziecko, potem jeszcze jedno, aż kakofonia płaczących niemowląt zmusiła pielęgniarkę z nocnej zmiany do przerywania flirtu z lekarzem dyżurnym i ułożenia całego swojego oddziału z powrotem do snu.

Matka – Nina Harper – jeszcze raz przeczytała wiadomość na małej, prostokątnej kartce, którą wręczono jej dzisiaj wraz z błyszczącym balonem ozdobionym napisem: CHŁOPIEC!

„Gratulacje! Jest wspaniały! Pozdrówka, Etta, buziaki”.

Nie wspominała o tym Patrickowi, ale martwiła się o starszą siostrę. Była taka zapracowana, taka pochłonięta robieniem kariery. Nina rozumiała to, jednak czasem

obawiała się, że praca ją połknie, tak jak połknęła ich ojca. A co do Davida, dostrzegła coś, czego nie dostrzegła Etta. Ale jak jej miała wytłumaczyć, że mężczyzna, którego wybrała, aby ułożyć sobie życie na nowo, był uwiedziony promocją, nie prokreacją. Że spojrzenie na świat u Etty często zasłaniało jej potrzeby innych.

Etta przyczłapała na oddział położniczy późnym popołudniem, dźwigając przesadnie wielkiego pluszowego słonia.

– Dzięki, siostrze. Świetnie będzie pasować do naszej malutkiej sypialenki, połączonej z pokojem dziecięcym.

Uśmiechnęła się, aby złagodzić sarkazm.

Etta pomachała jej beztrosko.

– To egzemplarz kolekcjonerski.

Nina pomyślała, że siostra żartuje, ale później, kiedy po wyjściu Etty przejrzała Internet, zdumiała ją cena pluszaka. Starła się nie myśleć o tym, że za tę sumę mogłaby sobie kupić nowoczesny wózek dla dziecka, a nie korzystać z używanego, pożyczonego od przyjaciółki.

Przywiązała balonik do łóżeczka Maxa, a potem uniosła syna.

– Chcesz go potrzymać?

Twarcą Etty na chwilę zmieniła wyraz. Pomachała Ninie komórką.

– Lepiej nie. Czekam na telefon i może się zdarzyć, że będę musiała zaraz pędzić. – Pochyliła głowę, odświeżając wyświetlacz aparatu. – W ogóle nie powinnam tutaj być. Szef myśli, że jestem w domu podejrzanego.

Ta wymówka była szyta grubymi nićmi, ale Nina nie drażyła tematu. Pewnie siostra miała swoje powody, chociaż odtrącenie jej syna zakłuło w sposób, którego się nie spodziewała.

Zamiast tego poprowadziła jego usteczka do swojego sutka, ignorując naciągnięcie blizny. „Nie dźwigaj niczego cięższego od swojego dziecka”. Poczula spojrzenie siostry i oderwała wzrok od jego doskonałych rysów, aby uśmiechnąć się do niej ze szczerą radością, ale oczy Etty spojrzały gdzieś w bok.

– To taki głodny maluch – powiedziała. – Jeżeli dalej taki będzie, wyssie mnie do cna.

Etta odgarnęła włosy do tyłu. Szuranie jej nóg zwróciło uwagę przechodzącej obok pielęgniarki.

– Muszę już lecieć – oznajmiła.

– Przecież dopiero co przyszaś. – Nina poprawiła się na poduszkach. – Nie słyszałam, żeby telefon dzwonił.

– Dostałam esemesa.

Etta musnęła ustami pokrytą meksykańską głowę siostrzeńca i uściśnęła siostrze rękę.

– Będiesz wspianą mamą – powiedziała, i już jej nie było.

Nina przetarta oczy, ziewnęła. Powietrze było gęste od zapachu mleka i smółki.

Sprzątaczy pracujący na nocnej zmianie przeszedł obok jej łóżka, przesuwając starym mopem po winylowej podłodze, wtykając go pod żelazne ramy łóżka, szafki i krzesła dla

odwiedzających. Nina wstrzymała oddech, modląc się, aby nie potrącił plastikowego łożeczka i nie zbudził jej syna. W typowy dla dzieci sposób Max ponownie spał już znowu, a jego małe rączki zacisnęły się w pięstki po obu stronach głowy.

Oddział pogrzył się w coś na kształt cichego odurzenia. Nina zdrzemnęła się, od czasu do czasu otwierając oczy, aby napawać się nowością swojego syna.

Mijały minuty. Delikatny szczęk ceramiki sugerował, że zbliża się już pora śniadania. Wkrótce pierwsze młode matki wygrzebią się ze swojej brudnej pościeli w poszukiwaniu pokarmu.

W całym mieście świt ścierał pozostałości kolejnej nocy, a mieszkańcy ruszali, by zająć się własnymi sprawami.

Sprzątacze opłukał wiadro i mopą, następnie wpełznął je do szafki. Zdjął kombinezon i wziął okrycie wierzchnie.

Doktor Hassan osuszył ręce, zasunął zamek kurtki i pomyślał, jak uśmiechała się do niego ta nowa pielęgniarka i o tym, jak rzadko uśmiecha się jego żona.

Fitzroy, która już drugą noc spędzała w centrum operacyjnym, przyglądała się ognisku pomarańczowemu słońcu, malującemu właśnie niebo. Pomyślała o zapachu swojego siostrzeńca, zastanawiając się, kto ukrywa Clare Foyle.

Lilith i Erdman przyrządzili śniadanie, nie rozmawiając ze sobą.

Miles Foyle obudził się o świcie, nasłuchując zdradzieckiego szurnięcia niedzielnej dodatku gazety na swojej wycieraczce.

A przez cały dzień Amy Foyle czekała na wiadomości. Czekala. Czekala. I czekała.

PONIEDZIAŁEK

13

Godzina 9.54

Redakcja trzysta osiemdziesiątego siódmego pod względem sprzedawalności czasopisma w kraju była dosyć adekwatnie umiejscowiona w ponurym, dawnym magazynie przy Borough High Street.

Odwiedzający ten niepozorny budynek mogli skrócić w prawo, przy siedzibie The Domination Station, internetowej firmy sprzedającej zabawki erotyczne o ekscytujących nazwach, takich jak Zamocz Kaczora, albo powędrować na górę i *Wnieść w swoje życie odrobinę magii* wraz z „Tygodnikiem Wróżbiarskim”.

Różowopurpurowy tandetny szyld wiszący ponad drzwiami sprawiał, że Erdmanowi za każdym razem, gdy przychodził do pracy, wrywało się parsknięcie. Nieliczni, wierni czytelnicy „Tygodnika Wróżbiarskiego” mogli się nabierać na takie bzdety, ale on nie potrafił brać tego poważnie, zwłaszcza że sam należał do grona tworzącego większość z nich.

Zjawił się zdecydowanie bardzo spóźniony. Zwykle nie było problemu, ale nowy, przebojowy redaktor naczelny, Daniel Jarvis, patrzył na zegarek takim samym wzrokiem, jak żarłok patrzy na hamburgera.

– Spokojnie, jest na spotkaniu z wydawcą – zawołała Gotka Amber.

O kurwa, jak dobrze.

Amber odsunęła jakieś papiery i plasnęła obfitym tyłkiem na skraj biurka Erdmana. Jej farbowane włosy wyglądały jak włosy lalki Barbie, pomimo wczesnej pory mocny czarny makijaż miała już rozmazany. W nieco krzywym nosie nosiła kolczyk w kształcie czaszki.

– Nie ma co narzekać. Chcesz herbaty? – Jej nosowy, manchesterski akcent zawsze był wyraźniejszy, kiedy miała kaca. Wskazała na opatrunek na jego dłoni.

– Co sobie zrobiłeś w palec?

- Miałem starcie z nożem kuchennym.
- Samookaleczenie?
- Nie, łożkowe zabawy wymknęły się spod kontroli.

Z brzucha Amber zadudnił śmiech.

- Jasne. Powinnam się domyślić.

Erdman włączył komputer i rozejrzał się po biurze. Tapeta wydała mu się jeszcze bardziej odrapana niż dotychczas. Musi się jakoś wyrwać z tego ślepego zaułka.

Od dawna marzył o napisaniu książki. Tyle że wciąż się do tego nie zabrał. Planował, że opisze w niej swoje doświadczenia jako dziennikarza „National Geographic” albo „Paris Match”. Ale za zbieranie tych doświadczeń również się nie zabrał.

Kiedy w piątkową noc wrócił wreszcie ze szpitala, przemoczony, z bolącym palcem i rozpaczliwie spragniony piwa, zastał Lilith w komórce, trzymającą worek na śmieci.

– Naprawdę tego potrzebujemy? – zapytała, wskazując stosy archiwalnych magazynów w doskonałym stanie, które w pocie czoła upolował w Internecie albo kupił w swoim ulubionym sklepie, Vintage Magazine Shop przy Brewer Street.

Chwycił jeden z nich i pomachał w stronę żony. Czarne tło, a na środku okładki czarno-biały rysunek. *Mort de Kennedy*. Kolekcjonerski rarytas.

- To kolekcjonerski rarytas.
- Nie, to tylko stary egzemplarz „Paris Matcha”, zajmujący cenne miejsce.
- Wiesz co? – odparł. – Upchnę to na poddaszu.

Po godzinie czasopisma były już starannie zapakowane do pudełek, czekając na obfotografowanie i wystawienie na eBayu. Najwyraźniej na poddaszu zabrakło miejsca.

Do tej pory zasadniczo dostał parę szans na danie swojej karierze kopa. Redaktor działu wiadomości z jego pierwszej gazety, Russell Shoesmith, zaczął pracę w „Daily Mirror” i zaprosił go, żeby przychodził tam na dyżury. Erdman jednak nie chciał spędzać weekendów jako chłopiec na posyłki jakiegoś nadętego pismaka, i to po całym tygodniu pracy. Zresztą płaca była gówniana. Na własnych dyżurach albo spał, albo grał na komputerze. Potem spotkał Lilith. Teraz Russell był szefem serwisu w „Sunday Time”, a Erdman publicystą w „Tygodniku Wróżbiarskim”.

Amber uniosła wzrok znad komputera. Twarz miała wymęczoną, głowę przechyliła na bok.

- Erd – zawołała przez biuro. – Czy wszystkie anioły mają skrzydła?

Prawie wypluł herbatę. Wydawało się, że Amber sugeruje, że anioły naprawdę istnieją. To byłoby jak wiara we Wróżkę Zębuzkę. Albo w duchy.

Zanim zdołał cokolwiek odpowiedzieć, na klatce schodowej rozbrzmiał znajomy głos. Erdman szybko zaczął wystukiwać jednym palcem: „Jednorożec to fizyczna reprezentacja Opatrzności. Jego zjawienie się często obwieszczał dźwięk brzęczących dzwoneczków. To inkarnacja czystości, z mocą obdarzania mądrością tych, którzy mają tyle szczęścia, aby

jakiegoś zobaczyć”.

– Dzieeeeeeeeeeeeeeeń doooooooooobryyyyyy, „Tygodniku Wróżbiarski!” – huknął Jarvis, z przylizanymi do tyłu włosami i w modnych okularach. Erdman wąpił, aby kiedykolwiek chociaż przez chwilę zastanawiał się nad tytułem nominowanego do Oscara filmu o wojnie w Wietnamie.

Daniel Jarvis był tym wszystkim, czym nie był Erdman. Mając zaledwie dwadzieścia sześć lat awansował z publicysty w magazynie dla mężczyzn na pierwsze stanowisko redaktorskie. Erdman pomyślał ponuro, że jego szef jeździ sobie z miejsca na miejsce, a on wciąż tkwi na przystanku autobusowym.

– Dobra. – Daniel zataił dłonie. – Zakładam, że każdy ma już gotowe te materiały, tak jak poleciłem w zeszłym tygodniu. Jutro termin, ludziska.

Kurwa jego jebana mać.

– Co oznacza – uśmiechnął się szeroko szef do zespołu – że już czas podyskutować o numerze bożonarodzeniowym. I to najwyższy. Mamy naprawdę duże opóźnienie. Zrobimy w piątkę kolegium redakcyjne.

Kurwa jego jebana mać razy dwa.

Erdman kliknął na folder „Pomysły świąteczne” na pulpicie komputera. Był pusty. Przeszperał mózg, też był pusty. Szykował się, że znowu dostanie wpierdol.

Daniel Jarvis siedział u szczytu stołu, siorbiąc kawę i wertując papiery. Erdman przyglądał mu się, jak mierzy wzrokiem swój niedawno odziedziczony zespół. Jarvis spojrzał na farbowane czarne włosy i workowatą sukienkę Amber, a jego wargi wydeły się z lekceważeniem, wzgarda była niemal wyczuwalna. Potem wzrok naczelnego przemknął do Elodie, młodej praktykantki i zaraz padł na rowek między jej piersiami.

W pierwszy poranek urzędowania Jarvisa, kiedy Erdman czekał pod jego gabinetem na to, co nowy szef nazywał sesją „Poznajmy się” – zespół przerobił to na „Posrajmy się” – podsłuchał Davida, jak rozmawia przez telefon.

– No, to jest prawdziwa banda frajerów – oznajmił Jarvis. Potem nastąpiła pauza, kiedy mówiła jakaś druga osoba, a potem naczelny zarechotał głośno.

– Zamkną to, jeśli nie zaczniesz na siebie zarabiać. Mogę się założyć, że nie przepowiedział im tego żaden ich wróżbita.

Jarvis nie wspominał już więcej o redukcji etatów, rozwój sytuacji był jednak niepokojący.

– Mój wierny zespole Hemingwayów – oznajmił, rechocząc z dumy ze swojej błyskotliwości. – Teraz ja tu rządę, nie ma opierdzielania się. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego cholernego bałaganu. Mamy prawie trzy tygodnie opóźnienia względem harmonogramu, więc od teraz do roboty. Dobra, jakieś wspaniałe pomysły do naszego świątecznego wydania?

Zapadła niezręczna cisza, kiedy trzy pary oczu zerknęły do notatników.

– Może powinniśmy wprowadzić dział: *Ho ho, holistyka?* – zasugerowała w końcu Amber. – Mnóstwo informacji o tym, jak terapie holistyczne pomagają uporać się z traumą Bożego Narodzenia.

Daniel pokiwał głową.

– Podoba mi się. Następny.

Potem nastąpiła nieśmiała sugestia Elodie:

– A co z czymś takim: *Sny się spełniają?* Możemy poprosić naszych czytelników, aby przysłali nam najlepsze przykłady tego, jak jakiś ich sen spełnił się w rzeczywistości.

– Nieźle. Niech przysła też swoje zdjęcia.

Elodie uśmiechnęła się z zaciśniętymi wargami i nabazgrolila coś w notatniku. Cisza w pokoju zdawała się narastać i kwitnąć. Daniel przyszpilił Erdmana wzrokiem.

– A co u ciebie, Nerdman?

– Pomyślałem, eee, że możemy zrobić coś o symbolach Bożego Narodzenia, o tym co znaczą, na przykład liść ostrokrzewu albo świeczka.

– Do dupy. Mieliliśmy to w zeszłym roku. Naprawdę myślałeś, że nie będzie mi się chciało sprawdzić? – Potrząsnął głową. – Coś jeszcze?

– Hm, a co z...

Jarvis nie czekał, aż Erdman skończy.

– Chcę mieć artykuł o mistycznych właściwościach granatu. I zrób to dobrze. Przypomnij czytelnikom, że to właśnie jest bożonarodzeniowy owoc, a nie jakaś pieprzona satsuma.

W Banku Erdman zamówił orzeźwiający kufel popołudniowego piwka i do tego whisky Laphroaig, żeby się znieczulić.

Pub Pod Drzewkiem Pomarańczowym – jak oficjalnie nazywał się Bank – cuchnął płynem do czyszczenia toalet i stęchłym piwem. Dawno temu Erdman wymyślił sobie sprytną wymówkę, gdy będzie chciał się urwać. „Tylko wyskoczę do banku”, mówił szefowi i dokładnie rzecz ujmując, nie kłamał... Jedynie używał nieoficjalnej nazwy knajpy.

Przy stoliku, nad menu, oprócz Erdmana, Amber i Elodie przycupnęła jeszcze Axel, jego przyjaciel i kolega po fachu.

– Wszystko gra? – zapytał Erdman, unosząc ku niemu dwie szklanki. Rozejrzał się po pubie. – Gdzie jest Jarvis?

– Na kawie, w Borough Market. – Axel obliznął pianę z ust. – To prawda, że ten kutas powiedział do ciebie „Nerdman”?

Erdman zmrużył oczy i zmienił temat.

– Gdzie byłeś dzisiaj rano?

Axel zrobił przebiegłą minę.

– Zajmowałem się trochę tym, trochę tamtym..

Kiedy przyszła pora na kolejkę Axela, Erdman zaproponował, że pomoże mu nieść drinki. Gdy szli do baru, Axel potrącił ramieniem jakiegoś chudego faceta w prążkowanym garniturze, który, z kolei, wpadł na Erdmana.

– Przepraszam – mruknął Axel.

Facet uniósł dłoń na znak, że wszystko w porządku, palce miał rozczapierzone jak patyki. Potem zniknął w męskiej toalecie.

– Tak naprawdę, to mam mnóstwo wieści – powiedział Axel.

Erdman ostrożnie odstawił pustą szklankę. Kiedy ktoś mówił coś takiego, oznaczało to jedną z dwóch rzeczy. Albo będzie miał dziecko, albo dostał nową pracę. Axel był singlem, więc już się domyślał, o co chodzi.

– Gdzie się przenosisz?

Jego przyjaciel promieniał.

– Do Los Angeles. Do kolorowego magazynu. Uwierzysz? Super, prawda?

– No, super.

Słuchanie paplaniny Axela o tym, gdzie będzie mieszkał i jakie laski zamierza poznać, było prawie tak samo nieprzyjemne jak poranne kolegium redakcyjne.

Piętnaście minut później Erdman oznajmił kolegom, że źle się poczuł i wraca do domu, żeby się położyć.

14

Godzina 14.17

Jakey odwrócił wzrok, żeby nie musieć patrzeć na ściany swojej klasy i na nigdy niezmieniane firanki. To była sala, w której ćwiczył fonemy, gdzie jadł lunch i spędzał każdą długą przerwę, od kiedy zaczął naukę w pierwszej klasie szkoły podstawowej South Side.

Słyszał dochodzące z zewnątrz okrzyki kolegów, piski dzieci grających w piłkę, berka albo klasy.

Mógł sobie codziennie wybrać jedną osobę, żeby z nim została i bawiła się samochodami albo lego. Dzisiaj wybrał Joshuę Carruthersa. Joshua zmarszczył nos i powiedział: „Ale, pani Haines, ja obiecałem, że się będę bawił z Samuelem”. Nauczycielka jednak pokręciła tylko głową i odparła, że nie, ma zostać z Jakeyem.

To nie było tak, że Jakey nie miał żadnych kolegów. Był dzieckiem towarzyskim,

lubianym, ale pokusa świeżego powietrza i możliwości do biegania stanowiła jednak coś, czego mali chłopcy nie potrafili zignorować.

Zjedli popołudniową przekąskę, a pani Husselbee, jego opiekunka powiedziała, że musi pójść do toalety. Joshua tęsknie wyjrzał za okno.

– Ja też pójde do toalety – oznajmił.

I nie wracał.

Jakey położył autko na stole, nakręcił je i wypuścił. Wyskoczyło poza blat, uderzyło o dywan. Na nogawce spodni dostrzegł plamę z zaschniętych płatków Ready Brek. Z korytarza dobiegł niski pomruk męskich głosów. Starał się ignorować ból ramienia i coraz mocniejszy ból w piersiach. Pokuśtykał do okna, spojrzał na plac zabaw i boisko za nim.

Nie zastanawiając się, otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Mijały go rozhasane dzieci, krzycząc jedno do drugiego i biegając, biegając, biegając wszędzie. Jedno z nich, znacznie większy chłopiec, prawie na niego wpadł, ale gwałtownie skręcił w ostatniej chwili, frędzle jego szalika musnęły Jakeyowi twarz. Grupa dziewczyn z drugiej klasy wrzeszczała, żeby zszedł im z drogi, bo przeszkadza biegać.

Jakeyowi nie było wolno wychodzić na plac zabaw. Matka mówiła, że tam wszędzie czają się niebezpieczeństwa. Ktoś mógł go przewrócić i wtedy złamałby sobie rękę. Albo mógł się potknąć i rozbić kolano. Albo – i to był powód, którego matka nigdy nie powiedziała na głos – nikt nie będzie chciał się bawić z biednym chłopczykiem, który nie może ani biegać, ani skakać. I dlatego musiał pozostawać w budynku, z panią Husselbee. Nawet jeśli w szkole, z jej centralnym ogrzewaniem i nadopiekuńczym personelem, bywało mu czasem tak duszno, że aż nie mógł oddychać.

Listopadowe powietrze owiało mu policzki, zadygotał, nagle uświadamiając sobie, że zapomniał o kurtce.

Powinien już wracać. Za kilka chwil pani Husselbee zobaczy puste krzesło, a potem zacznie go szukać. Nie chciał jednak siedzieć w dusznej sali. Chciał być taki jak inni.

Powoli szedł wzdłuż krawędzi betonowego prostokąta, będącego placem zabaw podstawówki South Side i zmierzał w stronę przylegającego do niego boiska.

Kilku chłopców grało w piłkę, ich sylwetki na tle szarego zimowego nieba wyglądały jak naszkicowane z pojedynczych kresek. Przyglądał im się chwilę, zadziwiony łatwością, z jaką biegali, robili uniki, kontrolowali piłkę z obcą mu płynnością.

Chwiejnym krokiem zbliżył się jeszcze trochę.

Pod szkołą jakiś mężczyzna przyglądał się temu niepewnemu marszowi w stronę ogrodzenia, które zatrzymywało dzieci i powstrzymywało obcych.

Mężczyzna zapiął prążkowaną marynarkę.

Jakey nie zwracał uwagi na to, że buty toną mu w błocie, nie słyszał również dalekiego dzwonka, sygnalizującego koniec przerwy. Nie dbał też o to, jak bardzo bołą go ramiona albo że oddycha ciężko, rzeżącymi haustami. Oparł twarz o chłodną siatkę z

galwanizowanego drutu i liczył przejeżdżające samochody.

Jego uwagę przykuł ruch po drugiej stronie ogrodzenia. Przez ulicę przechodził jakiś mężczyzna. Miał na sobie ciemny garnitur i kapelusz. Dostrzegł Jakeya, wyglądającego przez romby oczek siatki.

– Cześć – powiedział.

– Hej – wymamrotał Jakey.

– Nie grasz w piłkę?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Nieważne, za to możesz ze mną porozmawiać.

Jakey spojrział w czarne oczy mężczyzny. Powinien już wracać. Zadrżał.

– Na tę porę roku króliczkom rośnie specjalne zimowe futerko. – Wskazał bluzę Jakeya. – Wydaje mi się, że coś takiego by ci się teraz przydało.

Jakey zastanowił się przez chwilę.

– Byłoby fajnie.

– Lubisz króliczki? – zapytał mężczyzna.

Jakey nie bardzo mógł poruszyć szyją, ale mimo wszystko spróbował przytaknąć.

– T-tak – powiedział. – Ale najbardziej lubię psy.

– Mam psa, sukę, została w domu. Chcesz pójść ze mną i zobaczyć ją?

– Nie wolno mi wychodzić ze szkoły.

– Myślałem, że lubisz psy.

– Lubię.

Mężczyzna wzruszył ramionami

– Wcale na to nie wygląda.

– Nie mogę. Będę miał kłopoty.

– Na pewno możesz, jeśli się postarasz.

Jakey chciał dostać psa na urodziny. Psem nie przeszkadza, że masz stale przekrzywioną głowę. Gdy po otwarciu prezentów znalazł mechanicznego szczeniaka, płakał przez dwie godziny. Potem płakała też jego matka.

Powinien już wracać do klasy, chociaż ten pan się do niego uśmiechał, a wokół oczu miał zmarszczki, trochę jak tata.

Gdyby był tutaj jego ojciec, tak jak wszyscy inni tatusiowie, którzy dotrzymywali obietnicy, kazałby mu zakończyć rozmowę i wracać do szkoły.

Jakey postanowił więc zrobić coś odwrotnego.

– Zobaczę, czy furтка jest otwarta – powiedział. – Czasem, kiedy panna Haines coś mi czyta, to widzę, że trzecioklasiści chodzą tamtędy na wuef.

– Zuch chłopak!

Jakey nie wiedział, co oznaczają te słowa, ale skoro mężczyzna nadal się uśmiechał, to pewnie coś dobrego.

– Jeżeli nie jest otwarta, to jutro o tej samej porze?

Uśmiechnął się nieśmiało w odpowiedzi i po prostu odwrócił, aby wracać przez boisko, gdy zobaczył biegnącą ku niemu panią Husselbee. Za nią łopotał pasek od płaszcza.

– Jakey! Gdzie ty byłeś? Wszędzie cię szukałam! Nie wolno ci wychodzić z klasy i nie mówić mi o tym.

– Ja byłem tylko... – odwrócił się z powrotem w stronę ogrodzenia, aby pokazać pani Husselbee z kim rozmawiał, pan w garniturze jednak już odszedł.

15

Godzina 17.11

Kiedy Erdman oznajmił, że wraca do domu, żeby się położyć, tak naprawdę wcale nie kłamał. Wybierał się do domu, jednak po malutkim zejściu z trasy.

Sześć kufla piwa i jedną partię bilardu później przeszedł chwiejnym krokiem przez miejsce po dawnym cmentarzu Cross Bones w stronę stacji metra London Bridge. Nie był pewien, czy kręci mu się w głowie od piwa, czy przez trwające właśnie godziny szczytu.

Jak to powiedział Samuel Johnson? „Kiedy człowiek jest zmęczony Londynem, to jest zmęczony życiem”. Co za brednie. Samuel Johnson nigdy nie musiał zapierdalać kolejką o siedemnastej szesnaście do Lewisham.

Erdman, walcząc by zachować równowagę, zatoczył się na skraj peronu, szukając w zatłoczonych wagonach akurat tyle miejsca, by jakoś się wcisnąć. Wracający z pracy walili w okna i krzyczeli na pasażerów, żeby się przesunęli. Erdman wołał podejść cicho, a potem utorować sobie drogę łokciami na chwilę, dwie, przed zamknięciem drzwi, zmuszając ludzką masę, aby go wchłonęła.

Przycisnął twarz do chłodnej szyby drzwi i zamknął oczy. Kiedy je otworzył, z drugiej strony wagonu spoglądał na niego człowiek o nieruchomej twarzy, w prążkowanym garniturze i z bezkształtną torbą u nóg. I co się gapisz, dziwaku? Jednak nie odważył się powiedzieć tego na głos. Alkohol uczynił go śmielszym, ale nie miał ochoty na bójkę, nieważne, jak bardzo czuł się wkurzony. Synapsy podrażnił dreszczyk związany z tym, że coś sobie przypominał w związku z tym facetem, szybko jednak zmyła go fala zawrotów głowy, gdy pociąg potoczył się w stronę domu. Znowu zamknął oczy. Axel, fartowny sukinsyn. To wszystko jego wina.

Kiedy ponownie zmusił się, aby otworzyć oczy, zamiast tamtego mężczyzny zobaczył

jakąs czarną kobietę czytającą gazetę. Jej kolorowe dredy częściowo zasłaniały nagłówek, ale widać było akurat tyle, żeby Erdman rozpoznał na dużym zdjęciu na pierwszej stronie matkę tamtej zaginionej dziewczynki, Clary jakiejś tam. Pielgrzymowała do sklepu ze słodyczami, gdzie po raz ostatni widziano jej córkę, twarz miała wykrzywioną cierpieniem.

Po wyjściu z kolejki Erdman, zataczając się, przebył krótki dystans ze stacji Lewisham pod swój dom, ale nie zdążył na czas i znowu musiał wysikać się pod murkiem. Wylał dłonie o spodnie, poklepał się po kieszeni. Lepiej na nowo włączy komórkę. Głośno zapiszczała, skrzywił się na ten dźwięk. Trzy wiadomości. Pewnie Axel albo Amber. Przeczyta, jak wejdzie do domu.

O zmroku przerobione na domy mieszkalne wiktoriańskie magazyny przy jego ulicy piętrzyły się niczym skrzynie. Chciało mu się rzygać i czuł się paskudnie, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu kluczy. Dopiero za trzecim razem zdołał trafić do zamka.

Lilith oglądała konferencję prasową, transmitowaną w wieczornych wiadomościach. Ledwie dawało się zrozumieć, co mówi pani Foyle. Rozpacz pokrywała jej twarz niczym makijaż. Pan Foyle był jakiś skurczony i poszarzały, wysuszony smutkiem.

– Proszę, jeśli macie jakiegokolwiek informacje, skontaktujcie się z policją – wydukała pani Foyle, kontury twarzy miała rozmyte od cierpienia.

Jej mąż zachowywał większy spokój, lecz zdradzały go oczy, puste otchłanie desperacji.

– Claro, jeśli nas oglądasz, pamiętaj, że mamusia i tatuś bardzo cię kochają. – Pan Foyle spoglądał prosto w kamerę. – Proszę, po prostu sprowadźcie nasze maleństwo do domu.

Erdman nie był aż tak pijany, żeby nie wyczuć panującej w domu napiętej atmosfery. Lilith stała odwrócona do niego plecami, ze spojrzeniem przylepionym do ekranu i rękami na zlewie. Jakey siedział przy stole, przesuwając po talerzu zapiekanek z kurczakiem, jego uwagę przykuła policjantka, opisująca podejrzanego, którego widziano, jak odprowadzał Clare.

– I jak tam, mistrzu? Boli cię ręka? – Erdman delikatnie dotknął zeszywniałej kończyny syna, lecz Jakey odsunął się gwałtownie.

– Tatusiu, nie przyszedłeś. – W dużych brązowych oczach chłopca było oskarżenie.

– Przecież jestem, o co chodzi?

Lilith odwróciła się gwałtownie, rozchlapując mydliny.

– Zapomniałeś, prawda?

O czym niby zapomniał? Otumaniony alkoholem mózg szukał odpowiedzi, lecz nie znajdował. Uśmiechnął się głupawo do żony, krzyżującej ręce na piersiach.

– Pięknie wyglądasz.

Nie chwyciła przynęty.

– Miałeś przyjść na „Przyprowadź tatę do szkoły”. Pamiętasz?

Erdman jęknął, blade wspomnienie cisnęło się gdzieś na skraju mózgu.

– Myślałem, że to jutro po południu.

– Próbowaliśmy zadzwonić, ale miałeś wyłączony telefon.

– Bateria była...

– Nie przerywaj. Jakeyowi było przykro. – W spojrzeniu Lilith pojawiły się słowa, których nie ważyła się wypowiedzieć na głos. Nie wiedzieli, jak długo jeszcze ich syn będzie fizycznie w stanie chodzić do szkoły. Już wystarczająco złe było, że nie mógł wychodzić na przerwach na plac zabaw albo ćwiczyć na wuefie i że musiał siedzieć przy specjalnie przystosowanym biurku, albo że inne matki za bardzo się bały, by zapraszać go na podwieczorek. I że potrzeby Jakeya zawsze powinny być najważniejsze. Zawsze. Zawsze. Zawsze.

Otworzył usta, aby coś powiedzieć i zamknął je ponownie. Wślizgnął się na stołek obok syna.

– Cześć kochany. Jutro kupię ci jakąś zabawkę. Co cię rozweseli?

– Erdman, przebaczenia nie da się kupić. Trzeba na nie zasłużyć. Czy nikt cię tego nie nauczył?

– Lilith, nie pomagasz mi. – Rozpostarł ramiona, gotów przytulić syna. Opuścił je, bo Jakey nie zareagował. – Tatusiowi jest naprawdę przykro.

– Tata Joego był fajny – oznajmił chłopiec ponuro. – Przyjechał policyjnym autem. A tata Harry’ego zarabia mnóstwo pieniędzy i kupił nam wszystkim słodycze.

Gliniarz i złodziej. Policjant i prawnik. Erdman poznał ich obu na zebraniu rodziców, na początku semestru. Szukając tematu do rozmowy, zeszedli na temat uniwersalny, czyli piłkę nożną. Tyle że Erdman nigdy jakoś dobrze nie opanował sztuki pogawędki. Miał mnóstwo do powiedzenia na temat wślizgu Messiego albo wymiany Fergiego, ale jakoś nigdy nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Nastąpiły trzy minuty niezręcznej ciszy, potem znaleźli sobie wymówki i rozeszli się.

– Tatusiu, dziwnie pachniesz.

– O Boże, ty jesteś pijany.

Lilith nie odzywała się do niego przez resztę wieczoru.

Kiedyś zakochał się w niej między innymi dlatego, że była taka ostra. Zawsze podziwiał to, jak potrafiła załatwić przeciwnika, teraz jednak Lilith skupiła całą złośliwość na nim. W jakimś weekendowym dodatku czytał kiedyś, że małżeństwa rzadko przetrzymują to, że wkradła się w nie pogarda. Dobra, do ich małżeństwa pogarda się nie wkradła, ona tam włązała z przytupem, w cholernych, wielkich buciorach.

Kiedyś śpiewali razem z radiem albo rozmawiali o wydarzeniach dnia, teraz wpadli w nawyk powarkiwania na siebie niczym ranne zwierzęta. Erdman nie pamiętał, kiedy ostatnio Lilith zarzuciła mu ramiona na szyję i uśmiechnęła tym swoim uśmiechem.

Gdy spotkał ją po raz pierwszy, aż trzeszczała i sypała iskrami od niewidzialnej energii, wciąż się śmiała, ciągle była w ruchu. Teraz rzadko kiedy się do niego odzywała. Wiedział dlaczego, ale wciąż nie wiedział, jak to poprawić, dlatego zwykle nie robił nic. Zupełnie nic.

Oczywiście, jego droga żona położyła się do łóżka, nie mówiąc mu dobranoc. Kiedy zjawił się kilka godzin później, starając się wszystko ułagodzić, już spała, z zaciśniętymi wargami i odrobiną wyciekłej śliny na poduszce.

W dawnych czasach wślizgnąłby się do łóżka obok niej i przytulił, mamrocząc przeprosiny. Mogliby się kochać albo spać na łyżeczkę, niczym dwa kawałki dobrze dopasowanej układanki.

Teraz sypiała w spranej piżamie i nie lubiła, gdy jej przeszkadzano, więc ostrożnie wkradł się w zimną pościel, starając się nie dotknąć żony.

W noce takie jak ta najbardziej za nią tęsknił.

16

Godzina 23.59

Miles Foyle odliczył do dziesięciu i zapukał do drzwi swojej sypialni.

– Kto tam?

– Ja.

– Odejdź!

Chwycił klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz.

– Amy, proszę.

– Powiedziałam, odejdź.

– Chcę porozmawiać.

– Lepiej porozmawiaj sobie z jakąś swoją dziwką.

Stukał w drewno, aż poróżwiały mu kostki. Po kilku minutach usłyszał odgłos otwieranej zasuwki.

– Obudzisz Eleanor, samolubny gnojku.

Próbował złapać ją za rękę, ale mu się wykręciła.

– Proszę. Daj mi szansę się wytłumaczyć.

– Miles, a co tu jest do tłumaczenia? W dzisiejszym „Sun” jakaś prostytutka opowiada całemu światu, że mój mąż pieprzył ją za pieniądze,

– To tylko raz.

– I co?

– Czuję się samotny.

– I co?

Amy usiadła na skraju ich łóżka, nalała sobie wina z butelki na stoliku nocnym. Wypiła duży łyk.

– Ona jest stara, wypacykowana i odrażająca, a ty jej zapłaciłeś, żeby ją pieprzyć. – W jej słowa wplecione było niedowierzanie.

Przyklęknął na podłodze obok łóżka, kolana utonęły w miękkim dywanie. Zobaczył, że żona ma pod nosem skórę podrażnioną od nieustannego płaczu i jej bezbronność sprawiła, że aż zrobiło mu się słabo od wyrzutów sumienia.

– Amy, czułem się samotny. – Głos mu drżał. – Zrobię wszystko, żeby to się już nigdy nie powtórzyło.

– Okłamałeś mnie – powiedziała, nie patrząc na niego. – Przysięgałeś, że nigdy nie uprawiałeś z nimi seksu. – Amy wytarła oczy. – Że tylko lubiłeś rozmawiać.

– Słuchaj, razem przez to wszystko przejdziemy. – teraz i on płakał. – Policja znajdzie Clare i udowodnię ci, jak bardzo cię kocham i znowu będziemy rodziną.

– Ale to nie był pierwszy raz, prawda? Nie po raz pierwszy byłeś oskarżony o coś... – jej głos dało się ledwie słyszeć – o coś nieprzyzwoitego.

Drgnął, jak gdyby zamiast słów posłała mu w twarz pocisk z procy.

– Wycofała oskarżenie – stwierdził. – To było nieporozumienie.

– Miała czternaście lat.

– Była buzującą od hormonów nastolatką, która kompletnie źle odczytała sygnały – westchnął ze zniecierpliwieniem. – Amy, przechodziliśmy już przez to.

– I przejdziemy ponownie.

– Słuchaj, to była praktykantka, która chciała mnie uwieść, a kiedy na to nie zareagowałem, wrobiła mnie.

Amy wlepiała wzrok w dywan.

– To prawda. Nigdy nie zatrzymałem jej wbrew jej woli.

– Nie, prawda jest taka, że jesteś zdradzającym żonę sukinsynem, który płaci dziwkom i nie potrafi utrzymać na uwięzi tego, co ma w spodniach.

– To było tylko raz.

Amy nie odpowiedziała.

Ciche pukanie do drzwi.

– Gina, o co chodzi?

– O Eleanor, pani Foyle. Znowu płacze. Pyta się o panią.

Amy przeszła do drzwi sypialni. Blask lampy odbijał się od jej łez. Gina czekała na półpietrze, miała ma sobie szlafrok mocno zaciśnięty w pasie, spod którego wystawały smukłe nogi.

– Myślę, że znowu śni jej się koszmar. Wołała siostrę.

Amy zatrzymała się i stała w milczeniu. Pochyliła się do niani. Udręczona twarz Giny udzielała już odpowiedzi na pytanie, które Amy szeptała jej teraz do ucha:

– A nie sądzisz, że to wszystko, to twoja wina? Nic by się nie wydarzyło, gdybyś mogła odebrać ze szkoły moją córkę.

WTOREK

17

Godzina 3.04

Erdman, zanim jeszcze otworzył oczy, usłyszał ciche przełykanie śliny. Podciągnął się ponad powierzchnię snu.

– W porządku, mistrzu? – wymamrotał.

Syn nie odpowiadał.

Erdman wygramolił się z łóżka, sięgnął po szlafrok i na wpół ciemnym przedpokojem podreptał do sypialni syna.

Jakey siedział na łóżku, przyciskając posiniaczone ramię do piersi. Oddech miał krótki, urywany. Nocne światła obudziły cienie na ścianach.

– Wszystko mnie boli – powiedział, a po jego buzi przetoczyło się cierpienie.

Erdman z trudem zachowywał spokojny wyraz twarzy.

– Mamusia o tym wie?

– Nie – odparł chłopczyk. – Próbowałem ją wołać, ale się nie obudziła.

Erdman usiadł na łóżku, ciężar jego ciała na materacu sprawił, że Jakey na chwilę się uniósł. Delikatnie odgiął palce syna. Jego „zdrowe” ramię było teraz gorące i napuchnięte, na płaszczyźnie przedramienia tworzył się właśnie guz. Chłopiec zdawał się oddychać z wysiłkiem, twarz miał znacznie cieplejszą niż zazwyczaj.

Jezu.

Policzył, ile dawek lekarstwa wziął Jakey przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Musiał poczekać do rana, zanim poda mu cokolwiek jeszcze, nawet środek przeciwbólowy.

Syn pochylił się ku niemu, jego ciało wręcz paliło przez cieką tkaninę pidżamy, mimo chłodu panującego w pokoju.

– Tatusiu, zostań ze mną – powiedział. – Tylko aż zasnę.

– Jasne, mistrzu.

Erdman wciągnął nogi na łóżko syna i nasunął kołdrę na ich obu. Błady księżyc wpuścił blask przez szczelinę w zasłonach. Odgarnął włosy z twarzy dziecka. Odgłos rżęącego oddechu chłopca wypełnił mu uszy i serce.

Chociaż żaden z nich o tym nie wiedział, zostało im już tylko kilka wspólnych godzin razem, zanim życie ojca i syna nie zostanie zrujnowane tak, jak zrujnowane były kości Jakeya.

18

Godzina 8.12

Clara paznokciem palca wskazującego poskrobała wilgotną plamę na ścianie. Miała zapchany nos i coraz trudniej było przez niego oddychać. Matka zrzuciłaby to na jej alergię. Nienawidziła tego miejsca.

Powieki były ciężkie, jak gdyby ktoś wszył w nie miniaturowe ciężarki. Cały czas czuła się zmęczona, ale kiedy zobaczyła szare światło za oknem, wiedziała że to już na pewno ranek. Wgramoliła się pod kołdrę, której nie zmieniono, gdy posikała się dwie noce temu. Okrycie cuchnęło i było zimne. Clara chciała wrócić do domu.

Wewnętrzzną stronę okna pokrywał lód. Mroźne powietrze sprawiło, że zadygotała.

Minęło już kilka godzin, od kiedy Clara zjadła porządny posiłek. W ciągu ostatnich dwóch nocy dostała szklankę mleka, jedną czy dwie kromki chleba z masłem i raz poobijanego banana, którego jej obrał. Nie musiał. Clara, mimo niezgrabnych rączek, potrafiła wykonywać proste czynności już od czasów, gdy była jeszcze całkiem malutka. Najpierw spałaszowała jedzenie, bo kiedy piła mleko, nadchodziła ciemność. Dziwne, że chociaż nie czuła głodu, bolał ją brzuch. Zdawało się, że nic nie jest w stanie wypełnić tej pustki, którą miała w środku.

W nocy spała, jednak światło dnia nie dawało ochrony. Czasem chowała się po łóżkiem, tylko dlatego, żeby nie musieć oglądać napierających na nią chłodnych, wilgotnych ścian.

Ten pokój ją przerażał. Tak jak wszystko w tym miejscu. A zwłaszcza Nocny Pan.

Zaczęła go tak nazywać po okropnym, realistycznym śnie, kilka godzin po tym, jak ją zabrano. Obudziła się, uderzona strachem, wśród gęstej siności, oznajmiającej, że została godzina do świtu. W ustach miała posmak kredy. Pokój był pusty, dom cichy, ale Clara widziała jego czarne oczy i ostre rysy twarzy.

Przy okazji ostatniej wizyty przyniósł jej sweter. Żółty i zrobiony na drutach, zapiał go na niej aż pod samą szyję. Clarze nie podobał się sposób, w jaki patrzył wtedy na jej dłonie.

Gdyby ktoś jej się zapytał, jak się czuje, gdy Nocny Pan na nią patrzy, powiedziała, że się kurczy. A pewnie wkrótce zniknie zupełnie. Przez niego chciała się schować.

Usiadła i uspokoiła się, a małe gwiazdki tańczyły jej w głowie niczym fajerwerki, które zeszłej nocy widziała między listewkami. Te fajerwerki ją oszołomiły. Wiedziała, że to przecież nie może być Dzień Guya Fawkesa, bo spędziła go z rodzicami i Eleanor. Pamiętała to dokładnie, bo mama narzekała na błoto, chłód i tłumy. Grzebała w torebce, szukając swojej małej srebrzystej butelki i krzyczała na ojca, bo nie mogła jej znaleźć, a wszyscy się na nich patrzyli. Clara powiedziała Eleanor, że mama zawsze jest o coś zła, a Eleanor potrząsnęła głową i przyłożyła palec do ust.

– Nie zapomnij o mnie – wyszeptała Clara.

Z ulicy dobiegał ją stłumiony szum ruchu drogowego w godzinach szczytu. Pierwszego dnia próbowała wyjrzeć przez okno, ale była za mała, żeby dosięgnąć parapetu. Drugiego dnia plecami pchnęła drzwi, były jednak zamknięte na klucz.

Nie miała pojęcia, jak długo już jest w tym pomieszczeniu, które śmierdziało kapustą i czymś słodkim, przyprawiającym o mdłości, czymś, czego dotąd jeszcze nigdy nie wąchała.

Czasem płakała, ale zazwyczaj mówiła sama do siebie, mamrocząc bajki swojej „poduszkowej” lalce.

Chodziły na długie wędrówki. Na plażę obok starego domu. Na basen z Giną, w sobotni ranek.

Jej uwagę przykuły kroki dobiegające z zewnątrz. Żołądek podszedł do gardła. On nie dotykał jej tam, gdzie nie powinien, ani nie patrzył w taki sposób, jak czasem mężczyźni zerkali na Ginę. Nie zrobił jej krzywdy. Jednak wiedziała, po co nadchodzi i przez to było jej jeszcze gorzej.

Podciągnęła zasikaną kołdrę aż pod brodę. Patrzyła, jak klika zamek i drzwi otwierają się do środka.

Nocny Pan pchał jakąś szarą maszynę na kółkach, do której przyczepiono pudełko z wystającym długim, metalowym ramieniem. Clara patrzyła, jak podłącza to do kontaktu w ścianie. Maszyna zaczęła buczeć. Wykrzywił usta.

– Czas na rentgen, moja droga – oznajmił.

W środowy poranek, kiedy Erdman wpadł do pracy spóźniony, wraz z deszczem i kaczem, Daniel Jarvis już na niego czekał. Mijały cztery dni, od kiedy skaleczył się w rękę.

Powinien być w redakcji już od godziny. Jednak rano Jakey skakał wokół niego, łapiąc za nogi, gdy sznurował sportowe buty, błagał, żeby dzisiaj nigdzie nie wychodził.

– Tatusiu, nie możesz pracować z domu? Proszę, prooooooszę.

Kiedy Erdman wyjaśnił, że niestety nie może, chłopczyk wpadł w histerię. Rozkasał się tak, że aż dostał mdłości. Erdman spędził mnóstwo czasu, próbując go uspokoić, obiecywał, że wróci do domu, gdy tylko będzie mógł, jednak Jakey wcale nie chciał słuchać. W końcu Lilith oderwała chłopca siłą. Starał się nie słyszeć krzyków syna, biegnąc ścieżką przez ogród, wdzięczny żonie za jej stanowczość. Oboje wiedzieli, jaki Jakey się robi po zażyciu lekarstw.

A potem jego pociąg się spóźnił.

– Erdman?

Szef sterczał nad biurkiem Erdmana, wymownie spoglądając na zegarek. W kącie cicho pracował jakiś nieznanymi Erdmanowi *freelancer*.

– Tak, Danielu?

Nie chciał zabrznieć jakoś opryskliwie, ale prawie nie spał. Pracował do późna, próbując dokończyć artykuły z ostatniego tygodnia i wciąż jeszcze musiał napisać te pierdoły o leczniczych właściwościach ametystu, jak również wycisnąć jakąś przerwę, żeby kupić Jakeyowi coś na przeprosiny.

– Chodź na słówko – powiedział Jarvis bez uśmiechu. Kiedy Erdman poszedł za nim do gabinetu redaktora naczelnego, po drodze dostrzegł udręczoną twarz Amber. Wzniósł oczy do góry, ale tym razem nie uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Siadaj, Erdman.

Czyli że było źle. Żadnego głupiego przezwiska, żadnego udawania, że wszystko jest na luzie. Pozostawało pytanie, jak bardzo źle?

Jarvis rozpoczął starannie przećwiczoną mowę o magazynach stojących w obliczu trudnych czasów, z napiętym budżetem i coraz niższym nakładem.

– Sam widzisz, chłopie.

Erdman wpatrywał się w tłustą plamę na marynarce Jarvisa, zastanawiając się, dokąd to wszystko zmierza. Nie musiał długo czekać.

– Chodzi o to, że jak się obawiam, będziemy musieli ciebie zwolnić – oznajmił Jarvis. – Po prostu jesteś teraz dla nas zbyt kosztowny.

Erdmanowi przez gardło przepychał się bąbel mdłości, jednak go przełknął. Jarvis pieprzył głodne kawałki. Obaj to wiedzieli. Ze wstydem spostrzegli, że trudno mu wydobyć głos.

– Oczywiście, damy ci jakąś odprawę. I na pewno dostaniesz okres wypowiedzenia, sądzę, że z miesiąc. Bardzo dziękuję ci za wierną pracę. Dziesięć lat, prawda?

– Dwanaście.

Erdman wstał. Jarvis poklepał go po plecach.

– Erdman, głowa do góry. Ze swoim doświadczeniem bez trudu znajdziesz inną pracę. Och, prawie zapomniałem...

Trzeba było przyznać Jarvisowi, że poczerwieniał, wręczając mu plastikową torbę pełną starych notesów, pogryzionych długopisów i spinaczy do papieru. Erdman dostrzegł tam nawet puste opakowanie po chrupkach.

– Przepraszam – powiedział zakłopotany. – Taka jest polityka firmy. Wolimy, żeby pracownicy odchodzili od razu. Wiesz, jak jest.

Erdman nie miał skłonności do przemocy, ale gdy Jarvis dzwonił po Pete'a, podstarzałego ochroniarza, czuł ogromną chęć, aby walnąć swojego lizusowskiego skurwielowatego szefa – byłego szefa – prosto w głowę.

20

Godzina 11.07

Detektyw Fitzroy wróciła do domu, żeby wziąć prysznic i przebrać się, gdy tylko upewniła się, że David poszedł już do pracy na giełdzie towarowej w City. Sen był jednak luksusem, na który nie mogła sobie pozwolić. Każda mijająca godzina przybliżała Clare Foyle do ciemności, ale nawet policjantka musiała od czasu do czasu się umyć.

Na blacie w kuchni leżała porcja wystygłej zapiekanki z rybą. Fitzroy przyjęła naganę, potem poddała się egzekucji wyroku, odgrzewając potrawę w mikrofalach i jedząc to coś na śniadanie.

Z wilgotnymi włosami usiadła na brzegu doskonale wygładzonego łóżka, po czym wzięła się do wystukiwania esemesa, aby przypomnieć Davidowi, że na czwartek są umówieni w klinice. W połowie przerwała i wykasowała tekst, z nagłą obawą, że mógłby oddzwonić. Z szuflady w szafce nocnej wyciągnęła notatnik, nagryzmoła mu wiadomość. Nie miała sił na tę rozmowę.

Gdy skończyła, położyła notkę na poduszce Davida. Wiadomość była zwięzła, konkretna. Kiedyś bazgrała na takich kartkach różne rysunekzki i buziaczki, a on swoje przepełnione miłością liściki wsuwał do jej książek. Na pierwszej randce zaskoczył ją, zabierając do klubu

salsy we wschodniej dzielnicy. Ettę ekscytował i upajał rytm, co sprawiło, że teraz, gdy zgubili krok, wszystko bolało bardziej.

Początkowo wiek Davida, to, że był dwanaście lat od niej starszy, wydawał się nie mieć znaczenia. Jego stabilizacja, finansowa przenikliwość, skupienie bardziej na karierze niż na rodzinie, uspokajały ją – i podniecały.

Jednak teraz pragnienie dziecka poszerzyło dzielący ich dystans. Jeśli ona, albo on, odsunęliby się o jeszcze jeden krok do tyłu, z pewnością coś by pękło.

Detektyw Alun Chambers miał ją odebrać za pięć minut, prosto na odprawę u szefa. Dobrze wiedziała, co tam usłyszy. To, że dysponują niebezpiecznie małą liczbą wiarygodnych tropów, że muszą wyeliminować z kręgu podejrzanych Milesa Foyle'a, w miarę możliwości go przy tym nie aresztując, że w zespole potrzeba osób myślących lateralnie i że odnalezienie Clary stanowi priorytet.

A naprawdę nie mieli nic.

Jak na razie pani Foyle okazała się czysta, a pan Atwal, właściciel sklepu ze słodyczami, równie użyteczny co czekoladowy imbryk. Co pięć minut zmieniał zeznania dotyczące tego, kto był w jego sklepie po południu w dniu zniknięcia Clary. Mieli tylko jeden potwierdzony przypadek pojawienia się dziewczynki – i dziesiątki innych niepotwierdzonych, od przylądka Land's End aż do Majorki – a także ogólny rysopis porywacza. Ktoś też doniósł o srebrzystej albo szarej furgonetce jadącej z dużą szybkością kilka minut po tym, jak ostatni raz widziano Clare. Nie znał jednak numerów rejestracyjnych auta, nawet pojedynczej litery czy cyfry. Kamery monitoringu w pobliżu szkoły nagrywały wszystko, ale były skierowane w przeciwnym kierunku.

Fitzroy doskonale znała ten rodzaj ludzi, do którego należał porywacz Clary, i modliła się, aby dziewczynka nie cierpiała.

Zastanowiła się, co zrobiłby jej ojciec, gdy to on prowadził śledztwo i przywołała w myślach jego twarz, pozbawioną uśmiechu, surową. Nawet gdy wypoczywał, zmarszczki wokół ust opadały mu w dół.

Po latach wciąż jeszcze go słyszała, surowego i niechętnego, kiedy po raz pierwszy – i ostatni – poprosiła o pomoc w rozwiązaniu sprawy zabójstwa w posiadłości, gdzie bardzo chroniono prywatność.

– Głupia dziewczynko, nie myśl o tym, co ja bym zrobił. Sama znajdź własny wzorzec.

Powinna to wiedzieć. Żadnych specjalnych względów. Protekcyjne zbycie, mimo że dostała najwyższe oceny z egzaminów w Hendon i w wieku dwudziestu jeden lat nie była już dziewczynką.

Trudno.

Gdyby tylko potrafiła być jak Nina, która nagany ojca obracała w żart i potrafiła go namówić, żeby płacił za jej naukę w szkole aktorskiej.

Kiedy Nina zagrała Rozalindę w *Jak wam się podoba*, przewodził owacji na stojąco i

klaskał tak bardzo, że aż poczerwieniały mu dłonie. Ani razu jednak nie powiedział Etcie, że jest z dumny z tego, że tak jak on wstąpiła do policji.

Teraz i tak już było za późno, bo dwa lata temu ojciec przeprowadził się do Grecji z nową żoną i od tego czasu się z nim nie widziała.

Fitzroy weszła do salonu. Sofa była tak samo szara, jak niebo na zewnątrz. Każde czasopismo, każda książka, każda rzecz leżały na swoim miejscu. Próbowała wyobrazić sobie stos zabawek w kącie, porozrzucanych na drogim dywanie, który David przywiózł z ostatniej delegacji do Włoch. Próbowała też wyobrazić sobie płacz dziecka z brązowymi oczami Davida, jego ciemnymi kędziorami, ciągnący ją do kołyski. Próbowała sobie w końcu wyobrazić przyszłość swoją i Davida bez dziecka, jednak te stronicy były puste, niezapisane.

Na zewnątrz Chambers wcisnęła klakson. Wyślizgnęła się z mieszkania jak duch.

21

Godzina 11.15

Cholera, gnoje, kurwa mać. Cholera, gnoje, kurwa mać. Kroki Erdmana wybijały rytm jego nieszczęścia.

Był teraz oficjalnie bezrobotny. Pozbawiony pracy. Wrzucony w potok gówna bez wiosła. Każdy opis pasował.

„Upokorzony Erdman Frith został wczoraj wylany z pracy. Ofiara losu, lat trzydzieści dziewięć, nie potrafił nawet utrzymać posady w magazynie dla oszołomów”.

Za jego plecami roześmiał się jakiś chłopak. Tak bardzo przypominało to głos Jakeya, że Erdman odwrócił się gwałtownie, chodnik jednak był pusty, wyjąwszy jakąś parę, która ze zwieszonymi głowami wlepiła wzrok w wyświetlacze telefonów komórkowych. To się powinno nazywać media antyspołecznościowe, pomyślał.

Oparł wnętrze dłoni o ciężkie drewniane drzwi, ale chociaż zadrżało szkło, nie drgnęły. Bank otwierano o jedenastej trzydzieści. Zostało jeszcze piętnaście minut.

Zawsze pozostawał sklep monopolowy. Nie, może jednak nie. Nie był jeszcze na tyle zdesperowany, aby ryzykować, że ktoś zobaczy go w parku z sześciopakiem. Tak się zachowywali menele i patologia. Erdman do tego grona nie należał. Jeszcze nie.

Nie mógł także wracać do domu. Dzisiaj wypadła Wtorek Herbatnikowy, Lilith przyjmowała jakiegoś kwestarza ze szpitala. Od bladego świtu piekła ciasteczka, które kosztowały więcej, niż zdołałyby zebrać. Powinna po prostu dać parę funtów i zaoszczędzić

sobie kłopotu.

Skąd, do cholery, wezmą pieniądze, gdy skończy się odprawa?

I co, do cholery, będzie robił przez resztę dnia?

Nie zniósłby muzeum, pełnego turystów z fotoaparatai i hałaśliwych uczniów. Ma poczekać, aż otworzą pub? Może. Ale z co najmniej jednego powodu nie mógł pić dzisiaj przez cały dzień.

Deszcz, który moczył go w drodze do pracy, przestał padać i chociaż niebo pozostało szare, miał nadzieję, że przez kilka godzin będzie sucho. Wiedział, co robić. Pójdzie zobaczyć się z mamą.

Jednym z najwcześniejszych wspomnień Erdmana była płacząca matka. Shirley Frith płakała rzadko, dlatego to zapamiętał.

Miał trzy lata, kiedy po raz pierwszy zapytał, gdzie poszedł jego brat i prędko nauczył się, aby więcej tego nie robić. Niedługo potem zniknęły wszystkie fotografie. Tak jak przemijały lata, tak też przemijały jego wspomnienia o Carltonie.

Erdman dorastał w domu, gdzie zamiast dwójki powinna mieszkać czwórka, gdzie smutek uczynił matkę twardą jak kamień, gdzie na równi tłamszono go i odpychano.

Jednak gdy tylko chwycił ułamek wspomnień, zawsze dostrzegał echo siebie samego, wykrzywione lustrzane odbicie własnej twarzy. Teraz starał się w ogóle nie myśleć o swoim dzieciństwie.

Wysiadł z autobusu i ruszył ulicą, i nagle poczuł, że ma ciężkie nogi. Starzał się, nie sposób temu zaprzeczyć. Przynajmniej wzrok był porządku. Co rano, zanim wstał, sprawdzał, czy nadal może czytać plakat z fazami księżycy, który Lilith zawiesiła w ich sypialni. „Wypukły, rosnący księżyc pojawia się wtedy, gdy oświetlone jest więcej niż jego połowa, ale jeszcze nie ma pełni”. Weszło mu to w zwyczaj tak samo jako codzienne mycie zębów.

Boże, jak nie cierpiał odwiedzać matki. Dlaczego postanowił dzisiaj do niej zajrzeć, właśnie teraz? To na pewno jakieś masochistyczne ciągoty. Nie poczuje się przez to lepiej i na pewno jej też to nie pomoże. Chryste, ostatnio był tam pół roku temu.

Ruszył alejką, po drodze uklonił się przycinającemu rośliny ogrodnikowi. Wyobraził sobie, co powiedziałyby mama, usłyszał to jej powolne przeciąganie głosek. Zobaczył jej brwi, zmarszczone w surowym grymasie niezadowolenia.

– O wiele za długo, kochanie. W końcu wciąż jestem twoją matką.

Erdman zszedł ze żwiru i wkroczył na trawnik. W dłoni trzymał bukiet lili. Uklęknął przed grobem matki.

SHIRLEY FRITH

ur. 13 MAJA 1947
zm. 25 MAJA 2012
UKOCHANA MATKA I ŻONA
ODESZŁA PRZEDWCZEŚNIE

Chwasty rozrosły się od pogrzebu i teraz owinęły wokół świeżo postawionego nagrobka, prawie zasłaniając imię, które Erdman widział – na mogile – po raz pierwszy. Szarpnął nimi ze złością, starając się uniknąć poruszania zabandażowanym placem i pozwolił, aby pochłonęła go przeszłość.

Był samotnym dzieckiem, zawsze kręcącym się matce pod nogami, zawsze opatrującym rany zadawane przez jej ostry jak nóż język.

I bawił się ze zmarłym bratem.

Nie cierpiał przyprowadzać kolegów do domu. Matka bombardowała ich pytaniami, nigdy nie widząc, że gdy stają się coraz bardziej osobiste, dzieci kurczą się w sobie, ich twarze stają się tak różowe jak kanapki z łososiem, które podawała na podwieczorek. Zawsze w końcu rozmowa skupiała się na nim.

– A czy ty też siedzisz całe dni w swoim pokoju, bawiąc się z wymyślonym przyjacielem?
– zapytała jakiegoś malucha. Przez kolejne trzy lata koledzy Erdmana z klasy bezlitośnie mu dokuczali.

Kiedy był nastolatkiem, zrobiło się już tak źle, że tych kilku przyjaciół, jakich miał, wolało czekać w samochodzie pod domem, a nie narażać się na wścibskie sondowanie przez matkę. Umiała chytrze maskować to podpytywanie.

Zwykle Erdman przesiadywał sam w swoim pokoju, a jego rozmowy z bratem stawały się coraz radsze i wreszcie się skończyły. Nauczył się zajmować uwagę książkami i grami komputerowymi.

Ani razu o tym nie opowiadał, ani swojej matce, ani Lilith, tylko zagrzebał to głęboko w mrokach pamięci.

Teraz to Jakey miał wymyślonych przyjaciół. Kilka nocy temu Erdman zauważył, że Lilith stoi na półpiętrze, przyciska ucho do drzwi, a na ustach ma pobłażliwy uśmiech.

Skinęła na niego, aby poszedł bliżej.

– Posłuchaj – wyszeptała.

Erdman stanął obok. Wdychał ciepły, słodki zapach jej skóry i na chwilę się zapomniał. Jednak wysoki, czysty głos Jakeya sprawił, że aż ścisnęło go w dołku.

– Nie wiem.

Cisza trwająca kilka uderzeń serca.

– Nie mogę.

Znowu cisza.

– Dobra. A co powiesz na dziesięć?

Jego syn mówił tonem ponurym i niechętnym. Zabrzmiał odgłos uderzenia, zdławiony skowyt. Erdman sięgnął do klamki, Lilith jednak zatrzymała go, kładąc dłoń na ramieniu.

– Dwadzieścia?

Jęk.

– No to mi powiedz.

Pauza trwająca kilka sekund, a potem jakby odezwał się ponownie. W jego głos wkradła się nutka niedowierzania.

– Dwieście sześć? – Kolejna pauza. – Wierzę ci. Dobrze.

Erdman usłyszał, że Jakey idzie przez pokój, usłyszał też otwieranie szafki na zabawki. Lilith posłała mężowi jeszcze jeden, konspiracyjny uśmiech, ale Erdman nie potrafił się zmusić, aby go odwzajemnić.

– Wiedziałeś, że posiadanie wymyślonego przyjaciela to oznaka nadzwyczajnej inteligencji? – wyszeptała. – Miłe, prawda?

– Nie. Nie chcę tu ciebie.

Ton Jakeya stawał się coraz ostrzejszy. Erdmanowi wydało się, że jest podszyty strachem i ignorując Lilith, otworzył drzwi.

– Mistrzu, wszystko w porządku?

Jakey podskoczył, z takim wyrazem twarzy, jakby coś przeszkrobał.

– W porządku – wymamrotał, trzymając pod ramieniem Pana Bunnikinsa.

Erdman wsunął garść klocków Lego z powrotem do pudełka.

– Teraz idziesz już spać, dobra?

– Dobra.

Kiedy się odwrócił, aby wyjść, Jakey zawołał za nim cicho:

– Tatusiu, a z ilu kości składa się szkielet?

Erdman odwrócił się, zaskoczony.

– Ludzki?

– Tak – powiedział chłopiec, a kciuk powędrował mu do ust.

– Hm, nie mam pojęcia. A ty wiesz?

– Dwieście sześć.

– Rety – stwierdził Erdman. – Dużo.

– Jesteś silny, tato, prawda? Naprawdę silny?

Erdman zaśmiał się i naprężył chude ramiona.

– Jak byk.

– Czyli, że pokonasz każdego?

Uśmiech Erdmana zgasł.

– Tak daleko bym się nie posunął. Ale nikt się nie będzie tutaj bił, mistrzu, nie musisz się przejmować.

Jakey posłał mu smutny, nieznaczący uśmiech.

Później tego wieczoru, między sprawdzeniem stanu konta w banku online i godziną, a może więcej, walk z Hordą Pandarii, Erdman zerknął na artykuł o ludzkim ciele, tak z czystej ciekawości. Jakey miał rację. To pewnie było coś, czego nauczył się w szkole.

Ziemia była mokra, wilgoć przenikała dzinsy, jednak zignorował to. Rozpakował bułkę z serem, którą zrobiła mu Lilith, ugryzł kęs.

Uch. Pikle. No dzięki, Lilith.

Żona najwyraźniej wciąż była na niego zła, ale to tak do niej pasowało, że aż się uśmiechnął. To była kobieta, która potrafiła postawić na swoim. Jedyna kobieta, którą odważył się przedstawić matce.

– Cześć, kochanie, miło cię w końcu poznać. Erdman mówił mi, że jesteś adoptowana. Biedna dziewczyna. Jak ktokolwiek mógł cię porzucić?

Dwanaście lat minęło, a Erdman wciąż wzdrygał się na samo wspomnienie. Ale Lilith odpowiedziała z typową dla siebie bezczelnością.

– Dzień dobry, pani Frith. Mnie też miło panią poznać. To się zdarzyło dawno temu i wolę zostawić przeszłość tam, gdzie jest. Swoją drogą, moi przybrani rodzice byli cudowni. Podoba mi się pani sukienka. To Marks & Spencer, prawda?

Shirley zmarszczyła brwi.

– A nie spotkałyśmy się już wcześniej?

– Nie sądzę – odparła Lilith z uśmiechem. – Na pewno bym panią zapamiętała.

Obie kobiety czujnie wokół siebie krążyły, jednak przez lata ich linie obrony zostały w końcu nadwyreżone, głównie słownym bombardowaniem ze strony matki. Wizyty stopniowo ustały.

Jego matka miała zbyt wiele dumy, aby próbować coś naprawić. Już dawno ograniczyli się do kartek na urodziny i na Boże Narodzenie. A potem, sześć miesięcy temu, zadzwoniła do niego pielęgniarka z hospicjum w Brighton.

– Pańska matka chce z panem rozmawiać. Domaga się tego bardzo stanowczo.

Ruszył tam sam, nie wiedząc, czego może się spodziewać i zawstydzony tym, że nie wie. Pielęgniarka oznajmiła, że chemioterapia wywołała u matki udar, który utrudnił jej mówienie i przełykanie.

Nie rozpoznał wychudzonej istoty na łóżku, o włosach nastroszonych jak ptasie gniazdo, w kwiciastej koszuli nocnej, z rodzaju, jakim zawsze gardziła. Głowę miała przechyloną w bok, pod niewygodnym kątem. Podbródek spoczywał na obojczyku.

– Mamo, to ja.

Opadający kącik ust drgnął, ale nie otworzyła oczu. Erdman dotknął jej palców. Były ciepłe, skóra pergaminowa. Zapieкло go w oczach.

– Już cię więcej nie zostawię, obiecuję.

– Wie pan, ona już raz umarła. – Pielęgniarka mówiła swobodnym tonem, Erdman jednak potrafił rozpoznać przytyk. – Dostała reakcji alergicznej na jeden ze środków używanych do

chemioterapii i doznała wstrząsu anafilaktycznego. Przez minutę, dwie, pozostawała w stanie śmierci klinicznej. – Otarła czoło Shirley gąbką. – Ale to uparta starsza pani. Najwyraźniej nie była gotowa odejść, dopóki się z panem nie zobaczy.

Erdman schował twarz w dłoniach.

– Lepiej późno niż wcale – pocieszyła go pielęgniarka, klepiąc po plecach.

Godzinami czuwał przy jej łóżku, nie wypuszczając dłoni, nawet gdy pielęgniarka sprawdziła ciśnienie i nadciągnęła ciemna noc. Drzemał, kiedy usłyszał głos, cichy, taki niemaczysty. Początkowo myślał, że tylko coś mu się wydaje.

– Szykroo.

Erdman otworzył czy, ale matka nie poruszała się.

– Mii szykroo.

Jej palce chwyciły kołdrę, przesunęła głową po poduszce.

– Już dobrze, mammo. Jestem tutaj.

Głos Erdmana zdawał się ją koić. Zastygła. Po kilku chwilach zaczęło się jednak na nowo.

– Mii szykroo, mii szykroo.

Cisza.

– Mii szykroo. Jay-Key.

– Och, mammo nie przejmuj się tym. Nam też jest przykro. Ale staramy się nie myśleć o przeszłości. Wolimy skupić się na tym, co jest tu i teraz.

Szarpnęła głową z boku na bok, jej głos stał się mocniejszy, bardziej natarczywy. Nie wiedząc, jak ją uspokoić, zdecydował się na tchórzowski wybieg.

– Pójdę i zadzwonię po Lilith, dobrze? Powiem jej, jak dobrze się trzymasz. Może poda słuchawkę Jakeyowi.

Poszedł na dół, aby zatelefonować do żony, doskonale wiedząc, że przecież nie wystawi syna na bełkot Shirley, rozpaczliwie pragnął jednak oddalić się od pomrukiwań wydobywających się z miejsca, w którym matka zwykle miała usta. Kiedy powrócił, już nie żyła.

Pielęgniarka wyjaśniła, że pacjenci po udarze czasem mówią zrozumiale, lecz plotą bzdury; czasem trzymają się, dopóki nie pojawi się ktoś bliski. Że po raku, a przed udarem, pani Frith opowiadała o swojej rodzinie z ciepłem i miłością. Takiej matki nie umiał sobie wyobrazić, z jej wahaniem nastroju, samolubnością, jej męczeństwem.

Po śmierci Shirley nie płakał ani razu, nawet gdy jej ciało przewieziono do Londynu i pochował ją na cmentarzu nieopodal swojego domu.

Znowu zaczęła się mżawka, ale teraz tak uparta, że Erdman zmiął folię po kanapce i wstał z trudem, otrzepując okruchy ze spodni. Dotknął ustami marmurowego nagrobka.

– Cześć, mammo. Do zobaczenia wkrótce.

Na cmentarzu było pusto, kiedy skierował się ku wyjściu, widać było tylko ogrodnika i samotną postać w czarnym garniturze, siedzącą na ławce, z torbą u stóp.

Twarz mężczyzny była jakby znajoma. Erdman wpatrywał się w ostre jak brzytwa kości policzkowe, przekonany, że już je wcześniej widział. Kto to był?

– Czy pan mnie śledzi...?

Ale jego słowa padły w pustkę. Postać już się stopiła z tłem dnia. Erdman dostrzegł ją między nagrobkami, garnitur przypominał plamę atramentu na białym niebie. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach, jak gdyby rozkładającego się zwierzęcia.

– Proszę pana, wszystko w porządku? – zawołał ogrodnik.

– Widział pan tego mężczyznę? W czarnym garniturze...

– Nie mogę powiedzieć, żeby go widział. – Ogródnik przygryzł dolną wargę, zniszczona twarz przybrała zakłopotany wyraz.

Erdman zaczął biec, rozglądając się między grobami w poszukiwaniu obcego, ale poza jakąś starszą panią w oddali na cmentarzu było pusto. Co to za człowiek? Gdzie go widział? W metrze? A może w pociągu? Był pewien, że zna go także skądinąd, ale skąd? Wiatr wiał teraz coraz mocniej, Erdman zadygotał w wilgotnej kurtce. Może to pamięć płata mu figle. Szczerze mówiąc, miał na głowie większe problemy, niż jakiś wymyślony, łączący za nim dziwak.

Kiedy Erdman wrócił do domu, nagle przypomniał sobie o Jakeyu. Przecież obiecał, że kupi mu prezent. Nie powinienem dużo wydawać. Ale nie mógł znowu złamać przyrzeczenia.

Wahał się między zabawkowym autem, a figurką Spider-Mana, kiedy jego wzrok przykuło coś na wystawie sklepu.

Coś błyszczącego, pięknego i zupełnie niestosownego.

Wyobraził sobie Jakeya, kiedy mu to da, to, jak zapłoną mu oczy. Wyobraził sobie radość rozlewającą się na jego twarzy, uśmiech, wesołe wymachiwanie ręką.

Nie mógł sobie na to pozwolić. Nie był nawet pewien, czy syn w ogóle będzie mógł na tym jeździć.

Ale i tak to kupił.

Mężczyzna w garniturze czekał dokładnie w tym samym miejscu.

– Cześć – powiedział Jakey, kuśtykając po błocie, z dwiema różowymi plamami na policzkach.

– Cześć – powiedział mężczyzna.

– Pani Husselbee będzie wściekła. Kazała mi zostać w klasie albo zabierze mnie do gabinetu pani Gaynor. To dyrektorka. Przyszedłem tylko powiedzieć, że moja mamusia przychodzi wcześniej, żeby mnie zabrać do lekarza, dlatego nie mogę przyjść i obejrzeć pańskiego pieska.

Jakey skończył i poczuł przypływ niespodziewanej ulgi.

– Jaka szkoda. – Mężczyźni uśmiech zszedł z twarzy. Wetknął paznokieć między zęby. – Miałem się zapytać, czy chcesz jakiegoś jej szczeniaczka.

Jakey szeroko otworzył oczy.

– Szczeniaczka?

– Jeśli nie chcesz...

– Chcę, chcę. – Jakey zrobił smutną minę. – Ale dzisiaj nie mogę przyjść. Widzi pan, to przez moją rękę. Robi się z nią źle.

Oczy mężczyzny załśniły.

– Mogę zobaczyć?

Jakey zerknął za siebie, na budynek szkoły. W drzwiach klasy pokazała się pani Husselbee. Oslaniając oczy dłonią, lustrowała okolicę.

– Muszę już iść – powiedział.

– To może przyjdiesz jutro i wybierzesz sobie szczeniaczka? Jak chcesz, to się z tobą tutaj spotkam. – Mężczyzna sięgnął do marynarki po kopertę. Były na niej wypisane dwa słowa: „*Panna Haines*”. – Dasz to swojej nauczycielce. To od twojej mamy. Pisz, że pozwala mi ciebie odebrać wcześniej – uśmiechnął się do chłopca i przepchnął kopertę przez szparę w ogrodzeniu. – Tylko pamiętaj, dopiero jutro rano.

Jakey zacisnął palce na kopercie. Jego wzrok przesunął się po atramentowych zawijasach pisma tamtego mężczyzny, już rozmazujących się w lekkiej mżawce, która właśnie się zaczęła. Wsunął list do kieszeni spodni.

– Dobrze – powiedział. – Jutro.

Czy Miles Foyle się kontaktował? – zapytał szef.

– Jeszcze nie, sir.

– Potrzebujemy tego nazwiska.

– Wiem.

– Powiedz mu, że jeśli nam go nie poda, nie będziemy mieli innego wyjścia, jak go przymknąć.

24

Godzina 15.23

W domu było pusto, to przynosiło ulgę. Erdman rozważył zalety pogrążenia się w zapomnieniu, jednak w końcu odstawił butelkę z powrotem na półkę i zamiast whisky wypił szklanekę wody. Potem usiadł na sofie i czekał, aż rodzina wróci do domu.

– Dobry Boże, ale mnie wystraszyłeś.

Erdman zmrużył oczy rażony sztucznym światłem, kiedy Lilith nacisnęła kontakt. Jakey skoczył na kolana ojca tak, jak gdyby ostatni raz widzieli się przed laty, a nie kilka godzin temu.

– Spokojniej, mistrzu, uważaj, bo upadniesz.

Na głos już nie powiedział: „A to mogłaby być katastrofa, mistrzu”. Przeczesał palcami miedzianą grzywkę Jakeya, którą trzeba było znowu przyciąć, przesunął dłonią ku potylicy, potem łagodnie przyglądał ją w drugą stronę. Czy na czaszce syna pojawiło się jakieś nowe obrzmienie? Przełknął ślinę, w gardle mu wyschło.

Lilith pociągnęła w dół swój top, ale materiał wciąż się unosił i Erdman dostrzegł pasek bladego brzucha nad krawędzią spódnicy. O dziwo, uśmiechała się teraz do niego. Miał ochotę ją pocałować, a nie doprowadzać do łez.

– Dlaczego wróciłeś tak wcześniej? – W jej głosie było takie kuszące ciepło, od dawna nieobecne. Poczul się przy niej jak liść rozwijający się w blasku wiosennego słońca.

– Jarvis wypuścił nas wcześniej – urwał. – Co powiedział lekarz?

Skrzywiła się.

– To co zwykle. Szpital, jeśli z ramieniem się pogorszy. Pilnować, czy nie ma infekcji klatki piersiowej. Pilnować go. Cholerna paplanina.

– Zajmę się tym – oznajmił.

– Ja też – powiedziała, uśmiechając się. – Nalegał, żeby iść jutro do szkoły, więc pewnie

nie jest aż taki chory.

Erdman w myślach ćwiczył właśnie, jak powie o swojej pracy, jak przedstawi wieści odpowiednio ponurym tonem, ale teraz Lilith była tutaj, tuż obok, uśmiechając się po raz pierwszy od tygodni, dlatego nie potrafił.

Zamiast tego wstał i wyprowadził rower, który chował za sofą.

Jakey i Lilith westchnęli głęboko, dokładnie w taki sam sposób. Erdman zawsze to uwielbiał. Odkrycie, że syn jest miniaturową wersją jego żony, począwszy od sposobu, w jaki marszczył brwi w złości, a skończywszy na identycznym pieprzyku na szyi.

– Dziękuję, tatusiu, strasznie mi się podoba.

– O co chodzi?

– Mogę teraz z nim wyjść?

– Powinieneś to przedyskutować ze mną.

– Proszę, tatusiu, prooszę.

Erdman przeniósł spojrzenie z Jakeya na żonę. To było studium kontrastów.

Jakey pisnął z radości i zniknął w poszukiwaniu sportowych butów. Wraz z Lilith stanowili teraz kolaż emocji.

– A jeżeli upadnie? Jeśli nie będzie miał tyle siły, by utrzymać kierownicę albo pedałowac?

– Teraz już krzyczała. – Co ty sobie, do cholery, myślisz?

– Lilith, musimy dać mu trochę pożyć. Nie możemy go cały czas chronić.

– Owszem – odparła. – Możemy. Nasze zadanie to go chronić, a nie wystawić na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Z nim wcale nie jest dobrze, pamiętasz? A gdzie jego kask? Gdzie nagolenniki? Gdzie osłona nadgarstków? Erdman, naprawdę, jesteś do niczego.

Wyprowadził rower z pokoju, nie oglądając się za siebie.

Na ulicy było prawie pusto, jeszcze nie nadeszły popołudniowe godziny szczytu. Na mieście układały się już ciemności, wydawało się jednak, że Jakey nic sobie z tego nie robi.

– Lepiej nie odjeżdżaj za daleko, mistrzu. Mama raczej nie jest ze mnie zadowolona. Spróbujemy tylko tutaj, na chodniku.

Pomógł synowi wdrapać się na siodło i poprowadził jego dłonie na kierownicę. Przechylenie głowy i ręka nieruchoma w łokciu przesunęły ciężar ciała na lewo, a stabilizator tylnego koła uniósł się pięć centymetrów nad ziemię.

– Oj – powiedział Erdman, gdy rower się zachwiał. Jego syn tylko zachichotał.

Ostrożnie zacisnął dłoń na ręce Jakeya, używając własnego ciężaru, aby zrównoważyć jego ciężar. Syn machał adidasami, szukając podparcia. Kiedy jego stopy zetknęły się z pedałami, pchnął w tył i te zakręciły się jak szalone.

Rower szarpnął się do przodu o centymetr.

– Musisz pchać w dół nogami, mistrzu – polecił Erdman, starając się nie słyszeć rżenia

w oddechu syna. – Jak myślisz, dasz radę?

Jakey krótko skinął głową i spróbował zrobić tak, jak zaproponował ojciec.

Jednak rower ledwie się poruszył.

Może Lilith miała rację i nogi chłopca nie były wystarczająco silne. Może rzeczywiście to był głupi pomysł. Może naprawdę jako ojciec jest do niczego.

– No dalej, tatusiu – odezwał się Jakey. – Spróbujmy jeszcze raz.

Erdman zamrugał wśród ciemności, niespodziewanie poruszony determinacją syna.

– Trzymaj się – oznajmił i łapiąc drugą część kierownicy, delikatnie przesunął Jakeya i rower do przodu. Stopy chłopca poruszyły się wraz z pedałami.

– Robię to! – zawołał jego syn. – Jadę na rowerze!

– Tak kochanie, jedziesz!

Przez kolejnych dziesięć minut Jakey ćwiczył nową umiejętność, wysuwając do przodu dolną wargę, gdy pchał pedały pod górę i z szerokim uśmiechem rozkwitającym na twarzy, gdy swobodnie zjeżdżał w dół. Erdman powstrzymywał tempo jazdy ostrożną ręką.

I wtedy przednie koło natrafiło na krawędź wystającej płyty chodnikowej.

Zdawało się że czas zgęstniał niczym melasa, stając się powolny i lepki. Erdman patrzył, jak jego syn wędruje głową do przodu ponad kierownicą, słyszał przedłużony krzyk dobiegający z jego ust. Obok przejechał jakiś samochód, przednie światła omiotły twarz Jakeya. Znowu zaczęło lekko mżyć. Erdman zdołał to wszystko zobaczyć, zanim całą dłonią złapał kurtkę chłopca i szarpnął nim do tyłu, z powrotem ku bezpieczeństwu.

Strach w jego piersi zmalował do gęstego, ciemnego punktu.

Mocno przyciągnął syna ku sobie.

– W porządku, mistrzu – powiedział, w równym stopniu do siebie, jak i do Jakeya. – Wszystko dobrze.

Lilith otworzyła drzwi wejściowe.

– Podwieczorek prawie gotowy – oznajmiła.

Erdman i Jakey skupili na niej spojrzenia, czekając, aż złość Lilith wybuchnie wśród spokoju ulicy, czekając na oskarżenia, groźby zamknięcia roweru w ogrodowej szopie albo jeszcze gorzej, sprzedania na eBayu.

– Chłopcy, słyszycie? – powiedziała. – Podwieczorek za pięć minut.

Ojciec i syn odetchnęli, potem wspólnie się roześmiali, radosnym, swobodnym śmiechem.

– Tatusiu, możemy to robić codziennie?

– Jak mnie złapiesz.

Ani Erdman, ani Jakey nie zauważyli mężczyzny w prążkowanej marynarce, który przyglądał im się z szarej furgonetki po drugiej stronie ulicy. Jego paznokcie żłobiły półksiężycy we wnętrzu dłoni.

– Miejmy nadzieję, że nic sobie nie złamiesz – mruknął Kolekcjoner Kości.

Później, kiedy Lilith się myła, Erdman wykąpał Jakeya. Dawno już tego nie robił i czuł się teraz zaszokowany.

Kręgosłup chłopca stanowił ksylofon z kościanych wypustek, a pod lewą łopatką była nieregularna wypukłość, której Erdman wcześniej nie zauważył. Potarł ją ręcznikiem z Moshi Monsters i poczuł, że syn wzdryga się nawet pod delikatnym naciskiem. Pod pretekstem namydlenia na głowie Jakeya zliczył trzy miękkie obrzmienia. Ponad obojczykiem widać było krawędź dodatkowej kości. Obrzmienie na zdrowym ramieniu się powiększyło. Kości chłopca wyglądały tak, jak gdyby pozrastały się w niewłaściwych miejscach, stanowiły taką niechcianą, obcą obecność tuż pod powierzchnią skóry.

Strumień wody uderzył go prosto w twarz, a Jakey zachichotał, zdrową ręką machając pistoletem na wodę. Erdman astanawiał się, jak dużo czasu minie, zanim ona też przyrośnie mu do ciała. Od razu poczuł się zadowolony, że krople wody ukryły łzy.

Wyjął chłopca z wanny i wytarł miejsca między palcami u stóp. Oba paluchy były zdeformowane i skręcone do wewnątrz, co Erdmanowi zawsze przypominało o dniu narodzin syna. Grupka zatroskanych lekarzy w kącie. Katastrofalne poczucie szoku. Początek linii tektonicznego uskoku biegnącego w poprzek ich małżeństwa.

– Tatusiu... czy ja umrę?

To pytanie oszołomiło Erdmana. Szybko doszedł do siebie i zapiął Jakeyowi górę od pizamy.

– Jeszcze długo nie, mistrzu. Dlaczego pytasz?

– Mama Josha tak mu powiedziała.

Erdman skłął w myślach Alyson Carruthers i jej niewyparzoną gębę.

– Wiesz, że masz mały problem ze swoimi kośćmi, prawda?

To było niedopowiedzenie dekady, ale Jakey nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Mam dodatkowe kości, prawda tatusiu?

– Zgadza się I jeszcze będą ci rosły takie dodatkowe kości, więc będzie więcej ciebie do kochania.

Erdman nie sądził, aby należało mówić, że gdy będzie już nastolatkiem, te kości obejmą jego mięśnie, ścięgna i stawy, ograniczając ruchy i tworząc drugi szkielet. Więzienie z kości.

Jakey zdawał się usatysfakcjonowany odpowiedzią.

– Przytul.

Szyję miał przekreconą w stronę ramienia i nie mógł podnieść lewej ręki, ale Erdman widział senną miłość błyszczącą w synowskich oczach. Delikatnie objął zeszywniałe ciało i przytulił tak mocno, jak tylko się odważył. Gdzieś, wewnątrz domu, rozdzwonił się telefon.

– Cokolwiek się stanie, tatuś zawsze będzie się tobą opiekował, obiecuję – wymamrotał, wdychając słodki, jabłkowy zapach włosów.

Kiedy Erdman zszedł na dół, Lilith robiła na drutach. Gwałtowne klikanie tych drutów powinno go ostrzec, wciąż jednak jeszcze rozmyślał o tamtej chwili z Jakeyem.

– Dzwoniła Amber Collins. – Ton głosu był niebezpiecznie spokojny. – Chciała się dowiedzieć, czy wszystko z tobą w porządku. Bo, najwyraźniej, straciłeś swoją cholerną pracę.

Erdman zatrzymał się w połowie nalewania sobie czerwonego wina do kieliszka.

– Aha.

– To jedyne, na co cię stać? Cholerne „aha?” – Uderzyła pięścią o stół. – Mamy hipotekę do spłacenia, jakbyś zapomniał. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Znowu krzyczała, krążąc tam i z powrotem po salonie, gładząc się przy tym po brzuchu, jak często robiła, kiedy czuła się zirytowana. Erdman miał nadzieję, że tak jak w przypadku Buddy, ten gest przyniesie szczęście.

– Nie chciałem cię martwić.

– Bzdury, po prostu za bardzo się bałeś, zamiast ciebie powiedziała mi to twoja koleżanka. Świetnie, Erdman, naprawdę, dobra robota.

– Nic się nie stanie.

– Nie mamy żadnych oszczędności – odparła powoli, jak gdyby Erdman nie potrafił zrozumieć więcej niż jednej sylaby naraz. – Wydałeś je na ten gówniany samochód. Naciągnęli nas, pamiętasz? Właśnie tak, bo tamten szarlatan – lubiła to słowo – naciągnął nas na niezłą sumkę.

To był stary wyrzut, jeden z wielu i Erdman wcale się nie dziwił, że wypłynął właśnie teraz. Lilith wypominała mu takie rzeczy przy okazji każdej kłótni. Wyobrażał sobie to wszystko jako kelnerski wózek wypełniony kuszącymi deserami. Dzisiaj, po obiedzie serwowano „Suzuki, prawdziwy rarytas. Podawane z porządnie zlanym tyłkiem”.

– Musisz znaleźć pracę, jakąkolwiek. W Słońcu na Piaskach szukają pracownika.

– Nie będę pracował w pubie. Wyślę maila do Russella, zobaczmy, czy potrzebuje kogoś na dyżury. – Nie powiedział, że już to zrobił, a Russel nie pomógł. „Przepraszam, stary. Mamy zamrożony budżet, tak jak cała reszta planety”.

– Nie możesz być wybredny. Będziesz musiał wziąć, cokolwiek się pojawi.

– Lilith, przez dziewiętnaście lat byłem dziennikarzem, nie zamierzam teraz zmieniać zawodu.

Roześmiała się gorzko.

– O jakim zawodzie ty w ogóle mówisz? Nigdy nie awansowałeś i Bóg jeden wie, kiedy ostatnim razem miałeś jakąś porządną podwyżkę. Od dekady pracujesz w tym samym, gównianym czasopiśmie. Nie można na tobie polegać, nigdy nie miałeś niczego ciekawego do powiedzenia i szczerze mówiąc, nie sądzę, żebym wytrzymała jeszcze czterdzieści lat czegoś takiego. – Złapała oddech. – Erdman, kiedyś byliśmy szczęśliwi. Pamiętasz, jak to jest? Tak było, zanim postanowiłeś sobie nas odpuścić. Zanim... – zamknęła oczy. – Zanim pojawił się Jakey.

– Poczekaj chwilę. – Podniósł obie ręce, jak gdyby to mogło zatamować potok słów,

jednak Lilith nie odwzajemniła jego spojrzenia, miała zaciśnięte usta i zacięty wyraz twarzy.

– Tak, to prawda.

Równie dobrze mogłaby zadać mu cios prosto w brzuch. Spojrzał na swoją żonę. Cała zdawała się być jedną, niezadowoloną wyrazistością. Czyli że dotąd zawsze była nieostra? A może dopiero teraz, po latach zamglonego widzenia, wreszcie zobaczył ją dokładnie?

Przypomniawszy sobie czasy, kiedy nie potrafili przestać ze sobą rozmawiać. Kiedy wymykali się wcześniej z kina, bo wpatrywanie w milczeniu w ekran wydawało się stratą czasu. Kiedy całe godziny spędzali w kuchni na wspólnym gotowaniu. Chryste, nawet przesiadywał na skraju wanny, kiedy Lilith leżała w niej wśród bąbelków, bez przerwy trajkocząc o tym, co przydarzyło się jej w ciągu dnia.

Przez te tygodnie przed narodzinami Jakeya nacierał oliwką jej rosnący brzuch i chodził nocą do sklepu po chrupki o smaku serowo-ogórkowym. Wysiadywali nad książkami o ciąży, nie spodziewając się, że Lilith nosi w sobie bombę, która rozsadzi im życie.

Przypomniawszy sobie, jak oboje nawzajem się sobą interesowali.

– Czy naprawdę tak właśnie o mnie myślisz?

Wyraz jej twarzy powiedział więcej niż jakiegokolwiek słowa. Po raz czwarty w ciągu niecałych dwunastu godzin Erdmanowi groziło, że się rozplącze, a tym razem to już nie będą wilgotne oczy i pociąganie nosem jak przy krojeniu cebuli tylko rozdzierający szloch.

– Pierdol się – powiedział.

Następnie trzasnął drzwiami żonie przed nosem i wkroczył w ciemność.

25

Godzina 19.56

Na górze Jakey zadrzał, gdy drzwi zatrzęsły się za rozwścieczonym ojcem. Nie spał ani nie czuwał, był gdzieś pośrodku. W połowie drogi między światem snu i jawy.

Pochylała się nad nim ciemna postać o ostrych zębach i długich, chudych ramionach, która wyglądała jak straszdyło z książki tatusia. Jakey wydawał stłumiony okrzyk i wierzgał w jej stronę nogami, a wtedy postać zniknęła w zakurzonej czarnej dziurze pod łóżkiem albo w szafce na zabawki, chłopiec sam nie miał co do tego pewności.

Jakey wiedział tylko na pewno, że ta ciemna postać chce go skrzywdzić. Tak jak tę małą dziewczynkę z telewizji. I że ciemne rzeczy lubią ciemne miejsca.

Podciągnął swoją kołdrę ze Spider-Manem aż pod sam nos i spróbował sięgnąć obolałą

ręką. Koniuszki palców trafiły na twardy plastik latarki, zrzuciły ją na podłogę. Kiedy tata mówił dobranoc, drzwi były otwarte, ale teraz już je zamknięto. Jakey nie lubił, kiedy drzwi były zamknięte.

Stary Tommy Rawhead jest tutaj. Stare Krwawe Gnaty.

Kiedy tylko to imię pojawiło się w jego myślach, Jakey musiał zwalczyć łyzy.

Znowu jest tutaj, w moim pokoju. Przyszedł mnie zabrać. A tym razem nie ma tatusia, żeby go przepłoszył.

Próbował zawołać matkę, ale coś go powstrzymało, coś knebłowało usta. Złapał to prawą dłonią i okazało się, że jest tylko jego starym pluszowym królikem, Panem Bunnikinsem.

Jakey mocno zacisnął powieki i policzył do trzech, tak jak uczył go ojciec, kiedy ból robił się już za duży.

Wśród ciszy w pokoju słyszał rżenie oddechu Starego Tommy'ego, Czy da radę dotrzeć do drzwi? Nie, nieee. Kościste paluchy oplotą się wokół jego kostek, kiedy tylko wyjdzie z łóżka. A co z oknem? Za wysoko. Gdyby tylko zdołał włączyć światło. Odpędziłby straszidło.

Jakeyowi zadrżały powieki, teraz cięższe. Podwójne liny wyobraźni i senności trzymały go w łóżku. Stare Krwawe Gnaty ukradł tamtą dziewczynkę, a teraz idzie po mnie.

Chłopiec leżał nieruchomo, uwięziony strachem i ograniczeniami ciała, ale gdy jego matka zajrzała, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku, Stary Tommy już sobie poszedł, a Jakey spał.

26

Godzina 19.58

Miles Foyle ciężko opadł na krzesło. Nie golił się od soboty, kiedy Fitzroy widziała go po raz ostatni. Na policzku miał zadrapanie, a oczy zapuchnięte i podkrążone z braku snu.

Wyglądał jak człowiek skazany na śmierć przez publiczne potępienie.

Mogłoby jej zrobić się go żal, gdyby nie był tak cholernie uparty. Nawet po tym jak odczytała mu prawa, odmówił adwokata, twierdząc, że to nie jest konieczne, bo nie ma nic do ukrycia.

– Dla porządku nagrań. Mamy środę, dwudziestego listopada dwa tysiące dwunastego roku. Jestem detektyw Etta Fitzroy i jestem tutaj z Milesem Foylem, ojcem zaginionej uczennicy Clary Foyle. Początek przesłuchania godzina dziewiętnasta pięćdziesiąt osiem.

Miles nie podniósł wzroku.

– Doktorze Foyle, czy jest pan gotów podać nam nazwisko kobiety, z którą spędził pan popołudnie dnia, w którym zniknęła Clara?

Nie odpowiedział.

– Doktorze Foyle, utrudnia pan śledztwo w sprawie zaginięcia pańskiej córki. Jeśli nie jest pan w stanie podać nazwiska tej kobiety, abyśmy mogli zweryfikować pańskie alibi, daję nam to podstawę, by sądzić, że pan kłamie. Czy pan to rozumie?

Uniósł głowę. Na białkach oczu widać było pajęczynkę z czerwonych żyłek.

– Co się stanie, jeśli wam nie powiem?

– Możemy trzymać tutaj pana jeszcze przez dwadzieścia dwie godziny. Potem możemy się zwrócić o przedłużenie aresztu.

Walnął pięścią w stół, tak że Fitzroy aż podskoczyła.

– Dlaczego po prostu nie możecie uwierzyć mi na słowo?

– A co by było, jeśli policja uwierzyłaby na słowo Royowi Whitingowi? Albo Ianowi Huntleyowi?

Miles opuścił podbródek na pierś, ale dostrzegła, że jego wąskie usta drżą. Przyniosła mu po stole opakowanie chusteczek.

– Niech pan posłucha, my i tak się w końcu dowiemy. Po co utrudniać?

Poczekala, aż się uspokoi, a potem użyła innego haczyka.

– Doktorze Foyle, czy potwierdza pan, że nastoletnia dziewczyna, która miała praktyki w pańskim gabinecie, w zeszłym roku oskarżyła pana o molestowanie seksualne? – Fitzroy zerknęła do papierów. – Jak sądzę, powiedziała, że przetrzymywał pan ją trzy godziny w miejscu pracy, wbrew jej woli?

Jego twarz oblała się rumieńcem.

– To bzdury – powiedział. – Ona to sobie wymyśliła. Oskarżenie zostało wycofane.

– Doktorze Foyle, czy zmusił ją pan do wycofania oskarżenia?

Miles wpatrywał się w detektyw, wilgotne rzęsy otaczały jego oczy jak żelazne kolce.

– Wyrobiła już sobie pani własne zdanie na mój temat, prawda?

– Niech pan je zmieni.

Deszcz bezlitośnie siekł dach budynku. Fitzroy obsesyjnie, raz za razem, ciągnęła w dół materiał spódnicy, jak gdyby mogło to przywrócić porządek wśród chaosu męcącego jej umysł. Czekala godzinę, aż on rzuci jej wyzwanie, zrobi coś, żeby się bronić.

Jednak Miles Foyle znowu odmówił wyjaśnień.

Kiedy Fitzroy była w pokoju przesłuchań, plama nocy wokół niej zgęstniała. Teraz miała chwilę przerwy i przeskoczyła przez ulicę, aby kolejką DLR dotrzeć do stacji Cutty Sark i tam pojeździć ruchomymi schodami.

Weszła na stalowe schody i pozwoliła się unieść, przemieścić płynnym ruchem, który niósł jej myśli do miejsca, gdzie można było znaleźć jakieś powiązania.

Co powstrzymywało Milesa Foyle'a od wyjawienia prawdy? Co było aż tak złe, że wolał zostać oskarżony o uprowadzenie własnej córki, niż się oczyścić?

Na szczycie ruchomych schodów Fitzroy skręciła w lewo, przemierzyła kilka metrów i postawiła stopę na równoległych schodach, teraz zmierzających w dół. Jakaś para młodych ludzi za jej plecami szturchnęła się i uśmiechnęła, ale detektyw zignorowała ich. Jeżdżenie ruchomymi schodami pomagało uporządkować myśli, wsłuchać się w muzykę grającą w umyśle.

Miles Foyle nie dawał jej spokoju, nieharmonijny i niepasujący do reszty, jak brzmienie talerzy tam, gdzie powinna być sekcja smyczkowa. Z jej doświadczenia wynikało, że większość dzieciobójców nie stawiała się tak od razu w środku kręgu podejrzanych, raczej woląc wałęsać się na jego obrzeżach.

To jednak nie tłumaczyło jednego, bezspornego faktu.

Nadal nie mieli potwierdzenia tego, gdzie przebywał Miles Foyle, gdy zniknęła Clara.

27

Godzina 19.58

Mżyło, księżyc był rozmazany i przesuwające się chmury delikatnie zacierały jego krzywizny. W domach, ciasno ulokowanych jak rzędy kostek domina, panowała cisza. Uliczne lampy, jedna po drugiej stawały się talizmanami chroniącymi przed ciemniejącym niebem. Erdman ciężko kroczył ku Tranquil Vale i pokusie drinka.

Miał mokre policzki. Końce palców ścierały wilgoć, ale powracała w ciągu kilku sekund.

Lilith mnie nie kocha.

A potem...

Jak do tego doszło?

Wypełniła go tęsknota za Jakeyem. Prawie zawrócił w stronę domu, ku cichemu kwadratowi okna w pokoju syna, ale za furtką przemknął cień i wtedy zawrócił. Nie był w stanie stanąć znowu twarzą w twarz z Lilith.

Poszedł Granville Park, prosto do Pagoda Gardens. W lewo, ku Mounts Pond Road, idąc zakretem, tam gdzie łączyła się z Hare i Billet Road, główną arterią prowadzącą do osiedla.

Lilith jedenaście lat temu nakłoniła go do kupna domu na Blackheath, kiedy wciąż jeszcze

cieszyli się życiem i sobą nawzajem. Wspólnie wyskrobali każdego pensa, jakiego tylko mieli i też parę, jakich nie mieli i słodkimi minkami namówili przedstawiciela banku, żeby pożyczył im za dużo.

W dniu przeprowadzki padało i padało, aż odpływy burzowe przepełniły się, wychlapując całe rzeki w dół Lewisham Hill. Kartonowe pudła im namokły, wypolerowane drewno mebli zrobiło się śliskie od wilgoci. W porze kolacji biegali po podmokłym wrzosowisku, szukając czegoś do jedzenia. But Lilith utknął w błocie i wywróciła się na twarz.

Erdman wsunął dłonie po jej pachy i postawił, Lilith jednak śmiała się tak bardzo, że aż zwiotczała. Miała błoto na brodzie i we włosach. Kiedy ugięły się pod nią kolana i poślizgnęła do tyłu, pociągnęła go za sobą w szlam. Potem leżeli wspólnie wśród trawy, deszcz moczył im twarze i śmiali się tak, że aż rozbolały ich brzuchy.

Zbyt biedni, żeby powędrować do którejś z miejscowych restauracji, kupili sobie rybę z frytkami i zjedli palcami u progu Konserwatorium.

Lilith odwróciła się do Erdmana, jej oddech parował, kosmyki włosów wisały wokół twarzy.

– Mam nadzieję, że zawsze tacy będziemy.

Zarzucił jej rękę na ramiona i przyciągnął przemoczone ciało do swojego. Trzęsła się pod kurtką, lecz ani razu nie narzekała, że jej zimno.

– Jesteśmy drużyną, prawda? I tacy pozostaniemy, nawet gdy będziemy mieli osiemdziesiąt lat. I tuzin wnuków i domek nad morzem...

– ...i dwa psy, i stado kur – dokończył za nią.

Lekko klepnęła go w pierś, ale jej oczy śmiały się do niego. Oboje uwielbiali stawiać zamki na piasku.

Później, tego samego wieczoru, znowu leżeli razem, ale teraz na czystej pościeli, nie na trawie. Było już późno, ale brak firanek i pociągi turkoczące po torach przy ich ogródku nie dawały im zasnąć.

– Nareszcie mamy własny dom – powiedziała Lilith, po raz dziesiąty owego dnia.

Erdman roześmiał się. Przetoczyła się w jego stronę. Palcami przesuwiał po każdym zagłębieniu i każdej krzywiznie jej nagiego ciała.

– Ciągle nie potrafię uwierzyć, że właśnie mnie wybrałaś – wymamrotał we włosy Lilith.

Podniosła się na łokciu, dotknęła mu szczeciny na brodzie.

– Czekałam na ciebie.

Uczyniła go szczęśliwszym niż kiedykolwiek. Nie miało znaczenia, że gdy kupili dom, byli ze sobą zaledwie od roku. Nie miało znaczenia, że wyleciał z uniwersytetu i miał za sobą ciąg katastrofalnych związków. Nie miało nawet znaczenia, że nienawidził swojej pracy w magazynie oferującym czytelnikom same bzdury. Znajdzie nową pracę, oświadczy się Lilith, a ich życie stanie się doskonałe.

I przez jakiś czas takie było. Weekendy na wybrzeżu Essex, spędzane w namiocie. Długie,

wypełnione śmiechem noce w Railway, malowanie ścian w ich pierwszym domu. Uprawiali seks. Pobrali się. Dalej uprawiali seks. Lilith zaszła w ciążę. Urodził się Jakey. A ich doskonałe życie rozpruło się, szew po szwie.

Ostry wiatr siekł mżawką w twarz, Erdman wsunął ręce w kieszenie i pochylił głowę. Na ulicach było pusto. Wypije jedno piwo, ochłonie i wróci do domu.

Banda nastolatków rozrabiła obok przystanku autobusowego. Ich wrzaski rozbijały wieczorną ciszę. Jeden z tych chłopcomężczyzn, w kapturze i luźno zwisających dzinsach, tańczył do bitu grającego mu w głowie, każdym wymyślnym krokiem starając się zwrócić uwagę dziewczyny siedzącej samotnie pod wymalowaną graffiti wiatą.

– To jest właśnie fit! I co, mała? Potrenowałaś sobie?

Udawała, że nie zwraca na niego uwagi, majstrując coś przy swoim telefonie.

– Poimprezujesz z nami, mała? Hither Green, no nie?

Uśmiechnęła się, ale nie spojrzała na niego.

– Dzisiaj nie mogę. Przepraszam – mruknęła.

Nastolatek stanął przed dziewczyną na rozkraczonych nogach i złapał się za krocze. Napał w jej stronę.

– Chcesz go?

Jego ekipa zaśmiała się, poklepała go po plecach, ale tego nie było dość. Herszt, rozzłoszczony, gwałtownie sięgnął po telefon dziewczyny. Pisnęła, a Erdman pobiegł przez ulicę, w stronę wyrostków.

– Hej! Co ty do cholery wyrabiasz? Daj jej spokój.

W jego stronę odwróciło się pięć głów, pięć twarzy w takich samych maskach wrogości.

– Co jest, kurwa, chłopie? Chcesz sobie zamoczyć w cipce, dziadu?

Gang otoczył go, a Erdman nerwowo szperał w szafce na dokumenty swojego umysłu. Kiedy otoczy cię grupa groźnie wyglądających nastolatków, to: a) nie trać pewności siebie i stawaj do walki, b) błagaj o litość, c) udawaj zabitego, dopóki wszystko się nie skończy? Erdmanowi najbardziej podobało się b), ale kiedy uniósł ręce w geście: „Dobra chłopaki, zapomnijmy o sprawie”, ktoś pchnął go w pierś. Zatoczył się do tyłu. Nigdzie nie było widać dziewczyny. Poczul, że przelewają mu się wnętrzności.

Inny członek bandy, chłopak o szurzej twarzy w ćwiekowanym pasie i ze złotym łańcuchem na szyi, śmignął Erdmanowi pięścią przed twarzą. Krew bryznęła mu z nosa, zebrała się w gardle. Wypluł ją, potem przesunął językiem wokół ust, szukając poluzowanych zębów. Drugi cios, zadany przez Szczurka w żołądek, sprawił, że Erdman upadł na kolana. Ciężki sportowy but uderzył go w nerki. Parsknął, zaszokowany.

Kiedy na ciało Erdmana zwała się lawina kopniaków i ciosów pięścią, jego umysł stłumił ból, spowalniając czas do poszczególnych scen. Ktoś wyciągnął mu z kieszeni portfel, ktoś wyciągnął komórkę. Zobaczył czerwoną sznurówkę ciągnącą się w kałużę, potem złoty błysk dużego sygnetu, tuż przed tym, jak coś rozcięło mu podbródek, smakując ziemią i miedzią.

Najpierw był pewien, że to nóż. Chłodny dotyk ostrza sunący po policzku. Nie minęło jednak kilka sekund, a uświadomił sobie, że przedmiot jest cięższy i nie zgadzają się kształty. Szczurek zamachał mu nim przed oczyma. Spodnie Erdmana wypełniło nieprzyjemne ciepło.

– Złałeś się, tatuśku? – wyszeptał. Ostatni kopniak. – Oszcząłeś mi buty, chuju.

Członkowie gangu podskoczyli, przybijając sobie piątki, nabuzowani przemocą. Ktoś nastąpił Erdmanowi na rękę. Zarechotali i się odsunęli.

Może to się stało przez słowo „tatuś”, wyszeptane godzinę temu przez jego zaspanego syna. A może to ta jego wrodzona złośliwość, na którą tak narzekała Lilith. Może chodziło o to, że czuł się upokorzony i wściekły. Jednak z ust Erdmana wydobyły się te słowa, zanim zdołał je powstrzymać.

– Dobrze, skurwielu.

Szczurek, który pochylał się, wiążąc sznurówkę, nagle wyprostował się. Jednym płynnym ruchem wyciągnął zza gumki dresowych spodni webleya kaliber 8 mm.

– Bum! – zawołał i wystrzelił.

Erdman ledwie zauważył broń, a już pocisk wybił mu dziurę w zewnętrznej części uda. Zarejestrował ciepło a potem, ból, który rozbłysnął jaskrawo. Ogień z białym płomieniem pośrodku. Słyszał, że kordyt śmierdzi, ale poczuł tylko bardzo słabą woń gnijących roślin.

Poza dzwonieniem w uszach słyszał też okrzyki, śmiechy i odgłos biegu. Zamknął oczy i położył policzek na chodniku.

„Zeszłej nocy w południowo-wschodnim Londynie zastrzelono mężczyznę w średnim wieku, ojca. Erdman Frith, lat 39, powinien pilnować własnych, cholernych spraw”.

Wymacał palcami nogę. Dżinsy mu się lepily, ale krew płynęła strumyczkiem, a nie potokiem. Erdman nie był lekarzem, domyślał się jednak, że pocisk tylko go drasnął. Bolało jak jasna cholera, ale się nie wykrwawi. Nie wierzył w Boga, lecz i tak Mu dziękował. Postrzelono go i przeżył. Ilu ludzi może coś takiego powiedzieć? Mógłby opisać to w magazynie. Nie, nie, przecież już tam nie pracował.

Przyплыw poczucia triumfu, a potem powieki zrobiły się ciężkie, walczył z przemożną chęcią, aby ponownie je zamknąć. Czy przypadkiem nie powinien pozostać przytomny? A może to hipotermia?

Kiedy tak leżał spokojnie, jego ciało gwałtownie wracało do życia. Przy każdym wdechu palił go dół pleców – nerki??? śledziona??? – a twarz miał nabrzmiałą i obolałą. Wokół oczu coś gwałtownie mu puchło. Wyobraził sobie swoją skórę jako mapę pełną siniaków i rozcięć.

Powoli przetoczył się na bok. Próbował coś powiedzieć, wzywać pomocy, ale zdawało się, że jego usta nie pracują.

Erdman dźwignął się ponad krawędzią trawnika. Czekał na dodający otuchy głos, migoczące niebieskie światła, wyteżał się, aby usłyszeć syrenę, jednak na Heath było pusto.

Zamknął oczy, z jedną nogą już za progiem utraty przytomności i modlił się, aby ktoś był świadkiem napaści.

Owszem, ktoś był świadkiem napaści, ale gdyby Erdman wiedział kto, odwołałby modlitwę.

28

Godzina 20.07

Zakrwawione ciało ojca leży na trawie, kilkadziesiąt metrów od furgonetki. Dostrzega, że wyglansowane buty grzęzną w bagnistym gruncie. Kiedy się zbliża, widzi, że oczy leżącego są zamknięte, napuchłe. Nie rusza się.

Kolekcjoner Kości krąży wokół niego. Mógłby mu pomóc, mógłby wezwać karetkę. Ale tego nie robi. Tym razem ulica jest pusta. Nie przejeżdżają żadne samochody, na Heath nie ma żadnych spacerowiczów ani biegaczy, nikt nie wyprowadza psa. Kolekcjoner Kości uśmiecha się, jego zęby błyszczą w sodowym blasku ulicznych świateł. Teraz, gdy ojciec został unieruchomiony, łatwiej będzie dostać chłopca.

Obserwuje tę rodzinę już od kilku dni. W pracy. W szkole.

Już prawie pora.

Poprawia torbę wiszącą na ramieniu. Jej zawartość nie jest ciężka, jednak czuje, jak bardzo jest ważna. Nosi torbę wszędzie. Nie waży się spuszczać jej z oczu. Jego palce wślizgują się przez otwarcie torby, ocierają o karton, suną po gładkiej kości. Prezent dla chłopca, taka swoista wymiana. Uczciwy targ.

Bawi go, że ojciec nie zauważył skradającej się za nim szarej furgonetki, czającej się, wścibskiej, nieproszonej. Ta jego furia była darem od losu, oślepiła go.

Kolekcjoner Kości buduje sobie obraz rodziny. Chce obnażyć jego słabości, czułe miejsca. Pragnie znaleźć szczelinę, przez którą zdoła się wemknąć i zdobyć swój łup.

Ma pewność, że ten łup właściwie już jest jego. Widzi prawdę, zapisaną czernią i bielą.

Spogląda w dół, na ojca, mżawka wzmaga się teraz. Twarz tamtego jest wilgotna od krwawych łez. Powieki mężczyzny drżą, a on jest bliżej. Drżą i jest już bliżej. Drżą. I bliżej.

Wzmaga się wiatr, chłodząc wilgotną skórę. Dzisiaj w nocy spóźni się do pracy. Słyszy dobiegające z daleka wycie syren. Zatrzymuje się, przechyla głowę. Dźwięk syren staje się coraz głośniejszy, wspinają się na wzgórze. Są coraz bliżej, bliżej, prawie przy Crown.

Odwraca się i biegnie.

Najpierw zwiększa odległość, ale potem traci oparcie dla stóp, rozciąga się jak długi na miękkiej ziemi. Torba zlatuje mu z ramienia, ląduje niedaleko, do góry nogami.

Teraz syreny są prawie nad nim, z wrzaskiem przedzierają się obok kościoła. Gramoli się, stając na nogach, chwyta pasek torby. Podejmuje na nowo kuśtykający bieg.

Nie dostrzega, że torba jest pusta.

29

Godzina 23.56

Jesteś pewna? – zapytał szef.

Fitzroy podniosła wzrok znad profilów miejscowych pedofilów, które właśnie kalają jej monitor, zadowolona z chwili wytchnienia. Dane sprawiały, że czuła się brudna i przygnębiona.

Miles Foyle nadal przebywał w areszcie. Kiedy ostatnim razem do niego zaglądała, spał. Za kilka godzin spróbuje ponownie, oznajmi mu, że planują wydłużyć czas zatrzymania. Może desperacja rozwiąże mu język.

– Kurwa – powiedział szef i rzucił telefon komórkowy na biurko. Paru funkcjonariuszy uniosło wzrok z zainteresowaniem. Okrężnym ruchem potarł się po piersi i wydobyl antacyd z fiolki.

– Chce pan do tego trochę wody?

Skinął w stronę ekranu komputera.

– Widziałś, że na Heath postrzelono jakiegoś mężczyznę?

– Tak, ale zajmuje się tym nocna zmiana. To nie nasz problem, prawda?

– Teraz nasz. Nadinspektor chce, żebyśmy rzucili okiem.

– Po co? – Fitzroy była zaskoczona.

Szef coś zapisał dla Fitzroy. Po tym jak jego długopis piłował papier, dostrzegła niezadowolone z perspektywy utraty kilku funkcjonariuszy.

– Ktoś widział tam szarą furgonetkę. – Wyglądał na zmęczonego. – Wiem, że prawdopodobieństwo jest małe, ale kiedy w odległości mniej więcej kilometra od siebie znika mała dziewczynka i zostaje postrzelony jakiś mężczyzna, musimy się upewnić, że oba zdarzenia nie są ze sobą związane. – Westchnął. – To przypuszczalnie nic. Sprawdź to, dobrze? Może z tobą jechać detektyw Chambers.

– A co z Milesem Foylem?

– Znajdę kogoś innego, żeby go przesłuchał.

– Tak jest.

Kiedy Fitzroy wyłączyła komputer, rozdzwonił się jej telefon. Nina. Zignorowała to i starała się nie myśleć, dlaczego nie wróciła, by zobaczyć się z siostrzeńcem. Meszek na główce noworodka, jego słodki, mleczny zapach okazały się dla niej trudniejsze do wytrzymania niż widok najbrutalniejszej zbrodni.

Nigdy nie miała szansy, by spojrzeć swojemu synkowi w oczy, nakarmić jego poszukujące jedzenia usteczka. Jej własne dziecko, nieskalane, piękne i urodzone tydzień przed terminem w ogóle się nie poruszało.

– Aha, Fitzroy.

– Słucham?

– Załatw to tak szybko, jak się da. Potrzebuję cię tutaj z powrotem.

Fitzroy poskładała swój smutek w małą schludną kostkę i schowała ją. Ktoś jej przecież potrzebował.

ŚRODA

30

Godzina 24.00

Północ: „Erdman, wracaj do domu. Na dworze pada”.

Godzina 24.15: „Przepraszam. Dobra, wcale nie uważam, że zajmujesz się w pracy jakimś gównem. I że nie można na tobie polegać”.

Godzina 24.30: „No to dobra, uciekaj sobie, tak jak zawsze uciekasz”.

Godzina 1.00: „Kładę się spać. Jeśli nie będzie cię całą noc, to możesz się nie martwić powrotem do domu. W ogóle”.

Kłopot z Erdmanem polegał na tym, że po prostu nie myślał o innych. Wściekły wypadł z domu, kiedy mu to odpowiadało, a teraz zachowywał się po prostu niepoważnie. Gdyby tyle samo wysiłku wkładał w swoją pracę, dawno już zostałby jakimś cholernym prezesem.

Lilith poprawiła się w łóżku, próbując spać i udając przed samą sobą, że nie nasłuchuje popiskiwanego telefonu. I owszem, było jej przykro przez to, co powiedziała, ale w zasadzie mówiła prawdę. Erdman zawiódł swoją rodzinę.

Trzymała to w tajemnicy, nawet przed Erdmanem, ale zawsze żał jej było swoich przybranych rodziców. Chociaż ich kochała, migotanie ich starusieńkiego telewizora zdawało się jedynym kolorem w szarym, podmiejskim życiu. Teraz stała się trochę taka jak oni, wieczór po wieczorze spędzając przed telewizorem, a Erdman przed laptopem, bez przerwy grając w gry czy pisząc wiadomości dla gromady obcych ludzi.

Wśluchiwała się w deszcz dudniący o dach. Czasem własne życie zdawało się jej prognozą pogody, szare, pochmurne, bez perspektywy słońca. Pod kódrą gładziła wąską, srebrną obrączkę, jedyną biżuterię, jaką nosiła. Erdmana, kiedy jej się oświadczał, nie było stać na pierścionek, a potem nigdy nie pomyślał, aby go kupić. Już miała dość udawania, że to bez znaczenia. Ostatnio wyrobiła sobie nawyk bawienia się obrączką, gdy czuła złość i

przesuwała nią po palcu bez trudu. Nie rozumiała, jak to się stało, że palce jej zeszczipały, podczas gdy wszystko inne się poszerzyło.

Gdzie on był, do jasnej cholery? Jakey wstanie za cztery godziny, a Lilith nie miała pojęcia, jak mu wytłumaczy nieobecność ojca.

Wreszcie wściekłość, obracająca się wewnątrz niej, zakończyła swój cykl wirowania. Lilith, zmęczona, zapadła w niespokojną drzemkę, co jakiś czas budząc się gwałtownie, by zerknąć na telefon, leżący na nocnym stoliku.

Nie chciała się do tego przyznać, jeszcze nie teraz, ale zaczynała już czuć pierwsze drgania niepokoju. To wcale nie było do niego podobne, ani trochę. Tak się jednak wściekła, że zwolnili go z pracy, że uderzyła we wszystkie jego czułe miejsca i teraz pewnie był gdzieś na mieście, pewnie pijany. Najprawdopodobniej narażony na napad.

Po raz pierwszy od miesiący zauważyła, że bardzo chce, aby mieć obok siebie w łóżku to dające poczucie bezpieczeństwa zwaliste ciało męża. Jutro, a dokładniej rzecz ujmując, już dzisiaj przyrządzi mu na podwieczorek jego ulubioną potrawę, może otworzy butelkę wina. Przeprosi. On znajdzie nową pracę, nawet jeśli to zajmie kilka miesięcy. A ona bardziej się postara. Był tylko zadzwonił i powiedział, że wszystko w porządku.

Do jej uszu dotarło kwilenie, tak ciche, że mogłoby się jej przyśnić. Wyprostowała się, siedząc, nasłuchiwała, czy dotrze do niej ponownie. Zanim zdążyła wyjść z łóżka i sprawdzić, o co chodzi, w drzwiach jej pokoju zjawił się Jakey. Oczy miał szeroko otwarte i przypatrywał się matce. Na policzku zobaczyła zadrapanie, którego nie było, kiedy kładł się spać.

– Jakey? Nic ci nie jest, kochane? Miałeś jakiś koszmar?

Odrzuciła kołdrę, szeroko rozpostarła ramiona, zapraszając syna, tak jak robiła już niezliczoną ilość razy, od kiedy był na tyle duży, aby przybiegać do jej łóżka, gdy nocne strachy przepędzały go z własnego. Ale Jakey nie ruszył się. Cały czas się w nią wpatrywał, pot okrywał mu skórę jak warstewka oliwy.

Jego usta zaczęły się poruszać, mamrocząc słowa, których nie była w stanie usłyszeć, to był po prostu zbiór pozbawionych znaczenia dźwięków.

Przerzuciła nogi nad krawędzią łóżka, położyła Jakeyowi dłoń na ramieniu i delikatnie nim potrząsnęła. Czowała pod palcami wilgoć pizamy. Ciepło spuchniętej ręki. Zamrugął, nie widząc, oddech miał szybki i płytki.

– Jakey, to sen, to tylko sen.

Ciemne kałuże jego oczu obróciły się ku niej. Otworzyła usta, aby znowu go ukoić, lecz uciszył ją pusty wyraz jego twarzy.

Jakey zrobił krok w jej stronę, a potem nagle, gwałtownie obrócił się w lewo. Nie mrugając, szarpnął się do przodu i walnął czołem w ostry kant framugi drzwi. Do uszu Lilith dotarł przyprawiający o mdłość dźwięk. Odgłos uderzanych skóry i kości.

Zanim matka zdążyła zareagować, powtórzył to. Strumyk krwi spłynął po grzbiecie nosa,

lecz Jakey nawet się nie skrzywił.

– Przestań – na wpół krzyknęła, zdjęta grozą i złapała go za ramiona, kiedy odchyłał głowę, gotów po raz trzeci uderzyć we framugę. Nie szarpał się, lecz stał bezwładnie, jak gdyby czekał, aż go wypuści, aby mógł znowu robić sobie krzywdę.

Światło z półpiętra padło na twarz chłopca. Na jego czole odcinał się już krwawy siniak. Białą farbę zdobiła strużka krwi, a Lilith z trudem potrafiła znieść myśl o tym, jaką mógł sobie zrobić krzywdę. Wyobrażała już sobie obrzmienia i bezkształtny grzbiet kości szpecący mu twarz.

Potrząsnęła nim jeszcze raz, teraz gwałtowniej.

– Jakey, ocknij się. Śnił ci się koszmar, nic więcej.

Do jego oczu powróciło nieco przytomności, a na twarzy pojawiło się zmieszanie, jakby zaskoczyło go, że jest tutaj, nad ranem, w sypialni rodziców.

– Kochanie, już wszystko dobrze. Już po wszystkim, wszystko odeszło – powiedziała. Chwyliła go i przeniosła do swojego łóżka, odgarniając mu grzywkę na bok.

Czoło miał po prostu zmasakrowane, ale oczy już mu się szklily, sen ciągnął go w dół, a Lilith za bardzo chciała przeszkadzać mu kremem bakteriobójczym, zimnym kompresem i ostrym blaskiem światła w łazience.

Już prawie zasnął, wznoszenie się i opadanie jego piersi spowalniało, w miarę jak staczał się w otchłań snu, lecz gdy nachyliła się, żeby okryć go kołdrą, ramię syna oplotło jej szyję, przyciągnęło do niego. Poczowała na twarzy brzydki pachnący oddech.

– On nadchodzi – wyszeptał Jakey. – Stare Krwawe Gnaty nadchodzi.

Lilit dostała gęsiej skórki. Cholerna książka Erdmana. Nie miała pojęcia, dlaczego Jakey cały czas ma obsesję na tym punkcie. Kiedy w tę noc, gdy uderzył się w rękę, znalazła ją porzuconą obok kosza na rzeczy do prania, schowała ją. Może to wszystko efekt uboczny leków, które dostawał, przeciążenia jego wciąż rozwijającego się mózgu. I był też w wieku, kiedy popuszcza się wodze wyobraźni, kiedy ciemność czai się za każdym rogiem. Porozmawia z nim rano i postara się dotrzeć do sedna całej sprawy.

Lilith opadła na łóżko, jej spojrzenie spoczęło na krześle okrytym ubraniami. Cienie w sypialni zdawały się gęstnieć i pulsować życiem i przez króciuteńką chwilę ubrania wydawały się bezkształtną, ruchomą masą. Serce Lilith aż podskoczyło, zanim zdołała wziąć się w garść. Była roztrzęsiona oczekiwaniem na powrót Erdmana, to wszystko.

Jakey na chwilę otworzył oczy, potem zamknął je ponownie. Dopiero kiedy Lilith zobaczyła, że podryfował w głębszy sen, uświadomiła sobie, że przecież nie zapytał, gdzie jest ojciec.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, tak delikatne jak wstający, szary brzask, Lilith wciąż nie spała i piekącymi oczyma wpatrywała w sufit.

Zakładając szlafrok w narastającym poczuciu zbliżania się czegoś nieuchronnego, spojrzała na spokojną ulicę poniżej.

Samochód zdradził wszystko. Miał fluorescencyjne szachownicowe pasy po bokach. Ten długi nos maski, który wścibiał w cudze sprawy. Za nim stał jakiś nieoznakowany pojazd. Popędziła w dół schodów, zanim pukanie się powtórzy, bo obudzi Jakeya.

Jakaś kobieta w zielonym płaszczu z paskiem i w czarnych spodniach trzymała w ręku legitymację. Jej opalona twarz, która w innych okolicznościach wyglądałaby przyjaźnie i miło, była teraz ponura, zaciśnięte usta przypominały ołówek. Wilgotne powietrze zmierzwiło brązowe loki. Obok stał pyzaty mężczyzna z brzuszkiem.

– Pan Frith? Jestem detektyw Etta Fitzroy. To jest detektyw Alun Chambers. Możemy wejść?

Lilith opatulila się szlafrokiem.

– Co się stało?

Powiedz mi, po prostu mi powiedz.

– Czy możemy gdzieś usiąść? – zapytał Chambers.

Później, kiedy Lilith odgrywała w myślach wydarzenia tamtego poranka, właśnie to zdanie zapamiętała. Bo tak mówiono przed przekazaniem okropnych wieści.

Detektyw Fitzroy niezgrabnie usiadła na skraju skórzanej sofy. W modnym żakiecie nie pasowała do tych podniszczonych mebli. Spojrzenie, pełne współczucia, skupiła na Lilith.

– Czy pani mąż jest w domu?

– My... ehm... mieliśmy sprzeczkę. – Szukała w ich twarzach jakiegoś pocieszenia. – Czy z Erdmanem wszystko w porządku? Proszę, może mi pani powiedzieć, o co chodzi?

– Wczoraj około dwudziestej piętnaście doszło do strzelaniny na skrzyżowaniu Mounts Pond, Hare i Billet Road. – Chwila przerwy. – Sądzymy, że był w nią zamieszany pani mąż.

Lustro wiszące nad kominkiem jak gdyby przechyliło się w bok. Przed oczyma Lilith zamgliło się, a ona wpiła paznokcie w brązową skórę.

– Erdman został postrzelony?

Chambers krótko skinął głową.

– Świadek, młoda dziewczyna, widziała mężczyznę pasującego do rysopisu pani męża, zaatakowanego przez bandę wyrostków. Wiemy, że strzelano z broni palnej, ale staramy się ustalić kolejność zdarzeń.

Detektyw ściszył głos, jak gdyby zmiana głośności mogła jakoś osłabić cios.

– Na miejscu zdarzenia znaleźliśmy portfel pani męża.

Lilith przemyślała jego słowa i uśmiechnęła się z nagłej, niespodziewanej ulgi.

– Stąd wiecie, że to Erdman? To znaczy, przypuszczalnie zgubił portfel po drodze do pubu. Pije w Crown, na osiedlu. Jest bardzo roztrzepany, ciągle gubi różne rzeczy. W zeszłym tygodniu zgubił klucze, a kiedyś na cały rok stracił paszport. Kiedyś z kolei książeczka czekowa spadła mu za lodówkę.

Fitzroy po raz kolejny spojrzała na nią ze współczuciem.

– Wiemy od świadka. Kiedy zaczęła się bójka, na przystanku autobusowym siedziała dziewczyna. Uciekła i zadzwoniła na policję, ale wróciła, gdy usłyszała syreny. W portfelu pani męża była jego legitymacja prasowa. Dziewczyna spojrzała na zdjęcie i sądzi, że to on.

– O mój Boże. – Pytania aż wirowały w jej głowie. – Czy nic mu nie jest? Czy jest szpitalu? Czy on nie...? – Nie potrafiła tego powiedzieć.

Fitzroy i Chambers wymienili zakłopotane spojrzenia.

– Na tym właśnie polega problem. Nie wiemy. Wiemy, że został zabrany do szpitala, ale kiedy się tam zjawiliśmy, został już opatrzony i opuścił placówkę. Zajmujemy się odrębną sprawą zaginięcia i musimy z nim porozmawiać o furgonetce, widzianej, kiedy nastąpiło całe zdarzenie. To niezwykle pilne. Czy ma pani jakiś pomysł, gdzie on może teraz być?

To się nie działo naprawdę. Zaraz się obudzi, zobaczy śpiącego obok Erdmana, a potem spakuje Jakeyowi lunch, odprowadzi go do szkoły, następnie razem z mężem, jak co środę wieczór, zje curry i pewnie znowu się o coś pokłóca.

– On nie ma wielu przyjaciół.

– A co z kolegami z pracy i tak dalej?

– To niezbyt prawdopodobne. Właśnie stracił posadę.

Detektywi wymienili kolejne znaczące spojrzenia.

– Pani Frith – odezwał się Chambers. – Czy pani mąż miał do czynienia z narkotykami?

Lustro przekrzywiło się ponownie, a potem wyprostowało.

– Oczywiście, że nie. – Nie było co wspominać o sporadycznych skrętach. – Dlaczego państwo pytają?

– Sądzimy, że nastolatek, który go postrzelił, należy do jednego z najgroźniejszych gangów narkotykowych południowo-wschodniego Londynu. Istnieje możliwość, że pani mąż został zaatakowany, bo był mu winien pieniądze.

– Państwo mówicie, że go postrzelił gang narkotykowy?

– To jedna z teorii.

Śmiech Lilith był ochrypłym poszczekiwaniami.

– Chyba nie mówicie poważnie. – Policjanci nie odpowiedzieli. – O mój Boże, jednak mówicie poważnie.

Wiedziała, co mogą sobie myśleć. „Stracił pracę, miał problem z pieniędzmi, bo z jakiego innego powodu miałby do czynienia z tymi ludźmi?” Pokój znowu się rozplątał, a ona zmusiła się do tego, aby się skupić. Przypomniała sobie, jak kiedyś w klubie Amber częstowała kreskami koki i wyciągała przezroczystą torebkę śniadaniową z pigułkami o pastelowych barwach.

– Nie – powiedział wtedy Erdman, kręcąc głową. – To nie moja bajka.

Ale co tak naprawdę wiedziała o swoim mężu?

Na górze woda spłynęła w toalecie. Jakey. Co ona mu teraz powie, do cholery? Nigdy go

nie okłamała. Obiecała sobie, że nigdy nie skłamię. Jednak to mogło zburzyć tę kruchą stabilność, o którą tak walczyli i w takim znoju budowali. Czy zatajenie prawdy jest kłamstwem?

Uderzyła ją pewna myśl, aż zapierająca dech: O, Boże, a jeśli on nie żyje? Jeśli tak sobie teraz tutaj siedzą, omawiają teorie dotyczące tego, gdzie może być i sposoby odnalezienia go, a on od kilku godzin jest zimny, odarty z życia? Ale nie, przecież sam wyszedł z szpitala, tak mówił policjant. Po prostu nie wiadomo dokąd.

Chambers wyłonił się skądś z imbrykiem herbaty. Nasypał cukru do miseczki i znalazł jakiś starożytny dzbanek na mleko, którego nigdy nie używali. Do filiżanki Lilith wrzucił trzy łyżeczki cukru, chociaż nie słodziła, od kiedy skończyła dwadzieścia lat.

Wypiła łyk, zauważając, że mimo wszystko nadal posiada zdolność wstydzania się obtłuczonej zastawy.

Nie, nie, nie. To na pewno była pomyłka. Jej mąż był nudny. Takie rzeczy nie przytrafiają się ludziom takim jak on. Erdman lada chwila wejdzie i wszystko będzie takie, jakie powinno być. Jednostajne i przewidywalne.

– Co teraz? – zapytała.

Chambers był ponury.

– Pani Frith, poczekamy, aż pani mąż wróci do domu.

Dom wypełnił się ludźmi. Kiedy Jakey zszedł na dół z włosami sterczącymi na wszystkie strony i ramieniem czerwonym i napuchniętym, pani Cooper z sąsiedztwa była w pokoju obok, smarując tost masłem, a pan Cooper parzył kolejny imbryk herbaty.

Lilith znalazła syna ukrytego w gabinecie, wiercącego się w fotelu Erdmana. Na czole miał dużego siniaka i zaschłą krew. Podbródek chłopca był wykrzywiony w stronę obojczyka, jednak syn uniósł wzrok, spotykając jej spojrzenie. Widok twarzy Jakeya, tak podobnej do twarzy ojca, sprawił, że oczy Lilith wypełniły się łzami. Wyjęła mu kciuk z buzi. W milczeniu patrzyła, jak Fitzroy i Chambers odstawiają swoje kubki i wychodzą.

– Gdzie jest tatuś? – zapytał, kiedy wyszli.

Podniosła go i ostre krawędzie jego kości wbiły się jej w ciało, ale o to nie dbała. Zauważyła ruch. Wypuściła oddech, o którym dotąd nie miała pojęcia, że go wstrzymuje. Nadal poruszał nogami. Nie miał na plecach żadnych nowych guzów. To była gra, w którą grała co rano, nie wiedząc, jakie zmiany może przynieść noc. Nieświadomie powtarzając gest Erdmana sprzed kilku godzin, przycisnęła syna do siebie, a jej palce przesunęły się po kościach żeber wyczuwalnych pod piżamką, kruchych niczym szkło. Czuła ciepło jego ręki. I pleców.

Próbowała tak ważyć słowa, aby sześciolatek był w stanie je zrozumieć.

– Nie jesteśmy pewni, kochanie, szukamy go.

– A co jeśli go nie znajdziecie?

Lilith postawiła synka na podłodze i na wpół przykucnęła przed nim, łapiąc za powykręcane barki. Potrafiła dostrzec zwątpienie na jego twarzy.

– Oczywiście, że go znajdziemy – powiedziała. – Tatuś niedługo będzie w domu.

Jakey bezskutecznie próbował pokręcić głową i parsknął z irytacją. Grupa wsparcia ostrzegała Lilith, że frustracja pojawia się często, zwłaszcza jeśli chory pamięta, że kiedyś poruszał się swobodnie.

– Wszystko w porządku, kochanie? Możemy iść się ubrać?

Jakey nie odpowiedział, jego umysł był pełen mrocznych wyobrażeń, zaczerpniętych ze starej książki z podaniami i z telewizyjnych informacji na temat Clary Foyle.

Zamiast tego złapał notatnik Erdmana i delikatnie przewertował strony. Pokryte były bazgrołami ojca, w przeważającej większości nie do odczytania.

Chłopiec przesuwiał palcem po pętłach i zawijasach, ale spojrzenie miał martwe.

31

Godzina 10.06

Kilka kilometrów dalej, na Lincoln's Inn Fields, jakaś postać wślizguje się do muzeum.

Każdy, kto na nią spojrzy, może uznać, że jakaś choroba odjęła jej ciało od kości. Policzki ma zapadłe, skórę tak naciągniętą, że wydaje się, że za chwilę pęknie. Ubrania zwisają z wątlej sylwetki przypominającej zestaw starych kości trzymanyh razem przez cieniutkie pasma ścięgien i mięśnie. Kiedy ten człowiek się uśmiecha, wygląda to jak ostrzeżenie.

Każdy, kto stoi zbyt blisko, może spod piżmowych woni dezodorantu wyczuć słabiuteńką nutę innego zapachu. Inni ludzie, nie potrafiąc dokładnie określić, co to jest, dyskretnie się odsuwali, zbyt uprzejmi, aby to skomentować, tylko marszczyli nosy z odrazą. Tych nielicznych, którzy pracowali w kostnicach albo ubojniach, rozpoznanie owego zapachu uderzało gładko i głęboko jak ostrze.

Kolekcjoner Kości stąpa miękko po marmurowej podłodze, której ciemne zawijasy są takie same jak u chorych kości na piętrze.

Minęły trzy dni od jego ostatniej wizyty i teraz martwi go witają. Wdycha pozbawione woni powietrze, zamyka oczy, uspokaja serce.

Dziedzictwo Johna Huntera jest wszędzie. W pokurczonych pięćioraczkach z Blackburn, w zębach żołnierzy poległych pod Waterloo i w tysiącach innych kuszących niezwykłości.

W cieniu Huntera kroczy jego wierny pomocnik, pan Howison. Porywacz ciał. Ten, z którego kością i krwią jest Kolekcjoner Kości. Ten, który założył rodzinną kolekcję ponurych skarbów, zrabowanych z cudzych grobów, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Każdy kolejny syn wzbogacał ją o najrzadsze, najdoskonalsze eksponaty. Tą kolekcją opiekował się jego ojciec i mu ją przekazał.

Więzy, wpijające się głęboko, aż do krwi.

Kolekcjoner Kości, wchodząc do Galerii Kryształowej, pozwala sobie spojrzeć na trzymiesięczny płód, odfiletowany aż do delikatnych kostek. Taką laleczkę w łóżeczku z pudełka na cygara.

Z przyzwyczajenia zerka przez szkło, ale chociaż kości tego szkieletu nie są grubsze od złamanych zapalek, już nie pociąga go jak dawniej.

Ma już swój własny taki szkielet.

Śpieszy przez galerię, nie zwracając uwagi na cylindry ze zwierzęcymi językami i amputowanymi kończynami, aż dociera do szklanego pojemnika ze szkieletem, który kiedyś był Charlesem Byrne. Właśnie po to się tutaj zjawił. Opada na kolana i pochyła głowę, czciciel przed ołtarzem, nabożny i pokorny.

Od tego się zaczęło. A jego zaszczytem i przywilejem jest kontynuacja dzieła Howisona.

Kolekcjoner Kości unosi twarz, wysuwa język i oblizuje wargi. Irlandzki Olbrzym. Dwieście trzydzieści jeden centymetrów kości i tajemnicy.

Po dziesięcioleciach profesorowie odkryli to, czego nigdy nie zdołał odkryć Hunter. Zmutowany gen, przyczynę nienaturalnego wzrostu. Jednak Kolekcjoner Kości jest wdzięczny Byrne'owi i temu, że jego szkielet urzekł i oczarował chirurga. Ponieważ legitymizacja kradzieży ciała Byrne'a obdarzyła przodków Kolekcjonera dziedzictwem cudowniejszym, niż Hunter mógłby sobie wyobrazić.

Jego oczy spoczywają na miednicy Byrne'a i wędrują wzdłuż szkieletu, napawając się kością kulszową, biodrową i łopatką. Kładzie palec na szkle i przesuwając nim wzdłuż kręgow i klatki piersiowej, połączonych brązowym sznurem. Niektórych kości brakuje. Kolekcjoner zastanawia się, jakież sekrety mogą kryć.

Marshall przyprowadził go tutaj po raz pierwszy jako małego chłopca, mimo sprzeciwu matki. Ale Sylvie niepotrzebnie się martwiła. Ta wystawa go nie przerażała. Ona go intrygowała.

Ojciec ucieszył się z jego zainteresowania, zachęcał do zadawania pytań. Opowiadał o rabusiach grobów i o duchach. O tym, jak Howison podmienił ciało giganta na kamienie brukowe i ukradł trupa dla Huntera. O ich rodzinnych powiązaniach z tym miejscem, o właściwych twórcach galerii.

Wtedy właśnie Marshall wprowadził syna w zagadnienia rodzinnej powinności. Rozpoczął edukację, której kulminację stanowiły zabójstwa, zrodzone z pragnienia zachowania i ochrony medycznych rarytasów.

A on bardzo chętnie się uczył, pragnąc kontynuować tradycje rodu.

Mija godzina, potem jeszcze jedna. Kolekcjoner Kości nie zauważa odrętwienia nóg ani turystów szturchających go, gdy chcą przyjrzeć się szkieletowi z bliska. Wpatruje się w gablotę z Panem Jeffsem, w trofeum w postaci jego wykręconych pleców. Rozmyśla o własnych trofeach i obietnicy tego, co miał jeszcze zdobyć.

Po jakimś czasie zerka na zegarek. Ma nadzieję, że ona je teraz lunch, który zostawił na krześle obok łóżka. Ostatnio ledwie co go tknęła, tylko gdzieniegdzie nadgryzła. Kupi jakiś smakołyk, aby wzmóc jej apetyt, który zmniejsza się z każdym mijającym dniem.

Myśli o powrocie, ogarnia go czułość do niej. Za mniej więcej godzinę ma umówione spotkanie w Woolwich. Jeśli nie zjawi się tam szybko, diler sprzeda nową kolonię konkurencyjnemu kolekcjonerowi, a tak nie może być. Chrząszcze należą do niego.

A potem ten chłopiec. Pod koniec dnia musi dotrzeć do szkoły. Ma wiele do zrobienia.

Mniej więcej pięć kilometrów dalej, w pokoju u szczytu domu, Clara Edith Foyle ćwiczyła wymawianie swojego imienia i nazwiska. Raz za razem wypowiadała litery. Wiedziała, że każda część jej imienia i nazwiska ma pięć liter, a całość piętnaście. Powtarzała imię, aby przypomnieć samej sobie, że wciąż istnieje.

Kiedy tu trafiła, wołała matkę i ojca. Ginę i Eleanor. Po jakimś czasie pojęła, że nie przyjdą. Że przyjdzie tylko Nocny Pan.

Kilka godzin wcześniej Clara przyglądała się pajakowi, który biegł po podłodze, do kąta najbliższego drzwi. Tkał nic, podążając za naturalnym instynktem każącym mu polować, nawet jeśli za sprawą lodowatego ziąbu uwięziona Clara nie widziała tutaj innych owadów.

Trochę później pajęczyna znowu ją przyciągnęła. Ku zaskoczeniu dziewczynki, w lepkie nici zaplątało się jakieś małe zwierzątko, poruszając się i gorączkowo tracąc energię. Było płaskie, czarne, błyszczące. Jakiś żuczek, pomyślała, przetaczając zgłoski po języku.

Przyglądając się pajakowi, zasnęła, a w snach powróciła do domu, leżała bezpiecznie zagrzebana w pościeli w swoim łóżku, obok którego stała nocna lampka, a za rogiem było już Boże Narodzenie. Śniła o otwierających się i zamykających drzwiach, o tym, jak wchodzi jej matka, całuje w czoło i wygładza pościel.

Kiedy Clara otworzyła oczy i spojrzała na poobijane ściany celi, zaszlochała cicho, a wspomnienie matczynego dotyku już bladło. Dziewczynka otarła łzy grzbietem dłoni i znowu zaczęła powtarzać litery swojego imienia. Na szkolnym placu zabaw nauczyła się, że płacz niczego nie zmienia, a cudze spojrzenia i wytykanie palcami sprawiły, że umiała już przekuwać każde bolesne doświadczenie w stal.

Ta wewnętrzna siła – „nieprzejmowanie”, jak nazywała ją Clara – trzymała dziewczynkę przy życiu.

Zesztywniała i obolała po śnie na twardej podłodze, chciała się podnieść, ale ręce jakoś nie

działały prawidłowo. Najpierw była pewna, że Nocny Pan znowu skrępował jej nadgarstki i próbowała się uwolnić. Wydobyła jednak ręce bez trudu, a bicie serca spowolniło. To tylko prześcieradło zaplątało się wokół jej rąk i nóg.

Nie pamiętała owijania się w prześcieradło. Zwłaszcza nie w takie. Nie miało tamtego zapachu, jak to na łóżku, gdzie przydarzył się jej wypadek. To było miękkie prześcieradło w wyblakłe różyczki i pachniało świeżością, jeszcze go nie widziała.

Robiło się coraz chłodniej, więc Clara owinęła prześcieradło wokół ramion i pochyliła się, aby lepiej przyjrzeć się chrząszczowi w pajęczynie.

Kiedy spała, pająk owinął zdobycz srebrzystymi nićmi.

32

Godzina 13.46

Fitzroy przeklinała deszcz. Nie tylko spierdolił jej miejsce przestępstwa, ale też zniszczył buty.

Kiedy przyglądała się wodnistym śladom krwi na trawie, zastanawiała się, czy szef w dalszym ciągu ją karze.

Chociaż miała dobrze wyrobione poczucie sprawiedliwości, tamto dziecko wołało o jej uwagę, nakłaniało ją do spędzania długich godzin na wertowaniu materiału dowodowego w poszukiwaniu jakichś tropów. I dlatego czuła się taka zła, że teraz wysłał ją na to poszukiwanie igły w stogu siana, a przecież całą swoją energię powinna skupić na odnalezieniu tamtej dziewczynki.

Zatem ten Erdman Frith (co to w ogóle za nazwisko, do cholery) został pobity i postrzelony. Clara Foyle zaginęła, uważa się, że została uprowadzona. Oba wydarzenia miały miejsce w odległości mniej więcej kilometra od siebie. Z tego, co do tej pory stwierdziła, dwie sprawy łączył tylko ten jeden fakt. Co do „szarej” furgonetki, świadek nie miał najmniejszego pojęcia, czy była srebrna, ciemnoszara czy może jasnoniebieska. Jednak na szefa naciskano z góry, a to był przecież jakiś trop, niezależnie od tego jak bardzo wąty. Została słusznie ukarana za to, że przesiedziała w pracy całą noc, zamiast złapać kilka godzin snu u siebie w domu. Po raz pierwszy w dziejach ich czteroletniego małżeństwa David nawet nie trudził się wysłaniem esemesa, żeby sprawdzić, czy wróciła do domu. Zostawił tylko lakoniczną wiadomość, przypuszczalnie, gdy szykował się do pracy, z informacją, że dwukrotnie dzwoniła Nina. Fitzroy nie odezwała się jeszcze do żadnego z

nich. Z Davidem zobaczy się jutro w klinice leczenia bezpłodności. Co do Niny, nie mogła znieść tego jej triumfalnego zadowolenia z siebie.

Oczywiście nigdy nie powiedziałyby o tym Ninie. Ale chociaż ją kochała, bolało ją, że kolejny raz Nina ją przelicytowała. Tyle że teraz nie chodziło o wyniki egzaminów albo o to, która skłoni ojca do uśmiechu, ale o coś, nad czym Etta nie miała kontroli, co to wszystko czyniło jeszcze okrutniejszym.

Właśnie to rozdarcie w jej życiu skłaniało ją, aby wypełniać pustą przestrzeń poszukiwaniami Grace i Clary, aby pchać Davida w stronę, w którą nie bardzo chciał wędrować. Bała się jutra i perspektywy rozstania z Davidem, tego, jak wzdychał z niezadowoleniem. Ale to było kiedyś, a teraz było teraz.

I oto znalazła się tutaj, na opustoszałym Blackheath Common. Tylko kilku funkcjonariuszy przeczesywało okolicę, a ona stała przemoknięta do suchej nitki w zamarzającym deszczu i po kostki w błocie.

Już niedługo zacznie gasnąć słabe światło popołudnia. Kilka tygodni temu szef zrobił wielkie przedstawienie, oznajmiając, że jest gotów znowu powierzyć jej większą odpowiedzialność i czuła ciężar tego niczym małą na plecach.

Przyglądała się ekipie z laboratorium kryminalistycznego przeczesującej trawę na tle ładnego kościoła z wieżą zegarową, a każda mijająca minuta upominała ją, że przecież nadal nie wiadomo, gdzie jest Clara, wciąż zaginiona. Będą mieli szczęście, jeśli przy tej pogodzie znajdą chociaż niedopałek papierosa. Szef kazał jednak ekipom przeszukiwać okolicę, dopóki nie natkną się na jakiś trop, jakikolwiek trop, mogący wskazać miejsce pobytu Clary. Minęło już pięć dni i nadal szukali. Chambers podetknął Fitzroy pod nos drogą kawę kupioną na osiedlu i pochylił się, żeby chusteczką wytrzeć powalane błotem spodnie.

– Dzisiaj były prane.

– Włóż nowe.

Fitzroy wypila haust kawy. Była gorąca i gorzka, właśnie taka, jakiej potrzebowała.

– Jakieś przemyślenia?

– No. Zmarzłem, mam brudne spodnie i ochotę na piwo.

Fitzroy wzruszyła ramionami, pociągnęła kolejny łyk kawy.

– Pan Frith nie przypomina mi tego twojego typowego dilerka narkotyków. Tak mi mówi instynkt – spojrzała na trzymaną w dłoni fotografię. Ten człowiek nie wyglądał zwyczajnie. Taki smukły, o bladej, piegowatej skórze i rudawych włosach, przypominał postać z renesansowego obrazu, miał też jedną z najsmutniejszych twarzy, jakie kiedykolwiek widziała.

– Jednak wszyscy wiemy, że wygląd może mylić.

– Słuchaj, nie jest notowany. Nie mieszka ani na squacie, ani w penthousie. Jego żona wyglądała na szczerze zmartwioną. Nawet jeśli czasem zażywa, to po co miałyby szukać kłopotu z tymi chłopakami? Przecież są ostrzy jak diabli. Do wczoraj pracował w małym

znanym magazynie o wróżbiarstwie. Coś mi tutaj nie pasuje.

– Masz rację. – Chambers przełożył kubek do drugiej dłoni. Mówiąc, wypuścił z siebie kłęb białej pary. – Niewłaściwe miejsce o niewłaściwej porze?

– Możliwe. Ale dlaczego go postrzelili? Wygląda na to, że przecież i tak go już cholernie skopali.

– Może zobaczył coś, czego nie powinien?

– Możliwe.

– No to gdzie teraz jest?

– Pokłócił się z żoną, siedzi u kumpla?

– Ale co z tą furgonetką?

– Przypadek? Błąd człowieka? Ciężko jest określić kolor po ciemku.

– A jaki to ma związek z Clarą Foyle?

Fitzroy przygryzła paznokcie kciuka. Starła się uchwycić jakiś związek tego miejsca z obu sprawami, ale nie potrafiła dostrzec żadnego, nie umiała wyczuć owej twardej masy o kształcie dowodu. Nawykła do opierania się na instynkcie, wsłuchiwania się w to „dzyń” w swoim mózgu, naprowadzające ją przy sprawdzaniu każdego tropu, nieważne jak wątego, aż do chwili, gdy dzwonicie ustawało, a detektyw znajdowała odpowiedź. Jednak nie dzisiaj. Dzisiaj wszystkim, co była w stanie słyszeć, był głos Clary, ponaglący, aby się śpieszyła, jak również słabsze echo głosu Grace Rodriguez. Wstukała sobie w telefon przypomnienie, by zapytać się pani Foyle, czy zna rodzinę Frithów, ale już domyślała się odpowiedzi.

– Dobra. – Skinęła głową w stronę Chambersa. – Tracimy czas. Chodźmy.

Policjanci wracali już do swojego auta, kiedy jeden z ludzi w białych kombinezonach nagle przykucnął i krzyknął z podekscytowaniem. Reszta kolegów zgromadziła się wokół niego, patrząc na to samo miejsce na ziemi. Ktoś przytrzymał mu nad głową parasol. Fitzroy wymieniła się spojrzeniami z Chambersem, a potem pobięła przez wrzosowisko, nie zwracając uwagi na chlupotanie pod stopami.

– Co to jest? Co znaleźliście?

Pracownik laboratorium, nadal kucając, wskazał trawę. Na wpół zanurzone w błotnistej kałuży leżało tam jakieś dziwne pudełko po butach. Wewnątrz były szczątki zwierzęcia. Oczyszczone do samych kości, matowych i bladych, z małą, nieco wydłużoną czaszką i wygiętym kręgosłupem. Łapy wyglądały jak kościane wrzecionka.

– Co to, kurwa, jest? – powiedziała Fitzroy, a jej umysł wyrывał się już do przodu, wertował materiał dowodowy, przesiewał fragmenty układanki, dopasowując je do tego, co już wiedziała.

Budując nowy i całkowicie niespodziewany obraz.

– Właśnie, co to, kurwa, jest? – powtórzył funkcjonariusz, który to znalazł, dając znak policyjnemu fotografowi. – Zerknij na to.

Ostrożnie podniósł z kałuży kruchy szkielet. Kości były gołe, ale pozostało jeszcze wystarczająco dużo zwierzęcej tkanki łącznej, aby utrzymać je razem. Dłońmi w rękawiczkach zdjął niewielką, plastikową fiolkę, przyczepioną do zadniej łapy.

– Interesujące – wymamrotał.

Poszukał w kieszeni pęsety, a potem wyjął nią z fiolki cienką, papierosową bibułę. Z delikatnością niepasującą do rozmiaru jego dłoni, ostrożnie ją rozwinął i przyjrzał się zawartości.

– Myślę, że lepiej żebyś to przeczytała.

Fitzroy nachyliła się nad jego ramieniem, a wydrukowane tuszem słowa uderzyły ją po oczach.

„...i kości, jedna po drugiej, zbliżały się do siebie”^[1].

Poczuła przypływ adrenaliny.

– Schowaj to do torebki. Szybko.

Dłonie ciągle jej drżały, ukryła je w kieszeniach kurtki. Odwróciła się do Chambersa.

– Skontaktuj się ze Służbą Identyfikacji i Doradztwa Muzeum Historii Naturalnej. Powiedz im, że to pilne, powiedz, żeby poczekali, aż się u nich zjawimy. Teraz zatelefonuję. Muszę porozmawiać z szefem.

33

Godzina 14.11

Erdman połknął środek przeciwbólowy i włączył telewizor, potem znowu go wyłączył.

Nawet ten zwyczajny ruch wywołał kilka rozbłysków bólu. Bolała go każda część, nie tylko część ciała.

Poprawił się na poduszkach, próbując znaleźć wygodną pozycję. Amber zostawiła na stoliku kawowym tacę ciasteczek, ale nie czuł głodu. Tak naprawdę, sam do końca nie wiedział, co czuje.

Wiedział, że Lilith będzie się martwić. Ale nie potrafił się zmusić, aby do niej zadzwonić. Ostatniej nocy, kiedy zabrano go na szpitalny oddział ratunkowy i uświadomił sobie, że brak mu telefonu i portfela, miał zamiar poprosić pielęgniarkę, żeby zadzwoniła do jego żony.

Ale gdy skończyli go opatrywać, węgielki złości rozпалиły się na nowo, od razu gorące.

Jakaś jego część chciała, żeby Lilith cierpiała za te wszystkie okropne rzeczy, które mu powiedziała. Miał wyrzuty sumienia w związku z Jakeyem, ale przecież ona sobie z tym

poradzi. To przecież była jej wina.

Nie przyszło mu do głowy, że policja może chcieć z nim porozmawiać. Nie rozważył też odpowiednio następstw swojej niewyjaśnionej nieobecności w domu. Wiedział, że nic mu nie jest i tylko to było dla niego ważne.

Amber była super. Nawet nie mrugnęła, gdy nagle zjawił się pod jej drzwiami o pierwszej nad ranem. Obejrzała jego poobijaną twarz, ziejące przecięcie na dzinsach, gdzie lekarze przedostali się przez materiał, by zająć się raną postrzałową.

– Nie sądziłam że aż tak bardzo lubisz sado-maso – stwierdziła oschle, zaciskając pasek szlafroka w czaszki i piszczele, a on parsknął śmiechem, nawet jeśli to była ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę.

Mógł pójść do Axela, ale jego kolega mieszkał w niechlujnym, współwynajmowanym mieszkaniu, a on nie zniosłby ciekawskich spojrzeń obcych ludzi. Amber miała wolny pokój i nie zadawała pytań.

Zanim rano wyszła do pracy, rozsunęła grube, welwetowe zasłony i lekko dotknęła jego ramienia.

– Pamiętaj, żeby zadzwonić do Lilith – powiedziała, ale on udawał, że śpi.

Wiedział, że powinien wracać do domu albo przynajmniej zadzwonić, tak jak sugerowała Amber. Wiedział, że tak właśnie należałoby zrobić. Ale był też samolubny i nieodpowiedzialny, a te wszystkie inne cechy, których posiadanie zarzuciła mu Lilith, powstrzymały go. Chciał, żeby zrozumiała, że jej słowa to nie płatki konfetti, które można sobie ot tak, rozrzucić na wietrze – tylko spadające na człowieka bloki betonu.

Była jeszcze inna, głębsza prawda, którą uświadomił sobie w skrytości ducha. To, że jeszcze nie był gotów wracać do domu. To, że spodobało mu się to nieoczekiwane wytchnienie od żony, która dopuszczała, aby dławił ją strach, i ta ulga od bezustannego zamartwiania się o syna.

Przez kilka godzin mógł oddychać swobodnie.

Zadzwonił telefon stacjonarny Amber, ostry dźwięk sprawił, że aż podskoczył. Zignorował to jednak i pozwolił, aby włączyła się automatyczna sekretarka.

– Odbierz stary. Wiem, że tam jesteś. – Axel. Erdman nawet się nie ruszył, aby podnieść słuchawkę, niezdolny stawić czoło współczuciu przyjaciela.

– Dobra, kapuję. Jesteś w kiblu. Czy coś w tym stylu. – Pauza. – Sprawa jest taka, że pogadałem z gościem, który jest redaktorem działu newsów w takiej lokalnej gazetce i on szuka ludzi. Niczego nie gwarantuję, ale mogę szepnąć mu słówko, jeśli chcesz. To nie jest daleko, wydaje mi się, że w Essex. Nieopodal wybrzeża. Trochę trzeba jechać, ale da radę. Szczerze mówiąc, to zrobiłbyś mu przysługę.

Erdmanowi gest przyjaciela aż ścisnął gardło.

– W każdym razie, daj mi znać. No i mam nadzieję, że się dobrze czujesz. Dobra. To na razie.

Erdman zgramolił się z sofy, pokuśtykał do okna mieszkania w Camberwell. Wychodziło na przydomowy ogródek, gdzie jakiś starszy pan wyciągał skórki od chleba z plastikowej torebki na pieczywo Hovis i rozdzierał na kawałeczki dla ptaków.

Miał nadzieję, że policja złapie skurwysynów, którzy go napadli.

Starszy pan przechylił torebkę, rozsypując jej zawartość na ziemię. Gołębie i szpaki u jego stóp wyglądały jak uczniowie. To tylko jakiś emeryt, umilający sobie samotne dni, jednak coś w barwie jego srebrzystych włosów obudziło u Erdmana wspomnienie.

Zeszłej nocy, kiedy leżał na trawie, zakrwawiony i pobity, widział jakąś twarz. Nie wiedział, kim był tamten mężczyzna ani dlaczego go śledzi, albo dlaczego wydawał mu się taki znajomy, lecz jakiś instynkt ostrzegł go, że powinien się tego dowiedzieć.

34

Godzina 14.54

Jakey siedział w ubikacji na tyłach swojej klasy i płakał. Ramię wciąż paliło, nie chciało przestać. Poza tym naprawdę bardzo, bardzo bolało go w piersiach.

Myślał, czy nie powiedzieć o tym pani Husselbee, ale wciąż była na niego zła za to, że wtedy odszedł.

– Wpędzisz mnie w kłopoty – powiedziała wczoraj, marszcząc brwi, kiedy kuśtykając, wracał przez plac zabaw. – Mam cię pilnować.

Ale on nie chciał, żeby ktokolwiek go pilnował, chciał tylko swojego ojca.

Matka nie chciała dzisiaj wysłać go do szkoły, ale Jakey przypomniał sobie, że tamten pan obiecywał mu szczeniaczka i kategorycznie stwierdził, że czuje się lepiej.

Złapał ramię, paznokciami drapał bolesny guz na ciele. Opuchlizna na ręce coraz bardziej się powiększała. Wiedział o tym. To znaczyło, że matka zrobi tak, jak kazał jej doktor i zabierze go do szpitala.

Ale nie chciał tam iść, na wypadek gdyby tatuś wrócił i zabrał go znowu na rower.

Ale jeśli tatuś nie wróci?

Z oczu pociekły mu łzy.

Usiadł na klapie od sedesu, wsłuchiwał się w opadający i wznoszący głos pani Haines. Wiedział, że za chwilę pani Husselbee zastuka tutaj i zapyta się, czy wszystko z nim w porządku.

Znowu ogarnęła go chęć drapania. Zatopił paznokcie tam, gdzie było zapalenie, ranił skórę

ogarnięty szaleńczym pragnieniem wywrócenia jej na drugą stronę. Drapał aż do krwi, ale to jedynie podnieciło ogień w jego ręce, więc drapał znowu i jeszcze raz.

Jakey zapomniał o liście i o panu w garniturze, obiecującym, że da mu dzisiaj szczeniaczka. Zapomniał o trosce widocznej w zmarszczkach na twarzy matki. Na chwilę, może dwie zapomniał nawet o zaginionym ojcu.

Swędzenie ramienia i pieczenie w piersi wypchnęło z jego mózgu każdą inną myśl.

35

Godzina 16.01

Bywały takie dni, kiedy podróż metrem, z jego wszystkimi opóźnieniami i niekończącymi się godzinami turystycznego szczytu, trwała dłużej od jazdy samochodem. Mimo to Fitzroy nie spieszyło się, gdy ruchome schody wywoziły ją ze stacji South Kensington.

Wokół niej odgłosy miasta mieszały się ze sobą, aż wreszcie ledwie je słyszała, jak zwykle zagubiona w rytmie ciągłego ruchu.

Zamknęła oczy, pozwalając umysłowi wędrować, w miarę jak stalowe stopnie pięły się w górę. Czy to możliwe? Czy to mógł być ten przełom w śledztwie, na który czekała? To ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała, gdy szef odesłał ją do sprawdzenia tamtej furgonetki.

Fitzroy zeszła z ruchomych stopni, poszła szybko tunelem, w lewo i na górę.

Teraz było już ciemniej, widziała chłodne, białe światła lodowiska na rogu Cromwell Road, gdzie razem z Davidem obchodzili swoją drugą rocznicę, pijąc grzane wino z korzeniami i chybcząc się na za małych łyżwach. Pozbawione liści szkielety drzew pod Muzeum Historii Naturalnej, obnażone, jeśli nie liczyć setek bożonarodzeniowych światełek, przypominały jej, że do świąt zostało już niewiele ponad miesiąc. Modliła się, aby rodzina Clary mogła i miała z czego się cieszyć.

Minęła ochronę i wbiegła po schodach do ogromnej sali z czarno-białą, mozaikową posadzką, obok modelu diplotoka skręciła w lewo, minęła sklepik z pamiątkami, ssaki, Niebieską Strefę i dotarła na miejsce, do Centrum Darwinowskiego.

Po schodach w dół, znowu w lewo i już stała przed szklanymi drzwiami, ozdobionymi motylami i hiacyncikami. Służba Identyfikacji i Doradztwa. Nacisnęła dzwonek, a wtedy po drugiej stronie szkła pojawił się jakiś młody, ciemnowłosy mężczyzna o poważnej twarzy. Odezwał się przez interkom.

– Detektyw Fitzroy?

– Dziękuję, że zgodził się mnie pan tak szybko przyjąć.

Wzruszył ramionami, a ona weszła przez drzwi. Ściany były nienaturalnie białe, oświetlone jarzeniówkami. W kącie stał rząd zielonych krzeseł, wszystkie puste.

– Jestem doktor Dashiell Hall. Rozmawialiśmy przez telefon. – Wyciągnął dłoń na powitanie, patrzył jej w oczy. – O, ma pani *heterochromia iridum* – zawiesił głos w miłym zaskoczeniu.

– Tak.

– To jest piękne, takie nietypowe. – Zbliżył się o krok, spoglądając jej w twarz. – Brązowe i niebieskie to moje ulubione połączenie.

Fitzroy czuła, że się rumieni, ale doktor Hall zdawał się tego nie zauważać.

– Ma pani coś do pokazania?

Ostrożnie wyjęła z torby pudełko na dowody i uniosła pokrywę.

Uniósł brwi ponad okularami.

– Wie pani, znacznie lepiej byłoby, gdyby zostawiła to pani na miejscu. Jedna z naszych ekip kryminalistycznych byłaby tam jutro z panią

„Głupia dziewczynka”, usłyszała głos ojca.

– Panie Hall, nie możemy sobie pozwolić na luksus czekania.

– Pani wybór – powiedział, odwracając się od niej. – Proszę za mną.

Poprowadził Fitzroy obok całej serii boksów, każdego z komputerem i mikroskopem, aż do rzędu metalowych szafek na dokumentację. Stał na nich wypchany jeź w gablocie, tuż obok lisa. Hall dał znak, aby postawiła pudełko na stole.

– Już dawno nie było tutaj policji – stwierdził, wyciągając parę lateksowych rękawiczek.

– To z pewnością dobrze – odparła.

Zaśmiał się dźwięcznie i ciepło, co przypomniało Fitzroy, że dawno już nie słyszała, aby David wydał z siebie podobny dźwięk. Kiedyś ciągle się śmiał, zwłaszcza gdy gotowała.

– Tak właśnie sędzę. Nie patrzę na próbki jak na element miejsca zbrodni, a bardziej z perspektywy naukowej.

– Wie pan, co to jest?

– Zależy, co pani rozumie przez słowo „wiedzieć”. Gdyż tylko patrząc na ten szkielet od pani, mogę powiedzieć, że to członek rodziny zajęczaków.

– A co to oznacza?

– To jest zajac albo królik, a nie gryzoń.

Zachowała neutralny wyraz twarzy, lecz serce zagalopowało jej w piersi.

– Rozumiem. Może pan powiedzieć, jakie to jest stare?

– Szkielet czy preparat?

– Jedno i drugie.

– Sądząc po rozmiarze, powiedziałbym, że to dorosły osobnik. Proszę spojrzeć, kości czaszki i główka kości udowej są pozrastane. Co do preparatu, nie mógł tam leżeć dłużej niż

dzień albo dwa. Niech pani popatrzy, tkanka łączna, która zostałaby zjedzona przez padlinożerne insekty jest wciąż nietknięta. Co jest dziwne. – Zmarszczył brwi. – Czy to znaleziono w zamkniętym pudle albo torbie?

– W zamkniętym pudełku po butach. Rozlatywało się na deszczu.

Wysunął jedną z metalowych szuflad szafki na dokumentację.

– Proszę na to spojrzeć.

Fitzroy podeszła i stanęła obok niego. Delikatnie pachniał piżmową wonią andostrenolu. Na plastikowej tacy leżała czaszka małego ssaka. Szczęki miała otwarte, ukazując zęby wygięte jak szpony. Na kości tego egzemplarza, czarnym długopisem, wypisano *Oryctolagus cuniculus*.

– A teraz – powiedział doktor Hall – proszę porównać obie nasze piękności.

Zdjął czaszkę z tacy i położył ją obok szkieletu od Fitzroy, wskazując na żuchwę.

– Proszę spojrzeć, kształt głowy i linia żuchwy są prawie identyczne.

– Może pan to uściślić?

– Nie mogę stwierdzić czy jest dziki czy domowy i nie mogę podać pani gatunku, ale powiedziałbym, że to *Oryctolagus cuniculus*.

– Że co?

– Zakładam, że wie pani, że *Homo sapiens* to zbiorcze określenie ludzi. – Fitzroy spojrzała na niego. – No dobrze, a *Oryctolagus cuniculus* to króliki.

– Czyli, że to szkielet królika – powiedziała.

– Zgadza się.

Ostrożnie wstawił tacę z okazem z powrotem do szuflady, zdjął rękawiczki i odwrócił się do detektyw Fitzroy z triumfalnym uśmiechem. Opierała się o stół, jej twarz miała tę samą barwę złamanej bieli, co czaszka królika. Jego śmiech zbladł.

– O cholera, dobrze się pani czuje? Przynieść pani wody?

Fitzroy sama nie wiedziała, jak się czuje. Przez jej myśli przelatywały akta sprawy Grace Rodriguez, niczym strony wertowanej książki. Wetknęła palec między dwie karty. Przywołała w pamięci fotografię zrobioną w lesie, kilka godzin po odnalezieniu szczątków.

Weszli głębiej w las. Psy węszyły przy ziemi, w poszukiwaniu nagrody, pod ich łapami trzaskały gałązki. Światło latarki Fitzroy odbijało się między drzewami, nie była to już latarnia nadziei wśród ciemności, ale blask smutku.

Wiatr przedzierał się przez jej kurtkę, była jednak zdecydowana przeszukiwać te lasy, póki nie znajdzie tego, po co przyszła. Torebka niewątpliwie należała do Grace. Teraz oni musieli znaleźć dziewczynkę.

Psy były jakoś niedaleko przed nimi, gdy nagle zaczęły szczekać, rozdzierając spokój lasu zanurzonego w poświacie zmierzchu.

Wąski księżyc prześlizgnął się między chmurami. Rozległ się ostrzegawczy krzyk jednego z opiekunów psów. Fitzroy musiała biec, czuła, jak gałęzie pod jej butami wgłębiają się w

podeszwy.

A później.

Groza tego odkrycia, starannie zapakowana w małe torebki śniadaniowe.

Fitzroy i jej zespół spędzili długie godziny, zbierając materiał dowodowy i szukając reszty ciała Grace.

Potem jeden psów w pobliżu odnalazł doskonale zachowane kości jakiegoś małego ssaka. Policyjny fotograf zrobił kilka zdjęć, ale nikt nie przywiązywał wtedy do tego wielkiej wagi. Brutalność natury. Wszyscy wiedzieli, że te lasy tętnią życiem. I śmiercią.

– Proszę wypić.

Połknęła łyk ciepłej wody tylko z uprzejmości i otarła usta wierzchem dłoni, świadoma spoczywającego na niej spojrzenia doktora Halla.

– Muszę wiedzieć więcej. Tak szybko, jak pan tylko zdoła.

– Mogę to zrobić – oświadczył doktor Hall. – Jeśli da mi pani kilka dni, to opowiem pani całą cholerną historię życia tego czegoś.

– Dziękuję – powiedziała, wyciągając dłoń, nie za bardzo zdolna na niego spojrzeć.

Jego palce zamknęły się na jej palcach. Skórę miał ciepłą, gładką.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Pokuśtykała z powrotem po jasnym parkiecie muzeum, zatrzymując się, aby zawiązać sobie sznurówkę. Maszynowy szew na przyszwie buta wykonano takim samym zygzakiem, jak na pozrastanych kościach wypreparowanego królika, którego właśnie oglądała. Hintze Hall rozbrzmiewało głosami, krokami, nawet o tak późnej porze.

Choinka przed sklepem z pamiątkami rozmywała się, srebrne bombki wirowały i chybotwały się przed pełnymi łez oczyma. Szef w zeszłym roku ostrzegał ją, żeby zbyt nie angażowała się emocjonalnie, ale nie potrafiła się powstrzymać.

Kiedy miała gorsze chwile, dławilo ją wspomnienie syna, tego doskonale uformowanego zagłębienia między jego nosem i ustami, bólu wydania na świat dziecka, które nigdy nie zaczerpnie oddechu ani nie zapłacze. Winiała samą siebie o to, że go straciła.

Winiała siebie o wszystkie swoje straty.

Jakieś dziecko pobiegło, przewróciło się, a jego płacz przeszył jej serce.

Późnym popołudniem w całym domu Frithów paliło się światło, okna miały jaskrawopomarańczową barwę. Dla Lilith była to jedyna jasna chwila tego dnia. Poziom jej optymizmu opadał tak gwałtownie jak popołudniowe słońce.

Nie było żadnej informacji od Erdmana. Nie odbierał telefonu. Nie odpowiadał na maile ani na wiadomości z Facebooka. Gdzie się podział? To było do niego takie niepodobne. Nie należał do tych mężczyzn, którzy po prostu znikali. Czasem, w trakcie popijawy z Axelem zapominał zadzwonić, ale zawsze wracał do domu, do własnego łóżka. Do niej. Zawsze.

Kilka tygodni przed ślubem wyszedł się napić ze starymi kolegami z uniwersytetu. Nie zmartwiła się zbyt, kiedy nie wrócił następnego poranka. To była sobota, ale ona pracowała, poganiana zbliżającym się terminem. Kiedy wyszła odetchnąć świeżym powietrzem, było już późne popołudnie. Wzięła prysznic, ubrała się i stanęła przy oknie, wypatrując Erdmana. A gdy przez ich ogród zaczęły się skradać cienie późnego lata, ogarnęła ją chłód i wyszła go poszukać.

Miasto było duszące, kurz i opary znieczuliły jej zmysły. Zajrzała do ich ulubionych pubów, jej wzrok przeczesywał tłum gości w poszukiwaniu błysku czerwieni, szklanki trzymanej w specyficzny sposób.

Po godzinie albo dwóch wreszcie go znalazła. Siedział w ogródku piwnym, z butelką w dłoni, skraplająca się na szkle wilgoć odlepiała etykietę. Ostatnie promienie wieczornego słońca zmieniały jego włosy w połyskującą koronę.

– Lilith – zawołał. – Chodź i napij się.

Odwróciła się na pięcie i wyszła.

Dogonił ją w drodze do domu, dysząc z powodu upału. W nozdrzach miała stęchły odór jego potu, zapach niezmiennego od dwóch dni podkoszulka. Wyszarpnęła dłoń.

– O co chodzi? – zapytał.

– Martwiłam się. – Jej głos zachwiały się na ostatniej sylabie, poluzowany niespodziewanymi łzami.

Mina mu zrzędła, spochmurniał.

– Trochę nas poniosło. Powinienem zadzwonić czy coś. – Otarł jej łzy. – Przepraszam.

Nie patrzyła na niego, ale zaczęła ostentacyjnie grzebać w torebce, udając, że szuka kluczy. Udawała, że wcale jej tak bardzo nie zależy.

Ponownie chwycił jej dłoń i ponownie mu na to pozwoliła.

– Lilith, to się już więcej nie wydarzy, obiecuję. Nieważne, jak bardzo będę pijany albo jak późna to będzie pora, zawsze wrócę do domu. – Ujął jej podbródek, spojrzał w oczy. – Umowa stoi?

– Stoi.

I dotrzymał słowa. Aż do teraz.

Obdzwoiła rodzinę i przyjaciół, pytając, czy może go nie widzieli. Amber Collins nie

odbierała, ale Lilith zostawiła jej wiadomość, prosząc, aby zapytała się reszty kolegów z pracy. Sporządziła listę miejsc, w których mógłby być. Chociaż jego telefon nie odpowiadał, wysłała mu esemesa: „Kocham Cię. Wracaj do domu”.

Idąc, żeby odebrać Jakeya ze szkoły, przechodziła przez Heath, zaraz obok tamtego przystanku autobusowego. Dostrzegła na chodniku blaknący ślad krwi. Krwi Erdmana. Nagle dostała zawrotów głowy i przywarła do słupa latarni, jak gdyby trzymanie się kawałka betonu mogło jej pomóc w pozbyciu się tego dziwnego, nieprzyjemnego uczucia. To przypominało jej dzień, w którym Jakey przyszedł na świat. Nie, powiedziała sobie. Po prostu nie. Nie zdołała powstrzymać szloch: Tak mi przykro, że cię nie doceniałam. Wynagrodzę ci to wszystko, kiedy wrócisz do domu, obiecuję. Tylko proszę, wróć.

Jakey wyglądał na zmęczonego, pod oczyma miał półkoliste sińce. Biło od niego ciepło. Szkolna higienistka zadzwoniła do niej w trakcie popołudniowej przerwy, sugerując, aby wcześniej zabrała syna do domu.

– Czy tatuś już wrócił? – zapytał bez zainteresowania, jak gdyby to pytanie stanowiło tylko formalność i jakby znał już odpowiedź. Upuścił na podłogę plecak ze Spider-Manem i budrysówkę, a potem wzdrygnął się.

– Jeszcze nie, kochanie. Pracuję nad tym. – Przygryzła wargę. – Jak tam twoje ramię? Mogę zobaczyć?

Nie pozwolił. Poszedł do swojego pokoju i żadna perswazja nie była go w stanie nakłonić, aby stamtąd wyszedł. Zostawiła więc syna w spokoju, aby czytał książki i bawił się zabawkami, w ten sposób przerabiając sobie to, co się wydarzyło.

Przyjdzie i mnie znajdzie, kiedy już będzie gotowy. Zawsze tak robi.

Ale nie zrobił.

W porze podwieczorku Lilith przyniosła synowi kanapkę i szklankę mleka, ale Jakey nie był w nastroju do rozmowy. Przynajmniej nie z nią. Kiedy zamknęła za sobą drzwi sypialni chłopca, usłyszała jego głos. Brzmiał w nim jakiś dziwnie błagalny ton.

– Odejdź. Zostaw mnie w spokoju.

Pauza.

– Tatusiu, gdzie jesteś? Wróć do domu, potrzebuję cię.

Niemal zawróciła, aby go utulić, powiedziała sobie jednak, że to, co się dzieje, to przecież jego sposób na radzenie sobie z takimi rzeczami, dlatego powinna zostawić go w spokoju.

Kiedy przysłała po jakimś czasie zobaczyć co u syna, spał na kołdrze, więc delikatnie go rozebrała.

Szybko zasłoniła sobie usta dłonią.

Mówili, że to zapalenie. Nikt nie wiedział dlaczego i skąd się brało. Czasem pojawiała się po upadku. Albo czasem w ogóle bez powodu. Obrzmienie złożone z miękkiej tkanki mogło być duże albo małe, trwać kilka dni albo rok, mogło też wędrować dowolnie po ciele.

„Dobre” ramię Jakeya było zniekształcone czterema nowymi guzami.

Przycisnęła wargi do jego rozpalonego czoła i płakała, aż jej łzy zmoczyły mu grzywkę.

Ścisnęło jej się serce, gdy patrzyła na jego twarz, na ostatnie ślady niemowlęstwa wciąż widoczne na puchowatych policzkach. Wiedziała, że niedługo i to zniknie, razem z pieluchami, lalkami i Woobym, teraz upchniętymi w szufladzie jej sypialni. Chciała zatrzymać ten miękki kłębek szmatek, pachnący mlekiem i pudrem dla niemowląt oraz nadzieją, nawet jeśli Jakey tego nie chciał.

W pewnym momencie musiała się zdrzemnąć, bo kiedy gwałtownie się ocknęła, ciemność się pogłębiła, a w nogach poczuła ciężkość, oznajmiającą, że pora spać.

Powędrowała na dół, przez ciemne, puste pokoje. W przedpokoju sięgnęła po telefon i wybrała numer do Erdmana. Przywitał ją beznamiętny, kobiecy głos skrzynki głosowej. Rozłączyła się, nagle wściekła na męża. To przez niego Jakey przechodził teraz przez to wszystko. Kiedy tak niewidzącym spojrzeniem patrzyła w telewizor, zastanawiała się, czy kiedykolwiek wybaczy mu egoizm.

37

Godzina 21.14

Erdman czuł pulsujący ból głowy. Próba spania w obcym łóżku zawsze tak się dla niego kończyła. A w dodatku porządnie oberwał od bandy zezwierzęconych wyrostków i z niewielkiej odległości został postrzelony w udo. Chyba mogę sobie pozwolić na odrobinę luzu, parsknął.

Przekręcił się na bok, wzdrygając się z bólu i pod wpływem dotyku czarnej, poliestrowej pościeli Amber. Może, mimo wszystko, powinien zostać w szpitalu.

Naturalnie nie wstawałby aż tak wcześnie, ale Amber nie dawała mu spokoju, od kiedy powróciła z pracy z chińskim jedzeniem na wynos.

– Zadzwoń do żony – poleciła, wywalając na talerz górę makaronu z wołowiną.

– Rety, skarbie, nic mi nie jest, jak ci minął dzień?

Westchnęła, ignorując jego sarkazm.

– Erd, zostawiła dwie wiadomości na moim telefonie. Nie oddzwoniłam, bo nie chciałam za ciebie kłamać, ale nie mogę tego dłużej tak zostawić. – Obluzowała kolejną kartonową pokrywkę. W jej głosie słychać było rozpacz.

Każdy kęs posiłku otulało teraz poczucie winy. Odsunął zjedzoną do połowy potrawę. Jeśli miałby być wobec siebie całkiem szczerzy, zaczynał się czuć trochę jak drań, zwłaszcza

jeśli chodziło o Jakeya.

Szczerze mówiąc, nie zrobił dotąd wiele, poza rozmyślaniami o swojej rodzinie i o tamtym obcym, który mu się przyglądał.

Ostrożnie ułożył się na plecach. Kosztowało to więcej wysiłku, niż się spodziewał.

Większość dnia spędził, starając się przypomnieć sobie spotkania z tym mężczyzną. Był w metrze. Na cmentarzu. Widział go też gdzieś indziej, miał pewność. Tylko gdzie? W pubie? Tak, racja. W Banku. W poniedziałek, w porze lunchu.

Jeśli liczyć noc ataku, to go widział cztery razy. Cztery razy w ciągu dwóch dni. Ale dlaczego?

Może powinien się z nim jakoś skonfrontować? Ale po co? Pod względem fizycznym mógłby dać sobie radę z tym dziwakiem. Tak, oczywiście, że mógł. Jasne. A Fergie, jak się jutro obudzi, objawi światu, że we śnie odwiedził go Bóg i nakazał mu kierowanie Liverpooliem.

Krople deszczu waliły o dach. Przywołał w myślach wizerunek nieznanego. Wąską linię barków. Pasma włosów o barwie spizu. Zaczął się taniec wspomnień, wirujące figury mieszające myśli. Tamta twarz była znajoma, jak zapomniana piosenka, która z wolna powraca refrenami. Znał go. Znał.

Ale kim on był, do cholery?

Erdman usłyszał ciche, rytmiczne stukanie. Dopiero po sekundzie zorientował, że to klekoczą mu zęby i podciągnął kódrę pod brodę. Słyszał ciche dźwięki telewizora, dobiegające z salonu Amber i odległe odgłosy ruchu ulicznego.

Sen podryfował ku niemu, kusząc syrenim śpiewem.

Lilith, kocham cię. Przepraszam.

Zagłębił się w swoją pamięć, aż do dnia ich ślubu, który dawno temu pogrzebał w głębinach umysłu i teraz to się znalazło, przyciągnął to ku powierzchni, poprzez szlam. Nie popisał się wtedy. Spóźnił się, miał kaca i co najgorsze, zapomniał potwierdzić rezerwację pokoju w zamku pod Bristolem, a menadżer, ten wazeliniarski sukinsyn, dał ich apartament komu innemu. Trwał wtedy festiwal muzyczny i w promieniu wielu kilometrów nie było wolnych miejsc w hotelach. Tak więc noc poślubną spędzili w Premier Inn przy M5.

Nie, wolał sobie przypomnieć ten złoty dzień, kiedy się oświadczył Lilith, opalonej i wypoczętej na Lulworth Cove. Wiatr unoszący skręcone kosmyki jej włosów, piegowatą twarz, jej szyję wystawianą na promienie słońca za każdym razem, gdy z wolna się przeciągała. Był roześmiany i wciąż pełen nadziei, w wyblakłych, dzinsowych szortach. Urwał kółko z otwieracza do puszek coli i wsunął jej na palec.

– Wyjdiesz za mnie, panno Lilith?

Najpierw się roześmiała, nie biorąc tego na poważnie. Kiedy jednak ukląkł na piasku na jedno kolano, jej twarz spoważniała. Ujęła Erdmana dłońmi za podbródek.

– Erdmanie Frith, czy mówisz poważnie? Czy to tylko twój kolejny wygłup?

– Lili, chcę, żebyś została moją żoną. Chcę żebyś była przy moim boku przez resztę życia.

Wtedy rozplakała się i to zapamiętał najwyraźniej. Dobroczynne ciepło słońca i łyzy błyszczące na jej doskonałej skórze. Ciągle jeszcze nie kupił jej porządnego pierścionka zaręczynowego, chociaż wiedział, że stary wygięty otwieracz przechowywała w welwetowym pudełeczku w głębi szkatułki na biżuterię.

Jutro wróci do domu. Porozmawia z policją, przeprosi rodzinę i spróbuje zostać człowiekiem godnym szacunku bliskich.

Teraz powieki robiły mu się coraz cięższe. Przywołał obraz Jakeya, aby ukoić się na drodze ku niepamięci. Jego śmiech. Sposób w jaki spał. Język wystający spomiędzy warg, gdy uczył się czytać.

Mój mały Jakey. Mój mistrz. Jutro się zobaczymy.

Uchwycił się tych obrazów syna. Swojego drogocennego chłopaczka. Płowych pasm w jego włosach. Ogników tańczących w jego oczach. Delikatnego ciała, dla niego doskonałego, pomimo guzów i zniekształceń.

Obrazy odpłynęły łagodnie jak babie lato, aż w końcu zasnął.

CZWARTEK

38

Godzina 7.49

Królik mruga, niczego się nie spodziewając. Jedno szybkie przekręcenie karku i już nie żyje. Kolekcjoner Kości ujmuje jego wciąż ciepłe ciało w kołyskę z dłoni, a później wyjmując nóż i oskórowuje zwierzę, zrzucając wilgotne futerko do wiadra pod stołem. Ostrożne nacięcie, płynie krew, plamiąc galwanizowany metal. Kolejny błyskawiczny ruch nadgarstka, a z głuchym odgłosem spadają tam serce, nerki, po nich język, oczy i mózg.

Na szóste urodziny mama kupiła mu królika. Był czarno-biały i ruszał wąsikami, wachając dłoń. Mógł wyczuć serce bijące pod jego futerkiem, wirujące przypomnienie życia.

Kochał tego królika. Bawił się z nim, karmił go, godzinami cesał mu futerko. Kiedy królik go ugryzł, walnął go w łepkę pustakiem i roztrzaskał mu czaszkę.

Z powrotem skupia się na swojej pracy.

Używając skalpela, odcina nadmiar ciała, uparcie trzymający się kości. Długi chudy palec zagłębia w posokę, a potem unosi do ust i rozsmarowuje ją na wargach jak balsam. Bąbelki krwi pękają na szorstkiej skórze. Ociera lateksowe rękawice w biały fartuch, szczyrzy się krwawym uśmiechem. Wszędzie szukał tamtych zgubionych kości. Nieważne. Kilka godzin i nowy szkielet będzie gotowy.

Bo wszystko jest tak jak należy tylko wtedy, gdy zostawia dar. Podziękowanie. Dowód swojego poświęcenia i poczucia obowiązku. I znak dla pani detektyw. Każdy lubi, gdy docenia się jego pracę.

A chrząszcze, aby żyć, muszą jeść, piecze więc dwie pieczenie na jednym ogniu.

Sięga po szkło powiększające i wyciąga jednego żuka z kłębiącej się masy skórnikowatych. Uważnie przygląda się jego nóżkom i miejscu między głową a odwłokiem. Jedna zabłąkana roztocz i będzie musiał zniszczyć całą kolonię.

Sprzedawca z Woolwich nie zadawał kłopotliwych pytań, gdy oznajmił mu, że pracuje dla muzeum. Kolekcjoner Kości nie spierał się o cenę. Siedemset funtów za trzy tysiące dorosłych osobników, larw i poczwerek, to więcej, niż wynosiły obecne stawki, ale nie mógł sobie pozwolić na zwrócenie czyjejś uwagi. Zapłacił gotówką, bez słowa.

– No dobra. Zadbaj pan, żeby im nie było za mokro i odstaw ciało na kilka godzin, bo one nie lubią świeżyzny. Nie wiem, na jak duże zwierzę chcesz pan je wypuścić, ale jeśli chcesz pan szkielet w całości, to sprawdzaj pan je co kilka godzin, żeby nie zjadły ścięgien i tkanki łącznej.

Grubas z ogoloną głową i biodronką wytatuowaną na przedramieniu zapalił papierosa, głęboko się zaciągnął, a potem wypuścił dym nosem. Zadrżały mu nozdrza.

– Jeśli chcesz pan wyhodować ich więcej, trzymaj je pan w ciepłym i ciemnym miejscu. Tylko upewnij się pan, żeby nie było tam pleśni ani nie było za sucho, bo wtedy nie zniosą jaj.

Kolekcjoner Kości pokiwał głową i podziękował mężczyźnie za pomoc. Nie powiedział mu o liczącej dziesięć tysięcy osobników kolonii, którą już miał i przechowywał w niepodłączonej do prądu, otwieranej od góry zamrażarce w domu ojca. Ani o dziewczynce uwięzionej na piętrze. Przesypał chrząszcze do plastikowego pojemnika z paroma wiórami i blokiem pianki, a następnie schował do kartonu.

Kiedy wraca do domu, jest czwartek rano. Oprawione szczątki królika zaczynają już wydawać tę swoją niepowtarzalną woń i Kolekcjoner Kości wie, że dojrzały. Rozkoszuje się tym pozbawionym uroku zapachem, następnie liże własną skórę, aby sprawdzić, czy potrafi wyczuć ten smak w martwych komórkach naskórka i mieszkach włosowych.

Facet od żuków ostrzegł go, że musi wysuszyć preparat na powietrzu, zanim skieruje do pracy swoją armię. Teraz nadchodzi właściwa pora. Wsadza truchło do pojemnika i patrzy na nadejście swojego najnowszego batalionu, tysiąca żołnierzy o barwie obornika, gotowych zdemaskować wroga. Niczym strażnik przygląda się bacznie temu, jak jego kolonia obnaża zdobycz, aż wreszcie nie zostaje nic oprócz doskonałego zestawu kości. Stęp, atlas, kość łokciowa, śródrezcze. Szczyt szyjnego odcinka kręgosłupa jest złamany, ale to nie szkodzi.

Chłopca przecież nie będzie obchodzić, co Kolekcjoner Kości zostawi jako swoją wizytówkę.

Jest zadowolony, a nawet zaskoczony szybkością i skutecznością działania nowej kolonii. Wkrótce będzie gotów do wypuszczenia jej do pracy przy czymś większym.

Półgłosem nuci swoim żuczkom, wzywa je do domu. Jedną falującą masą wchodzi po jego ramionach, idą po szyi, wchodzi za marynarkę. Rozkoszuje się tym, jak po skórze pełzają mu tysiące insektów, woli to od dotyku ludzkich rąk. Po kilku chwilach namawia je do powrotu do pojemnika, ruszają tam jak jeden mąż.

Kolekcjoner Kości opuszcza pokój preparatorski i zamyka drzwi na zasuwę. Wspina się po betonowych schodach, do wnętrza domu swojego ojca. Wącha powietrze, wyłapuje

delikatny zapach wśród woni przepełnionych koszy na śmieci. Tak skupił się na króliku, że zapomniał zajrzeć do dziewczynki. Ona jednak może poczekać. Teraz potrzebuje snu, około godziny, aby przygotować się do następnej fazy.

Płynny wschód słońca skapuje między szczelinami żaluzji w jego domu, niepozornym budynku przy anonimowej ulicy. Jest zmęczony, lecz podekscytowany. Jak zwykle wabi go syreni śpiew jego kolekcji. Nie powinien się ociążać, a jednak to robi.

Najpierw ciągnie go do szklanej gabloty z literą S. Kości są wyblakłe i kruszą się. Już dawno nauczył się od ojca, że gotowanie w amoniaku jest szybkie, ale zostają po nim uszkodzenia.

Wędruje po pokoju: oto G i jej brakujące paliczki dystalne. Cudowna, zniekształcona czaszka Q, cierpiącego na chorobę Pageta, wraz z okrutnymi zniekształceniami i osłabieniami, a także kompletny, ruchomy szkielet konia. F, doskonała postać poronionego płodu, stoi przy oknie, chroniona przed światłem zaciągniętymi żaluzjami, właśnie takimi, jakich w całym kraju używa się w pokojach dziecinnych. Ta ironia też nie umyka jego uwagi.

Dzisiaj każe sobie zaczekać. Jednak dreszcz podniecenia, kiedy już nadchodzi, eksploduje mu we wnętrzu. Odnawia się na widok gruzłowatych kości C. Ciekawi go, jaki sekret odsłoni skóra J, już marzy o wystawieniu jego szkieletu w braterskim uścisku.

Zatrząskując drzwi swojego prywatnego muzeum, pozwala sobie na uśmiech. Posiadanie kolekcji to przyjemność, ale na pewno nie jest jeszcze kompletna. Wciąż wiele pracy do zrobienia; trzeba przygotować nowe preparaty, wystawić nowe okazy, zadbać o kolonię.

Śledzić nowe cele.

Kiedy wchodzi do środka, jego żona śpi. Oddycha ustami, on wsłuchuje się, jak każdy oddech drży i uchodzi. Zdejmuje marynarkę, wieszka na oparciu krzesła.

Nocnik jest pełen, ale zapach go nie kłopotuje. Przyzwyczyił się. Sprawdza, czy wzięła jakieś lekarstwa, czy ból stawów wyrwał ją ze snu w głębinach nocy. Folia jest nienaruszona, a jego obmywa ulga, niczym ciepła woda.

Kiedy ona śpi, widzi smutek na jej starzejącej się twarzy. Siatkę krzyżujących się, wąziutkich jak nóż linii. Niektóre są wplecione w materię jej skóry, inne świeższe, niedawno odcisnięte. Zmarszczki bezdzietności nosi na sobie jak blizny.

On siada na skraju łóżka, zdejmując buty i spodnie, starannie je składa. Światło dnia przepycha się między szczelinami w zasłonach, a ona wciąż śpi. Kładzie się na chłodnym pasie prześcieradła obok niej, czuje jak wciąga go jej ciepło. Jej dłoń znajduje jego dłoń. Zamyka oczy.

Fitzroy miała nie pić kawy, ale wychyliła potrójne espresso i modliła się, aby to wystarczyło, żeby jakoś przebrnąć poranek.

Wydawało jej się, że pod powiekami ma mnóstwo żwiru. Starła się tarciami usunąć znużenie z oczu, lecz jedyny prawdziwy balsam stanowił sen, ona zaś nie miała na to szans. Nie spocznie, dopóki jej umysł nie ucichnie, a z każdą mijającą godziną dźwięk stawał się coraz głośniejszy.

Powinna to odwołać, ale całe miesiące zajęło jej namówienie Davida, aby się zjawił. Lekka mżawka polakierowała chodniki. Fitzroy cisnęła papierowy kubek do kosza i nacisnęła dzwonek.

Fotele były bladoróżowe i wygodne. Cztery z nich zajmowały pary, które trzymały się za ręce i wyglądały na zdenerwowane.

– Może pani to wypełnić? – zapytała recepcjonistka. Wręczyła Fitzroy drukowany formularz przyczepiony do sztywnej podkładki.

Usiadła samotnie, opuściła głowę i wystukała kilka maili. Zegar na ścianie wskazywał godzinę siódmą pięćdziesiąt osiem. Zerknęła na telefon. O siódmej pięćdziesiąt dziewięć wysłała mu esemesa.

„Gdzie jesteś?”

Nic.

O ósmej jeden jej telefon zapiszczał.

„Przepraszam, Etta. Dzisiaj nie przyjdę. Nie mogę”.

Wpatrywała się w słowa na ekranie, ledwie przyjmując do wiadomości to, co jej mówił. To, czego jej nie mówił.

– Państwo Fitzroy? – zawołała recepcjonistka.

Fitzroy wstała.

– Przepraszam – wyszeptała. – Męża coś zatrzymało.

– W porządku, może pani poczekać, jeśli pani sobie życzy.

– Eee...

Nie była w stanie jasno myśleć, nie była w stanie pojąć tego, że David pozwolił jej tutaj przyjść, mieć nadzieję, tylko po to, aby ją tak wystawić. Wiele mogła powiedzieć o swoim mężu, ale beztroška jego okrucieństwa była po prostu niespodziewana. Czasem zastanawiała się, czy to dlatego, że już mu nie zależy.

Jaka była głupia.

Jej myśli zawróciły do tej chwili, gdy opijali zaręczyny Niny i Patricka, trzy lata temu.

Pamiętała zaróżowione, błyszczące policzki siostry, chociaż w rękę trzymała tylko butelkę wody gazowanej.

– Fajnie, prawda? – powiedziała, kiedy wrócili do domu, padła na sofę i zrzuciła buty.

– Ona jest w ciąży. – Nawet wtedy ton głosu Davida był pogardliwy.

Racja. Oczywiście.

Kilka kieliszków wina rozniecilo w Fitzroy odwagę. Wstała, zatoczyła się nieco i ujęła jego suchą dłoń w swoją. To właśnie było rozwiązanie tych ich pierwszych, małżeńskich problemów, po prostu to wiedziała.

– Dlaczego też nie postaramy się o dziecko? – Zaczęła rozpinąć mu koszulę. – Tu i teraz.

– Nie.

– To kiedy?

Westchnął. Odsunął jej rękę i usiadł.

– Nie chcę mieć dzieci.

Roześmiała się, śmiechem pełnym szoku i zaskoczenia.

– Nigdy nie mówiłeś.

– Etta, sędzę, że powiedziałem to.

I miał rację. Mówił. Nie wtedy gdy spotkała go pierwszy raz, podczas dochodzenia w sprawie samobójstwa jego przepracowanego kolegi. Wtedy był uprzejmy i pełen szacunku, chociaż patrzył jej w oczy o ułamek sekundy za długo. Nie kiedy wcisnął jej w dłoń swoją wizytówkę i zaprosił na kolację. Nie, to było później. Głównie podczas zakrapianych rozmów w winiarni przy ulicy, w trakcie tych pierwszych, uderzających do głowy dni, kiedy byli dla siebie nawzajem równie upajający jak zawartość kieliszków, kiedy jego doświadczenie i stabilność okazały się tym, czego pragnęła, antidotum na truciznę poniesionej przez nią straty. Na litość boską, był brokerem. Przywykł do negocjacji. Po prostu uznała, że zmieni zdanie. Że ona zmieni mu zdanie.

Tydzień po opijaniu zaręczyn Nina poroniła. Jej beztroska zaskakiwała.

– Za parę lat będę miała następne – powiedziała. – Tak czy siak, nie chcę być grubą panną młodą.

Fitzroy pomyślała, że nie miałyby nic przeciwko byciu grubą przez resztę życia, gdyby tylko miała dziecko.

Ciężko pracowała nad tym, aby David zmienił zdanie i przez chwilę myślała, że jej się udało. Podzieliła się z nim marzeniem o macierzyństwie. Kiedy to nie podziałało, pokazała mu kilka chwytających za serce zdjęć, które trzymała w pudełku w komodzie. Potem błagała. Wreszcie niechętnie się zgodził. Seks bez zabezpieczeń, stosunki w połowie cyklu, ale nic się nie działo, lekarz powiedział, że to niewyjaśniona bezpłodność.

Powoli intymność między nimi wysychała jak plama na prześcieradle.

Wkrótce każdą chwilę zaczęła spędzać w pracy. Podobnie jak on. I tak Fitzroy i David prześlizgiwali się osobno przez pęknięcia w swoim życiu.

Ale to ją podtrzymywało, pozwalało mieć nadzieję i nawet jeszcze tego ranka, kiedy przechodziła przez drzwi kliniki, wierzyła, że im się uda.

On jednak nie przyszedł. Właściwie to tak, jakby powiedzieć głośno, że to koniec ich małżeństwa.

– Mam panią umówić na inny termin?

– Nie, dziękuję.

Listopadowy poranek był zimny i wilgotny. A ona miała pracę do wykonania.

Ruchome schody wiozły głęboko pod ziemię, a gdy ich motor rozpoczął niekończący się cykl, to samo zrobił mózg Fitzroy.

Większość nocy spędziła na lekturze zeznań i przeglądaniu akt sprawy Grace Rodriguez.

Ale wcale nie musiała szperać w papierach, aby wiedzieć, że szkielet królika znaleziony na Heath był identyczny jak tamten, który znaleźli – i zlekceważyli – nieopodal szczątków Grace.

Chociaż do jego nogi nie przyczepiono żadnej tubki.

No i co? Skoro nie szukaliśmy tego, to równie dobrze mogło zostać jakoś zgubione.

Może to właśnie dlatego wysłał notatkę. Tym razem nie było już mowy o pomyłce. Ale i tak czuła się skonsternowana. Czy ten szkielet miał być jego wizytówką związaną z Clarą? Jeśli tak, to dlaczego znaleziono go po drugiej stronie Heath, a nie tam, gdzie ostatnio ją widziano, w sklepie ze słodyczami na osiedlu? Nie było śladu po ciele, w ogóle żadnego śladu poza krwią Erdmana Fritha. I co z tą szarą furgonetką? Czy to jest jakoś powiązane? Musiała porozmawiać z panem Frithem, sprawdzić, co pamiętał.

Kiedy dziesięć minut później na London Bridge wsiadała do kolejki, rozdzwonił się jej telefon. Ścisnęło ją w dołku, ale to nie był David.

– Gdzie ty, kurwa, jesteś? – zapytał szef. – Myślałem, że poszłaś tylko na kawę.

– Przepraszam. Nie byłam w stanie oderwać się od jednej rzeczy.

– No to się jednak oderwij i wracaj tutaj. Chcę porozmawiać o króliku.

W biurze panował gwar dużego podniecenia. Szef dał jej znak żeby podeszła.

– Opowiedz mi wszystko – polecił.

Chociaż sporządziła notatkę służbową już kilka godzin temu, powtórzyła to, co mówił doktor Hall.

– Laboratorium cały czas nad tym pracuje – powiedział szef. – Ale wiele z tego nie wydobędziemy. Deszcz zmył nasze szanse. – Zdusił ziewnięcie. – Chociaż to nie deszcz zmył ślady zostawione przez tego, kto napadł Grace. Sami to, kurwa, zrobiliśmy. – Zamknął oczy, potarł dłonią środkową część lewej piersi. – A notatka zamokła. Ale spierdoliliśmy.

– Sir...

– A przez zaginięcie Clary Foyle mam teraz zajebiście wielki ból głowy. Prześledziliśmy

każdego znanego sprawcę przestępstw na tle seksualnym w okolicy, przymknęliśmy jednego czy dwóch. Ekipa cały czas sprawdza ich alibi. Potrzebujemy więcej ciepłych tropów i to, kurwa, szybko, ale ich nie dostaniemy.

– Sir...

– Teraz mamy dwa cholerne, duże śledztwa i za mało wykwalifikowanych funkcjonariuszy, żeby przy nich pracować. Jak ja mam zdecydować, czyje życie jest ważniejsze, nastolatki, która zaginęła rok temu, czy pięcioletniej dziewczynki? Nie jestem w stanie zdecydować i to jest całe sedno sprawy. W ogóle nie powinienem musieć o tym zdecydować. – Westchnął. – Jesteś gotowa, żeby później znowu spróbować z Milesem Foylem? Wciąż niczego nie mówi.

– Tak, ale sir...

– Co jest, Fitzroy?

Teraz, gdy szef wreszcie przestał mówić, Fitzroy nie wiedziała, czy starczy jej odwagi, aby głośno powiedzieć to, co chciała. Zrobiło jej się głupio, ale „dzyń” wskazywało, że powinna o tym oznajmić i że będzie żałować, jeśli tego nie zrobi. Skoczyła więc na główkę.

– Czy ktoś sprawdzał sklep ze słodyczami, czy nie ma tam gdzieś szkieletu królika?

Szef zdjął okulary. Bez szkielek jego twarz była naga, zmarszczki wokół oczu wyraźniejsze, widać było odciski od oprawek po obu stronach grzbietu nosa. Wyjął z kieszeni kawałek materiału i wyczyścił szkła.

Fitzroy poszła za ciosem.

– Chodzi mi o to, że szkielet w lesie był tylko kilka metrów od koniuszków palców Grace, prawda? Miał zostać znaleziony. Jednak na Heath, tam gdzie leżał drugi szkielet, nie było nawet śladu Clary, czy więc nie powinniśmy jakoś bardziej poszukać – przerwała, szukając właściwego słowa – jakiegoś bardziej konkretnego związku między tymi sprawami?

Ponownie założył okulary, zakreślił językiem kółko wewnątrz policzka. Mówił spokojnie, ale cały czas czuła się jak nadgorliwa praktykantka w trakcie pierwszego dnia w Hendon.

– Fitzroy, ekipa z laboratorium kryminalistycznego już sprawdziła trasę, jaką przemierzyła Clara po opuszczeniu szkolnego placu zabaw. Dwa razy sprawdzili Heath. Sprawdzili sklep ze słodyczami, jej dom, nawet auto jej rodziców. Sprawdzili wszystko, co do cholery tylko przyszło im do głowy.

Wstyd wynikły z tego, co stało się dzisiaj rano w klinice, zaczął wpychać z Fitzroy pewność siebie, opuściła więc głowę, nagle zmęczona walką ze wszystkimi, w domu i w pracy. Zmęczona Davidem, jego brakiem empatii, niezdolnością do spojrzenia poza własny, ograniczony horyzont. Podczas ich ślubu, eleganckiego, ale skromnego, w urzędzie stanu cywilnego w centralnym Londynie, wierzyła, że David to jej przyszłość, teraz jednak nie wydawało się to pewne.

Była zmęczona brakiem postępów w pracy. Przed incydentem z zeszłego roku miała pewność, że szef ją awansuje. A cieszyła się, że w ogóle tu została.

Pomyślała o kartce dla nowego wnuka, którą zobaczyła obok szpitalnego łóżka Niny. Jej ojciec nigdy nie uznał tego, co się jej wydarzyło i nie potrafił zrozumieć, jaki jest sens przychodzić na pogrzeb dziecka, które zmarło, zanim zaczęło żyć, którego nigdy nie poznał i nie pozna. Wtedy nie zwracała na to uwagi, własna rozpacz uśmierzyła ból jego niezainteresowania. Teraz jednak właśnie to ją pochłaniało i stanowiło jedną z przyczyn tego, że prawie już nie rozmawiali.

W dodatku zaczęła sobie uświadamiać, że jeśli nie odejdzie od Davida, może już nigdy nie mieć własnego dziecka.

Czego się w życiu nie tknęła, to psuła.

Czasem czuła się jak siedmiolatka, a nie trzydziestosiedmiolatka.

„Głupia dziewczynka”.

– To tylko przeczucie – powiedziała. – Głupie przeczucie.

– Fitzroy – odezwał się szef i coś w sposobie, w jaki wypowiedział jej nazwisko, sprawiło, że wyprostowała ramiona i uniosła głowę. Był teraz bardziej jej ojcem niż jej własny.

Ich spojrzenia się spotkały.

– Sprawdź to jeszcze raz.

40

Godzina 8.31

W czwartek, dwudziestego drugiego listopada, dwa dni po zniknięciu ojca Jakeya i niecałą godzinę po tym, jak Fitzroy uznała, że jej małżeństwo się skończyło, nieproszone światło brzasku wspięło się po parapacie, oznajmiając nastanie poranka. Chłopiec zacisnął powieki, a po policzku spłynęła mu łza, robiąc plamę, która zakwitła na poduszce ze Spider-Manem.

Bolało go serce. Jednak nie tak jak wówczas, gdy kości zaczynały kolejny atak, a mama podawała mu lekarstwo i robiło się trochę lepiej. I nie jak wtedy, gdy bolało tak, że aż zgrzytał zębami, nie spał całą noc, a mama płakała, kiedy sądziła, że już zasnął. To było coś głębiej, jak gdyby niósł w sobie coś ciężkiego, ciągnącego w dół.

Odejdź, Stare Krwawe Gnaty. Stary Tommy Rawheadzie. Zostaw mnie w spokoju.

Jakey nie spał dużo, a kiedy już zasypiał, jego sny pełne były obrazów mrocznego mężczyzny o ostrych zębach i wychudzonych ramionach, a także obrazów ojca.

Och, tatusiu.

Jakey wydał z siebie odgłos będący czymś pomiędzy westchnieniem a szlochem. Ojciec

obiecał, że będzie go bronił, a jednak go porzucił.

Tatusiu, proszę, wróć do domu.

Jakey na placu zabaw swojej wyobraźni zobaczył postać z ojcowskich baśni, jak sięga po niego, palce miał rozcapierzone, czarne oczy patrzyły uważnie.

Jakey miał tylko sześć lat i tak jak to u dzieci, mężczyzna z książki i mężczyzna z telewizji mieszały się ze sobą i połączyli w to samo, przyczajone zagrożenie.

Stare Krwawe Gnaty zabrał tamtą dziewczynkę. Widział to w telewizji.

Teraz tatuś odszedł.

Jeśli Stare Krwawe Gnaty naprawdę istniał, tak jak wierzył chłopiec, to by oznaczało, że ucieleśnione zostały wszystkie jego lęki i niepokoje.

A on, Jakey, miał być następny.

Co do matki Clary Foyle, własna wyobraźnia ciągnęła ją w dół ciemną ścieżką, którą wcale nie chciała wędrować. Jej dni i noce definiowały tylko przyływy i odpływy światła i cienia. Często zauważała, że drzemie w jakichś przypadkowych momentach, a potem budziła się nagle, wraz z każdym przebudzeniem na nowo odkrywając rozpacz i grozę zniknięcia córki.

Czarny prostokąt pozbawionego zasłon okna zasygnalizował, że znowu przyszła noc. Claro, mamusia za tobą tęskni. Moja kochana dziewczynka. Mam nadzieję, że śpisz.

Sięgnęła po szklankę z przejrzystym płynem, stojącą przy łóżku. Przełknęła, pociągnęła kolejny piekący łyk. Nie była pewna, czy obraz przed oczyma ma rozmazany przez wódkę, czy przez miesiączkę.

W sypialni było ciszej niż zazwyczaj, bez zwierzęcych ryków chrapiącego Milesa, ale jego strona łóżka stała się teraz chłodna i pusta. Cały czas był na policji. Drżała jej ręka, kiedy postawiła ich oprawione w srebrną ramkę zdjęcie ślubne.

Zawsze dążyła do tego, aby mieć wszystko jak najlepsze. Ubrania od projektantów, luksusowe wakacje, ale gdy tak leżała wśród ziejącej ciemności swojego domu, żalowała.

Amy, ledwie trzydziestoletnia, straciła już jedną z córek i była zdradzaną żoną. Kobieta, która myślała, że pełne przywilejów życie, osłodzone pieniędzmi i prestiżem, po prostu jej się należy.

A przecież oddałaby wszystko, nawet ostatniego pensa, gdyby tylko mogła znowu zobaczyć Clare.

Dharamdeep Atwal wysypywał do kasy drobniaki z torebki, gdy do jego sklepu weszła Fitzroy. Lekko pokręcił głową.

– Czego znowu chcecie? To nie jest dobre dla biznesu.

– Panie Atwal, zaginęła mała dziewczynka. Na pewno nie znajdzie pan dla mnie pół godziny?

Zatrzasnął szufladkę. Monety zabrzęczały.

– Oczywiście, że znajdę. Ale policja już przewróciła tutaj wszystko do góry nogami.

– Chcę tylko jeszcze raz się rozejrzeć. To nie potrwa długo.

Fitzroy nie czekała na odpowiedź. W sytuacjach takich jak ta czuła się niczym przeterminowany towar. Policja naszła sklep pana Atwala w piątek, gdy tylko stało się jasne, że Clara zaginęła. Od tamtej pory koledzy, pani detektyw rozmawiali z nim wielokrotnie. Teraz, gdy przyszła pora na nią, pewnie miał już stróżów prawa po dziurki w nosie.

Ale musiała tu być. To ostatnie miejsce, w którym widziano Clarę żywą.

Pan Atwal prowadził porządny sklep ze słodyczami. Nie sprzedawał puszek z fasolą czy mrożonej pizzy ani błyszczących paczek herbatników, miał jednak dziesiątki słoików z cukierkami w jaskrawych barwach, tabliczki czekolady opakowane w metalową folię i papier, sownicie zdobione wstążkami opakowania słodczy w stylu retro. Zapach cukru drapał ją w gardle. Oczyma wyobraźni zobaczyła Clarę, omamioną tym wyborem, podchodzącą do lady z monetą w zaciśniętej dłoni.

Pan Atwal utrzymywał w sklepie porządek. Wszystko leżało na swoim miejscu. Półki ugięły się pod towarami. Stała między lizakami, opakowanymi w folię stożkami butelek z musującą colą, próbując sobie wyobrazić, gdzie tamten człowiek mógł schować szkielet. O ile go tutaj schował.

Ruszyła przed siebie, wyszła przez drzwi do sklepu, usłyszała „dzyń” ich dzwonka, któremu odpowiedziało „dzyń” w jej głowie. Poprawiła się w myślach. On mógł tego w ogóle nie chować. Chciał, aby to odnaleziono.

Zerknęła do kosza na śmieci na zewnątrz, przyjrzała się tej stronie ulicy, po której stał sklep. Wróciła do środka, obejrzała półki, zajrzała za ladę, do malutkiej komórki, w której pan Atwal trzymał płaszcz i lunch, krzesło i czajnik. Nadal nic.

Pomyliłam się, przyszło jej do głowy. Ale jednak wcale nie miała takiego wrażenia.

Pod sklep podjechała ciężarówka dostawcza, jej silnik pracował. Fitzroy patrzyła, jak dostawca wnosi stos kartonowych pudeł. Przyglądała się, jak pan Atwal z nim dowcipkuje i podpisuje jakieś papiery. Jedno z pudeł przeniósł na kontuar, nożem tapicerskim przeciął taśmę zabezpieczającą.

Wysypały się opakowania cytrynowych landrynek.

Pan Atwal zaczął układać słodycze od razu na półkach. Mruczał sobie przy tym, wydając pozbawiony melodii dźwięk, który szarpał Fitzroy i tak już postrzępione nerwy. Gdy skończył, postawił pudełko na podłodze, potem zabrał się za kolejne.

Oczywiście wyobraźni Fitzroy ujrzała pudełko leżące na Blackheath Commons.

Dziś.

– Panie Atwal – odezwała się. – Gdzie pan trzyma puste kartonowe pudełka?

Nadal był odwrócony do niej plecami.

– Zazwyczaj z tyłu sklepu. Zostawiamy je dla chłopaków od recydingu.

W głowie usłyszała szmer własnej krwi.

– Kiedy się zjawiają?

– W czwartki rano.

Pobiegła.

Stos pudełek piętrzył się pod przepelnionym workiem na śmieci w małej, śmierdzącej moczem wnęce za sklepem. Kilka pudeł zgnieciono, aby zrobić więcej miejsca, ale mniejsze były całe. Wszystkie namokły od deszczu. Z worka ciekło coś nieprzyjemnego, ale Fitzroy nie zwróciła na to uwagi.

Wyciągnęła z kieszeni plastikową rękawiczkę i sięgnęła do stosu pudeł, czując pod palcami strukturę rozpadającego się kartonu. Otworzyła pierwsze pudło. Nic. Sięgnęła do następnego stosu. Nic. Trzecie pudełko rozpadło się jej w dłoniach, a na buty wylała się deszczówka albo nawet coś gorszego. Zmusiła się, aby spowolnić ruchy, nie miotać się. Jeśli Clarę porwał ten sam mężczyzna, który zabrał Grace Rodriguez, to prawie na pewno nie było już nadziei.

Zostało ledwie kilka pudeł, a Fitzroy poczuła ściskające jej dółek poczucie popełnionego błędu. Obok przetaczał się ruch uliczny. Kilka metrów od niej po chodniku dreptali przechodnie.

Sięgnęła po małe pudło z czarnymi literami na boku, atrament zaczął się już rozmazywać. Otworzyła je.

Serce Fitzroy stało się ptakiem uwięzionym w piersiach.

W kącie pudła leżał kolejny szkielet królika, kruchy, obrany do czysta. Tak jak wcześniej, karteczka w tubce. „Oto ja wam daję ducha”.

Obok tych kości leżała rozerwana, papierowa paczka cukierków truskawkowych. Różowy lukier spływał po kartonie, wyglądał jak aksamit wyściełający trumnę.

Tak jak Fitzroy Lilith też nie spała już od wielu godzin. W łóżku towarzyszyły jej wątpliwości, a w te samotne godziny przedświt, kiedy reszta świata drzemie, przekonywała siebie samą, że Erdman ma kłopoty.

Ciemność ma swój sposób powiększania lęków. Erdman leżał pewnie teraz na jakiejś uliczce, krwawiąc, niezdolny wzywać pomocy.

Jednak obmycie zimnym światłem dnia przywróciło jej rozsądek. Erdman na pewno nie opuściłby szpitala, gdyby potrzebował dalszej opieki. Obraził się i tyle.

Starala się ignorować męczące, uparte wątpliwości. Kiedyś mogłaby przysiąc, że mąż do końca będzie walczył o ich małżeństwo, ale się myliła. Co do czego jeszcze się myliła?

Wcześniej dzwoniła znowu ta detektyw, pytając, czy może rozmawiać z Erdmanem. Chciała skłamać, udać, że akurat wyszedł, ale sumienie jej nie pozwoliło. Oznajmiła detektyw Fitzroy, że nie wrócił do domu, że nie ma o nim żadnych wieści. Cisza po drugiej stronie słuchawki była niczym osąd jej przymiotów jako żony.

– Muszę z nim porozmawiać – oznajmiła detektyw.

Obie musimy, pomyślała Lilith.

Po tym telefonie weszła po schodach, żeby sprawdzić, co u Jakeya. Znowu spał, z płuc wydobywał mu się rzęzący oddech. Nie było mowy, aby dzisiaj poszedł do szkoły. Po południu zabierze go do lekarza. Poprosi o nową receptę na sterydy, może jakiś antybiotyk. Miała nadzieję, że to nic poważniejszego. Myśl o długich szpitalnych korytarzach sprawiała, że aż ścisnęło ją w gardle.

Kiedy Jakey spał, przygotowała skromny lunch. Kawałek sera, zielone jabłko pokrojone w ćwiartki, bułka z masłem. Jadła sama, słuchając radia. Na wypadek gdyby Jakey obudził się głodny, odłożyła mu porcję i przykryła folią kuchenną.

Delikatny brzęk dzwonnka do drzwi wdarł się w słowa prezentera, prowadzącego przy telefonicznym udziale widzów program o nowym dyrektorze generalnym BBC.

Erdman? To ty?

– Dzień dobry, kochana – powiedziała pani Cooper z domu obok. – Tak tylko byłam ciekawa, czy mąż już wrócił.

Lilith wzięła głęboki oddech, aby się uspokoić, do oczu napłynęły jej łzy. Pomarszczona twarz pani Cooper złagodniała, pełna współczucia. Poklepała młodszą kobietę po dłoni.

– Przykro mi. Czy coś mogę zrobić? Czegoś pani potrzeba? – Ta jej matczyna troska bardzo uspokajała.

Lilith wyobraziła sobie Erdmana, zagubionego i zranionego gdzieś w mieście.

– W zasadzie tak – powiedziała. – Mogłaby pani parę godzin posiedzieć z Jakeyem? Zamierzam poszukać swojego męża.

Nie było już żadnych wątpliwości, że nadeszła zima. Deszcz ze śniegiem zaciął w twarz, gdy szła pospiesznie, niepewna, od czego zacząć.

Puby były jeszcze zamknięte. Próbowwała się zastanowić, gdzie mógł pójść, u kogo się zatrzymać. Większość ludzi odpowiedziała już na jej coraz bardziej gorączkowe pytania, tylko Amber Collins wciąż nie oddzwaniała. Erdman powiedział jej, że Amber mieszka niedaleko Blue Elephant Theatre. Może tam powinna zacząć. Przez chwilę zastawiała się, czy nie wziąć auta. Jednak przy londyńskich korkach nie miała gwarancji że to zwiększy jej zasięg. Ostatecznie poszła na pętlę autobusową przy komisariacie na Lewisham. Czterysta trzydzieści sześć powinno ją zawieźć prosto do Camberwell.

Deszcz ze śniegiem zmienił się w deszcz, gdy schodziła z piętra autobusu, z rykiem jadącego ulicą. Sięgnęła do torebki po swoją kartę Oyster, a wtedy rozdzwonił się jej telefon. Grzebała wśród chusteczek i tamponów tak długo, aż go wyłowiła. Wyświetlająca się na ekranie nazwa dzwoniącego sprawiła, że przeszedł ją dreszcz.

„Dom”.

– Lilith? – Panika w głosie pani Cooper sprawiła, że pulsowanie w jej gardle stało się klekotem.

– Kochanie, musisz zaraz wracać do domu – powiedziała.

– Co się stało? Chodzi o Erdmana?

Głos pani Cooper wydawał się bardzo odległy, jak gdyby mówiła do Lilith z drugiego krańca długiego tunelu.

– Nie, kochana, o Jakeya. Obawiam się, że stracił przytomność.

43

Godzina 14.17

Czeka przy płocie i obserwuje bawiące się dzieci, ale chłopiec nie przychodzi. Wczoraj też go nie było. Przeszedł szkolną bramę ukryty za znękanymi matkami z małymi dziećmi, za opiekunkami pchającymi szerokie wózki, zakłopotanymi dziadkami, nigdzie jednak nie dojrzał piegowatego chłopca z błyszczącymi włosami.

Kolekcjoner Kości zastanawiał się, czy chłopiec nie zachorował.

Czy zagubiony ojciec sprawi, że matka stanie się bardziej opiekuńcza, czy może mniej.

Aż go pali, żeby się dowiedzieć.

Wraca do swojej szarej furgonetki i szybko jedzie po śliskich od deszczu ulicach.

Niedaleko, za ledwie kilka przecznic. Zastanawia się, czy chłopiec zjawi się dobrowolnie, czy trzeba go będzie zmusić. Ta perspektywa go ekscytuje.

Wie już, że chłopiec go nie rozczaruje. Obserwował go, śledził. Na własne oczy oglądał zniekształcenia i wykoślawienia pod jego skórą. Jednak to ojciec wprawia go w zakłopotanie i w ogóle nie jest taki, jakiego się spodziewał.

Klepie się po kieszeni marynarki, upewniając się, że wszystkie narzędzia ma na miejscu. Kolonia żuków nie zje żywej tkanki, sprawę załatwi ostrze.

A potem szklana gabłota, pusta od tylu lat, nareszcie się wypełni.

Światła są włączone, a on przez szyby śledzi ruch na ulicach.

O przednią szybę wałają krople deszczu, zmieniają się w błyszczące punkciki, gdy odbijają blask reflektorów. Marshall zwykł mawiać, że to „pada deszcz prętów przytrzymujących dywan na schodach”. Zastanawia się, co Marshall powiedziałby teraz, gdyby tylko mógł go zobaczyć.

Pełźnie ulicą, szukając miejsca, gdzie mógłby zaparkować. Furgonetka podskakuje, gdy wjeżdża na krawężnik, akurat pod dobrym kątem.

Jak będzie musiał, to zabije tę matkę.

I wtedy to słyszy, a jego serce zamiera.

Unoszący się i opadający dźwięk syreny.

Zapomina o oddychaniu.

Znaleźli go.

Migoczące światła rzucają niesamowity niebieski blask na przyglądające mu się domy i bloki, a on powoli, powoli, bierze oddech.

To nie jest policja.

To jest karetka.

44

Godzina 14.51

Pechowym zbiegiem okoliczności dwie przeciwstawne siły, zbiegające się w domu Frithów niczym kompasowe rumby, wyminęły się o włos.

Erdman obudził się późno, wciąż posiniaczony i obolały. Pomógł Amber przyrządzić płatki kukurydziane, wziął prysznic (bolesne doświadczenie), potem włożył luźne, czarne ubranie, pożyczone od jej chłopaka (jeszcze boleśniejsze doświadczenie). Włączył telewizor.

Przewertował jedną z jej książek. Wybierał się już domu, tylko czekał, aż Jakey wróci ze szkoły. Przebywając poza domem, utracił swoją moralną wyższość, ale obecność syna zmniejszyła złość żony. I szedł właśnie przez Camberwell Green, kiedy pod jego domem zatrzymała się karetka.

Kolekcjoner Kości, który tego południa zamierzał uprowadzić Jakeya Fritha, nie lubił rzeczy niespodziewanych. Kiedy zjawiała się karetka, odjechał i zaczął krążyć po pobliskich ulicach niczym drapieżny ptak.

Detektyw Fitzroy zastanawiała się, czy jej aby nie spławiono. Żona pana Fritha brzmiała tak, jak gdyby była rozkojarzona. Postanowiła do niej zajrzeć. Dom nie był daleko. I dlatego właśnie zjawiała się tam mniej więcej minutę po tym, jak zaparkowało pogotowie, a odjechał Kolekcjoner Kości.

Co do Lilith, to przebiegła całą drogę pod górę od przystanku, a krew w jej żyłach płynęła coraz szybciej i szybciej, aż poczuła się tak, jak gdyby serce miało wyskoczyć jej z piersi.

Zjawiała się na miejscu dokładnie sześćdziesiąt sekund przed karetką i nie zauważyła szarej furgonetki po drugiej stronie ulicy.

Drzwi frontowe były otwarte, a na korytarzu zobaczyła ledwie widoczny zarys Jakeya. Pani Cooper obejmowała mu barki ramieniem. Upadł do przodu, na kolana, a dłoń ręki przyległej do tułowia łokciem znalazła drogę do „dobrego” ramienia. Chłopiec z całej siły zaciskał powieki i szarpał za rękaw.

– Boli – jęczał.

Oddech wydobywał mu się krótkimi, ciężkimi sapnięciami.

Lilith, potykając się, podbiegła do niego, z rękami wyciągniętymi jak lunatyk albo tonący żeglarz.

Jakey spróbował wstać, też do niej sięgnąć, ale gdy tylko oparł się na stopach, zachwiał się i znowu jęknął. Chwilę, dwie później zapadł się, jak gdyby nogi miał z waty.

Fitzroy, która przybiegła dróżką, dotarła akurat w samą porę, żeby go przytrzymać. Łagodnie posadziła chłopca na trawie. Oczy miał zamknięte, ciemne rzęsy wisiały nad policzkami.

Podbiegli ratownicy,

– Już dobrze, kochanie – powiedziała Lilith, kołysząc syna. – Już dobrze. – Łzy spłynęły nowymi ścieżkami po jej twarzy.

Fitzroy poczuła, że wewnątrz niej coś się przesuwają i odwróciła wzrok. Przypomniała sobie inne życie, przed spotkaniem z Davidem, zanim sprawy stały się skomplikowane, bezładne i popekane. Przypomniała sobie innego chłopczyka, malutkie paluszki dotykające jej palców, sinawe zabarwienie ust. Oczy, które nigdy się nie otworzyły.

Ratownicy pochylali się na Jakeyem, bladym i nieruchomym.

– On ma chorobę kości – powiedziała Lilith. Mówiła bardzo szybko. Dla Fitzroy brzmiało to tak, jak gdyby wypluwała każde słowo.

– On ma zapalenie. Naprawdę, bardzo, bardzo poważne. Proszę unikać zastrzyków domięśniowych, tylko pogarszają jego stan. I proszę obchodzić się z nim delikatnie. Nie chcemy niespodziewanych złamań albo urazów.

– To nasza podstawowa zasada. Nie dotykać, chyba że trzeba tak zrobić, aby ratować życie.

– On jest WGPU. – Fitzroy usłyszała jednego z ratowników. – Bierzmy go zaraz do szpitala.

Lilith niezgrabnie wspięła się do karetki, a Fitzroy patrzyła, jak drzwiczki ambulansu się zatraskują i samochód odjeżdża. Siedziała w tej branży wystarczająco długo, aby wiedzieć, że WGPU oznacza w ratowniczym slangu „W Gównie Po Uszy”.

Lilith znalazła się w szpitalu po raz drugi w ciągu tygodnia. Siedziała przy łóżku Jakeya i płakała. Podali mu dużą dawkę środków przeciwzapalnych, aby zmniejszyć obrzęk i ból. Oczy miała zamknięte i płakała, a potem on poruszył się niespokojnie w pościeli.

Lekarz mówił do niej cichym głosem. Martwi się jego oddechem, temperaturą. Chciał zrobić prześwietlenie klatki piersiowej, żeby wykluczyć infekcję górnych dróg oddechowych albo zapalenie płuc.

– Będziemy obserwować go przez całą noc – powiedział doktor Garvey. – Po prostu zobaczymy, co się będzie działo. Wszystko jest inne, ale jeśli formuje się nowa kość, ból może być potworny. Miejmy nadzieję, że to tylko to.

Zaraz po odejściu lekarza Jakey przewrócił się na bok, plecami do niej. Ramiona zaczęły mu dygotać. Zaniepokojona Lilith wyciągnęła dłoń, aby go dotknąć i zorientowała się, że płacze. Przytuliła go. Po kilku chwilach odcyfrowała, co stara się jej powiedzieć.

– Mamusiu, ja... ja... ja... się bardzo boję. – Jakey miał twarz całą w plamach, a z nosa ciekł mu gęsty strumień śluzu, aż na górną wargę. Znowu zaczął kaszleć.

Lilith trzymała go tak długo, aż ustały spazmy szarpiące jego ciałem. Potem ujęła dłoń syna w swoją i przyciągnęła do ust.

– Kochanie, jesteś w najlepszym miejscu. Lekarze się tobą zajmą i będziesz zdrowy. Rozumiesz? Wyzdrowiejesz.

Ton głosu miała żarliwy, wiedziała, że bardziej stara się przekonać siebie samą niż syna.

– Mamusiu, ja nie chcę umierać.

– Och, Jakey. Nie umrzesz. Kto ci naopowiadał takich rzeczy?

Ale Jakey nie odpowiedział.

Oczy wypełniły jej się łzami, lecz szybko zamrugowała i przywołała uśmiech. Nie mógł zobaczyć, jak się rozkleja.

Chłopczyk odwrócił się znowu w stronę ściany. W górze od pizamy rozchylił się kołnierz, ukazując kostny guz na ramieniu, nieproszonego intruza czającego się pod skórą,

napinającego ją w nienaturalny kształt, zupełnie tak jak ich życie.

Minęła ją jakaś kobieta, niosła małą córeczkę. Dzieciak obrócił się w ramionach matki, jego spojrzenie zatrzymało się na zniekształconym ciele Jakeya.

Lilith odwróciła głowę. Nie miała pretensji do dziecka, ale nieświadomie przypomniało ono te wszystkie spojrzenia, które musiała ścierpieć przez lata, nawet jeśli dawno już powinna przywyknąć.

Pierwszego dnia w szkole do Jakeya podbiegała jakaś mała dziewczynka, uśmiech miała tak jasny jak loki.

– Nie złapiesz mnie – drażniła się z nim, już od niego odskakując.

Jakey odwzajemnił jej uśmiech i ruszył za nią, a kiedy biegł, wyraźnie było widać, jak bardzo kuleje. Lilith, świadoma współczujących spojrzeń, musiała wtedy zwalczyć pragnienie, by pobiec za nim, kazać mu na siebie uważać, nie wysilać się. Zawsze sobie obiecywała, że nie będzie go owijała w miękki kokon, chociaż to mogło okazać się znacznie trudniejsze, niż sobie wyobrażała. Chociaż szkoła dawała Jakeyowi nieznaną wcześniej wolność, samą Lilith zamykała w kajdanach strachu i zmartwień. Kiedy był ledwie chodzącym maluchem, łatwiej było śledzić jego poczynania, pilnować go. Teraz codziennie szykowała się na telefon ze szkoły, że Jakey zachorował albo się przewrócił. Dobrze, że Jakey miał kolegów. Ale te przyjaźnie nigdy nie będą takimi z przepychankami i biegami, z wypadami na rower po szkole.

A teraz znowu znalazł się w szpitalu.

Przepęniała ją żarliwa potrzeba chronienia chłopca, który przyszedł na ten świat, walcząc i walczy każdego dnia. To nie jest w porządku, pomyślała gorączkowo. Najpierw jego choroba, potem to całe gównno z Erdmanem. To nie jest w porządku.

Gdzie on się podziewał? W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin dręczące ją poczucie winy stwardniało, stając się samousprawiedliwieniem. Miała rację. Nigdy go nie było, kiedy go potrzebowała. Ale teraz nie pora myśleć o niej. Teraz to ich syn cierpiął.

Została przy Jakeyu, trzymając go za rękę i śpiewając, aż jego oddech się pogłębił, a ciężar strachu i zmartwienia z jego twarzy ześlizgnął się na jej twarz. Zасыpanie zajęło mu prawie godzinę.

Erdman pokuśtykał w górę wzgórze tak szybko, jak tylko pozwoliły mu obrażenia. Czyli niezbyt szybko. To mu zresztą odpowiadało. Dostrzegł, że im bliżej domu, tym bardziej się ociągał, zniechęcony perspektywą wysłuchania koncertu, zainspirowanego jego niewyjaśnionym zniknięciem na dwie noce.

Pod domem stała jakaś kobieta, wpatrując się w okna. Wilgotne loki, ręce w kieszeniach płaszcza. Biorąc pod uwagę wydarzenia ostatnich kilku dni – zwłaszcza jakiegoś nieznanego na obrzeżach jego życia – Erdman podszedł do tego zdecydowanie ostrożnie.

– Mogę pani pomóc?

Przyjrzała się jego posiniaczonej twarzy, niedopasowanemu ubraniu, włosom z wolna przybierającym w deszczu barwę przypalonego piernika.

– Panie Frith, myślę, że to raczej ja mogę panu pomóc.

Erdman zmrużył oczy.

– Czyżby?

Kobieta wyciągnęła ku niemu rękę:

– Detektyw Etta Fitzroy.

Uścisk dłoni miała mocny, męski.

– Chodzi o tamtą noc?

– I tak, i nie. Muszę z panem o tym porozmawiać, o tym i o szarej furgonetce widzianej przez świadka, ale... – przerwała. Słowa utkwiły jej w gardle. Nawet doświadczeni funkcjonariusze mieli problem z przekazaniem złych wieści.

– Chce pani wejść? – powiedział. – Ja, hm, jakiś czas nie byłem w domu. Przypuszczalnie powinienem tam wejść i zobaczyć się z rodziną. – Ruszył już w stronę drzwi, kiedy poczuł jej dłoń na ramieniu.

– Ich tam nie ma.

– Och. – Odwrócił się do niej gwałtownie i skrzywił od dźgnięcia bólu w plecach. – Ale pani wie, gdzie są?

Detektyw uchwyciła jego spojrzenie i przytrzymała je.

– Panie Frith, pański syn źle się poczuł. Przyjechała karetka. Jest w szpitalu.

Erdman dwukrotnie zamrugał, a klocki domów zwały się z jednokolorowym niebem. Zmierzch zaczynał połykać światło dnia. Coś ciężkiego i zwarte go usadowiło mu się w piersi.

Fitzroy dostrzegła przepływające przez jego twarz poczucie winy. Nagle zrobiło się jej go żal.

– Chodźmy – powiedziała. – Podwiozę pana. Możemy porozmawiać po drodze.

Jak się okazało, nie było za bardzo o czym rozmawiać. Erdman wyglądał przez szybę auta, prawie się nie odzywając.

Nie, nie widział żadnej szarej furgonetki.

Nie, nie miał pojęcia, kim mogli być napastnicy.

Nie, nigdy nie zażywał narkotyków.

Reflektory mijających ich aut oświetlały mu oczy, dwie latarnie strachu i wyrzutów sumienia.

Zdumiały ją te różnice między poszczególnymi ludźmi. Miles Foyle, absolutnie odmawiający odpowiedzi, wolał chronić siebie niż córkę. Erdman Frith, mężczyzna cierpiący za sprawą swojej samowolnej nieobecności – i jej własny ojciec.

Inspektor Boyd Fitzroy.

Zamieszkały w Grecji, nie wiedziała, gdzie dokładnie. Gdzieś na wybrzeżu, niedaleko Aten. Człowiek, którego wściekłość wzrastała w miarę załamywania kariery. Zamaskował swoje porażki, porzucając rodzinę.

Telewizor był włączony, trwał jeden z tych rześkich, jasnych wieczorów zwiastujących wiosnę. Popołudniowe wiadomości. Zapamiętała to, bo zwykle nie było go w domu popołudniami.

Zamieszki toczyły się w jakimś mieście na północy, policja miała tarcze i pałki.

– Bić sukinsynów – wrzeszczał na telewizor. – Lać ich!

Matka Etty uniosła wzrok znad szycia.

– Policja jest na pewno brutalna.

– Tak, bo te gnoje na to zasłużyły. W tym kraju policja to najważniejsza władza. Ona nas trzyma w całości, zapobiega stoczeniu się w anarchię. Zawsze trzeba to respektować. Prawo to my.

Mówił tak, jakby naprawdę w to wierzył.

– Ale tak jak mówi mama, policja nie powinna robić ludziom krzywdy – zauważyła piętnastoletnia Etta. – To przecież przeciwieństwo tego, czym powinna się zajmować.

– Etta, nie słuchaj swojej matki – odparł. – Niezbyt się zna na czymkolwiek innym niż gotowanie i sprzątanie. Zadbaj lepiej, aby zrobić coś porządnego z własnym życiem.

Matka w milczeniu odłożyła szytą właśnie spódnicę i wyszła z pokoju.

Nieoznakowany samochód wjechał na szpitalny parking. Fitzroy rozglądała się za wolnym miejscem. Twarz Erdmana czerniała w cieniu budynku. I znowu przyptyw współczucia. Na pewno spędził tutaj z Jakeyem wiele miesięcy.

– Pójdę z panem – zaproponowała. – Chciałabym zobaczyć, co u pańskiego syna.

Skinieniem głowy podziękował za ten drobny akt przyzwoitości.

Recepcjonistka wypowiadała słowa takie jak „pediatria” oraz „intensywna terapia”. Fitzroy przyglądała mu się, jak przyjmuje wiadomości, kilka razy przełyka, tak jak gdyby jego działań nie kontrolowały po prostu nerwy, lecz smak gorzkiej prawdy.

Sama chwila nie była dramatyczna, nie miała też w sobie nic z histerii, to było tylko zwykłe spotkanie członków rodziny. Lilith Frith rozmawiała akurat z pielęgniarką przez małe okienko w drzwiach na oddział. Jej spojrzenie przesunęło się po szkle, potem przesunęło się

raz jeszcze. Przez chwilę stała całkiem bez ruchu. Następnie przebiegła przez drzwi, prosto do męża, a on objął ją, głaskał po włosach, po twarzy, dotykał.

Fitzroy starała się nie gapić, nie zastanawiać, jak by zareagowała, gdyby to David zniknął na dwa dni bez wieści. Czekala, aż ust pani Frith popłyną zarzuty i oskarżenia, pełne złości czy poczucia zdrady.

Ona jednak powtarzała tylko dwa słowa. Raz za razem.

– Dzięki Bogu – mówiła. – Dzięki Bogu.

46

Godzina 17.10

Kiedy po raz pierwszy poczuł wilgotny, ostry i mięsny zapach wnętrza martwego ciała, zagryzł zęby tak mocno, że aż wbił je w dolną wargę. Ból odsunął od niego chęć omdlenia.

Ojciec uznał, że przyglądnie się preparacji będzie stanowiło dla niego dobrą lekcję. Oglądanie otwarcia trupa rozcięciem w kształcie litery Y, usuwania grup organów, płuc z sercem, wnętrzości oraz układu moczowo-rozrodczego. Miał wtedy dziesięć lat.

– Przy odrobinie wprawy można usunąć je wszystkie za jednym zamachem, ale wolę robić to po kolei. – Marshall uśmiechał się szeroko, w jednej dłoni unosząc płuca, a w drugiej serce. Przedramiona miał śliskie od krwi oraz innych substancji.

Chłopiec przyglądał się ociekaniu płynem tych dwóch worków, które kiedyś nadymały się i kurczyły wypełniane powietrzem, wypełniane życiem. Przyglądał się, jak Marshall wsadza je do dwóch pojemników otoczonych kruszonym lodem, gotowe, by odebrać jej ich kontakt z laboratorium w Hertfordshire.

– Nie stój tak, synu. Teraz trzeba wyjąć bebechy. – Marshall uniósł skalpel. – Normalnie aż bebechy skręca – zaśmiał się, a ostry dźwięk rozdarł ciszę piwnicy.

Chłopiec ostrożnie podszedł do wypatroszonego ciała, nie brał głębszego oddechu, żeby nie musieć wdychać zapachu tej kobiety. Jego oczy napotkały jej oczy, tylko na chwilę, ale nie było w tych oczach nagany, uznania, tylko takie płytkie, puste spojrzenie. Skurczył mu się żołądek, lecz nie mógł pozwolić, aby ojciec to zauważył. Marshall miał swój sposób na poznanie różnych spraw. Sekretnych spraw.

– No, dalej.

Targany mdłościami, chowając głowę w ramionach, sięgnął do pulpy w jamie brzusznej.

– Ręce! – ryknął Marshall. – Najpierw umyj ręce, idioto.

Otwartą dłonią uderzył chłopca w twarz, a siła ciosu pchnęła go na twardą powierzchnię zlewu. Zataczając się, stanął na nogi, wrócił do ciała na stole i wśród zapachu krwi oraz organów wewnętrznych wyłapał kokosową woń jej włosów.

– Lepiej przynieś kolonię – polecił ojciec. – Czas rozebrać tę kłamliwą dziwkę.

W ciszy prosektorium Kolekcjoner Kości słyszy teraz głos ojca, wędrujący do niego poprzez lata. Zamyka drzwi i zaczyna powoli wspinać się po schodach.

Kiedyś podczas kolacji, kiedy ojciec był bardziej rozmowny, a on śmiały, zapytał go, czy kiedykolwiek ma wątpliwości. Czy nigdy się nie martwi, że to, co robią, jest złe. Marshall wydłubywał wykałaczką włókno mięsa spomiędzy zębów.

– To nie ma znaczenia, co czujemy. Mamy swoją powinność.

– Ale...

– Ale nic. Lojalność względem rodziny jest na pierwszym miejscu. Zawsze. Tak samo było z moim ojcem.

Marshall rzadko opowiadał o swojej rodzinie, wstrzymał więc oddech, czekając, aż powie coś więcej.

– Tak właśnie jest. Nigdy się nie zastanawiałem nad dobrem czy złem. Twój dziadek był taki sam. Był dumny, że powierzono mu kolekcję i wierzył, że aby w pełni przyjąć na siebie odpowiedzialność, musi dowieść swojego poświęcenia i okazać się wartym, aby – starannie odłożył wykałaczkę – kontynuować dzieło rodziny.

Marshall spojrzał synowi w twarz.

– Synu, czy jesteś lojalny?

– Tak, tato.

– Czyli że zawsze zrobisz to, o co poproszę?

– Tak, tato.

Kolekcjoner Kości zamyka drzwi do tego wspomnienia i zaczyna powolną wędrówkę schodami.

Pali się lampa, a łuk jej stłumionego światła rozlewa się po podłodze. Zakątki pokoju to już nieprzenikniona czerń. Stoi, złożony z mroku i kości, obramowany framugą drzwi, nasłuchując, jak zegar tykaniem odsuwa ciszę.

Kiedy oczy przyzwyczajają mu się do półmroku, rozkłada na podłodze kilka starych narzędzi. Starodawny świder, nieużywane dłuto. I jeszcze rozpadającą się gablotę z drewna i szkła.

Obcasy jego czarnych, błyszczących butów nie wydają żadnego dźwięku, kiedy kroczy poprzez salę do długiego stołu, na którym spoczywa niewielkie pudło o drewnianych ścianach. Unosi pokrywę.

Szykuje się na przybycie chłopca.

Wyobraża sobie leżący w środku zbiór ludzkich kości, tak bladych i czystych jak blask księżyca.

Rozmawia przy tym ze sobą.

Najpierw zacznie w pokoju preparatorskim. Zdejmie z chłopca skórę, usunie organy, w tym mózg i język, a resztę zostawi do wyschnięcia w stojącym, spokojnym powietrzu ojcowskiego domu. Potem pracę dokończą żuki, zjadając rozkładające się już ciało. Nie lubią świeżego mięsa.

Co kilka godzin będzie sprawdzał, upewniając się, czy kolonia nie wyjada tkanki łącznej, tak aby szkielet pozostał w całości.

Następnie zanieś go tutaj, do tego pudła. Gotowego na Pierwsze Rozwieszenie, ten pierwszy raz, kiedy będzie mógł przyjrzeć się chwale swojej pracy.

Zamyka oczy, wyobraża sobie, jak dotyka kości, które ma dopiero osiąść. Najbardziej zniekształconego szkieletu, jaki kiedykolwiek widział. Dołączenie go do kolekcji unieśmiertelni go w historii rodziny. Myśli o szklanej gablocie na dole. O szeptach ojca w tantym chłodnym pomieszczeniu z ołtarzem i krzyżami, tyle Bożych Narodzeń temu. „Szybko” powiedział Marshall, kiedy owijali ciało chłopczyka w prześcieradło i wynosili cichymi, pustymi korytarzami. „Zanim ktoś nas zobaczy”.

Ale to przyćmi nawet tamten łup.

– Kość udowa – zamruczy, a jego palce, drżąc, przesuną się po owej kości. – Piszczel. Elegancki egzemplarz.

Jednocześnie przesuną się w górę, po torsie i po szyi, aż znajdą zagłębienie szczęki, penetrując pustą przestrzeń, podążając za krzywizną kości. – Interesujące ułożenie łuku jarzmowego.

Zastanawia się, co będzie czuł, przesuwając palce po żebrach klatki piersiowej, wyszukując zgrubienia i zniekształcenia tkanki kostnej.

Odsłonięty szkielet będzie najdoskonalszym eksponatem, jaki kiedykolwiek widział.

Zabłąkany żuk truchta poprzez puste pudło, a on wyciąga z kieszeni pudełko po zapalkach, wrzuca go do środka i zasuwa pokrywę.

Chłodny powiew omiata mu twarz, odwraca się gwałtownie, jego oczy sondują dalekie zakątki muzeum, ale nic nie ma, to tylko przeciąg w zimowy wieczór.

Wciąga powietrze, oblizuje spierzchnięte wargi. Ciszę rozrywa jakiś odległy krzyk, a Kolekcjoner Kości klnie pod nosem. Dziewczynka musi na razie poczekać. Teraz jest zbyt zajęty tutaj.

Znowu myśli o chłopcu leżącym w szpitalnym łóżku. To znak. To dar.

Jednak on nie będzie się spieszył.

Kiedy już zbierze tę płataninę kości i wejdzie na drabinę, przymocuje czaszkę do haka umocowanego do sufitu i ostrożnie wypuści szkielet, a ten rozwinie się, zachybcze i znieruchomieje. I tak oto eksponat oznaczony literą J będzie gotowy.

Następnie wtuli w niego twarz i będzie wdychał zapach kości.

Kiedy wraca, żeby podziwiać swoje rękodzieło, wie, że ten okaz nie będzie pozostawiony,

aby niszczyć i gnić na poddaszu, jak wiele innych wcześniej. Te inne to były gładkie, nieskończone, zwyczajne kości.

Ten okaz będzie zanieiony na dół, do specjalnej galerii.

Te kości będą warte jego opieki.

Jego ochrony.

PIĄTEK

47

Godzina 9.00

„Dzień dobry! Witamy tych, co dopiero włączyli odbiorniki! Jest godzina dziewiąta rano, piątek, dwudziestego trzeciego listopada i czas na wiadomości.

Dramatyczny obrót przybrały sprawy zaginięcia uczennic Clary Foyle i Grace Rodriguez. Dokładnie tydzień po zniknięciu Clary, policja potwierdziła, że w obu sprawach podejrzany jest ten sam sprawca, na miejscu obu uprowadzeń znaleziono identyczne szkielety królików. Catherine Murray ma więcej...”

Uniósł do jej ust łyżkę owsianki, przelknęła.

– Słyszałeś? – wzdrygnęła się, mimo podkreconego ogrzewania.

Teraz w radiu mówiła detektyw Etta Fitzroy. Wsunął między wargi żony kolejną łyżkę owsianki.

– „Tak, w związku z obu uprowadzeniami poszukujemy tego samego podejrzanego, ale teraz nie jestem jeszcze gotowa na jakikolwiek komentarz. To niesłuchanie trudny okres dla ich rodzin. Proszę pamiętać, że jakiegokolwiek spekulacje niczemu się nie przysłużą”.

Wyczuwa ukrytą pod tym nutkę paniki i uśmiecha się. To zaostrza mu apetyt. Prawie robi mu się jej żal. Do końca wieczoru panika ogarnie ją w pełni.

Może wyśle jej jakiś drobiazg. Coś osobistego. Prezent, aby podsycić żar. Aby wzmóc napięcie. By zakpić z jej niepowodzenia w „wykryciu sprawcy”.

Kiwa głową. Tak, spodoba mu się przyglądanie, jak policjantka nerwowo biega, niczym jeden z jego żuków.

Odstawia talerz na krzesło i włącza całodobowy kanał informacyjny. Ten sam materiał, ta sama detektyw, ale teraz widzi jej napięcie, rozpoznawalne po naprężonej szczęce, po worach pod oczyma.

– Słyszałeś to? – odzywa się ponownie żona. – Kto o zdrowych zmysłach mógłby zrobić coś takiego królikowi?

– Kochanie, na świecie żyją przerażający ludzie – mówi i gładzi jej pergaminową dłoń.

Kiedy Kolekcjoner Kości opiekował się żoną, Clara Foyle rysowała na podłodze kreskowe podobizny matki, kruszącym się kawałkiem betonu, który odłamała ze ściany.

Jej dłonie jak szczyptce kraba sprawiały, że było to trudne, ale nie niemożliwe i czuła się całkiem zadowolona ze swoich niezdarnych wysiłków.

Nie miała pewności, czy matka na pewno za nią tęskni. Chciała mieć taką pewność, ale matka zawsze była taka zajęta, że Clara zastawiała się, czy może się teraz cieszy z tego, że ma trochę ciszy i spokoju.

A jeśli dojdą do wniosku, że trzyosobowa rodzina jest lepsza od czteroosobowej? Ale przypomniała sobie, co zawsze szeptała jej Gina, kiedy odprawiała ją matka albo ignorował ojciec. „Nieważne, jak bardzo zajęci są twoi rodzice, oni zawsze cię kochają”. Clara uczyła się tych słów i dzięki nim utrzymywała na powierzchni.

Wyciągnęła zeschniętego biszkopta, którego miała w kieszeni. Ostatnio przyniósł jej biszkopty i mleko. Prawdziwe biszkopty. Rozkoszowała się maślaną słodką ciastką.

Kilka okruchów spadło na podłogę, podniosła je koniuszkiem palca. Pajęczyna wciąż tam była. Położyła okruch na lepkich włóknach.

W kreskówkach, które czasem oglądała z Eleanor, dobrzy zawsze pokonywali złych.

Clara usiadła i czekała, aż ktoś ją uratuje.

Amy Foyle także czekała. Tylko to robiła. Czekala na policję, a gdy ta się zjawiała, czekała na wiadomości. Czekala na sen. Czekala, aż Miles przyjdzie do domu.

Była w stanie zawieszanej animacji, niezdolna na nowo podjąć swojego życia, dopóki nie powróci Clara.

Nie ważyła się nikomu tego powiedzieć, sama czuła się przerażona tym uczuciem, ale ostatnio zauważyła, że jest wściekła na Clarę. Co ją, do licha, opętało, że wyszła z placu zabaw? Chciała potrząsnąć córką, nakrzyczeć na nią za to, że zaciągnęła ich wszystkich do tej nieznanej krainy strachu i cierpienia.

Nie była tylko wściekła na Clarę. W szkole zobaczyła Mirandę Smith, matkę Poppy, jak śmiała się razem z inną matką i pomaszzerowała prosto do niej, ciągnąc za sobą niechętną Eleanor. Miała ochotę wydrapać jej oczy.

Ale kiedy matka Poppy zobaczyła, że nadchodzi, jej twarz zastygła, oczy zaczęły rozpaczliwie łypać na boki, szukając ucieczki. Amy dostrzegła, że jej dzinsy zwisają luźno, a na szyi ma plamę nieroztartego podkładu. W drżących palcach trzymała klucze, metal dźwięczał jak sygnał SOS.

Amy przeszła obok.

I wtedy uświadomiła sobie, że zniknięcie Clary zraniło też inne rodziny, że złodziej, który skradł jej córkę, odcisnął piętno na całej społeczności, rozkładając i paląc ją powoli jak kwas.

48

Godzina 12.30

Fitzroy zatrzymała się przed swoim mieszkaniem i oparła głowę o kierownicę. Nie miała ochoty wchodzić, ale David zadzwonił wczesnym rankiem, prosząc, aby wróciła do domu na lunch.

– Musisz jeść – powiedział.

– Muszę znaleźć Clare Foyle – odparła.

– Etta, tylko szybka kanapka, a potem już możesz iść. Nie widziałem cię od dwóch dni. Proszę. – David rzadko kiedy prosił.

– W porządku – odparła i rozłączyła się.

Kiedy wsunęła klucz w zamek, uderzył ją powalający wręcz aromat chili i czosnku. W kuchni stół udekorowany był kwiatami, stał na nim kosz z pokrojoną bagietką. Garnek makaronu bulgotał na kuchence, zaparowując okna.

– Jasny gwint, co to jest? Nagle pojawiła się tu włoska restauracja?

David odwrócił się gwałtownie.

– Wystraszyłaś mnie.

Przesunął się w jej stronę, szeroko rozkładając ręce. Kiedy się nie poruszyła, zadowolił się poklepaniem jej po ramieniu.

– Jak się czujesz?

– David, nie mogę zostać dłużej. Muszę być w pracy.

– Lunch zajmie dwie minuty. Siadaj.

Przyglądała mu się, jak się krząta, odcedza spaghetti, podaje sos.

– Parmezanu? – Z uśmiechem podniósł blok sera. Nie odwzajemniła uśmiechu.

Usiadł przy stole, nalał sobie wody do szklanki.

– I co nowego? Widziałaś już swojego siostrzeńca?

Zmarszczyła brwi. David zwykle nie wykazywał skłonności do pogawędek.

– Naszego siostrzeńca – odparowała.

– Wiesz, powinnaś zadzwonić do Niny. Bardzo chce się z tobą zobaczyć. – Jego ton

złagodniał. – Martwi się o ciebie.

– Jestem w samym środku dużego śledztwa. Nie mam czasu na gaworzenie o noworodkach.

Albo spełnianie zachcianek młodszej siostry.

Przez jedną, dwie chwile jedli w milczeniu.

– Etta, naprawdę mi przykro. To, że zostawiłem cię tam samą, było paskudne.

Upiła łyk.

– Będę absolutnie szczerą. Powiedziało mi to wszystko, co chciałam wiedzieć.

– To nie tak. – Odłożył widelec. – Po prostu to mnie przerosło.

David należał zatem do tych mężczyzn, którzy sądzili, że gdy żona wyda już dziecko na świat, można powrócić do rozkoszowania się swoim życiem.

Nie wiedział, że Etta odmówiła oddania swojego martwego noworodka, że dyrektor zakładu pogrzebowego, który miał więcej współczucia niż inni, zachęcił ją, aby zabrała niemowlę do siebie na dzień, dwa, że szlochając, pokazała mu ogród i kołyskę, i spała w chłodnym pokoju z nim obok jej łóżka. Że jej rodzina była wstrząśniona. Że jakiś inny mężczyzna, żyjący innym życiem, nie miał pojęcia, że jednocześnie został ojcem i stracił syna.

– Szkoda, że mi o tym nie powiedziałaś, zanim poszłam do kliniki. – Ugryzła pieczywo, twarda skórka wbiła się w jej wargi. Odłożyła kromkę na swój talerz.

– Wiesz, że to nie był jedyny powód? – mówił łagodnym tonem.

Oczy Etty błysnęły.

– Nie zaczynaj od nowa.

– Musimy o tym porozmawiać – odparł.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Etta, jeśli nie jesteś w stanie ze mną rozmawiać, to może dzięki swojej pracy znajdziesz kogoś, kto jest wyszkolony do zajmowania się takimi sprawami. Może jakiegoś terapeutę. – Sięgnął pod stół i wyciągnął pudełko z pamiątkami, które trzymała w szafie. Jej osobiste rzeczy. Jej osobiste rzeczy!

Fitzroy upuściła łyżkę, która zadzwięczała na talerzu.

– Muszę już iść.

Odsunęła krzesło, potrąciła stół w pośpiechu ucieczki, a potem on był już obok niej, przyciągnął ją do siebie.

– Puszczaj – krzyknęła, odpychając go. – Daj mi odejść.

Ale David był silniejszy i jego dłoń zacisnęła się na jej przegubie, wpijając się w delikatną skórę.

Uniosła drugą dłoń, uderzając go mocno w policzek.

– Zadowolony? – Kropla śliny wylądowała mu na szklach okularów. Uniosła rękę, aby przyjrzeć się zaczerwienionej skórze, podsunęło mu ją pod nos.

– Nie umiesz odpuścić, prawda?

– Etta, ja...

– Nie – powiedziała.

Ręce zwisły mu po bokach, ciało zwiotczało od bólu oglądania rozpadu własnego małżeństwa.

Wychodząc, starannie zamknęła drzwi.

Zeszła po schodach, z otwartymi ustami, biorąc płytkie, równe oddechy. Na wycieczce do Pakistanu, w czasach gdy swój coroczny urlop spędzała, pracując dla fundacji pomagającej dzieciom, natrafiła na artykuł w gazecie, w którym napisano, że większość ofiar eksplozji bomby umiera w wyniku krwawienia w płucach. W nagłej sytuacji ofiary odruchowo wstrzymują oddech, a ich płuca zachowują się jak balon i pękają. Ten fakt utkwiał jej w głowie, tak jak to czasem bywa z przypadkowymi strzępami informacji, dlatego teraz oddech miała płytki. I wcale nie miało znaczenia, że przecież nie spodziewała się prawdziwej fali uderzeniowej eksplozji, że to była jedynie eksplozja emocjonalna. Takie oddychanie pomagało się skupić.

Zauważyła wybitą szybę, dopiero gdy wsiadła do auta i poczuła woń ziemi i żelaza, taką, jak w sklepie mięsnym dziadka.

Powoli odwróciła głowę, wpatrując się w pudło leżące na miejscu pasażera. Bok kartonu nasiąkł krwią. Koniuszkiem paznokcia podważyła pokrywę.

Krew zebrała się w kącie pudełka, gęsta i ciemna. Na środku leżało coś małego, w kształcie fasolki.

O, kurwa.

To wygląda jak nerka.

Dziecięca nerka?

Nie.

Za mała.

To co?

Och, nie.

Nie.

Nie.

Dzyń.

To od niego.

Wiem to.

To jest nerka.

To jest nerka królika.

Królika.

Dotknęła jej czubkiem palca. Była jeszcze ciepła.

Fitzroy niezgrabnie otworzyła drzwi, wyskoczyła na ulicę, zatoczyła kółko wokół własnej osi. Ulica pod jej domem była pusta, wyjąwszy oddalającą się śmieciarkę.

Sięgnęła po komórkę. Wystukała wiadomość do Chambersa.

„Czy Miley Foyle jest cały czas w areszcie?”

Odpowiedź przyszła w ciągu kilku sekund.

„Tak”.

Cholera.

Główny podejrzany jednak mówił prawdę.

Poza tym w pudełku już niczego innego nie było. Ostrożnie je podniosła. Krew pobrudziła jej płaszcz, kropelka wylądowała na policzku. Pod spodem przyklejono taśmą plastikowy portfelik, a w nim jakąś kartkę, zapisaną charakterem pisma, który rozpoznawała. Tą samą ręką, co notki przy króliczych szkieletach.

„Czy nerki są zniszczone? Zostawiam to tobie, tak jak to, co zostanie zrobione z jego kośćmi”.

49

Godzina 16.44

Mój mąż uprowadził moją córkę.

Amy Foyle próbowała wypuścić to zdanie z głowy. Na jej języku było niezgrabne, niezręczne. Wypowiedziała je ponownie. Tym razem zabrzmiało płynniej, nieco bardziej przekonywająco.

Zauważyła, że właśnie na czymś takim polega szok. Wyrzuca człowieka z rzeczywistości gdzieś w nieznane. Ale gdy mijają godziny i dni, nieznane staje się rzeczywistością, a rzeczywistość codziennością.

Miles przebywał w policyjnym areszcie już od siedemdziesięciu dwóch godzin. Kiedy ta detektyw, Etta Fitzroy, przyszła, aby go zaarrestować, odwrócił w stronę żony doskonale spokojną twarz.

– Nie zrobiłem tego – oznajmił. – Nie porwałem Clary.

Wtedy skoczyła na niego, smagnęła paznokciami po twarzy.

Nie uwierzyła.

Jestem żoną dzieciobójcy.

Amy zawsze wierzyła w świętość przysięgi małżeńskiej. „Na dobre i na złe”. Jednak kiedy przyszły te chwile, gdy nadszedł czas próby wierności przysiędze, pojawiły się wątpliwości.

Przy kuchennym stole Gina potrząsnęła kośćmi do gry i rzuciła nimi.

– Szóstka! – zaśmiała się Eleanor. – Tylko nie znowu.

Amy zignorowała je obie, nalewając sobie co nieco na rozruch. Chwilę później poczuła na ramieniu dłoń Giny.

– Naprawdę tego potrzebujesz?

– Tak – powiedziała, dodając lodu. – Potrzebuję.

Znowu czuła, jak wzbierają jej łzy, ale je zdusiła. Płakała tak dużo, że już nie miały znaczenia. W środku całkiem wyschła.

Przywołała w pamięci buzię Clary, jej promienny uśmiech, dziecięcą krzywiznę brzuszka.

„Mamusi, mamusi, pobawisz się ze mną?”

Tyle razy odpędzała młodszą córkę, mówiąc jej, że jest zbyt zajęta. A akurat była zajęta czytaniem magazynu albo kupowaniem ciuchów w Internecie, albo po prostu jej się nie chciało.

Głos jej córki gasł. Uchwyciła go. Nic. Zaczął przytłaczać ją ciężar paniki.

– Mamusi? – zapytała Eleanor. – Pobawisz się ze mną?

Usłyszała własny głos, dobiegający z jakiegoś odległego miejsca.

– Nie teraz, kochanie. Pobaw się z Giną.

A potem zjawiał się on, stanął w kuchni, miał zmęczone oczy, przygarbione ramiona. Z przesadną starannością położył klucze na blacie kuchennym.

Jego spojrzenie napotkało spojrzenie Amy.

– Wypuścili mnie.

– Widzę.

– Uświadomili sobie, że to nie mogłem być ja. Kiedy byłem w areszcie, ta detektyw, Fitzroy, dostała jakąś przesyłkę związaną ze sprawą.

– Czyli że nie postawili ci zarzutów?

A skąd oni wiedzą, czy on w tym nie siedzi razem z kimś innym? Że to nie jest jakiś spisek mający na celu odwrócenie uwagi? Jej mózg zatrzymał się na chwilę, a potem rozkręcił się do działania. Może zrobili to specjalnie, żeby go śledzić.

– Nie.

Amy stała przy blacie, Miles przy stole.

– No przesun się, zrób trochę miejsca mamie i tacie – wymamrotała Gina, odpędzając Eleanor od stołu. W kuchni zrobiło się cicho, ale ta cisza głośno dźwięczała.

– Mogę się przytulić? – zapytał Miles.

Amy objęła męża ramionami, ale ich ciała ledwie się dotknęły. Zatopił twarz w jedwabiu jej włosów.

– Wierzysz mi, prawda? Nigdy, przenigdy nie skrzywdziłbym naszej córki.

Amy nie potrafiła się zmusić do tego, aby powiedzieć, że zaufanie to dar, który trudno zdobyć, a łatwo stracić. Że jego widok, jego zapach, nawet jego głos napawają ją teraz jakąś dziwną odrazą, że najprawdopodobniej już nigdy więcej mu nie zaufa.

50

Godzina 18.05

Ulice są wilgotne i tak ciemne jak trzeba. Nosi pogodę jak przebranie, dryfując przez mżawkę zasłaniającą Londyn. Minęła osiemnasta.

Uśmiecha się, gdy przypominana sobie wyraz twarzy detektyw, jej odrazę, strach. Podoba mu się to. Marzy, aby ujrzeć to ponownie. Pragnie zobaczyć jej twarz, kiedy się dowie, że chłopiec zniknął.

Kolekcjoner Kości jedzie poprzez mrok. Tylne światła aut pełzną w ciemności, powracając do swoich małych żyć, do swoich domów. Chłopiec nigdy już nie wróci do domu.

Co do dziewczynki, to jeszcze się nie zdecydował.

Marshall zachęcił go, aby docierał do granic, aby sprawdzał, do czego jest zdolny, aby eksperymentował. Zastanawia się nad tym.

Kiedy dziewczynka zapadnie w narkotyczny sen, będzie mógł zdjąć jej skórę z dłoni. Pragnie zobaczyć te chwytne paluszki bez okrycia z tkanki, zobaczyć, jak pod względem technicznym wygląda ten ich chwyt. Pragnie przestudiować kostne szpony, przyczepione do żywej tkanki. Chce kolejnych pierwszych rzeczy w kolekcji.

Jednak istnieje taka możliwość, że ona przy tym umrze. Z szoku i utraty krwi. Z powodu infekcji oraz bólu. Jest możliwość, że ucieknie. Przyciągnie niechcianą uwagę.

A on przyzwyczajał się już, że jest w pobliżu.

Jednak z tą decyzją może dłużej zwlekać. Dzisiaj ma jeszcze inne ważne sprawy.

Chłopiec. Kręgosłup, ta kość krzyżowa, kręgosłup, kościec jego kolekcji. Następny Frith.

Kolekcjoner Kości pragnie go bardzo, bardzo mocno. A on zawsze dostaje to, czego pragnie.

Pediatryczny oddział intensywnej terapii na szóstym piętrze szpitala Royal Southern mieścił się zaraz nad oddziałem położniczym.

Chociaż sprzęt medyczny potrafił hałasować, a dzieci były poważnie chore, Lilith wydawał się oazą spokoju, antidotum na emocjonalny chaos jej życia.

Powieki Lilith opadały, jednak chrapanie kobiety siedzącej naprzeciwko sprawiło, że znowu się ocknęła, jęknęła i wyprostowała. Zaskrzeczały sprężyny jej krzesła i usłyszała, że po drugiej stronie oddziału jakaś matka poprawia się na swoim zaimprovizowanym łóżku, a potem wraca do chrapania, jeszcze głośniejszego. Odwróciła głowę. Na tym oddziale nie pozwalano na rozkładane łóżka, a warunki pobytu dla rodzin pacjentów były bardzo dalekie od ideału. Krzesło jakoś tam uchodziło, ale nie wystarczało na wygodny, nocny sen.

Zresztą, kogo próbowała nabrać? Nawet na królewskim łożu i w zupełnej ciszy Lilith nie byłaby w stanie teraz spać. A co, jeśli umrze akurat, gdy jej zdradzieckie ja będzie drzemać? Nie, jej ciało jej nie zdradzi.

Maszyneria na oddziale pikała i szumiała, a o posadzkę stukały kroki pielęgniarki, nawet o tak późnej porze. Zawsze trzeba było coś sprawdzić, sprowadzić jakieś dzieci znad przepaści. Rytmiczny skrzyp mopa czyszczącego podłogę był jakoś tak dziwnie uspokajający.

Jakey leżał pod maską tlenową. Oddychała za niego maszyna, nadymając i obkurczając małe płuca. Maszyna, no że kurwa. Lilith zawsze uważała oddychanie za czynność, która odbywa się sama z siebie. Dopiero wydarzenia ostatnich kilku godzin nauczyły ją, że to wcale nie takie proste, że stanowi rezultat co najmniej kilku złożonych procesów.

Ciało miał zeszytywniałe jak wykrzyknik, usta lekko rozchylone. Cienie rzucane przez światła lamp sprawiały, że teraz wyglądał jakby był szary. Z nosa wystawała mu rurka. Był w ciężkim stanie.

Prześwietlenie ukazało przygnębiającą prawdę.

Wzrost kości w jego klatce piersiowej utrudniał pracę płuc i rozwinęło się u niego zapalenie.

Lekarz uprzedził Lilith, żeby przygotowała się teraz na jazdę bez trzymanki, ale ledwie go słuchała, gdy tłumaczył, takim opryskliwym tonem, że nawet jeżeli Jakey przeżyje zapalenie płuc, wzrost nowej kości może okazać się katastrofalny w skutkach. W przerwie między tymi słowami kiwała głową, ale odmawiała uwierzenia w nie. Jej syn nie umrze. Siła jej miłości utrzyma go przy życiu.

Bolały ją nerki. Nie wiedziała, czy to przez niewygodną, na wpół zgiętą pozycję w której siedziała, czy może dlatego, że powinna iść do toalety. Zastanowiła się, czy Jakey będzie jej

potrzebował w ciągu najbliższych pięciu minut. Czy może zostawić go samego. Chciałaby, żeby Erdman tutaj z nią był. Ale był w bufecie, zamawiając jeszcze więcej kawy.

Od kiedy wczoraj tak niespodziewanie się pojawił, miał problem ze spędzeniem przy łóżku syna więcej niż kilku minut. Szlochał na jego widok. Oczy Jakeya zamknęły się przed światem. Przed nim.

Kiedy Lilith przyglądała się temu cierpieniu, złość w niej całkiem zelżała, pojęła, że Erdman nie był w stanie oglądać syna w takim stanie. Ona zresztą również.

Jakey się nie poruszył, nie drgnęła mu nawet powieka albo mięsień.

Dlaczego to musiało spotkać akurat jej rodzinę?

Zawsze jej rodzinę.

Nienawidziła szpitala. Wspomnień nawiedzających korytarze. Przypomnienia tamtego straszego dnia, kiedy Jakey przyszedł na świat. Nie miał nawet dwóch godzin, a już dostał wyrok śmierci. Popędziły ku niej obrazy z przeszłości.

– Przykro mi – powiedział lekarz, a twarz miał ponurą, jak z ołowiu,

– Przykro z jakiego dokładnie powodu? – Erdman objął żonę, ze znużonym, pełnym zakłopotania uśmiechem, a Lilith wstrzymała oddech, przyciskając dziecko do siebie.

– Państwa syn cierpi na *fibrodysplasia ossificans progressiva*.

Wciąż pamiętała matkę Erdmana, Shirley, to jak przeorała palcami swoją trwałą ondulację

– Mój syn? – roześmiała się Lilith. – Nie, nie on. – A potem: – Co to jest ta fibrodys...?

Ich wzrok im powiedział. Shirley zamknęła oczy, jednak Lilith tego nie zauważyła. Zbyt była zajęta przyglądaniem się temu, jak rozpada się jej przyszłość.

Późniejszym wieczorem Erdman przyniósł jej plik papierów, wydruków z Internetu. Lekarze prosili ich, aby się z tym wstrzymali, oswoili z diagnozą Jakeya, a dopiero potem szukali informacji w Internecie. Zignorowali tę radę. Kiedy Lilith wysłała męża do domu, po podpaski dla młodych matek, których zapomnieli wziąć do szpitala, od razu zasiadł do komputera i poszukał online nadziei wśród rozpacz.

– Może będzie miał łagodną postać choroby – powiedział. – Mówią, że garstka cierpiących na tę chorobę przekracza sześćdziesiątkę.

– Ale co to jest za życie?

Wspomnienie sprawiło, że oczy wypełniły jej się łzami. Oparła głowę na łóżku, obok śpiącego syna. Zatęskniła za tymi nieskomplikowanymi dniami, kiedy spędzała czas, opiekując się Jakeyem i narzekając na Erdmana. Chciała odzyskać stare życie, łącznie ze wszystkimi jego niedoskonałościami oraz frustracjami. Chciała pozostać matką i żoną. Teraz może już nigdy nie mieć na to szansy. Jej małżeństwo opierało się na słabych, chwiejnych fundamentach, jej syn umierał.

A wtedy usta Jakeya zaczęły się poruszać.

– Tatusiu – wymamrotał. – Tatusiu.

Serce Lilith urosło od niespodziewanej nadziei. Jakey miał tubę inhalacyjną, wprowadzoną

przez nos do tchawicy. Fizycznie nie powinien być w stanie mówić.

– Siostró! – krzyknęła. – Siostró!

Po podłodze oddziału zastukały kroki.

– Co się stało? – zapytała pielęgniarka.

– Coś powiedział – wyjaśniła Lilith.

Pielęgniarka oddziałowa o nazwisku Anna Murphy, spojrzała na Jakeya. Oczy miał zamknięte, oddech drżący, lecz równomierny.

– Myśli pani, że zamruczał coś przez sen?

Lilith nagle nie była w stanie się odezwać.

– To się może zdarzyć, od czasu do czasu. – wyjaśniła pielęgniarka.

Spojrzała na monitory pokazujące puls chłopca, poziom tlenu we krwi i ścisnęła Lilith za ramię.

Pielęgniarka poprawiła pościel na Jakeyu.

– Ale i tak mam trochę dobrych wieści. Doktor mówi, że mogę państwu je przekazać. – Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu. – Przyszły wyniki drugiego prześwietlenia i wygląda na to, że wzrost kości w klatce piersiowej nie jest tak inwazyjny, jak się obawialiśmy. Przystaje rosnać, przestaje wpychać się w jego płuca, a jeśli damy radę temu skubanemu zapaleniu płuc... – Informację o możliwości wyzdrowienia pozostawiła niewypowiedzianą, ale Lilith ją i tak słyszała. – Jednak nie można niczego obiecać. Przed nami wciąż jest długa droga.

Lilith uśmiechnęła się nieznacznie. Czy z ulgi, czy z niedowierzania? Sama nie wiedziała. Pielęgniarka ponownie ścisnęła ją za ramię i oddaliła się.

Znowu zaboląły ją plecy. Wstała, wślizgując się w klapki, wepchnięte pod krzesło.

Nic jej się nie wydawało. Jakey zawołał ojca.

Na pewno coś mu się przyśniło.

Teraz, kiedy pielęgniarka zajmująca się Jakeyem już sobie poszła, w sali zrobiło się pusto, wyjąwszy śpiących pacjentów oraz jednego, dwóch rodziców, też śpiących. Lilith zamrugła, wychodząc na korytarz, zdezorientowana nagłą jasnością. To była biała tablica na ścianie, z wypisanym zielonym markerem imieniem Jakeya, czasem badań lekarskich, terminem podania leków.

Chłodne powietrze w łazience dla rodziców stanowiło ulgę po dławiącej duchocie oddziału. Kiedy wychodziła, sprzątaczkę kiwnął ku niej głową, pchając przed sobą mopa. Opryskała twarz wodą, aby się obudzić i przyjrzała swojemu odbiciu w lustrze. Patrzył na nią jakiś duch. Oczy miały czerwone obwódki od płaczu i braku snu, a wachlarz rzęs pogłębił bruzdy wokół nich. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz porządnie jadła. Obojczyki bardzo wystawały ponad głębokim wycięciem jej bawełnianego topu.

Oplotła dłońmi boki zlewu i zamknęła oczy, pozwalając, aby łyżki opadły na porcelanę. Skapnęły jej do ust i smakowały słonością anchois.

Spojrzała na swoje blade palce trzymające białą porcelanę. Wzięła głęboki oddech. Jakey

umrze przed nią. Wiedziała to na jakimś takim instynktownym poziomie. Jednak wciąż żył, a ona nie miała innego wyjścia, jak zbudować cytadelę wokół swoich uczuć, aby go chronić przed siłą swojej rozpacz.

Umyła ręce. Do posadzki przyłgnął papier toaletowy, a ona czuła zapach uryny wydobywający się spod woni środków dezynfekujących. Lilith usiadła na krawędzi sedesu i wpatrywała się w puste, twarde kafelki na ścianie. Tykały kolejne minuty.

Kabinę wypełnił nagły powiew chłodu. Lilith się odwróciła, na wpół myśląc, że gwałtownie otworzyło się jakieś okno, wyrwane z zamknięcia, prosto na mroźną noc, jednak tu nie przecież nie było okien, tylko świszczący wentylator. Lilith ogarnęło dojmujące pragnienie powrotu do syna i zanim zorientowała się, co właściwie robi, już wyskoczyła z kabiny, biegnąc w stronę oddziału pediatrycznego. W pośpiechu potykała się o własne klapki.

Proszę, nie. Nie, nie, nie.

Przy łóżku Jakeya tłoczyła się grupa personelu medycznego (czy to tamten stażysta? Nie chciała żadnego pieprzonego stażysty, tylko pediatrę, specjalistę od dróg oddechowych). Lilith wydawało się, że wszyscy wymachują rękoma, bez specjalnego celu czy efektu. Poduszka Jakeya leżała na podłodze.

Boże, proszę. Pozwól mu żyć.

Wiedziała, że nie powinna podchodzić do łóżka, wiedziała, że będzie tylko rozpraszać lekarzy, skupionych na sprowadzeniu Jakeya z powrotem, jednak nie mogła się powstrzymać.

Kiedy do nich biegła, ich ruchy jak gdyby zwolniły, a wokół jego małego ciała tłoczyło się tyle ciał innych ludzi, że nie mogła go dojrzeć.

Nigdzie nie mogła go dojrzeć.

Jakaś pielęgniarka chwyciła Lilith za ramię – nie ściskaj mnie tak, dziwko – a następnie poprowadziła wzdłuż korytarza do jakiegoś pokoju, gdzie kazała czekać.

Ale ona już wiedziała. Wiedziała, jeszcze zanim poszła do łazienki. Dostrzegła to zapisane w architekturze jego ciała, w bezwładzie jego kończyn, w bladości policzków.

Tylko pół godziny, ale przez ten czas Lilith postarzała się o całą dekadę. Strach ściągnął jej mięśnie wokół ust, przygarbiła ramiona. Pomyślała o tym, jak strach zmniejszył ojca Clary Foyle do truchła mężczyzny, jak zniknięcie córki – jak podejrzenie o jej porwanie – wyprały go z wszelkich kolorów. Zrozumiała, jak to jest.

Wprowadzono Erdmana, zaciskał szczęki, nerwy miał napięte jak postronki.

– Co się dzieje? – wyszeptał.

Tylko na niego spojrzała, a jego ciało zwiotczało, jak gdyby powoli, przez małą dziurkę uchodziło z niego powietrze.

Przyszedł porozmawiać z nimi jakiś stażysta. Nie konsultant, tylko stażysta. Tak miał napisane na plakietce. Drzenie jego dłoni pozwalało się zorientować, o co chodzi. Po raz pierwszy miał do przekazania rodzicom złe wiadomości.

Kiedy mówił, przyglądała się jego ustom. Na brodzie miał krótką szczecinę zarostu, jeszcze miękką od młodości. Jeszcze nie utwardziły go doświadczenia. Dzisiaj miał dopiero zrobić jeden z pierwszych kroków w tej szczególnej podróży.

– Państwo Frith. – Jego głos naznaczony był znużeniem i emocjami. Była w nim też niepewność. Prawie zrobiło się jej go żal.

Pokiwała głową, na znak, że rozumie, co się stało, ale nie ważyła się tego powiedzieć na głos. Nie była w stanie napotkać jego spojrzenia. Słowa, gdy już padły, były jedynie mamrotanią.

– Nie wiem, jak to państwu powiedzieć, ale obawiam się, że państwa syna już tu nie ma.

Wydawało się, że w jej brzuchu zaczepiła się kula wściekłości, dłonie zacisnęła w pięści, Gdyby ten lekarz nie był taki młody, rzuciłaby w niego swoją butelką, ale zamiast tego pozwoliła, żeby upadła na podłogę. Nie zakręciła jej porządnie i woda popłynęła teraz strumyczkami po sali dla rodzin, tak jak wtedy, kiedy Jakey przyszedł na świat, spóźniony o prawie dwa tygodnie, a lekarz hakiem przerwał jej worek owodniowy. Nie wiadomo dlaczego, przypomniała sobie teraz, jak lekarz włożył rękawicę i rozdarł błonę chroniącą jej dziecko. Teraz zjawił się inny lekarz, wyrywający dziurę w jej sercu.

– Co... – odezwała się tak, jak gdyby wtrącała się w połowie rozmowy. Nie wiedziała, co właściwie chce powiedzieć, to był tylko zbiór spółgłosek i samogłosek, które wychodziły z jej ust.

Lekarz jej nie zrozumiał.

– Policja już tu jedzie.

Niezręcznie przestąpił z nogi na nogę i zaczął bawić się guzikiem białego kitla. Zastanowiła się, czy uprała mu go mama czy siostra, czy też może zrobił to sam.

Już nigdy więcej nie wypiorę Jakeyowi ubrań.

Przed nią zionął pusty tunel.

O mój Boże, będzie sekcja zwłok.

W telewizji oglądała program o sekcji zwłok. Piłowali klatkę piersiową i otwierali czaszkę, Nie wolno im było tak zbezcześcić jej chłopczyka. Nie pozwoli się do niego zbliżyć tym rzeźnikom.

Erdman nic nie mówił, tylko patrzył tępo ma lekarza. Podeszłaby do niego, gdyby była w stanie. Jednak wydawało się, że jej nogi nie działają.

Weszła pielęgniarka, załamując dłonie, a Lilith spostrzegła, że to Anna Murphy, oddziałowa, która wcześniej sprawdzała, co dzieje się u Jakeya.

– Państwo Frith, bardzo mi przykro, przez...

– Ja... – Lilith zawahała się, nagle niepewna, co ma powiedzieć. Znowu uderzyła ją przetaczająca się fala rozpacz. Przełknęła smarki oraz łzy, nie dbając o to, że ktoś patrzy, jak ociera nos rękawem swetra.

Łzy pociekły jej spod powiek. Kiedy już przekaze Jakeyowi ostatnie pożegnanie, kiedy

potrzyma go za dłoń i pocałuje miękkie płatki jego oczu, kiedy już wypełni wszystkie swoje obowiązki, wtedy znajdzie fiolkę pigułek i zaśnie długim snem.

Erdman w dalszym ciągu wpatrywał się w młodego lekarza, który bawił się długopisem, nie potrafiąc odwzajemnić jego spojrzenia.

Pielęgniarka gryzła teraz wargę, rzucając ku nim zatroskane spojrzenia. Lilith zaczerpnęła drżący oddech. Ostatnio zaczynała się godzić z tym, że Jakey umrze przed nią, ale nigdy nie spodziewała się, że to nastąpi tak szybko i w takich dramatycznych okolicznościach.

Jak ona teraz o tym powie? W szkole? Jego kolegom? Te straszliwe telefony uczynią jego śmierć rzeczywistością w straszliwym nowym koszmarze na jawie, którym stanie się jej życie.

Pielęgniarka dotknęła jej ramienia. Lilith podniosła się.

– Chcę go zobaczyć – wyszeptała. – On się boi ciemności, sam nawet nie pójdzie do toalety. – Odwróciła się w stronę pielęgniarki, starając się zmusić do mizernego uśmiechu, ale wyraz twarzy pielęgniarki ją powstrzymał. – O co chodzi?

Siostra Murphy otworzyła usta, a potem zamknęła. Spojrzała na stażystę. Opuścił wzrok. Zaczęła mówić z wahaniem, jak gdyby stanowiło to dla niej wielki fizyczny wysiłek.

– Nie jestem pewna, czy państwo dobrze mnie zrozumieli.

Erdman odezwał się po raz pierwszy:

– Co zrozumieli?

– Bardzo mi przykro, że akurat ja muszę państwu to powiedzieć, ale uważam, że nie ma co owijać w bawełnę. – Wzięła głęboki oddech. – Jakey zniknął. Zniknął z oddziału intensywnej terapii pediatrycznej mniej więcej czterdzieści, może pięćdziesiąt minut temu. Właśnie sprawdzamy cały szpital, ale jak na razie nie jesteśmy w stanie go nigdzie znaleźć. Znajdziemy go, państwo Frith. Ciężko chore dzieci nie znikają bez śladu. Ale to dla szpitala przerażające i niesłychanie kłopotliwe, podobnie jak dla mnie osobiście, a przez całą moją karierę pielęgniarki... – Nagle zamilkła. Na szyi wystąpiły jej czerwone plamy.

– On nie umarł? – Lilith gwałtownie wessała powietrze, pozwoliła, aby wypełniło jej płuca. Przytrzymała je tam. Pielęgniarka przytaknęła. Lilith wypuściła powietrze.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Przecież dopiero co tutaj był. Ktoś na pewno zabrał go na kolejne badanie, kiedy byłam w toalecie.

– To niemożliwe. – Głos pielęgniarki złagodniał. – Właśnie sprawdziliśmy.

– Proszę przedstawić mi sprawę jasno – odezwał się Erdman. – Pani mi mówi, że mój syn zniknął?

Pielęgniarka spojrzała mu prosto w oczy.

– Tak, panie Frith. Obawiam się, że tak właśnie się stało.

Lilith zrobiła krok do przodu, ale kolana odmówiły jej posłuszeństwa i runęła prosto na podłogę. Młody lekarz, który właśnie chyłkiem przesuwiał się do drzwi, do swojej drogi ucieczki, niezbyt chętnie rzucił się i złapał ją, wpijając palce pod pachy.

Nie zemdlała, nie straciła przytomności, nie uległa temu sprzężeniu zwrotnemu skrzypiącemu w skroniach. To było raczej osłabienie kończyn, nagłe zniknięcie grawitacji, która wydawała się dotąd oczywista i trzymała ją prosto. Oparła się o lekarza. Pachniał dezodorantem i miętusami z lekką nutką potu, a kołnierz jego kitla drapał ją w szyję. W Lilith uderzyła rzeczywistość, którą reprezentował. Zaczęła płakać i gwałtownie łapać oddech.

Przez twarz lekarza przemknęła panika i poprowadził Lilith do krzesła, odginając jej palce, jak robiło się z ucapionym dzieckiem, niechącym zostać samo. Ktoś, w jakimś innym czasie, innej chwili, innej nieznanej tragedii, wyrwał z krzesła kawał gąbki, niczym wielki strup. Było jej przez to niewygodnie w tylną część nóg, ale o to nie dbała. O nic już nie dbała.

Ramiona Erdmana luźno wisały po bokach. Spojrzał na Lilith tak, jak gdyby jeszcze nigdy jej nie oglądał. Szok wymazał mu z twarzy wszelki wyraz. Wszelkie uczucia.

Siostra Murphy pomogła jej wstać. Dłonie miała delikatne, ujęła ramię Lilith w swoje czułe ręce i Lilith zawisała na matczynej bryle jej ciała, tak jakby przecięto naprężone struny utrzymujące ją dotąd w pozycji wyprostowanej.

Jej kończyny opadły ciężko, przygniecione wagą tego, co oznajmiła pielęgniarka,

– Skontaktowaliśmy się już z dyrektorem. Jedź tutaj, aby się z państwem zobaczyć. Tak samo policja. Tymczasem zrobię państwu herbaty.

Lilith dała się zaprowadzić do windy, ale nie miała pojęcia, na które piętro jadać ani dokąd. Pamiętała tylko, że ktoś wcisnął jej w dłoń filiżankę herbaty. Porządna porcelana, nie takie plastikowe coś, co zawsze wyglądało, jak gdyby zaraz miało się rozlecieć. Pielęgniarka, która ją tutaj przyprowadziła, wykonała serię telefonów.

Erdman w ogóle nie mówił. Ani słowa. Po kilku minutach jego dłoń sięgnęła do jej dłoni. Ciepło ręki męża ją poraziło. Sama była zamrożona w środku. Otepiała.

Tak naprawdę, to nie miała świadomości upływającego czasu, chyba że tylko w jakimś najbardziej ogólnym sensie, a nikt nie zwracał na nią większej uwagi. Od czasu do czasu dostrzegała, że pielęgniarka patrzy w jej stronę z troską na twarzy. W pewnym momencie jakoś tak niejasno uświadomiła sobie treść wiadomości płynącej z głośnika.

– Cały personel szpitala, uwaga. Wprowadzamy Kod Bursztynowy, powtarzam, Kod Bursztynowy.

Ale przez większość czasu siedziała w ciszy, dosłownie wpatrując się w ścianę.

Mój chłopczyk zaginął.

Zaginął.

Ktoś uprowadził mojego syna.

Nie, to tylko jakieś głupie nieporozumienie.

On zaraz wróci.

Ktoś zabrał go na spacer.

Ktoś go zabrał.

Jakey.

Wracaj do mamusi.

Jakey.

Mój Jakey.

Chciała poczochnąć rdzawe kędziory jego grzywki. Przesunąć palcem po policzku. Chciała go wdychać, zachować w pamięci każdy detal jego piękna.

W ciągu trzech straszliwych dni najpierw straciła męża, potem syna. Mąż wrócił, ale gdzieś głęboko wiedziała, że Jakey może już nigdy nie powrócić. Słyszała nielojalny, kuszący, wpełzający w jej umysł szept. Gdyby tylko można było to jakoś obejść. Odepchnęła go, rzucając Erdmanowi zawstydzone spojrzenie.

Wpatrywał się w podłogę, nawet nie tknął herbaty.

Jakaś osoba bez twarzy rozbiła ich życie młotem na kawałki. Jak oni kiedykolwiek zdołają się po tym pozbierać?

Nie, oni go znajdą,

Policja go znajdzie.

Tym się właśnie zajmują, odnajdywaniem zaginionych dzieci.

Ale jeszcze nie znaleźli Clary Foyle.

Dlaczego z Jakeyem miałoby być inaczej?

Musiała się zdrzemnąć. Pielęgniarki najwyraźniej postanowiły zostawić ich na jakiś czas samych. Teraz wydawały się czymś zajęte, jakimś cudzym dramatem. Nieważne. Łatwo było tak tutaj siedzieć, a ona czuła się taka zmęczona.

Z tego co widziała, Erdman się nie poruszał. Prawie w ogóle nie mówił. Zamiast tego siedział nieruchomo jak statua. Wyczuwała jednak strumień wściekłości i zmartwienia, płynący pod tym fornirem samokontroli.

Po kilku sekundach usłyszała znajomy głos i pospieszne kroki na korytarzu. Detektyw Etta Fitzroy miała płaszcz umorusany krwią, a brązowe loki przetłuszczone i rozczochrane. Za nią Lilith dostrzegła grupę umundurowanych policjantów, już zalewających szpital, zamykających drogi, szukających Jakeya. Szukających osoby, która go zabrała.

– Pani Frith, czy to prawda? – Złapała ją za ramiona. – Czy to jest prawda?

Lilith opuściła wzrok.

Fitzroy wydała z siebie cichy jęk niedowierzania i walnęła dłonią o ścianę. Zapadła w krzesło, pochyliła głowę. Wyglądała, jak gdyby się skurczyła, zmalala, jak gdyby wyssano z niej całą nadzieję.

– To było ostrzeżenie – powiedziała cicho. – To było pierdolone ostrzeżenie.

Erdman, który zaczął właśnie iść korytarzem, wychwycił jej ściszone słowa. Stanął przed Fitzroy, wściekłość pomarszczyła mu czoło.

– Wiedziała pani, że tak się stanie?

– Nie, nie, oczywiście, że nie. Ale on zostawił... – zawahała się, nie wiedząc, ile może powiedzieć. – Zostawił wiadomość w moim samochodzie.

– Szkielet królika? – Erdman zapytał bez ogródek.

– Eee. – Fitzroy nie potrafiła się przemóc, aby opowiedzieć mu o tamtym zakrwawionym kawałku ciała.

Lilith zasłoniła usta dłonią.

Po kilku chwilach zmusiła wargi, aby uformowały dźwięk.

– Czy pani myśli... Ten sam człowiek... co Clare Foyle...?

Fitzroy głośno przełknęła.

– No, te króliki, o których było w wiadomościach, one są... – Erdman szukał słowa – charakterystyczne?

– Można tak powiedzieć.

– Ale co oznaczają?

– Chciałabym wiedzieć. Gazety się o tym rozpisują, ale proszę nie wierzyć we wszystko, co pan tam przeczyta.

– Komu mamy więc wierzyć? – Głos Erdmana był matowy.

– Mnie. Zawsze mówię prawdę, panie Frith.

– To proszę nam ją teraz powiedzieć.

Fitzroy wyglądała na zakłopotaną.

– Robimy wszystko, aby odnaleźć tego człowieka.

Lilith jej wierzyła. Ale dostrzegła także, że detektyw zbacza z tematu, że coś przed nimi ukrywa.

Instykt dobrze jej podpowiadał. Kiedy Lilith patrzyła, jak Erdman wyraża swój strach, krocząc tam i z powrotem po błyszczących kafelkach, Fitzroy przypominała sobie swoją wcześniejszą rozmowę telefoniczną z szefem.

– Opowiedz mi wszystko – powiedział szef, kiedy spieszyła do szpitala. – Chcę to głośno usłyszeć. – Miotał w nią słowami, pośpiech przycinał mu zgłoski.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić:

– Kiedy ponad rok temu, w lesie znaleziono szczątki Grace Rodriguez, to kilka metrów od niej znaleziono też szkielet jakiegoś niewielkiego ssaka. Zlekceważyliśmy to, nie byliśmy świadomi, jakie ma znaczenie. Kilka dni temu znaleźliśmy na Heath pudełko po butach z identycznym szkieletem królika, blisko miejsca, w którym zaatakowano Erdmana Fritha i niedaleko miejsca zniknięcia Clary Foyle, tej dziewczynki z dłońmi jak szczypce. Do tylnej łapy przymocowano mu plastikową tubkę, taką, jaką noszą gołębie pocztowe, a w środku

była zwinięta bibułka papierosowa, z cytatem.

– Przypomnij mi, co tam było.

Nie musiała zaglądać do notatnika, znała to na pamięć.

– „...i kości, jedna po drugiej, zbliżały się do siebie”.

– Skąd to jest?

– Stary Testament, Księga Ezechiela. – Czekala aż szef się odezwie, ale milczał. – W zwyczajnych okolicznościach nie przywiązywaliśmy do tego większej wagi. To przecież mogła być sprawka jakiegoś religijnego świra, jakiegoś ekscentryka albo zwykły przypadek. Jednak w związku z porwaniem Grace Rodriguez nie mogliśmy tego zignorować. Potem jeszcze znaleźliśmy kolejny szkielet, w sklepie ze słodyczami, tam gdzie Clarę po raz ostatni widziano żywą.

– Też z cytatem.

– Tak. Taki sam *modus operandi*. Tam było napisane „Oto ja wam daję ducha”, wers trzydziesty siódmy, rozdział piąty. Wciąż jednak nie wiemy, co on usiłuje nam powiedzieć, albo dlaczego zostawił szkielet na Heath, a nie w pobliżu ciała. Na Boga, szukaliśmy. Ale nie ma żadnych śladów, w ogóle nic. Poszliśmy tropem DNA, ale nie zaprowadził nas daleko.

– A co z tym cytatem, który ci zostawił? – zapytał szef.

– Chyba też jest z Biblii.

Żadne z nich nie musiało wypowiadać na głos tego, co i tak już wiedziało: że szczegółowe badania przeszłości seryjnych morderców pokazały, że wielu z nich odebrało surowe, religijne wychowanie, że wielu po złapaniu cytowało Biblię, aby usprawiedliwić swoje zbrodnie.

– A teraz Jakey Frith zniknął ze szpitala?

– Tak, sir.

– Kurwa. – Tylko jedno słowo, a zawarło i wyczerpanie, i strach.

Kiedy szef odezwał się ponownie, Fitzroy akurat przebiegała przez podwójne drzwi szpitala. Tym razem ton głosu miał zdecydowany, jego polecenia przenikała adrenalina.

– Idź i porozmawiaj z Frithami. Porozmawiaj z lekarzami. Dowiedz się, co się stało. Zadbaj, żeby to miejsce wywrócono do góry nogami. Chcę zobaczyć, czy zostawił nam tę swoją wizytówkę.

Teraz, gdy zaginęło dwoje dzieci, każde z jakąś deformacją kości, Fitzroy zanotowała w pamięci, by odwiedzić szpitale w których leczyła się Clara, a przede wszystkim zadzwonić do pani Rodriguez. Grace nie miała deformacji kości, wiedziała o tym z poprzedniego śledztwa, ale może istniało inne powiązanie.

– Tak jest.

– Aha, Fitzroy?

– Tak?

– Jeśli coś znajdziesz, zatrzymaj to tylko dla siebie, jasne? Tylko na jakiś czas. To

śledztwo zaczyna mieć już więcej przecieków niż jakieś pieprzone sito, a do tej rzeczy gazety jeszcze nie dotarły.

Rozłączył się, detektyw poszła na spotkanie z Frithami.

Fitzroy uważnie przyglądała się im obojgu, powtarzając swoją mantrę, tę, której używała, gdy porywano dzieci i gdy dzieci znajdowano martwe.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, aby znaleźć tego człowieka.

Lilith zamknęła oczy, jak gdyby sam ten akt mógł odciąć od niej głos detektyw równie skutecznie, jak rozpacz odcisniętą na twarzy.

Erdman kopnął nogi swojego krzesła, powlókł się korytarzem, zderzając z jakimś lekarzem, który otworzył usta, aby go zrugać, lecz widząc jego twarz, odpuścił. Lilith nie starała się zatrzymać męża.

Obie kobiety siedziały obok siebie na krzesłach z twardymi oparciami, a wszystko w ich życiu przychodziło i odchodziło. Wisiała między nimi cisza, kurcząc się i poszerzając, głusząc dźwięki szpitala. Każda była matką, każda miała puste ramiona.

Lilith wpatrywała się w ścianę, rozpacz zniekształcała jej rysy, rozrywała ją, zmieniała w kogoś innego.

Nagle przysła jej do głowy straszna myśl.

– Czy znaleźliście szkie... – zacięła się na tym słowie, nie potrafiła się zmusić, aby je wypowiedzieć – ...coś przy łóżku Jakeya?

– Moi ludzie teraz wszystko przeszukują.

– Ale to on, prawda? Myśli pani, że to jest on?

Fitzroy wlepiała wzrok w podłogę.

– Znajdźcie go dla nas, proszę.

Blask reflektorów z tyłu szpitala ukazywał jego rozległy, dobrze utrzymany teren, przez co budynek wyglądał bardziej jak luksusowy hotel, a nie miejsce opieki nad chorymi. Jedyne pacjenci w zielonych szlafrokach, wałęsający w pobliżu podwójnych drzwi wejściowych i zaciągający się swoimi pałeczkami śmierci, pokazywali, co naprawdę dzieje się w środku.

Nikt nie zwrócił większej uwagi na męczyznę pchającego wózek w stronę szarej furgonetki ani na skrytą kocami, skurczoną i bezwładną dziecięcą postać.

Etta, to ja. Proszę, odbierz telefon. Albo oddzwoń. – Przerwa. – Max chce się przytulić do cioci. I tak naprawdę, ja też chciałabym cię zobaczyć. – Uwierzysz, że ma taki sam kolor oczu jak ty? I najwyraźniej mój nos. – Rozległ się śmiech. – Biedny dzieciak.

Kolejna chwila ciszy.

– Etta, rozmawiałam z Davidem, Proszę, odbierz. Tęsknię za tobą.

SOBOTA

53

Godzina 3.14

Gdzie państwa podrzucić?

Lilith Frith albo zasnęła na tylnym siedzeniu, albo jej nie usłyszała. Fitzroy skrzywiła się, słysząc nieprzyjemny zgrzyt, kiedy mocowała się z nieznaną dźwignią zmiany biegów. Jej samochodem wciąż jeszcze zajmowali się ludzie z laboratorium kryminalistycznego.

– Panie Frith?

– Może mi pani mówić Erdman. – Jego głos był łamiącym się szeptem.

Fitzroy zakłęła pod nosem, gdy jakiś samochód zajechał jej drogę i puszcza po piwie odbiła się od przedniej szyby. W weekendowe noce działo się na mieście tyle co w godzinach szczytu.

– Jest ktoś, do kogo mógłby pan zadzwonić? A może podwieźć was do jakichś przyjaciół?

– Nie.

– To zabiorę was do domu, dobrze?

– Nie. – Głos zabrzmiał ostro i nienaturalnie donośnie w ciszy auta. – Przepraszam – dodał. – Po prostu nie chcę do domu.

Fitzroy to rozumiała. Czowała się tak samo.

– Dobrze, możemy powłóczyć się ulicami.

– Wiem, gdzie chcę jechać – oznajmił i wyrecytował z pamięci adres przy Hither Green.

Kiedy tylko minęli jaskrawe światła Lee High Road i wjechali na Northside Road, Erdmana zaskoczyły wspomnienia o matce.

Kanapki z resztek z niedzielnej pieczeni, grubo posmarowane masłem. Rozmiękle biszkopty w puszcze. Malowany drewniany zegar z kukułką na ścianie.

Twarz taka sama jak jego.

Dom pełen sekretów, pytań bez odpowiedzi.

Klucz wciąż był pod wycieraczką.

W środku czuć było atmosferę zaniedbania, charakterystyczną dla pustych domów. Erdman odmówił sprzedaży domu, nawet wynajęcia go komuś, Lilith była o to wściekła. Teraz się jednak cieszył, że tak się uparł, po tych sześciu miesiącach ceny nieruchomości skoczyły. Na meblach osiadł kurz, a powietrze pachniało stęchlizną, czuł woń mysich odchodów. Teraz, gdy stracił pracę, może da radę wyremontować i sprzedać. Wykorzystał te pieniądze do tego, by kupić trochę czasu z Jakeyem w tamtym wymarzonej domku nad morzem. A potem sobie przypomniał, że Jakey zaginął.

Fitzroy niezręcznie stanęła w drzwiach.

Na macie leżało kilka pocztówek od starych znajomych, którzy nie mieli pojęcia, komu należało je wysłać. Widział pochyłe litery na delikatnych kopertach. „Wyrazy współczucia”.

Teraz takie kartki będą trafiały na moją wycieraczkę.

Okrywa z łez zasłoniła mu oczy, niedowierzanie wykręciło wnętrzności.

– Na pewno chce pan tutaj być? – zapytała Fitzroy.

Erdman miał na skroni siwe pasma, nieobecne jeszcze kilka tygodni temu. Przeciągnął rękawem kurtki przed oczyma.

– Tak – powiedział. – Na pewno.

Wgramolił się na piętro, do swojego dawnego pokoju, zachowanego przez matkę w niezmiennym stanie. Zrobiła to prowadzona nadzieją? Czy może dla potomności? Nie wiedział. Jego kołdra z motywem z Gwiezdných Wojen była pomięta. Troskliwie ją rozprostował. Spojrzał na sufit, wymalowany w planety układu słonecznego.

Gdzie jesteś, Jakey, mój mały mistrzu? Kto mi ciebie ukradł?

A równie mało prawdopodobne było, że znajdzie odpowiedź na to pytanie w tych drżących liniach poblakłych globów, jak i w rozgwieżdżonym niebie na zewnątrz, zimnym, przejrzystym i szeleszczącym liśćmi.

Erdman dostrzegł na plakacie postaci Hana Solo i Luke’a Skywalker’a. Grube pasma kurzu zwisające z kinkietu. Uszy wypełnił mu cichy, chłopiący śmiech, identyczny jak u niego. W pokoju swojego dzieciństwa słyszał odgłosy przeszłości.

Położył się na łóżku i zaofiarował swoje życie w zamian za życie syna.

Na dole Fitzroy była w samym centrum zamieszania, Powinna już wracać do biura, szef dzwonił dwukrotnie. Jednak nie chciała budzić Lilith, która, dzięki Bogu, cały czas spała na tylnym siedzeniu auta.

W domu było lodowato zimno, otaczała go ciemna noc. Zmarznięta, ciasno opatulila się płaszczem.

Pomimo braku szkieletu, „dzyń” w głowie Fitzroy mówiło, że to był ten sam człowiek.

Zastanawiała się, jaką krzywdę mógł wyrządzić tej dwójce dzieci, zagubionych gdzieś w nocy, i pragnęła, aby płomień wściekłości skauteryzował jej lęk, grożący że zasnuje jej myśli, obierze ją z całej przejrzystości i dystansu.

Przypomniała sobie to, co już wiedziała. Troje zaginionych dzieci: Grace Rodriguez, Clara Foyle i teraz Jakey Frith, dwoje cierpiących już wcześniej na różne schorzenia. Trzy szkielety królików. Jeden, którego znaczenia nie dostrzegli. Drugi, znaleziony na Heath, który wydawał się z niczym niezwiązany i trzeci, pozostawiony na miejscu uprowadzenia Clary. Jak na razie nic przy łóżku Jakeya Fritha.

Dwie wiadomości schowane w tubkach. Jedno ostrzeżenie pozostawione w aucie.

To nie miało sensu.

Wiedziała, że gdzieś musi istnieć jakiś związek, połączenie, ale macała, chcąc je uchwycić i ciągle nic.

Znajdź motyw, znajdziesz mordercę. Tutaj nie było motywu. Żadnego, jaki mogłaby dostrzec.

Wyjąwszy bliskość miejsc przestępstw.

Jego ofiary nie pochodziły z jednej grupy etnicznej.

Jego ofiary nie były tej samej płci.

Jego ofiary nie były w tym samym wieku.

Brnęła poprzez ciemności, starając się połączyć to wszystko, starając się wsłuchać w symfonię w swoim mózgu, ale ta nie chciała grać. Jeszcze minuta, dwie i powie Erdmanowi, że musi już jechać.

Chodziła po salonie Shirley Frith, wyczuwając ślady nieszczęśliwego życia. Na ścianach nie było żadnych rodzinnych fotografii, żadnych uśmiechniętych wnuków w szkolnych mundurkach, w ogóle żadnych wspomnień.

Fitzroy opadła na fotel i poczuła, że coś twardego wrzyna jej się w plecy. Odsunęła poduszkę i wyciągnęła obrazek w srebrnej ramce.

Zdjęcie miało takie wyblakłe, ciepłe kolory, typowe dla fotografii z lat siedemdziesiątych.

Serce stanęło jej na chwilę.

Dwóch chłopców, takiego samego wzrostu, o takich samych rdzawych włosach, takim samym zaraźliwym uśmiechu, a jeden z nich miał taką samą twarz jak Erdman i takie same wykrzywione kości jak Jakey.

– Znalazł pan coś jeszcze? Jeszcze jakieś inne... – zawahała się – fotografie?

Głos Fitzroy popłynął w górę drabiny i na strych, gdzie Erdman wyciągał z włosów dwunastoletnie pajęczyny. Chociaż minęło sześć miesięcy od śmierci jego matki, jeszcze nie przyszedł tutaj posprzątać, to była kolejna pozycja na liście rzeczy, których strasznie nie

chciało mu się robić. A gdyby sprzątał, może odnalazłby odpowiedzi, których teraz szukał.

– Jeszcze nie. Ale tutaj są pudła na pudłach. Wieki zajmie przegrzebanie się przez to wszystko. – Wytknął głowę przez otwór w suficie. W dół popłynęły macki szarego pyłu. – Proszę wejść na górę.

Cały strych Shirley był zavalony kartonowymi pudłami, starymi meblami, wśród których było między innymi białe łóżeczko dziecięce z drewna oraz bujany fotel do kompletu, kolekcja poobijanych walizek i skórzany kuferek z kłódką z przodu. Erdman i Fitzroy stali obok siebie, oszacowując ten chaos.

– Niech pan spojrzy – powiedziała Fitzroy, podnosząc coś wyglądającego jak wyprasowany kawałek sukna barwy khaki.

– To czapka polowa dziadka Fritha. – Erdman pomachał grubym sukniem. – Zaginął w akcji pod El Alamein.

Ścisnęło mu gardło, gdy przypomniał sobie o dziadku, milczącym widmie kolejnych zaginionych bliskich.

– Czyli, że miał pan brata... – powiedziała łagodnie.

– Miałem – odparł, a jego spojrzenie powędrowało do zdjęcia, które wręczyła mu Fitzroy.

– Co się z nim stało?

Erdman zmarszczył brwi, grzebiąc w pamięci.

– Nie wiem, mama nie lubiła o nim mówić. – Zawahał się, spojrzawszy na trzymane w dłoni zdjęcie. – Byłem taki mały. Ledwie pamiętam. Myślę, że był chory. Jednego dnia był w domu, bawił się ze mną, a drugiego dnia już go nie było. Po tym wszystkim matka już nigdy nie była taka sama.

W ciemnościach strychu Erdman wydawał się taki samotny, że Fitzroy aż ścisnęło za serce na wspomnienie własnej straty.

– Zastanawiam się, co jest w tym kufierku – powiedziała.

Erdman pochylił się i szarpnął kłódkę, ale nie ustąpiła.

– Poszukam jakiegoś kluczyka – stwierdził i zaczął macać po zakurzonej podłodze.

Na starym biurku, upchnięte pod krzywizną dachu chybotą do butów z listami. Atrament na nich tak wyblakł, że nie dawało się odczytać, kto je wysłał, ani co zawierały.

Fitzroy wyciągnęła jeden z nich. Stronę pokrywało pismo o literach cienkich jak pajęczne nóżki. Potrafiła odczytać imię „Erdman”. Atrament wyblakł, treść była prawie nie do odcyfrowania. Podpisano chyba „Pozdrawiam serdecznie, Derek”, ale nie miała pewności i domyślała się, że list mógł zostać wysłany do matki, kiedy Erdman był mały. Widniała na nim data z marca 1976 roku. Zapisano ją ołówkiem, inną ręką.

Ale co z tym drugim chłopczykiem, wyglądającym jak Erdman i Jakey?

– Znalazłem. – Erdman pokazał klucz, na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech. – Był w środku tych dziwnych butów.

Fitzroy podążyła spojrzeniem za jego palcem, który wskazywał jakieś kartonowe pudło o

zapadających się bokach, stojące zaraz za kufrem z kłódką. W środku była para starych dziecięcych bucików, zwyczajnych, bez żadnych ozdób, klamerek czy sznurowadeł. Wykonano je z ciemnobrązowej skóry, która przez lata popękała i porozchodziła się. W kształcie buta wciąż widocznie pozostały kontur stopy jego właściciela. Na obuwiu leżał kawałek pożółkłego papieru. Fitzroy schyliła się po niego.

„Buty zostawiono przy okazji ceremonii kładzenia wiechy, po wymianie dachu w kwietniu 1976 roku. Nie zabierać ich stąd pod żadnym pozorem”.

Fitzroy zmarszczyła brwi. Co to, do jasnej cholery, jest to „kładzenie wiechy”? Później sprawdzi to w Google’u. Złożyła kartkę i wsunęła do kieszeni.

Klucz Erdmana pasował do zardzewiałego zamka, ale lata zaniedbań sprawiły, że chodził ciężko. Po kilku minutach wiercenia nim, wreszcie zaskoczył i kłódka się otworzyła.

W rogu, pod jedwabnymi zwojami szatki chrzcielnej leżała para bucików oraz przezroczyste pudełko z bladoczerwonym wieczkiem. Obok sfatygowany pluszowy miś. Obok misia plik artykułów wyciętych z gazet, związanych wyblakłą wstążką.

– Co to jest? – zapytał Erdman.

– Jeszcze nie wiem – wymamrotała detektyw, rozwiązała wstążkę i wyciągnęła wycinek. Artykuł pochodził z „Daily Mirror” z dwudziestego piątego października 1976 roku.

Zaczęła czytać go na głos.

„Pogrążona w rozpacz rodziny Carltona Fritha urządziła wczoraj prywatną uroczystość żałobną ku czci zaginionego trzylatka.

Jego matka Shirley, lat 28, przyniosła bukiet niezapominajek dla chłopczyka, którego ciało dziesięć miesięcy temu w tajemniczy sposób zniknęło z kaplicy pogrzebowej szpitala Royal Southern.

Jego brat bliźniak, Erdman, co zrozumiałe, na czas tej poruszającej, półtoragodzinnej ceremonii pozostał w domu rodzinnym przy Hither Green, w południowo-wschodnim Londynie. Gości poproszono o ubranie się na biało.

Prowadzący śledztwo detektyw inspektor Felix Tapp, mówi: Nie spoczniemy, dopóki nie znajdziemy ciała Carltona.

Ojciec Carltona, Derek, nie był obecny na uroczystości, Tragicznym zbiegiem okoliczności, zmarł w kwietniu na atak serca”.

Detektyw podała wycinek Erdmanowi. Zamyślony, wziął go, ale spojrzenie miał niewidzące, a na twarzy szok.

– Pamięta pan coś?

Erdman potrząsnął głową, w gwałtownym, pełnym złości geście. Kiedy przesunął wzrokiem po zamazanym druku, w głowie Fitzroy wirowało i tykało.

Czyli, że Erdman miał brata bliźniaka i ten jego brat cierpiał na to samo schorzenie co Jakey. I także zniknął.

Za dużo zbiegów okoliczności, aby to zignorować.

– Czy tam nie ma jeszcze jednego pudełka? Myślę, że chyba coś tam widzę. – Wskazała przestrzeń między okapami dachu.

Fitzroy podeszła do ciemnego zagłębienia i pomacała tam. Jej palce musnęły coś szorstkiego. Wyciągnęła to na zewnątrz.

– Uch! – Otarła dłoń o czarne spodnie i w kieszeni poszukała latarki. Zaświeciła.

Snop blasku ukazał gęsty, pajęczynowy pył oraz coś przypominającego dziesiątki ziaren kminku, niewątpliwy ślad obecności myszy. Wśród tego leżał jakiś kształt, szary i pokurczony. Widać było kości tylnych łap, podczas gdy pierś i ogon truchła w dalszym ciągu pokrywały splachetki wyschniętej skóry. Fitzroy ujrzała także długą witkę ogona. Długie pazury. Połowa pyszczka zniknęła, jednak rząd ostrych, białych ząbków krzywił się w grymasie. Martwy kot.

Wstrząśnięta upuściła latarkę, która odturlała się po podłodze, znowu pogrążając strych w półmroku.

– Co to było? Co pani zobaczyła?

Fitzroy podniosła latarkę i skierowała promień w przestrzeń.

– O kurwa – zaklął Erdman. – Co to jest?

Ogarnęła ją straszliwa ochota, żeby stąd wyjść, żeby duszną atmosferę strychu Shirley Frith zamienić na świeże powietrze. Aby sprawdzić, co u pani Frith.

Na ociekaczu wciąż leżały naczynia po śniadaniu, czekające, aby je zdjąć. Widok talerza z porcelany Royal Worcester z zakurzoną girlandą z róż sprawił, że detektyw zachciało się płakać. Tej rodzinie przydarzyło się coś wręcz niewysłowionego, ale jak to dopasować do zniknięcia Carltona i Jakeya? Do Grace i Clary?

Nadeszła pora, aby znaleźć kilka odpowiedzi.

„Zwyczaj kładzenia wiechy liczy sobie setki lat i jest często praktykowany wśród budowniczych. Zgodnie z tradycją, na szczycie dachu układano drzewa. W ukrytym miejscu poddasza zostawiano też czasem dziecięce buciki, aby odpędzić złe duchy. Niewinność młodości oraz fakt, że buty stanowią jedyną część ludzkiej garderoby, która po zdjęciu zachowuje swój kształt, uznano za źródło mocy wystarczająco potężnych, aby przeganiać złowrogie siły.

Nierzadko też zabobonne rodziny dla ochrony ukrywały martwego kota za kominem, nad belką nadokienną lub pod krokwią”.

Erdman wpatrywał się w podobiznę zmumifikowanego kota na swoim iPadzie oraz w na wpół zjedzony tost, który leżał obok niego na talerzu. Nie był już głodny. Ostatnio rzadko miał apetyt.

Wszedł do Googla'a i jednym palcem wystukał dwa słowa: „*Carlton Frith*”. Było osiemset dziewięćdziesiąt tysięcy rezultatów w dwadzieścia dwie sekundy.

Kliknął na pierwszy artykuł, z datą jedenastego kwietnia 1999 roku. Niebieski, podkreślony nagłówek.

Miejscowa gazeta, strona tytułowa.

„Po dwudziestu czterech latach wciąż mam nadzieję na odnalezienie chłopca”.

Artykuł opublikowano kilka miesięcy przed tym, jak poznał Lilith, kiedy spędzał trzy pożałowania godne miesiące w Indiach, starając się zdecydować co, do cholery, dalej ma robić ze swoim życiem. Matka pewnie czekała z tym, aż opuści kraj. W gardle zapłonęła mu wściekłość, przełknął ją. Jego rodzina zbudowana była na tajemnicach. Zaczął czytać.

„Trwało właśnie balsamiczne, czerwcowe popołudnie, kiedy Carlton Frith bawił się na plaży Southend-on-Sea ze swoim bratem, Erdmanem.

Gdy ich matka, Shirley, przyglądała się synowi, wówczas dwuletniemu, jak baraszkuje w piasku, dostrzegła guz na jego piersi.

Dla tej zwyczajnej rodziny z południowo-wschodniego Londynu stanowiło to początek koszmaru.

Lekarze byli przekonani, że u Carltona rozwinęła się jakaś postać złośliwego nowotworu i wykonali biopsję narośli.

Okazało się to katastrofalne w skutkach. Carlton cierpiał na rzadką przypadłość, nazywaną „syndromem człowieka z kamienia”, polegającą na rośnięciu dodatkowych kości w tkance łącznej albo w miejscach urazów, albo za sprawą nagłych zapaleń.

Ofiary tej upośledzającej choroby często wytwarzają drugi szkielet, który ostatecznie zamyka ich w pułapce z kości.

W przypadku Carltona, inwazyjna procedura medyczna spowodowała niezwykle gwałtowny rozwój choroby. Wzrost dodatkowej kości w klatce piersiowej utrudnił funkcjonowanie płuca.

Sześć miesięcy po wizycie na plaży, Carlton Frith już nie żył.

Taka tragedia wystarczałaby jakiejś rodzinie na całe życie, jednak nieszczęścia Frithów na tym się nie zakończyły.

W Boże Narodzenie 1975 roku, kiedy większość ludzi jadła indyka i słuchała przemysleń królowej na temat roku rekordowej inflacji, ciało małego Carltona skradziono ze szpitalnej kaplicy pogrzebowej.

Stało się to w dzień wolny od pracy. Na terenie szpitala przebywało niewiele personelu, a w czasach sprzed pojawienia się monitoringu, nikt niczego nie zauważył.

Minęły ponad dwa dziesięciolecia, a los syna ciągle nie daje spokoju jego matce.

– Często zastanawiam się, gdzie jest ciało Carltona i nawet po tym całym czasie chciałabym zapewnić mu porządny pochówek, taki na jaki zasłużył – mówi matka chłopca, Shirley, obecnie licząca sobie pięćdziesiąt jeden lat. – Nawet jeśli gdy go zabierano, już nie żył, czułam się pozbawiona szansy powiedzenia mu „żegnaj”. Chciałabym zobaczyć, jak prowadzi się przed oblicze sprawiedliwości tego chorego osobnika, który ukradł ciało mojego syna, a tym samym, naszą możliwość żałoby.

Brat Carltona, Erdman, nigdy nie wypowiadał się publicznie na temat zniknięcia brata

bliźniaka, jednak Shirley, z zawodu agent ubezpieczeniowy, wyjawiała, że nigdy się z tym nie pogodził.

– Erdman, tak naprawdę, był wtedy tylko małym dzieckiem. Kiedy Carlton umarł, bliźniaki skończyły zaledwie trzy latka. Przez długi czas nie potrafił pojąć, co stało się z jego bratem i to było trudne dla nas wszystkich.

Obecnie zarejestrowano w Wielkiej Brytanii trzydzieści pięć przypadków syndromu człowieka z kamienia, znanego także jako fibrodysplasia ossificans progressiva. Choroba ta może być dziedziczna, wydaje się jednak, że rodzina uniknęła podwójnej tragedii.

Shirley nie rozmawia na temat swojego drugiego syna, ale potwierdza, że jest wolny od choroby”.

Carlton miał syndrom człowieka z kamienia? Przez te wszystkie samotne lata dzieciństwa, nastoletniego niepokoju, dorosłości, mama nigdy nawet nie wskazała na możliwość czegoś takiego. Nawet w tych pierwszych, pełnych euforii latach jego małżeństwa, kiedy oznajmił, że Lilith jest w ciąży, ona po prostu zacisnęła usta. Ani w tamtą okropną noc, sześć lat temu, gdy lekarze powiedzieli im prawdę o chorobie Jakeya, a on patrzył, jak Lilith kołysze noworodka i myślał, że sam chciałby umrzeć.

To prawda, nigdy nie rozmawiał o swoim bracie bliźniaku, nawet gdy on sam stawał się coraz starszy, a jego brat nie dorastał. Ale tylko dlatego, bo Shirley odmawiała dyskusji na ten temat. Może nie potrafiłaby o tym rozmawiać. Później się zorientował, że oboje by nie potrafili. Jego wspomnienia o Carltonie zastąpione zostały czymś na kształt pustego odrętwienia.

Ale dlaczego? – wyszeptał wewnętrzny głos. Dlaczego, do cholery, nie ostrzegła o genetycznej bombie zegarowej związanej z chorobą Carltona? Zwłaszcza po tym wszystkim, co wycierpiał Jakey?

Jakoś nie umiał otrząsnąć się z poczucia zdrady.

Teraz oboje rodzice już nie żyli, nie miał się kogo zapytać.

Wspólnie z Fitzroy przejrzał resztę artykułów. Większość pochodziła z tego samego miesiąca. W jednym z artykułów była fotografia, której nigdy wcześniej nie widział. Erdman i Carlton jako niemowlaki. Pulchne ramionka i takie same przeciwsloneczne kapelusiki, krzywili się przed obiektywem, pełnią swoich bezzębnych uśmiechów. Kolejna czarno-biała fotografia pokazywała znacznie młodszą Shirley, ubraną w żakiet, jak wchodzi do szpitala Royal Souther w otoczeniu dziennikarzy i fotografów.

Matka miała przed nim tajemnice.

Ta świadomość bolała.

Wzrok Erdmana stał się tak rozmazany, że musiał przestać czytać. Jak mógł o tym wszystkim zapomnieć? Jak mógł zablokować takie wspomnienie? Może nigdy o tym

wszystkim nie wiedział? Miał przecież zaledwie trzy lata, a w domu Shirley nie było zdjęć Carltona, w ogóle żadnych pamiątek po jego krótkim życiu.

Ale co z jego matką? Czy to, jak się zachowywała, miało go ranić? Czy go chronić?

Och, mamó. Czy kiedykolwiek się zastanawiał, dlaczego, cegła po cegła, wzniosła wokół siebie taki mur? Kiedy pomyślał o tak łatwo przychodzącej im pogardzie, o tym, jak z rozmysłem wycofali się z jej życia, policzki zapłonęły mu ze wstydu i poczucia winy.

Gabinet okryły ciemności, ponure i ciche. Deszcz siekł okno, niczym ciskane garście żwiru. Erdman wpatrywał się w ekran, aż litery zaczęły podskakiwać mu przed oczyma.

Czy uprowadzenie Jakeya miało jakiś związek z tym nieznanym, który go śledził? Nie, to by było już śmieszne, paranoiczne. Ale i tak może wspomni o tym Fitzroy.

Lilith była teraz na górze, senna od środków uspokajających. Otumaniona i zdezorientowana obudziła się wtedy, gdy Fitzroy odwoziła ich z domu matki Erdmana, po tym jak dowiedział się o chorobie brata. Tak bardzo płakała po Jakeyu, że zdołał ją uspokoić dopiero lekarz pogotowia.

Pomyślał o tym, jak łatwo byłoby się już więcej nie obudzić.

Ale jeżeli istniała chociaż najmniejsza isierka nadziei na to, że Jakey może jeszcze żyć, uczyni, do ciężkiej cholery, wszystko, aby go odnaleźć.

Telefon wydał swoje piskliwe wezwanie do działania. Wstał, aby go odebrać.

54

Godzina 10.16

Kiedy Jakey Frith otworzył oczy, ujrzał, że jest w pomieszczeniu, którego nie rozpoznaje.

Wziął głęboki oddech i poczuł ciasny pas wokół klatki piersiowej. Okrywało go zimne powietrze. Wziął kolejny oddech, wtedy poczuł ból i paniczne rżenie w piersiach.

– Mamusiu?

Gardło miał obolałe i spuchnięte, jak gdyby wepchnięto w nie coś dużego albo wyciągnięto, albo i jedno, i drugie. W kącie stały krzesło oraz wiadro. Do ściany przyśrubowano metalową siatkę wentylatora. Było ciemno, wyjąwszy cienkie jak ostrza pasma światła, krwawiącego przez zaciągnięte żaluzje.

Stare Krwawe Gnaty jest tutaj.

Jakey poczuł ciepły strumyk między nogami.

Usiadł. Bolało go w piersiach. Każdy oddech wywoływał ból w piersi. Gorączkował. Miał

dreszcze. Przez sekundę zastanawiał się, czy może to wszystko mu się śni.

Ciało zaczynało drżeć, a chociaż koc był przemoczony i tak się nim nakrył, próbując nie zwracać uwagi na fakt, że lepi mu się do skóry.

Zamknął oczy.

Nasłuchiwał.

W domu panowała cisza, ciemność szeptała do niego z cieni. Jakey, chociaż miał tylko sześć lat, wiedział, że tutaj mieszka śmierć. Śmierć, która już po niego idzie.

A potem usłyszał, jak zza kratki wentylacyjnej w kącie dochodzi śpiew małej dziewczynki.

55

Godzina 10.45

Dzwoniła Fitzroy.

– Panie Frith...

– Słucham. Jakież wieści?

W głosie detektyw pojawiło się wahanie.

– Zeszłej nocy widziano szarą furgonetkę, odjeżdżającą spod szpitala, taką samą jak furgonetka widziana po południu w dniu uprowadzenia Clary.

Erdman mocno ścisnął słuchawkę. On i Lilith pocieszali się brakiem króliczego szkieletu, liczyli na to, że Fitzroy źle zinterpretowała ostrzeżenie pozostawione w aucie.

– Jest pani pewna?

– Nie wiemy, czy to ten sam facet, ale jest to bardzo możliwe. Ściągamy nagrania monitoringu z pobliskich kamer, jednak trochę to potrwa. Dam znać, jeśli coś się zmieni. – Zrobiła przerwę, aby zadać te same pytania, jakie zadawała Amy Foyle.

– Czy ostatnio coś niepokoilo Jakeya? Coś dziwnego albo nietypowego, o czym wspominał?

Erdman umilkł, przepełniony poczuciem winy.

– To raczej pytanie do Lilith, ale nie, nic sobie nie przypominam. Bał się, że umrze, bo ktoś coś mu tam powiedział w szkole, ale to wszystko.

– I jest pan pewien, że nie przypomina pan sobie żadnej szarej furgonetki z nocy, kiedy pana zaatakowano?

Erdman pomknął myślami do tamtej nocy, która teraz wydawała się odległa o całe wieki.

– Nie, ja...

W pamięci zamajaczyła mu twarz tamtego obcego.

– O co chodzi?

– Właśnie pomyślałem, że ktoś mógł mnie śledzić.

Pauza.

– Proszę coś więcej.

Opowiedział o mężczyźnie, którego widywał w ciągu dni przed atakiem, przed wprowadzeniem Jakeya.

– A nie pomyślał pan, żeby o tym wspomnieć wcześniej? – Jej ton był lodowaty.

– Nie sądziłem, że to ważne.

– Może pan go opisać?

– Wysoki, siwe włosy.

Umysł Fitzroy przeskoczył do Milesa Foyle'a. On był wysoki i siwy.

– Widział pan ojca Clary Foyle? W gazecie, w telewizji?

– Jasne.

– To on? – Była bezpośrednia.

– Nie. – Zabrzmiało, jak gdyby był zszokowany. – Nie, zdecydowanie nie on.

– Będziemy potrzebowali portretu pamięciowego.

– Dobra.

– Chcemy zorganizować tę konferencję prasową, o której mówiliśmy zeszłego wieczoru. Najprawdopodobniej dzisiaj po południu, z panem i panią Frith.

Unoszenie się i opadanie dźwięku syreny, dającej znać o jakiejś innej tragedii, gdzieś na mieście, przeniknęło przez szum w głowie Erdmana.

Jakeya wprowadził ktoś, kto odcina małym dziewczynkom koniuszki palców.

Kiedy Fitzroy odezwała się ponownie, w jej głosie usłyszał drobne rozdrażnienie.

– Panie Frith? Może tak być, jak proponuję?

Jeśli skrzywdził mojego chłopczyka, to go zabiję.

– Panie Frith? Słyszysz mnie pan? To może pomóc Jakeyowi i zaprowadzić nas do Clary oraz do Grace.

Przecież on potrzebuje swoich leków, porządnej opieki szpitalnej.

– Panie Frith?

– Tak?

– Konferencja prasowa?

– Tak, oczywiście.

– Dobrze – mówiła szorstko, zwięźle. – Zabiorę was oboje po lunchu.

Na górze Lilith wybudziła się ze snu wywołanego środkami uspokajającymi. Wpatrywała się w sufit, w małe białe światelko tańczące w rogu.

Jakey?

Męczyła się, aby usiąść, sięgnąć tam ręką, kiedy uświadomiła sobie, że to przecież odbicie jej zegarka, wywołane ruchami nadgarstka.

Co on zrobił mojemu maleństwu? Wepchnęła sobie knykcie w usta, zagryzła tak mocno, że aż przegryzła skórę. Przestań. Przestań myśleć o nim w czasie przeszłym.

Ostrze bólu w jej piersi zagroziło, że ją powali. Zmusiła się do zaczerpnięcia oddechu. I potem jeszcze jednego. Brak Jakeya był jak kwas palący gardło. Bolały ja stawy, palce, kolana.

Belinda Chong, oficer łącznikowy do spraw rodzin przydzielony im zeszłej nocy, ostrzegła ją właśnie przed czymś takim. O tym, że ból emocjonalny może przełożyć się na ból fizyczny.

Zignorowała ból, zmusiła się, aby poderwać się z łóżka.

Na pewno zostawiłby jakiś szkielet królika, jakiś znak. Jeżeli to on.

Zapłonęła w niej nadzieja, ale ją zdusiła. Nadzieja czyniła słabym.

Nie po raz pierwszy zapragnęła, aby była przy niej teraz jej przybrana matka, żeby sama miała rodziców, do których mogłaby się zwrócić. Jednak Valerie Thrupp miała ręce pełne roboty z trzema małymi siostrami, które matka porzuciła, jadąc na dwutygodniowy urlop na Teneryfę. Zamknęła oczy. Jej prawdziwa matka, z tego co wiedziała, nie żyła. I nawet nie znała jej imienia.

Słyszała dobiegający z dołu niepewny krok męża chodzącego po korytarzu.

Erdman zawsze był dla niej oparciem, ale teraz ledwie starczało mu sił, aby trzymać się prosto.

W ciągu zeszłego roku wiele razy rozmyślała o życiu bez niego, wyobrażała sobie, że pakuje walizkę dla siebie i Jakeya. Nawet skontaktowała się z prawnikiem, aby sprawdzić, jak to się wszystko załatwia.

Jednak teraz uświadomiła sobie, że to właśnie narodziny Jakeya zdusiły ją szokiem, rozpaczą. Przez sześć lat ciągle walczyła o złapanie oddechu. I że to nie była wina Erdmana. To nigdy nie była wina Erdmana.

A teraz, gdy zabrakło Jakeya, wewnątrz miała ranę, która już nigdy się nie zamknie.

W tamte straszne dni po jego narodzinach, kiedy przebywała w jakimś dziwnym otępieniu, gdzieś w połowie drogi między miłością do dziecka a strachem przed utratą życia, jakie mu planowała, rana po cesarskim cięciu uległa infekcji. Wyleczenie zajęło długie tygodnie. Jednak dochodzenie do siebie po zniknięciu syna mogło zająć całe lata, nawet całe życie.

Jakey, mój kochany Jakey.

Zadrżała na wspomnienie ostatniej nocy, jaką wspólnie spędzili w domu, zanim zrobiło się z nim tak źle i rozpoczął się nowy rodzaj piekła.

Znalazła go klęczącego przed parapetem, wpatrującego się w sinoczną przestrzeń trawnika. Przyglądał się, jak pada rzadki, mizerny deszczyk.

Trawa w blasku światła bezpieczeństwa błyszczała mokro, każde źdźbło było niczym fragment świeżego malowidła. Bruk celowo ułożony z nierównych kamieni także jaśniał.

Jakey przyciskał twarz do szyby i co jakiś czas nieco się odchyłał i kreślił na niej jakieś patykowate ludki. Oddech miał brzydki i nierówny.

Przebiegła para nastolatków, ich kroki uderzały o chodnik, piszczeli i śmiali się moczeni deszczem. Przyglądała się, dopóki nie zniknęli jej z oczu.

– Pora lulu, kochanie – powiedziała i zaniósła go na górę. Nie protestował.

Potem go wykąpała, pomogła umyć zęby i okryła pościelą, gotowego na bajkę.

– Mamusiu? – zapytał, ziewając. – A co z tą małą dziewczynką? Ona potrzebuje pomocy. Pomożesz jej?

– Jaką małą dziewczynką, kochanie?

– Ona się boi, ona... – Zmęczenie zagęściło mu głos. Potarła opuszkami kciuka linie jego brwi.

Serce Lilith przyspieszyło.

– Jakey – zapytała. – Jaka mała dziewczynka?

– Ta z telewizora. To ona.

– Chodzi ci o Clare Foyle?

– Tak. – Chłopiec zaśmiał się, zaskoczony. – Tak, mamusiu, tak się nazywa. Skąd wiedziałaś?

56

Godzina 10.54

Fitzroy wpatrywała się w odbiornik. Źle sobie radziła, dawała poznać po sobie swoją niecierpliwość.

Za nią szef przechadzał się tam i z powrotem. Jego oczy były zapadniętymi jamami, ale w głosie miał ogień.

– Ludzie, no dalej – krzyknął. – Musimy złapać tamtego skurwiela. Do jutra chcę go aresztować.

Szefie, jak my wszyscy. Ale nie da się zaarrestować powietrza.

Frithowie, co rozumiałe, byli zrozpaczeni. Nie mogą mieć do nich pretensji. Fitzroy wyciągnęła wydrukowany egzemplarz tego samego artykułu, który Erdman znalazł na swoim komputerze, przeczytała na nowo. Zastanawiała się, czy detektyw inspektor Felix Tapp,

policjant wspomniany w gazecie, jeszcze żyje. Zaczęła szukać jego adresu.

Cały czas nie miała kontaktu z Conchitą Rodriguez. Rano Fitzroy dzwoniła do niej dwa razy, ale nikt nie odbierał, a wiedziała, że matka Grace nie lubi korzystać z komórki, po serii głupich dowcipów dotyczących śmierci jej córki.

Na jej biurku rozdzwonił się telefon.

Chwyciła słuchawkę.

– Pani Rodriguez...?

– Fitzroy?

Dzwonił dyżurny, posterunkowy Jared Fox.

– Cześć Foxy, wszystko w porządku?

– Jakiś facet czeka na ciebie w recepcji. Ale nie podniecaj się za bardzo. Mówi, że ciebie zna, Dashiell Hall, z Muzeum Historii Naturalnej.

Doktor Hall wyglądał teraz jak reklama Pogromców Zbrodni. Ciemne włosy przyliżał sprayem do stylizacji, zamiast okularów założył soczewki kontaktowe. Uśmiechnął się półgębkiem.

– Pomyślałem, że przyjdę, zamiast wysłać maila. Maile są takie bezosobowe, nie sądzi pani?

Fitzroy na krótko dotknęła swoich włosów, odwzajemniła jego uśmiech.

– Po drugiej stronie ulicy jest kawiarnia.

Bakes and Beans była jedną z tych małych niezależnych kafejek, sprzedających wielkie ciastka domowej roboty oraz kolumbijską kawę w zgrabnych opakowaniach. Zapach sprawił, że Fitzroy poczuła się bardzo zadowolona.

Kelnerka przyniosła doktorowi Hallowi czarną kawę, a jej kawę z mlekiem. Fitzroy poczekała, aż postawi napoje na stole i odejdzie.

– No to co pan ma mi do powiedzenia?

Doktor Hall wyciągnął z teczki jakiś skoroszyt.

– Tak naprawdę całkiem sporo. Ten preparat jest fascynujący. To dorosły królik, prawie na pewno domowy.

– Skąd u pana taka pewność?

Wskazał na zdjęcia szkieletu od Fitzroy i jeszcze jednego, które przyniósł do porównania. Oczy mu błyszczały.

– Proszę się temu przyjrzeć. Ten pani królik ma bardziej zaokrągloną głowę, krótszą czaszkę. Tak właśnie działa sztuczny dobór. To jak porównywanie wilka i buldoga. Króliki z hodowli domowych dobiera się tak, aby dawały więcej mięsa, więc to naturalne, że mają inne proporcje. Zważyliśmy to, tylko żeby się upewnić i kości tego pani domowego królika były znacznie większe i cięższe niż tego dzikiego.

Otulił kawę dłońmi. Miał bardzo długie palce.

– Może pan zawęzić to do określonej rasy?

– To jest trudne. To nie jest niezawodna metoda. Ale w związku z szeroką pierśią i krótką szyją, zgaduję że to jest Blanc de Hotot.

Przewertował fotografie w swojej teczce i wyciągnął jeszcze jedną. Pokazany był na niej biały królik z czarnymi obwódkami wokół oczu.

– Hodowane dla pięknego białego futra i mięsa. Pochodzą z Normandii we Francji.

Fitzroy odchyliła się na krześle, pozwalając, aby obmył ją gwar kawiarenki. Czy to oznacza, że on jest hodowcą królików? Ilu takich mieszka w południowo-wschodnim Londynie? Zaharowalibyśmy się, próbując ich wszystkich sprawdzić.

– Ale to jeszcze nie wszystko. – Doktor Hall aż promieniował radością ze swojego odkrycia. – Każdy specjalista od kryminalistyki powie pani, że wszystko pozostawia jakiś ślad. I tak jest też w przypadku naszego szkieletu.

Na skórze Fitzroy pojawiła się gęsia skórka.

– Muszę przyznać, że byłem zaskoczony stanem pani preparatu – szkielet był nietknięty, tkanki łączne na swoim miejscu, ale kości obrane z całego mięsa. – Fitzroy nasłuchiwała uważnie, ich spojrzenia się spotkały. – Delikatnie mówiąc, to niezwykcyjne. – Przełknął łyk kawy. – A zatem nieco bardziej się w to zagłębiłem.

– Proszę dalej.

– Kiedy przyglądałem się temu pod mikroskopem, zauważyłem, że na kilku kościach są drobne draśnięcia, co sugeruje, że futro, organy i fragmenty mięśni usunięto jakimś nożem.

Fitzroy siedziała teraz wyprostowana, nieświadoma ciekawskich spojrzeń rzucanych przez parę siedzącą przy sąsiednim stole.

– Ale co się stało z resztą mięśni? Nikt, nawet nie wiadomo jak zręczny w posługiwaniu się nożem, nie zdołałby oczyścić kości z najmniejszych drobin. Chyba, że... – nieśmiało uśmiechnął do Fitzroy.

– Chyba, że co?

– Chyba, że z niewielką pomocą *Dermestes maculatus*.

Doktor Hall pokazał kolejny zestaw fotografii. Na jakiejś zwierzęcej czaszce roily się tysiące maleńkich czarnych insektów.

– On używa chrząszczy ścierwojadów. Oczyszczają szkielety martwych zwierząt. Znalazłem ślady ich DNA w ślinie na kościach.

Myśli Fitzroy galopowały. Skąd się wzięły te chrząszcze? Czy łatwo je dostać? Doktor Hall już ją uprzedził, tłumacząc:

– Niektórzy naukowcy do czyszczenia szkieletów z ciała używają chemikaliów, ale one mogą się wżerać w kości i zmieniać ich strukturę. W Muzeum Historii Naturalnej używamy czegoś bardzo zbliżonego do oczyszczania naszych eksponatów, żuki *Dermestes haemorrhoidalis*. Ale używaliśmy kiedyś *maculatus*. Wiele osób jednak zostaje przy

tamtych. Mamy swoją własną kolonię, ale niektórzy hodowcy sprzedają od razu zestawy setek albo tysięcy dorosłych żuków, żeby sobie założyć własną kolonię. – Odstawił kubek i oderwał kawałek czekoladowego muffina.

– Etta, znajdź hodowcę, a znajdziesz tego chorego pojeba.

57

Godzina 13.03

Dlaczego nikt jej nie ostrzegł, że tak trudno podsumować ukochanego syna jednym zdjęciem? Czy ma go sportretować jako roześmianego, beztroskiego chłopca na ramionach taty, czy chorego i kruchego, w szpitalnym łóżku? Lilith uznała, że ludzie chętniej będą szukać biednego dzieciaczka.

Erdman odłożył kanapkę na stół i wyciągnął jakąś fotografię z pliku. Przesunął palcami po zastygłym na zdjęciu, połyskliwym uśmiechu syna. Lilith sięgnęła ku dłoni męża, nie łapczywie, ale doceniając intencje skryte pod jego gestem.

– Jak się czujesz? – zapytał.

Wzruszyła ramionami. Tutaj nie było nic do powiedzenia.

– Znajdą go – powiedział. – Musimy w to wierzyć.

Jednak nie spojrzał jej w oczy.

Posterunkowa Jemma Maslan, specjalistka od tworzenia portretów pamięciowych, spędziła właśnie dwie godziny z Erdmanem, konstruując wizerunek potencjalnego przestępcy. Pokazała mu setki nosów i podbródków, oczu i fryzur. Przeklinał dziury w swojej pamięci, to, że rysy tamtego mężczyzny okazały się ulotne jak dym.

– Obawiałam się, że tak właśnie może być – powiedziała. – Człowiek sądzi, że może sobie przypomnieć jakąś twarz aż do chwili, kiedy trzeba coś ustalić dokładnie. Wtedy to się zawsze okazuje znacznie trudniejsze. Wprowadza w zakłopotanie. Człowiek zaczyna sam w siebie wątpić.

Kiedy tak pracowali, dwójka policjantów przeszukiwała sypialnię Jakeya. Lilith powściągnęła ochotę, żeby poprosić ich, żeby stamtąd wyszli.

Ale teraz w domu było pusto, wyjąwszy Belinę, świeżo przydzieloną rodzinie oficer łącznikową, która zmywała teraz kubki i sztućce.

– Oni wrócą – powiedziała do Lilith. – Gdy tylko będą mogli coś nam powiedzieć.

Lilith nie podobało się to „nam”, jak gdyby Belinda знаła los Jakeya i przejmowała się

nim, jak gdyby nie stała teraz w ich domu, z rękoma po łokcie w zlewie tylko dlatego, że jej za to płacono.

Bała się tej chwili. Konferencja prasowa. Te słowa piętrzyły się w jej głowie. Poranek wirował. Zaparzyła niezliczone kubki kawy, a gdy atmosfera stała się zbyt duszna, uciekła pod pretekstem zakupu mleka. Jedna z matek ze szkoły Jakeya, Alyson Carruthers, akurat przejeżdżała obok i zaproponowała, że podrzuci ją do domu. Pomogła Lilith przejść ścieżką, trzymając pod ramię tak, jak gdyby była starszą panią. Lilith chciała krzyknąć na nią, żeby sobie poszła, ale nawet w obliczu tragedii powstrzymał ją instynkt samozachowawczy.

Potem płakała przy fotografiach Jakeya, wgapiła się w ściany, a teraz – zerknęła na zegarek – lada chwila powinna zjawić się po nich detektyw Fitzroy.

Lilith nienawidziła bycia w centrum uwagi, zwłaszcza gdy czuła się tak bardzo bezradna, jednak Fitzroy przekonała Erdmana, że to niezwykle ważne. Że tego potrzeba, aby zainteresować opinię publiczną, że to może doprowadzić też do odnalezienia Clary Foyle i Grace Rodriguez.

Proszę, daj Jakeyowi żyć.

Wcale nie była głupia. Doskonale wiedziała, że policja używa konferencji prasowych do tego, aby poddać podejrzanych presji, żeby sprawdzić, czy się nie płaczą albo czy nie płaczą krokodyłowymi łzami. Fitzroy zapewniała ich, że wcale nie o to tutaj chodzi, a ona się tępo z nią zgodziła.

Zadzwiećwał dzwonek do drzwi. W progu stanęła Fitzroy. Pod oczami miała sine półkola.

– Pani Frith, przepraszam za spóźnienie. Ten ranoek był dosyć, hm, pracowity.

I tak właśnie Lilith oraz Erdman, w sobotnie południe znaleźli się w Novotelu, budynku ze szła i cegły rozsiadłym przy Greenwich High Road. Od zniknięcia Jakeya minęło ponad piętnaście godzin, osiem dni od zniknięcia Clary oraz rok i cztery dni, od kiedy Grace poszła na balet i już nie wróciła.

Z tyłu stał niewielki stolik z trzema krzesłami, dzbankiem wody i mikrofonem. Za ich plecami, na ekranie, wyświetlono zdjęcie Jakeya wybrane przez Lilith.

Szum rozmów zmienił się w pełną szacunku ciszę, kiedy Lilith i Erdman zajęli swoje miejsca. Lilith nieprzyjemnie ścisnęło w dołku na widok tyłu pełnych wyczekiwania twarzy. Ujrzała pyzată kobietę z ciemnymi włosami i w okularach o ciemnych oprawkach. Trzymała ogryziony ołówek, zawieszony nad podkładką do przypinania papierów. Jakiś młody mężczyzna z mikrofonem i urządzeniem do nagrywania przycupnął obok stołu, tam gdzie umieszczono kamery, wycelowane w Lilith od tyłu. Przed nią, na blacie, leżała cała kolekcja dyktafonów. Erdman przygryzał wargi, rzucając nerwowe spojrzenia po sali pełnej tyłu dziennikarzy, że z komendy policji musieli przenieść konferencję właśnie tutaj.

Nie dam rady, pomyślała i poczuła, że nogi ma jak z waty. Miała ochotę się rozpłakać. Nie chciała być w tym pozbawionym wyrazu hotelu, wystawiać się na widok gapiów. Jednak Fitzroy złapała ją za łokieć i poprowadziła do krzesła. Detektyw kiwnęła głową dla dodania

otuchy i zanim zdołała się zorientować, Fitzroy już ich przedstawiła, a Lilith, dukając, zaczęła czytać przygotowane wcześniej oświadczenie. Mniej więcej w połowie uniosła wzrok i dostrzegła dwóch szepczących między sobą dziennikarzy, straciła wątek, zająknęła się na imieniu Jakeya, więc zgmiotła kartkę w dłoni i pozwoliła jej upaść, tak jak swoim łom. Palce Erdmana splótły się z jej palcami, delikatnie ścisnęły. Przełknęła ślinę. Chwila przerwy rozbita przez migotanie fleszy. A potem odezwał się Erdman, nieświadomie naśladowując Milesa Foyle'a. Mówił prosto w obiektywy kamer.

– Proszę, bardzo proszę, pomóżcie nam znaleźć Jakeya i sprowadzić naszego syna do domu.

Fitzroy wstała i zwróciła się do zgromadzonych dziennikarzy.

– To już wszystko. Dzisiaj nie będzie zadawania pytań, ale dziękuję państwu za przybycie.

Kiedy ekipy telewizyjne i dziennikarze pakowali już swój sprzęt, wystukiwali maile albo dzwoniли do redakcji, Fitzroy wymamrotała Erdmanowi i Lilith:

– Dobra robota. Zrobiliście kawał dobrej roboty. To powinno trafić do popołudniowych biuletynów i zobaczymy, co nam to przyniesie.

Niech przyniesie naszego syna. Mam nadzieję, że to przyniesie naszego syna.

Fitzroy wracała już z Erdmanem i Lilith do samochodu, kiedy usłyszała za sobą kroki na chodniku. To była ta ciemnowłosa dziennikarka z konferencji, reporterka działu kryminalnego „Daily Mirror”. Zawołała Fitzroy po nazwisku.

– Można na słówko?

– Nie – krótko odparła detektyw, nawet się nie odwracając.

Reporterka uniosła brew i za plecami policjantki zamachała dyktafonem. Nawet przy porywistym wietrze dawało się wyczuć, że pachnie od niej papierosami.

– To szkoda. Chciałam dać was na nagłówek.

Fitzroy wzięła głęboki oddech.

– Państwo Frith, przepraszam na chwilę... – Odeszła od nich obojga i odciągnęła dziennikarkę na bok. Obie kobiety pochylili się ku sobie i ściszyły głos, jednak słyhać było większość rozmowy.

– Wiemy o nerce królika – mówiła dziennikarka. – Planujemy jutro rzucić to na łamy.

Dłonie Fitzroy zacisnęły się w pięści, a potem z wolna się rozprostowały, gdy zrobiła półobrót, aby stanąć twarzą w twarz z tamtą kobietą. Lilith przestraszyła się, że detektyw zaraz uderzy reporterkę, ale głos policjantki pozostał spokojny. Zbyt spokojny.

– Proszę, nie. Jeszcze nie jesteśmy gotowi na upublicznienie tego. Ze względów operacyjnych.

– Fitzroy, to przecież jest świetny materiał. Seryjny morderca pozostawiający królicze szkielety tam, gdzie porwał swoje ofiary. Nerka zostawiona w aucie jako ostrzeżenie. W redakcji o tym wiedzą. Podoba im się, tak samo wydawcy. Planują zrobić z tego temat

numeru, więc jeśli chcesz mnie powstrzymać, musisz znaleźć coś cholernie wspaniałego na to miejsce.

– Sarah, nie bądź suką. To są czyjeś najbliższe osoby, a nie sposób na zwiększenie sprzedaży twojej gazety. I mnie tu nie szantażuj. Wiesz równie dobrze jak ja, że wystarczy jeden telefon do twojego szefa.

– Nie byłabym taka pewna. Wciąż jest na ciebie wściekły po tym, jak w zeszłym roku dałaś do „Sun” cynk o czubkach palców Dziewczynki z Lasu.

Mięśnie szczęki Fitzroy drgnęły. Wsunęła dłonie w kieszenie.

– Nikomu nie dawaliśmy cynku. Sądzę, że to szwagierka pani Rodriguez podrzuciła prasie takiego rodzyńka.

Sarah roześmiała się bez wesołości.

– Żadna różnica. Oni dostali świetny materiał, a my nie dostaliśmy. Potrzebujemy teraz czegoś takiego, czego oni nie mają. Wiem, co sobie myślisz. Chcesz móc oddzielić wiarygodnych informatorów od nawiedzenców, ale nigdy nie dasz rady zagarnąć tego tylko pod siebie. Wiesz, że zawsze będą przecieki.

Lilith czuła się jakoś tak dziwnie oddzielona od tej wymiany zdań, jak gdyby to było słuchowisko radiowe i nie widziała aktorów. Erdman wpatrywał się w dziennikarkę, jego twarz wykrzywił niesmak. Loki Fitzroy przesuwali się z boku na bok, kiedy kręciła głową z niedowierzaniem.

– Naprawdę uważasz, że należy prowadzić tę rozmowę, kiedy państwo Frith stoją tak blisko? Powiem ci jedno. Skoro tak cholernie ci zależy na zrobieniu tego materiału, będziemy musieli, jak się obawiam, jakoś się tym zająć. To oznacza wypuszczenie informacji do reszty mediów...

– Nie zrobisz tego. To nasz ekskluzywny materiał. – Sarah była wściekła, jej twarz zrobiła się niemal purpurowa.

– Poczekaj tylko kilka dni, aż będziemy gotowi, żeby to wypuścić, a wszystko będzie twoje.

– Ale co, jeśli ktoś inny dostanie to jako pierwszy?

– Nie dostanie. Zadzwoń do mnie za kilka dni.

Dziennikarka odeszła, a Fitzroy krzywo uśmiechnęła się do Frithów.

– Ona tego nie wykorzysta – oznajmiła.

– Skąd pani to wie? – zapytał Erdman.

– Zaufajcie mi – powiedziała Fitzroy. – Wstrzyma się, żeby mieć lepszy materiał. Wiem, że tak robi. Dziennikarze zawsze tak robią.

Wiadro było pełne i zaczynało cuchnąć. Clara zmarszczyła nosek. Nocny Pan już dawno się nie pojawił. Była głodna. Chociaż się go bała, zawsze przynosił coś do jedzenia.

Gwałtownie opadła na zmierzwioną pościel, z której unosił się nieprzyjemny zapach. Język miała opuchnięty i suchy, bolały ją plecy. Sięgnęła po chropowatą poduszkę.

– Rosie, już dobrze – zanuciła. – Mamusia tutaj jest.

Nuciła tak sobie cicho pod nosem różne wymyślane słowa i fragmenty melodii zapamiętanych z domu i ze szkoły, chociaż te wspomnienia, teraz mające już tydzień, wydawały się zamazane i dalekie.

Zwykle zjawiał się wtedy, gdy blask poranka przelewał się przez kraty na podłogę, na gołe ściany, ale teraz było ciemniej, pokój otulony był welonem cienia.

Drzemała, budząc się od czasu do czasu. Tak samo robiła tamtego popołudnia, kiedy wytłumione uderzenie wybudziło ją nagle z peryferii snu. Usiadła, łapiąc Poduszkę Rosie. Przycisnęła ją do piersi i nasłuchiwała. Powinna zacząć krzyczeć, czy może siedzieć cicho? Może to jej matka albo policja przybywali na ratunek?

Wlepiała spojrzenie w drzwi i zapragnęła, aby się otworzyły.

Kolejne uderzenie. I cichy kaszel oraz lekki krok, nie takie jak u Nocnego Pana. Chciała krzyknąć, przywołać je na nowo. Czekwała. Gdzieś trzasnęły drzwi.

Tutaj są też inni ludzie.

Ta cudowna myśl zagnieździła się w jej mózgu. Jeszcze nigdy dotąd w tym dziwnym miejscu nie słyszała nikogo poza Nim.

Przycisnęła ucho do drzwi, tak mocno, że aż poróżowiło. Wytężyła się, aby coś usłyszeć, cokolwiek.

Ale słyszała tylko ciszę.

– Co ty na to, Poduszko Rosie?

– Nie wiem Claro. To nie brzmi jak Nocny Pan. – Głos Clary był piskliwy, kiedy potrząsała Poduszką Rosie, trzymając ją w powietrzu.

– Hmmm... Może to jest ktoś, kto może nam pomóc. Może to jest mamusia.

Taka możliwość wywołała u Clary chwilę tak niespodziewanej radości, że aż zaczęła podskakiwać w miejscu i wykręciła kostkę. Nie zwróciła na to uwagi. Mogłaby znieść każdy ból, gdyby tylko była szansa, że dzisiaj wieczorem będzie już spała we własnym łóżku, z Panem Snugglesem, i Kotem Raggedy.

– Myślę, że to nie mamusia – stwierdziła Poduszka Rosie.

– Cicho siedź – odparła Clara, w jej dziecięcym głosiku pojawiło się rozczarowanie.

Cisnęła poduszką o podłogę.

Żarówka lampy w rogu wciąż migotała, rzucając półcienie na mury. Było za jasno na kładzenie się spać i za ciemno na dzień.

Używając całej swojej skąpej siły, Clara podsunęła pod drzwi krzesło, jedyny mebel, jaki był w tym pokoju, nie licząc łóżka. Kiedy próbowała wspiąć się na tę chybotliwą górę, żeby spojrzeć przez dziurkę od klucza, zachwiała się i straciła równowagę, twardo uderzając o podłogę.

Oszołomiona, leżała bez ruchu. Kiedy przestały już migotać jej przed oczyma czarne plamy, poczuła nagłą potrzebę, aby stać się tak mała i tak bardzo ukryta, jak tylko było możliwe i wcisnąć się w wąską szczelinę pod łóżkiem.

Dwadzieścia minut później podczołgała się na niewielką odległość, żeby zabrać Poduszkę Rosie i wpełzła z powrotem do kryjówki.

Kiedy Nocny Pan pojawił się, aby opróżnić wiadro, już spała, a jemu za bardzo się spieszyło, żeby ją przetranszportować. Z kieszeni wyjął pieska zrobionego na drutach przez jego żonę, maskotkę, którą nikt się nie bawił i położył na podłodze obok Clary.

59

Godzina 18.12

Jak na sobotnie popołudnie ulice są zaskakująco puste. Deszcz zatrzymuje ludzi w domach. Pani Fortuna jest po jego stronie. Ma nadzieję, że pozostanie mu wierna.

Samochód detektyw dawno odjechał, została po nim szeroka i pusta przestrzeń. Przyglądał się ludziom, ładując go na lawetę. W ręku miał torbę na zakupy, w sercu radosną pieśń.

Niczego nie znajdują. Był ostrożny. Zawsze był ostrożny.

W jej oknie pali się światło, ale Kolekcjoner Kości wie, że nie ma jej w domu. Ona go będzie szukać. Ale go nie znajdzie.

Detektyw go intryguje, zaprzęta mu myśli. Pływa teraz w ciepłych wodach jej rozpacz. Dodaje to nowego wymiaru jego pracy i wie, że pragnie, aby policjantka dowiedziała się, że mają niewiele czasu, że w przeciągu kilku godzin zaczną przygotowywać dla nich ostatnią przysługę.

Tik-tak, pani detektyw. Tik-tak.

Myśli o dziewczynce, ukrytej w cieniach w kącie pokoju i próbuje sobie wyobrazić, jak

wyglądałoby jego własne dziecko, ale ta twarz pozostaje pusta i pozbawiona rysów.

Myśli o chłopcu, leżącym na materacu. Jest chory, ale nic się przecież nie stanie, jeśli umrze. To tylko zaoszczędzi kłopotu.

Zastanawia się, jak długo zdoła trzymać ich w ukryciu w mieście o ośmiu milionach mieszkańców i czy nie powinien przenieść ich do cichego, spokojnego miejsca.

Śmierć to jeszcze nie koniec. Kolekcja pozwoli żyć wiecznie. Ale nie powinien działać w pośpiechu, potrzebuje czasu, długiej godziny po długiej godzinie, aby rozkoszować się odsłanianiem tych najrzadszych z kości.

Wycieraczki przedniej szyby działają zbyt wolno, aby wytrzeć padający bez przerwy deszcz. Prawie już jest na miejscu.

Odgrzeje jej zupę na kolację, może doda trochę śmietany. Ona ma teraz takie chudziutkie ramiona. Jeżeli zaraz nie zacznie jeść, to też stanie się szkieletem, opakowanym w cieniusieńką warstwę skóry.

Spieszy ulicą. Kiedy wychodził od niej, nie czuła się dobrze. Ani trochę. Martwi się. Ma nadzieję, że była w stanie pić. Chce jechać do domu, zobaczyć ją. Trzeba zmienić pościel, trzeba ją umyć, założyć nową koszulę nocną.

Kiedy skręca za róg, czuje, jak go ściska w dołku.

Wszystkie okna jaśnieją elektrycznym światłem.

60

Godzina 19.01

Jakey podniósł się z materaca. Spodnie od piżamy miał wilgotne i zimne, a przy każdym oddechu czuł się tak, jak gdyby ktoś wbijał mu scyzoryk w bok.

Cienie sondowały kąty jego pokoju. Od kiedy go zabrano, minęły już dwadzieścia cztery godziny. Poczłgał się po podłodze, do ściany z błyszczącą, metalową kratką wentylatora. Przycisnął usta do szczeliny między listewkami.

– Halo! – wychrypiał. – Halo!

Nic.

Wyczerpanie przycisnęło go ciężkimi dłońmi, rozsmarowując na czole połyskujący pot. Poszurał do tyłu na pośladkach, aż oparł plecy o ścianę.

Na pewno coś mu się śniło.

Zamknął oczy. Dwie ciepłe łzy pociekły mu po policzkach, połknął je, krzywiąc się tym

podrażnieniem napuchłego gardła.

Mamusiu, chcę do ciebie.

Tatusiu, przyjdź i mnie uratuj.

Ale nie było nadziei na ratunek. Stare Krwawe Gnaty o to zadbał. Jakey drzemał kilkanaście minut. Oddychał szybko i z trudem. W szpitalu, podawany dożylnie antybiotyk dopiero zaczynał działanie, którego teraz nie pozwolono mu dokończyć. Jeśli Stare Krwawe Gnaty go nie zabije, zrobi to zapalenie płuc.

Miał tutaj umrzeć.

Jego młody umysł gdzieś błędził. Wydawało mu się, że słyszy śpiewającego mu ojca, wydawało mu się, że wpada w króliczą norę.

– Cześć – powiedziała ściana. – Jak masz na imię?

61

Godzina 19.03

Skoro właściciel przybiera cechy swojego psa, to zrozumiałe staje się, że to samo można powiedzieć o domu.

Numer czterdziesty szósty był wypukły, bardziej jak gdyby ze wzdęcia, niż z nasycenia, a trawa bambusowa przed posesją przypominała włosy poźółkłe od nikotyny.

Detektyw inspektor Felix Tapp, nawet na emeryturze, gdyby tylko się dowiedział, że taka smarkula jak Fitzroy opisuje go w podobny sposób, dałby jej w ucho.

Wcisnęła dzwonek. Za szklanymi drzwiami pojawił się niewyraźny kształt.

Sporo czasu minęło, od kiedy Felixa Tappa odwiedzał wieczorem ktoś niebędący jednym z jego opiekunów. Podreptał do przedpokoju, z napuchłymi stopami uwięzionymi w podniszczonych kapciach. Dom przepehniała nieświeża woń brudnej odzieży i ludzkiego potu.

Felix miał na sobie kraciatą koszulę z plamą na przodzie i zaprowadził Lilith do zagraconego salonu, na sofę z niepasującymi poduszkami. Na każdej dostępnej powierzchni upchnięto fotografie rodziny i przyjaciół. Stara ściereczka z napisem „Australia” leżała na stole, gdzie stał koszyk z kwiatami o barwie jaskrawego fioletu i różu, które nie wyblakły tak jak meble.

Wiek rozmiękczył mu ciało, skóra pomarszczyła się jak folia aluminiowa zmięta w kulkę, a następnie rozprostowana. Oczy miał mętne, lecz umysł pozostał tak samo ostry jak język.

Zaparzył herbatę, którą wypili z mlekiem, unoszącym się pod postacią plamy na powierzchni napoju.

– Proszę pana, pamięta pan, jak przez telefon mówiłam, że potrzebuję pomocy przy pewnej sprawie?

– Ślepnę, ale nie głuchnę.

– Oczywiście, przepraszam pana.

Spojrzał na nią.

– Jesteś córką Boyda Fitzroya?

– Zgadza się.

– Skurwiel nie współpracownik, ale dobry funkcjonariusz. Chodzi o małego Carltona Fritha, prawda? Boże Narodzenie siedemdziesiątego piątego?

– Tak, o tego chłopca, którego ciało ukradziono ze szpitalnej kaplicy pogrzebowej.

Pokiwał głową, jego pomarszczona twarz przybrała zamyślony wyraz.

– Cholera, szukanie tego chłopaczka o mało mnie nie zabiło. I zabiło moje małżeństwo.

– Przykro mi z tego powodu. Przekłęta robota.

– Taa. Nowoczesna praca policyjna jest całkiem inna, co? Teraz, jak ma się Internet i był ten ogromny skok w badaniach kryminalistycznych. Moje pokolenie musiało deptać po cholernych chodnikach, aż krwawiły stopy.

Fitzroy z szacunkiem pokiwała głową. Felix wiercił się na krześle, dopóki nie rozsiadł się wygodnie. Kiedy się poruszył, Fitzroy poczuła delikatny zapach ziemniaków.

– Nie było cholernego monitoringu, w ogóle nic z takich rzeczy. Przesłuchaliśmy setki ludzi, ale nikt, cholera, niczego nie widział. To było Boże Narodzenie, prawda? Szkieletowa obsada, ludzie zajęci własnym życiem.

Siorbnął herbaty, brązowy płyn zebrał mu się w kącikach ust.

– Jego rodzina była całkiem rozbita. Biedna matka. Ona po prostu chciała pochować swojego chłopczyka, mieć jakieś miejsce, dokąd mogłaby pójść, przysiąc i z nim porozmawiać. Położyć kwiaty. To była cholerna tragedia. Cała ich rodzina była cholerną tragedią.

Fitzroy gwałtownie uniosła wzrok.

– Dlaczego, proszę pana?

– No, bo ona przecież straciła już jednego syna, prawda?

– Pan mówi, że przed Carltonem straciła jeszcze jedno dziecko?

– Czy ja coś takiego mówię? No i pani, cholera, nazywa siebie detektywem. Nie, chodzi mi o to, że straciła jedno dziecko, a potem miała stracić jeszcze jedno. – Twarz Felixa spochmurniała, patrzył na wygasły palnik gazowy z takim nieobecny wyrazem oczu. – Często się zastanawiam, co się z nim stało. Próbowałem utrzymywać kontakt z rodziną, ale ona tego nie chciała, wie pani, nie po tym jak zmarł jej mąż i stało się jasne, że nigdy nie odnajdziemy tego chłopczyka.

Milczał, Fitzroy starała się uporządkować dzwonienie w mózgu.

– Przepraszam, ale nadal nie rozumiem. Dlaczego miałyby stracić kolejne dziecko?

– Carlton miał taką chorobę kości. – Jego pergaminowe dłonie zatrzępotwały na kolanie. – Cholera, jak to się nazywało?

– Fibrodysplasia ossificans progressiva – z wolna odpowiedziała Fitzroy.

Spojrzał na nią, zaskoczony.

– Tak, zgadza się. Cholernie straszne obciążenie. Ten drugi bliźniak, Erdman, miał to samo.

Fitzroy zacisnęła usta, potrząsnęła głową.

– Nie, nie, nie sądzę, żeby to było możliwe. Erdman Frith nigdy nie wykazywał żadnych objawów tej choroby.

– No to jestem zaskoczony. Byłem pewien, że już nie żyje. – Emerytowany detektyw zmarszczył brwi. – Ale wiem, że mam rację. Pamiętam sprawę dokładnie, bo przesłuchiwałem jego matkę. – Zrobił przerwę, aby drżącą ręką napić się herbaty. – Biedna kobieta. Nie tylko musiała sobie poradzić ze śmiercią trzyletniego synka, ale jeszcze właśnie jej powiedziano, że ukradziono zwłoki. Była w okropnym stanie. A potem Erdman zwymiotował w gabinecie jakiejś szczy i musieli wezwać kogoś, żeby posprzątał i w tym całym zamieszaniu zjawiał się cholerny lekarz Carltona i wybrał ten akurat moment, żeby jej powiedzieć, że podejrzewa, że u Erdmana jako bliźniaka jednojajowego, też może pojawić się ta choroba. I w następnych pokoleniach. – Podrapał się po głowie. – Ale pani mówi, że on tego jednak nie ma?

Zegar beczelnie tykał wśród ciszy. Erdman na pewno nie miał syndromu człowieka z kamienia. Fitzroy miała co do tego taką pewność, jak do tego, że po dniu następuje noc. Ale Jakey to miał. I była jeszcze Clara, o biednych, zniszczonych rączkach.

Wśród łomotu, szumu i brzęku Fitzroy usłyszała znajome „dzyń” swoich synaps.

Czy to naprawdę możliwe, że człowiek, który uprowadził Jakeya, to ten sam, który prawie czterdzieści lat temu ukradł ciało Carltona? Przez cały czas obserwował Frithów, spodziewał się, że u Erdmana rozwinię się choroba, a gdy się nie pojawiła, skupił się na jego synu? Czy może dopiero niedawno się na niego natknął?

Ale jeśli Carltona i Jakeya, i Clarę łączy deformacja kości, to jak do tego dopasować Dziewczynkę z Lasu?

Szybko wyszła na zewnątrz, aby znowu próbować skontaktować się z panią Rodriguez.

Jestem Jakey.

Chłopiec nie miał tyle sił, aby przesunąć się jakoś daleko, więc przekręcił się na brzusek i po raz drugi dzisiaj przycisnął usta do kratki wentylatora.

– Ile masz lat? – zapytała ściana.

– Sześć. – Wykrzywił twarz. – Kim jesteś?

– Mam na imię Clara. Mam pięć lat i trzy miesiące. – Przerwa. – Jesteś dobry czy zły?

– Dobry. – Jego głos był jak drapanie cegły o drewno. – Jak Spider-Man.

– Lubię Spider-Mana – powiedziała, jej głos był wysoki i czysty. – Chciałabym, żebyś potrafił tkać sieć, wtedy moglibyśmy oboje uciec. – Wahanie. – Nie podoba mi się tutaj.

– Mnie też – powiedział tak, jak gdyby rozmawianie przez ścianę z jakąś małą dziewczynką było najzwyczajniejszą rzeczą na świecie.

Dzieci przez chwilę siedziały w ciszy, ich usta były oddalone od siebie zaledwie o kilka centymetrów, a ciała odseparowane ceglana ścianą. Jakey zamknął oczy, walcząc z pieczeniem w piersiach. Clara, tak spragniona towarzystwa, nie potrafiła powstrzymać słów, wpływających z ust.

– Przywiózł cię tutaj Nocny Pan? Mnie tutaj przywiózł. Furgonetką. Nie podobało mi się. Zrobił mi krzywdę. Tobie też zrobił? On ma taką maszynę. Widziałeś jego maszynę? Nie można się ruszać. Nie boli, ale trzeba siedzieć spokojnie. Pan się denerwuje, kiedy się poruszę. Jestem głodna. Może masz coś do jedzenia?

– Nie – wyszeptał Jakey. – Nie czuję się dobrze.

– Może masz słaby brzusek? Mnie boli brzusek. Naprawdę, bardzo, bardzo boli, ale nie mogę zrobić kupy. Mama mówiła, że kupka pomaga, jak boli brzusek, ale nie mogę zrobić kupki, więc sama nie wiem. Widziałeś może moją mamusię?

– Tak – wymamrotał, – W moim telewizorze.

– Och – powiedziała Clara. – Kiedy po mnie przyjdzie?

Jakey starał się poukładać to sobie wszystko w głowie. Tak naprawdę, to nie był pewien, dlaczego matka Clary Foyle była w telewizji, ale mniej więcej się domyślał. Próbował uformować słowa pomimo bólu, który rozprzestrzenił mu się na plecy i na kości.

– Ona nie wie, gdzie jesteś.

Przez kratkę usłyszał, jak dziewczynka nabiera oddechu i zaczyna płakać.

– Już dobrze. – Oczy miał ledwie otwarte, język napuchnięty. – Już dobrze.

Szlochy Clary z wolna przekształcały się w pociąganie nosem. Z nosa ciekł jej strumień śluzu. Wytarła go brzegiem dłoni, rozsmarowując ciągnące się gluty po policzku.

– Czy twoja mama idzie po ciebie? – zapytała.

– Nie. Nie wiem. – Mówienie stanowiło ogromny wysiłek, słowa zaczynały zmieniać się w

bełkot. – Myślę, że nie wie, że ja tutaj jestem.

Dwoje dzieci rozumiało bolesne znaczenie tego faktu.

– Kiedy wrócę do domu, to na śniadanie napiję się czekolady. I zjem galaretkę – powiedziała Clara.

– Lubię galaretkę.

– I pożyczę Eleanor wisiołek z serduszkami. I sukienkę Śpiącej Królowej. – Umilkła na chwilę. – Jesteś głodny?

Głowa Jakeya pełna była brzęczących, czarnych pszczoł.

Clara, zmieszana jego milczeniem, wysunęła z kieszeni swoje ostatnie pół kromki chleba. Swoją sekretny zapas.

– Możesz się poczęstować, jeśli chcesz. – Przepchnęła przez kratkę kawałek suchej skórki, dwa, trzy okruchy spadły na stronę Jakeya, ale tego nie zauważył. Miał zamknięte oczy.

Clara zaczęła skubać resztę chleba.

– Kiedy dzieją się złe rzeczy, to pojawia się policja – wyszeptała.

– Policja.. szuka... – zdołał powiedzieć, wciąż mając zamknięte oczy.

– To straszne miejsce. – Znowu zaczęła płakać, teraz cicho. Jakey oparł koniuszki palców o kratkę. Clara poprzez wąskie pręty dostrzegła cień ruchu. Przycisnęła swoje palce do palców chłopca.

Siedzieli tak przez dziesięć minut, może dłużej. Żadne z dzieci się nie odzywało, ale oboje podnosiła na duchu wzajemna obecność. Wreszcie palce Jakeya ześlizgnęły się z metalu, lecz Clara tego nie zauważyła. Uznała, że jeśli teraz bardzo, bardzo się postara, będzie mogła udawać, że bawią się właśnie w chowanego.

A potem Clara szarpnęła głowę w górę.

Z oddali dobiegł ją cichy pisk opon. Spanikowana dała susa pod łóżko. Ale już po chwili czółgała się po podłodze na czworakach. Przycisnęła usta do kratki.

– On nadchodzi – powiedziała, jej głos stał się pospiesznym szeptem. – Nadchodzi Nocny Pan.

Jednak Jakey nie usłyszał ostrzeżenia, pogrążony we śnie, w którym kroczył po wąskiej linii między życiem a śmiercią.

NIEDZIELA

63

Godzina 11.00

Lilith zmusiła się, aby wstać około jedenastej, nie zawracała już sobie głowy jedzeniem śniadania. Spędziła pół godziny na gapieniu się ot tak, w przestrzeń ogrodu.

Ten brak informacji był wręcz nie do zniesienia, wręcz ją zabijał.

Po jakimś czasie podreptała do kuchni, wyjęła plastikową buteleczkę z pigułkami nasennym, zapisanymi przez lekarza i postawiła ją na stole.

Jeśli koniuszki palców Grace Rodriguez były odrąbane i porzucone w lesie, to co on zrobi mojemu synowi?

Lilith odsunęła krzesło do tyłu, pobiegła do toalety na dole, wyrzuciła tam zawartość żołądka. Był prawie pusty, poza szklanką wody, którą właśnie wypila. Wymioty szarpały mięśniami jej opróżnionego brzucha. Stała się matką bez dziecka.

Jakaś dłoń, gładząc, powoli zatoczyła krąg na jej plecach, odgarnęła jej włosy z twarzy.

– Już dobrze, kochanie. Wyrzuciłaś to z siebie.

Pomógł jej wrócić do stołu, poszedł po kolejną szklankę wody.

Na zewnątrz po niebie toczyły się nabrzmiące, szare chmury. Chciała popłynąć z nimi, z dala od tej nieustępliwej, niekończącej się czerni.

Wysypała pigułki na stół, poczuła ich gładką obietnicę zapomnienia, potem odłożyła z powrotem do buteleczki.

Jakiś hałas za plecami. Znowu Erdman.

– Co ty robisz? – powiedział, ostrożnie stawiając szklankę na stole. Pozwoliła mu obetrzeć sobie podbródek z wymiocin, usłyszała strach w jego głosie.

– Tylko je liczyłam – odparła. – Chciałam sprawdzić, ile mi jeszcze zostało.

Po wyrazie jego twarzy dostrzegła, że jej nie wierzy.

– Lilith, nie poddawaj się – powiedział łamiącym się głosem. – Proszę.

Próbowała mu coś odpowiedzieć, ale słowa nie wychodziły. Jaki on był podobny do ich ich syna. Zamknęła oczy, poczuła łyzy ciekące spod rzęs. Prawdy, o które kotwiczyło jej życie zostały zredukowane do jakichś szczątków. Teraz i ona stała się częścią owych szczątków, dryfującą po targanych sztormami morzach i niczym wrak po prostu odpływała w dal.

Jakey nie żyje.

W ogrodzie domu naprzeciwko błyskały kolorowe światełka. Wszędzie wokół widać było oznaki świątecznej radości. W radiu grano koledy, w sklepach sprzedawano tanie choinkowe ozdoby. Kilka tygodni temu, w radosnym porywie przygotowań, przyniosła kilka prezentów do skarpety Jakeya. Była taka zadowolona z siebie. A teraz ta czerwona skarpeta miała pozostać pusta, taka sama pusta i zwiotczała jak jej życie.

Totalna ciemność wypełniała jej każde ścięgno i jej każdą komórkę.

Nie protestowała, kiedy Erdman wziął ją w ramiona i zaczął kołysać. Po chwili zanurzył twarz w jej ramieniu.

On nie żyje.

Mój syn nie żyje.

I Erdman myśli tak samo.

Trwali tak przez jakąś godzinę.

I jeszcze jedną.

I jeszcze jedną.

Siedzieli tak, aż lewa stopa Lilith, na której siedziała, zaczęła kłuć z odrętwienia i musiała ją wyprostować.

Wreszcie zeszywniali i zziębnięci, wypuścili się nawzajem z objęć. Erdman zdjął sweter, włożył go żonie przez głowę. Butelkę z pigułkami wsunął do własnej kieszeni.

Pozwoliła mu.

Przecież było jeszcze jutro.

Zawsze było jutro.

Mniej więcej kilometr dalej Eleanor Foyle próbowała rozmawiać z matką.

– Fleur chce urządzić taką zabawę, na której będzie się nagrywało własne CD. Można wybrać sobie piosenkę do zaśpiewania i ją nagrać.

Amy nie otwierała oczu ani nie poruszała się i w ogóle nie dawała po sobie poznać, że zdaje sobie sprawę z obecności córki. Eleanor pomyślała, czy może odgarnąć matce włosy z twarzy, jednak postanowiła tego nie robić. Zamiast tego ostrożnie wdrapała się na krawędź łóżka rodziców.

– Mogę włożyć różową sukienkę z cekinami. I moje srebrne buciki. A może czerwone? – Matka wciąż nie otwierała oczu. Eleanor pochyliła się nad nią. Jakoś tak dziwnie pachniała. Nie perfumami, tak jak zwykle, tylko czymś innym. Jak gdyby nie kąpała się przez dłuższy czas. – Co ty na to, mamusiu?

Kiedy mama nie odpowiadała, Eleanor delikatnie pchnęła jej ramię.

– Mamusiu? Czerwone buciki czy srebrne?

Na szczęście Amy Foyle drgnął mięsień, jednak nie odpowiedziała. Nie od razu. Zamiast tego, odwróciła się od córki, bardzo ostentacyjnie.

– Mamusiu?

Jej plecy były jak ściana.

– Mamusiu? – Chwila ciszy. – Mamo? – Eleanor ponownie dotknęła jej ramienia.

Amy powoli podciągnęła się do pozycji siedzącej. Panowała nad głosem, jednak w ciele miała napięcie, którego Eleanor w tym wieku nie potrafiła jeszcze rozpoznać.

– Szczerze mówiąc, w ogóle mnie nie obchodzi, jakie włożysz buty.

Eleanor opuściła głowę, jednak Amy zdążyła dostrzec na jej twarzy czyste niedowierzanie. Zakryła usta dłońmi, hamując potok słów i wymamrotała poprzez palce.

– Przepraszam, kochanie. Tak mi przykro, mama nie chciała.

Ale Eleanor już uciekła.

Dziewczynka zbiegła schodami. Chciała do Giny. Ona wciąż zwracała na nią uwagę, ocierała jej łzy i opowiadała śmieszne historyjki o Clarze. I nie zabraniała się jej śmiać, chociaż w tym domu nikt już się nie śmiał. Szukała Giny w kuchni, w salonie, w bibliotece mamy. W garderobie też było pusto.

Gina, gdzie jesteś?

Z drugiego krańca korytarza Eleanor dobiegł cichy pomruk głosu Giny, z gabinetu ojca. Odwróciła się, szarpnięciem otworzyła drzwi, łzy wciąż spływały jej po policzkach.

Gina.

Tutaj jesteś.

Wszędzie cię szukałam.

Och, tatuś płacze.

Gina obejmuje tatusia.

Gina i tatuś.

Chłopak stojący za ladą nocnej herbaciarni przy Shooters Hill Road nie miał więcej niż dwadzieścia lat, a jednak popatrzył na Fitzroy tym spojrzeniem. Gdyby nie była taka wykończona, poczułaby się mile polechtana. Kiedy wróciła do auta, Chambers pokazał jej, że ma plamę z keczupu na podbródku. Zarumieniła się na wspomnienie kuszącego spojrzenia, jakim odwzajemniła się sprzedawcy. Stara a głupia. Na przyszłość, wieczorną kawę będzie wypijała na stacji Esso.

Minęło parę dni, od kiedy odwiedziła dom po coś innego niż prysznic i kilka godzin snu. Zastanawiała się, czy David w ogóle to zauważał. Czy Nina radzi sobie z dzieckiem.

Nie zadzwoniła, aby się dowiedzieć.

Co za cholerstwo. Clara była zaginiona już od dziewięciu dni. Ani trochę nie zbliżyli się do jej odnalezienia. I nigdzie ani śladu Jakeya.

Część zespołu wzięła się do czasochłonnego śledzenia hodowców królików, podczas gdy Fitzroy próbowała wysledzić kogokolwiek sprzedającego kolonie chrząszczy ścierwojadów. Publikowała zapytania na internetowych forach i kontaktowała się ze sklepami zoologicznymi specjalizującymi się w insektach, ale to zajmowało całe godziny, wcale nie minuty, tylko całe długie godziny. Trzeba było generować takie tropy, podążać za nimi, rozmawiać, aby w końcu wszystkie wykluczać. Fitzroy wiedziała, że czas jej się wymyka niczym ziarnka piasku.

Tym, czego potrzebowała, był jakiś pierdolony przełom.

Miles Foyle okazał się czysty. Kilka godzin temu dzwoniła jego żona Amy, rozhisteryzowana i bełkocząca. Wsłuchując się w szloch, Fitzroy wydedukowała, że Eleanor przyłapała Milesa i Ginę w kompromitującej sytuacji. Przesrane. Ale nie czuła się jakoś zaskoczona, to jedynie potwierdziło to, co i tak już wiedziała.

Ale skoro w kręgu podejrzanych nie było pana Foyle'a, to kto w nim pozostawał?

Jakby tego było mało, Chambers, ten skurwiel niemyty, pierdział. Pomyślała, że jeśli pierdnie jeszcze raz, to zaraz się porzyga. Wyjęła niewielką buteleczkę perfum i rozpyliła w samochodzie.

– Cuchnie jak kocie szczyny – wyrzucił z siebie.

– To lepsze od psiego gówna. Albo rzygów, które wylądają ci na kolanach, jak zrobisz to jeszcze raz.

Chambers przewrócił oczyma, jednak Fitzroy nie zwróciła na to uwagi. Wsłuchiwała się w głosy trzeszczące w radiu.

Nadstawiła uszu, słysząc swoje nazwisko. Uciszyła Chambersa, który głądził coś o różnicy

między perfumami a wodą toaletową. Wzywano ją do centrum operacyjnego. W trybie pilnym.

Zanim zdołała powiedzieć „Wracamy, szybko!”, Chambers już ruszył.

Szef czekał na nią na dole, potem biegł schodami na górę, po drodze tłumaczył jej, o co chodzi.

– To przyszło parę godzin temu, na twój adres, ale nie mieliśmy pojęcia, jakie to ma znaczenie. Dopóki nie odebraliśmy telefonu. Cholerny, niezarejestrowany aparat na kartę. Staraliśmy się ustalić źródło sygnału, ale on, cholera, był za sprytny, żeby dzwonić z jakiegoś miejsca, które mogłoby wydać jego położenie. Może jeszcze uzyskamy coś z monitoringu. Popatrz na tę twarz.

Fitzroy szybko ruszyła do centrum operacyjnego. Funkcjonariusze tłoczyli się przy biurku. Kiedy weszła, przestali rozmawiać.

Na blacie leżała koperta, w poprzek której wypisano nazwisko Fitzroy. Jego charakterem pisma. Te ekstrawaganckie zawijasy i pętle, tego się nie dało pomylić z niczym innym.

W żyłach zaczęła dudnić oszałamiająca mieszanka strachu, szoku i podekscytowania.

Szef wręczył detektyw plastikową rękawiczkę. Wsunęła ją i nożykiem do papieru rozpruła kopertę. Na biurko wysunęła się gładka kartka. I lok miękkich rudych włosów.

Włosów Jakeya.

„Nie jesteśmy w stanie podzielić kości, tak jak tkanek miękkich, na niezbędne do życia i nieważne dla życia”.

Fitzroy wpatrywała się w litery, aż zaczęły podskakiwać i rozmazywać się jej przed oczyma. Kolejne ostrzeżenie, kolejne pierdolone ostrzeżenie. Jednak tym razem ostrzeżenie było już ewidentne. Doskonale wiedziała, że odnosi się do Jakeya. Do tego, co porywacz planował zrobić z jego ciałem. Z jego kośćmi.

Usta Fitzroy wypełniły się strachem.

– Kurwa – powiedziała. – Co to oznacza? Co on stara się nam przekazać?

Chambers zapisywał coś w notatniku.

– On się próbuje bawić w Boga. To jest to samo co z notką przy nerce. To może być kolejny cytat z Biblii. Znowu Księga Ezechiela?

Fitzroy zmarszczyła brwi.

– To nie brzmi mi jak cytat z Biblii.

– A od kiedy z ciebie taka specjalistka? Mogę się założyć, że w kościele ostatni raz byłaś przy okazji swojego ślubu.

– Mieliśmy ślub cywilny – odparła.

– Zamknijcie się na chwilę – rzucił szef, pochylając się nad komputerem. Wskazał na list.

– Wysłać to do laboratorium kryminalistycznego, a ja sprawdzę w Internecie. Znalazłem taką

stronę z kompletem cytatów z Biblii. – Marszcząc brwi, postukał w klawiaturę. – Ten cytat się nie pojawia.

– To dziwne – powiedziała Fitzroy. – Niech zobaczą.

Pochyliła mu się nad ramieniem. Miał rację. Skądkolwiek pochodził cytat, na pewno nie z Biblii.

– Ale ta notatka przy jego prezenciku, w aucie Fitzroy, ta o nerkach, ona była z Biblii, tak jak mówiliście.

Fitzroy przygryzła wargę.

– Tak zakładam.

– Co masz na myśli, mówiąc, że tak zakładasz? Nie sprawdziliście tego, do cholery?

Uchwyciła spojrzenie Chambersa. Delikatnie pokręcił głową. Duży błąd. Wyobrazila sobie reakcję ojca. „Głupia dziewczynka”.

– Nie sprawdziliśmy tego.

– No żeż kurwa mać. – Walnął dłonią o blat. – Co to, kurwa jest, szopka jakaś?

– Przepraszam, sir.

Uniósł wysoko brwi.

– Na litość boską, na co ty jeszcze czekasz? Sprawdzaj!

– Nie chcę, żeby to jakoś głupio zabrzmiało – odezwał się Chambers, wycierając nos. – Ale dlaczego po prostu nie zajrzemy do Google’a?

Szef parsknął.

– Do licha, dlaczego sam na to nie wpadłem. Chambers, ty jesteś, kurwa, geniuszem. Einsteinem. Pełnoprawnym członkiem Mensy.

Fitzroy zignorowała te złośliwości i pochyliła się nad komputerem. Wszystko zajęło mniej niż kilka sekund.

– Ten cytat pochodzi z... – czytała z monitora – z *Dzieł zebranych Johna Huntera z przypisami*, zredagowanych przez sir Jamesa Fredericka Palmera.

– Kto to jest? – zapytał Chambers.

– Daj mi pełną biografię obu tych facetów – zażądał szef. – Zobaczymy, czy to nam pozwoli przyszpilić skurwysyna.

Chambers grzebał w książkach historycznych, a Fitzroy ponownie sprawdzała wiadomości z forów dyskusyjnych. Bingo! A jednak ktoś odpowiedział! Zadzwońiła pod numer podany w poście. Po siedmiu dzwonekach odebrał jakiś mężczyzna.

– Tak?

– Czy pan James Davenport?

– A kto pyta?

– Detektyw Etta Fitzroy. Dzwonię w ramach operacji „Flet”, dużego śledztwa w sprawie

zaginięć.

– Dobra. – Ton głosu stał się ostrożny.

– Mogę się z panem spotkać?

– Nie zrobiłem nic złego.

– Chcę tylko porozmawiać o hodowanych przez pana chrząszczach, to wszystko. – Usłyszała kliknięcie zapalniczki, odgłos wydmuchiwania dymu. – To nie zajmie dużo czasu, maksymalnie dwadzieścia minut.

– Dobra – powiedział i podał nazwę jakiegoś pubu w Woolwich.

Siedział przy stole, przed sobą miał pustą szklanę po piwie. Fitzroy nie zwróciła uwagi na odwracające się na jej widok głowy klientów siedzących przy maszynach do gry pod przeciwległą ścianą.

– To glina – usłyszała czyjeś mruknięcie. Nawet nie będąc w mundurze, emanowała policyjną aurą: modny płaszcz, wypolerowane obcasy, zmarszczki na czole odróżniały ją od tych młodszych o dwie dekady chłopaczków szczających tutaj i przegrywających swoje zasiłki.

– Nie ma co się przejmować. Nie mają nic lepszego do roboty.

Jego ramiona pokrywały tatuaże, włosy miał siwe i zmierzwiowane, spod podkoszulka łapczywie wyglądało brzuszysko.

– Piwko?

– Nie, dziękuję – powiedziała Fitzroy.

Zmierzył ją wzrokiem od góry do dołu.

– Chodzi o to, że bym się napił. Piwko Black Sheep, na pani koszt. Koszta dochodzenia.

Zapłaciła za ich napoje i je przyniosła. Davenport miał nieco zaróżowioną twarz, odchylił się na krześle. Dostrzegła, że odpręża go to spotkanie, że rozkoszuje się uczuciem bycia kimś ważnym, podobają mu się pełne zainteresowania spojrzenia bywalców pubu.

– Kto pani dał mój numer?

– Umieściłam post na forum. Napisałam, że chcę kupić kolonię żuków ścierwojadów. Ktoś podał mi numer pańskiej komórki.

Uśmiechnął się chytrze i z zadowoleniem.

– Moi klienci mi ufają. Wiedzą, że ich nie oskubię.

– Dużo ma pan klientów?

– Daję sobie radę. Jedyne dziwaki handlujący koloniami chrząszczy w całej południowej Anglii, no nie?

– Stali klienci?

– Czasem. Ale większość zna się na rzeczy i nie musi kupować nowych żuczków, jak już założy własną kolonię. Chociaż nowicjusze to tak, oni zapominają, że je trzeba karmić –

roześmiał się.

– Ostatnio coś pan sprzedawał?

Skrzywił się.

– Dlaczego chce pani to wiedzieć?

Fitzroy zastanowiła się, ile powinna mu wyjawić. Uznała, że prawda pomoże jej złowić więcej.

– Uprawdzono dwoje dzieci. A my mamy powody, aby uważać, że porywacz korzysta z żuczków do oczyszczania króliczych szkieletów, które pozostawia jako swoje wizytówki.

Przygryzł dolną wargę.

– Nienawidzę tych zboków porywających dzieci.

– Ani ja – odparła Fitzroy. – Niech mi pan więc pomoże go znaleźć.

Davenport wskazał głową pustą szklanę.

– To samo jeszcze raz, dobra?

Fitzroy zmusiła się, aby policzyć do dziesięciu. Tym razem wróciła, niosąc mu dwa piwa.

– Na zdrowie – powiedziała, trzymając w każdej dłoni wyżłabiany kufel i stukając nimi.

Davenport wypił od razu pół kufła, a ruch mięśni na jego szyi przypominał pełzanie węża.

– No, dalej. Załatwmy to.

Oblizwał pianę z wąsów.

– Prawda jest taka, że biznes nieco zwolnił. Zawsze tak jest o tej porze roku. – Spojrzał na nią chytrze spod zaskakująco długich rzęs.

– Ciężko ostatnio z forszą, wie pani?

Boże, jaki on był przewidywalny. Znała jednak ten taniec, wszystkie jego kroki.

– Może co nieco skapnie panu ode mnie, jak mi pan pomoże – powiedziała ostrożnie. – A ojciec Clary Foye oferuje sto tysięcy funtów nagrody.

– Sto patoli. O ja pierdołę. – Nie zdołał powstrzymać uśmiechu, pociągnął długi łyk kończący piwo.

– Ja też pierdołę – powiedziała.

– Świetnie, to możemy razem... – parsknął.

Fitzroy nie mogła mieć o to pretensji. Sama się prosiła.

Poprawiła krzesło, spojrzenie miała teraz jak z granitu.

– Słuchaj pan, panie Davenport. Jak nie możesz mi pan pomóc, to ja mam lepsze rzeczy do roboty. Na przykład ratowanie życia dwójce dzieci.

Uniósł dłonie.

– Spokojnie. Tak tylko sobie zartowałem. Parę tygodni temu sprzedałem jedną kolonię jakiemuś gościowi. Nie wiem, jak się nazywał.

– Jak wyglądał?

– Stary był. No. I wysoki. Może miał ze dwa metry. Siwe włosy, chudy.

– Płacił czekiem?

– Gotówką, do ręki. – Davenport spojrział z ukosa. – Pani chce to zgłosić skarbowce?

– Nie interesuje mnie to. – Bezszykownie starała się ukryć niecierpliwość, która wkradła się do jej głosu. – Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o tym facecie,. Powiedział, do czego potrzebuje tej kolonii?

Rozległo się szuranie, kiedy Davenport potarł dłonią szczecinę na podbródku.

– Nie pytam się klientów o życiorys, ale mógł coś tam wspomnieć. Teraz sobie nie przypominam.

Wychylił resztki trzeciego piwa i uniósł nietkniętą przez detektyw butelkę Corony, unosząc też brwi. Pokiwała głową.

– Jeśli pani teraz do mnie pójdzie, może się okazać, że zapisałem to sobie w notatniku.

Zazwyczaj Fitzroy nie szła w takie miejsca sama. Jednak teraz mieli takie braki w ludziach, że prawie przeświecały przez to dziury i nie mogła sobie pozwolić na czekanie.

Davenport odstawił na stół pustą butelkę, beknął.

– No, to chodźmy.

Osiem minut później zjawili się w jego mieszkaniu. Gdyby Fitzroy szła sama, cała trasa zajęłaby jej ze cztery minuty, jednak Davenport zatrzymywał się co jakiś czas, aby oprzeć się o ogrodzenie parku i złapać oddech. Fitzroy zastanawiała się, jak on w ogóle jest w stanie trzymać się prosto, gdy piwne brzuszysko tak ciągnie do dołu.

Mieszkał na ósmym piętrze wysokiego bloku, niedaleko domu kultury. Po raz pierwszy Fitzroy wręcz modliła się, aby winda działała. Co prawda nie cierpiała smrodu szczyń i rozczarowania, ale nawet to było lepsze od gramolenia się na ósme piętro z Davenportem. Wcale nie była pewna, czy po drodze nie dostanie ataku serca.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił z kluczem w zamku. – Proszę bardzo.

Fitzroy weszła i serce jej zamarło.

Jakiś ptak, o długim trenie z białych piór, pomknął ku niej z wyciągniętymi szponami. Wydała zduszony okrzyk, instynktownie pochyliła głowę i zasłoniła twarz, aby nie wydrapał jej oczu. Gdy tak zgięta w pół poczuła muśnięcie piór o włosy, samo to uczucie sprawiło, że aż przebiegły ją dreszcze.

Nie czuła chorobliwego lęku przed ptakami, ale coś ją w nich przerażało. Te szklane oczy. Ten okrutny kształt dzioba. Wydawało jej się teraz, że słyszy skrzydła łopoczące gdzieś za plecami. Przycisnęła się do ściany, szykując na chwilę, kiedy ptak pofrunie znowu ku niej i wbije się szponami w gęstwę loków.

Kiedy to się nie wydarzyło, odsunęła dłonie od twarzy. W przedpokoju stał jakiś lis, szczerząc zęby, a jego czarne oczy patrzyły na nią, jak potykając się, cofa, starając się odnaleźć drzwi.

Za jej plecami rechotał Davenport.

– Ludzie za każdym razem się na to łapią. – Chwycił ptaka za ogon, obrócił, pokazując, że jego ciało zawieszona jest na systemie drutów i bloczków, który Fitzroy zauważyła dopiero

teraz. – Uruchamiają się przy otwarciu drzwi.

Lis cały czas szczyrzył zęby, cały czas na nią patrzył. Nie poruszał się.

– Są wypchane – oznajmiła Fitzroy, czując ciepło na policzkach.

– Zgadza się. Ta mała piękność to ptak rajski, a stary lisek jest pierwszym zwierzakiem, jakiego wypchałem. Teraz już jest trochę wytarty, ale wciąż go uwielbiam. Lubię myśleć o nich jako o swojej małej kolekcji.

Fitzroy przyjrzała się brzuszysku Davenporta oraz zbiorowi tatuaży. Czasem, przyszło jej do głowy po prostu człowiek się nie domyśli. Teraz, już nieco spokojniejsza, zauważyła, że śledzą ją dziesiątki oczu. Jakaś myszka wspinająca się po kablu telefonu. Sroka o rozpostartych skrzydłach, balansująca na oparciu krzesła.

Były też dumnie sterczące królicze uszy.

– Dobra, to zajrzyjmy do notatnika – oznajmił Davenport, grzebiąc w szufladzie.

– Gdzie pan trzyma te swoje chrząszcze? – Fitzroy mówiła lekko, ale jej spojrzenie przykuło miękkie królicze futerko.

– Tam. – Machnął ręką mniej więcej w kierunku drzwi. – Niech pani nie zdejmuje pokrywek.

W pokoju było cicho i ciemno, ale nie gorąco. Zasłony zaciągnięto. Na dwóch stołach, jedynych tutaj meblach, spoczywało z osiem dużych akwariów, a w nich były tysiące malutkich czarnych żuczków, odżywiających się resztkami myszy i królików.

Zaryzykowała szybkie spojrzenie za siebie. Davenport wciąż szperał. Usłyszała głuchy odgłos ołówka toczącego się po drewnianej szufladzie, brzdęk uderzających o siebie drobniaków.

Chrząszcze. Królik. Czy to może być Davenport? Czy jest w to jakoś zamieszany?

Nagle stała się wręcz boleśnie świadoma tego, jak bardzo jest bezbronna, jaka była głupia, że przyszła tutaj sama.

Nozdrza wypełniał jej przyprawiający o mdłości odór, znany Fitzroy z miejsc najokropniejszych zbrodni. I z kostnicy.

Smród gnijącego ciała.

Jakiś ruch za plecami. Oprócz zapachu śmierci Fitzroy wyczuwała też zapach piwa. Davenport położył dłoń w zagłębieniu jej pleców, a przed oczyma zamachał resztkami czegoś, jasnoróżowymi i oślizgłymi.

Fitzroy odsunęła się, wzdrygając, a Davenport znowu się zaśmiał. To był nieprzyjemny dźwięk.

Uniósł pokrywę najbliższego akwarium, wrzucił coś do środka.

– Jedzenie na wynos, chłopaki – oznajmił, wycierając dłoń w podkoszulek.

Druga dłoń znowu odnalazła drogę do pleców Fitzroy, lekko napierając na tkaninę jej płaszczka. Zwalczyła odruch, aby się otrząsnąć. Nie. Nie, dopóki nie dostanie tego, po co tutaj przyszła.

– Dobra – powiedział. – To na czym stoimy?

– Miał pan szukać w notesie.

– Aha, racja.

Davenport wyjął podniszczony notes z za paska dresów, gdzie wsadził go po tym, jak znalazł w szufladzie. Przewertował kilkanaście stron gęsto zapisanych ołówkiem.

– Wiem, że to gdzieś tutaj.

Przestał wertować gdzieś blisko końca.

– No tak, znalazłem tego starego dziwoląga, o którym mówiłem. Nie mam już tego numeru, bo moja była żona pożyczyła ode mnie telefon i wpadł jej do wina, tej głupiej krowie, a te przyszczate łajzy ze sklepu z telefonami nie potrafiły odzyskać moich kontaktów, ale coś tam zapisałem.

Szeroko uśmiechnął się do niej z nadzieją.

Fitzroy spojrzała na jego ogromny bebecz i na łysiejącą głowę, na biodronkę wytatuowaną na ramieniu i Davenport wydał jej się mniej groźny, a bardziej zabawny. Dobrze rozumiała jego żonę, teraz już była żoną – ale i tak następne co powiedział, sprawiło, że aż zapragnęła dać mu całusa.

Pomachał do niej notatnikiem.

– To niewiele, ale zawsze pomaga, żeby się dowiedzieć, kto co kupuje, na wypadek gdyby dało się go skusić jakąś inną ofertą. Miałem rację. Nie znam jego nazwiska, ale powiedział, że pracuje w muzeum.

66

Godzina 21.18

Ręce mu drżą, kiedy podgrzewa mleko w rondelku, a potem wlewa je do jej ulubionego kubka. Nadal jest roztrzęsiona. Nie ma do niej pretensji. Sam też się jeszcze nie uspokoił.

Znowu woła jego imię, natarczywie, płacząco, a on myślami cofa się w czasie, do tamtej chwili. Znowu jest wczorajsza pora podwieczorku, a on zjawia się pod swoim domem, gdzie światło pali się w każdym oknie i czuje ukąszenia strachu.

Rozważa ryzyko przez niecałą minutę.

W oknach pali się światło, co oznacza, że ktoś jest w środku. Ale kto? Policja? Czyżby wyczerpał już zapas szczęścia?

A może stało się jej coś strasznego?

Krew pędzi jego arteriami, pędzi jego żyłami. Usta ma popękane i suche. Nawilża je językiem. Jednak nie ma żadnych aut. Żadnych migających niebieskich świateł. Rusza ścieżką, myśli krążą wokół tych wszystkich możliwości. Ale przecież nie może jej zostawić.

Hamowany strachem przed tym, co zastanie, mozoli się z zamkiem. Hunter i Howison, stawiając czoło przeciwnikom, pozostali wierni swoim metodom i przekonaniom. On też pozostanie.

– Czy to ty? – Jej głos jest piskliwy.

Serce nabrzmiwa mu w piersiach. Odwiesza kurtkę na haczyk, odkłada torbę i zaczyna rozsznurowywać buty.

– Czy to ty? – Ona woła znowu. Słyszy w jej głosie narastającą panikę.

– Tak – mówi. – To ja.

– Chodź szybko.

Odstawia buty, idzie prosto do jej pokoju, ale po drodze oczy go zwodzą sprytnymi sztuczkami. Łóżko jest puste, pościel odrzucona. Słyszy łup-łup echa krwi w uszach.

– Kochana, gdzie jesteś? – Zmusza głos, aby pozostał spokojny.

– W kuchni. Chodź tu szybko, proszę.

Skulona siedzi przy stole, twarzą prawie dotyka ceraty w słoneczniki. Jej laska oparta jest o krzesło. Ciało skrywa cienka koszula nocna. Nie dała rady sięgnąć po szlafrok. Mijają już co najmniej dwa lata, od kiedy opuściła swój pokój. Krzywizna jej kręgosłupa zapiera mu dech w piersiach.

Wspomina chwilę, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, uśmiechającą się do niego ze szpitalnego łóżka. Zanim deformacja całkiem odebrała jej siły.

Przed nią coś leży na stole. On zamyka oczy, sonduje pamięć.

Jej twarz jest mokra od łez, a kciuk zatacza koła na rękawie koszuli nocnej, jak gdyby starała się zetrzeć plamę z tego, co widziała.

– Jestem następna – szepcze. – Ja mam być następna.

– Nie – mówi łagodnie. – Nie, kochana. Nie.

– Wywróciłam swoje picie na podłogę. I potem bardzo chciało mi się pić, a nie wiedziałam, kiedy wrócisz. – Gładząc po ramieniu, daje do zrozumienia, że przyjmuje jej tłumaczenie do wiadomości. Jej kruche ciało drży. – Znalazłam to obok zlewu. Akurat teraz, akurat teraz to sobie leżało. – Ponowne podnosi głos. – Słyszałeś, co mówili w radiu. Że to jest jego wizytówka. Ja mam być następna.

Unosi szklankę do ust. Powierzchnia wody jest zmacona za sprawą jej drżących dłoni.

– Nie wiem, jak on się tutaj dostał. Włączyłam na dole wszystkie światła, ale... – Podnosi wzrok, wpatruje się w jego oczy. – Powinniśmy zadzwonić na policję – mamrocze.

Blade mięso wciąż jeszcze trzyma się króliczego szkieletu, podobnie jak poszarpane kawałki skóry. Zastanawia się, czy muchy plujki złożyły już tam jaja. One zawsze odnajdą śmierć, gdziekolwiek jest. Nigdy nie powinien tego tutaj przynosić. Jednak nie chciał już

dłużej zostawiać jej samej. Planował dokończyć preparację, kiedy będzie spała, a potem zabrać królika do domu swojego ojca, aby zajęły się nim chrząszcze.

A teraz to. Wie, że ona jest jak mały piesek z kością. Nie da temu spokoju.

– Pewnie jakiś dzieciak się wygłupiał – mówi. – Wie, że jesteś tutaj sama. Zobacz, to nawet nie jest szkielet, mięso cały czas jest przy kościach. Ktoś zrobił sobie kawał twoim kosztem. Mało śmieszny żart.

Teraz mleko już wystygło, wrzuca do niego pokruszone resztki pigulek. Jeśli się nie pośpieszy, spóźni się na nocną zmianę. Znosi kubek żonie, stawia obok łóżka.

Ujmuje jej drżące dłonie, głaszcze pożąłkłą skórę, powyginane paznokcie. Zaczyna do niej mówić, uspokaja ją, aż oddech się wyrównuje, a na policzki wracają kolory. Pomaga jej wstać z krzesła, prowadzi z powrotem do łóżka.

– Zostaw to mnie – mamrocze. – Zostaw to wszystko mnie.

67

Godzina 22.00

Etta, proszę, nie możesz mnie cały czas ignorować. – W tle słychać cichy płacz dziecka. – O, Boże, a on znowu płacze. Słuchaj, muszę kończyć. Zadzwoń, proszę.

68

Godzina 22.30

John Hunter był chirurgiem, żył w osiemnastym wieku – oznajmił detektyw konstabl Chambers, odchylając się w krześle i wyprostowując ramiona nad głowę. – Tutaj piszą, że urodził się w Szkocji, ale mieszkał w Londynie. Był nadwornym chirurgiem u króla Jerzego. – Uważnie przyjrzał się monitorowi. – Wybitny anatom, wykonywał sekcje zwłok kradzionych z cmentarzy i gromadził tony dziwnego gówna.

Fitzroy ogryzała paznokcie.

– Czy tam naprawdę napisali „dziwaczne gówny”?

– Był żonaty i miał kolekcję dziwnych zwierząt, badał ich budowę anatomiczną. Niektórzy ludzie zapisywali mu swoje zwłoki, na użytek nauki. W swoich czasach był bardzo wpływowym.

– Sądzę, że nie musimy specjalnie się starać, aby się przekonać, że i dzisiaj wywiera duży wpływ na niektórych.

Fitzroy zamknęła oczy. Wyobraziła sobie, że ich nie musi otwierać. Sen kusił. Ale nie wiadomo, gdzie była Clara, gdzie był Jakey. Czy jeszcze żyli? Prawdę mówiąc, sądziła, że już nie. Ale bardzo chciała uzyskać jakieś odpowiedzi dla ich rodzin. Dla Conchity Rodriguez. Nie pójdzie spać, dopóki ich nie uzyska. Jednak te odpowiedzi jej umykały, mknąc neuronowymi ścieżkami w kilkunastu różnych kierunkach, zamiast posłużyć jakiejś bardziej intymnej komunikacji między małymi szarymi komórkami.

Godziny i dni mijały z zastraszającą szybkością. Wszyscy widzieli, że szansa na szczęśliwe zakończenie przecieka im przez palce niczym woda.

Nawiedzały ją twarze uprowadzonych.

– Muszę się trochę przewietrzyć – powiedziała.

W niedzielny wieczór na stacji metra London Bridge było cicho. Fitzroy postawiła stopy na ruchomych schodach i pozwoliła nieść się w górę, podciągać przy niskim buczeniu pracującego metalu. Myśli układały się jej jak błoto w rowkach pod stopami.

Trzy ofiary. Dwie z deformacjami kości. Ale, jeśli ta teoria była prawdziwa, to jak w to wszystko wpasowywała się Grace? Przecież nie miała choroby kości, w ogóle żadnych problemów zdrowotnych, a pani Rodriguez wciąż nie było w domu i nie mogła jej zapytać.

Fitzroy zeszła z ruchomych schodów, odwróciła się w lewo i pojechała znowu na samą górę. Na stacji było już prawie zupełnie pusto, a jej się to podobało. Poręcz kleiła się, przesuając pod dłoń.

Trzy szkielety królików. Znalezione w lesie, na Common, przy sklepie ze słodyczami. Ale jeszcze żadnego dla Jakeya Fritha. Co to oznaczało?

Była pewna, że te wszystkie przypadki coś znaczą, ale nie potrafiła dopasować fragmentów układanki.

Dwie wiadomości będące cytatami z proroka Ezechiela. Nerka królika oraz dwa listy adresowane osobiście do niej, w których cytowano anatoma Johna Huntera. Ale czy Davenport miał rację? Czy ten jego klient – wysoki, chudy mężczyzna o siwiejących włosach – naprawdę pracował dla jakiegoś muzeum? A jeżeli tak, czym mógł się tam zajmować?

A potem przypomniała sobie, co napisał jej Dashiell Hall w mailu. W samym Muzeum Historii Naturalnej pracowało tysiąc czterysta osób. Rozmawianie z nimi wszystkimi mogło

zająć całe miesiące policyjnej roboty. Długie miesiące. A to było zaledwie jedno muzeum. A co z British Museum? Z Horniman Museum? I było jeszcze Muzeum Nauki, Muzeum Wiktorii i Alberta.

Zeszła ze wznoszących się ruchomych schodów, znowu weszła na stopnie jadące w dół. Fitzroy, zmartwiona, wzięła oddech i wypuściła go ponad głowami dwójki późnowieczornych pijaczków, mknących przez halę.

Jej spojrzenie przelotnie spoczęło na plakatach wiszących na ścianach stacji, mających przyciągnąć uwagę przejeżdżających obok ludzi.

Plakaty reklamowały różne show na West Endzie, wystawę sztuki, koncerty bożonarodzeniowe, to wszystko, czym karmiła się metropolia. Jakaś tańcząca dziewczyna, uśmiechnięta twarz piosenkarki, plakat z czaszką...

Z czaszką.

„Ujrzyj największy sekret Londynu. Muzeum Hunteriańskie, w Królewskim Kolegium Chirurgicznym, przy Lincoln's Inn Fields”.

Oczyrna duszy Fitzroy zobaczyła słowa, które nakreślił na papierze i przekazał wraz z króliczymi kośćmi, słyszała wnoszący się i opadający ton Chambersa, kiedy czytał na głos z książki o medycznych osiągnięciach Huntera.

Słowa przepływały przed oczyma Fitzroy, a dzwonienie w jej głowie było tak głośnie i cudowne jak dźwięk dzwonu.

PONIEDZIAŁEK

69

Godzina 7.31

Zawsze podobało mu się to, jak noc niezauważalnie przechodzi w piękno poranka. Wyobrażał sobie taki ogromny odkurzacz wciągający ciemność, która odsłania zimową biel świtu. Kiedy wracał do domu, w powietrzu czuć było mróz, a ulice rozpościerały się, budząc do życia. Płynęły nimi śmieciarki i mleczarki, jakiś lis sprytnie przemykał za koszami na śmieci.

Był półżywy ze zmęczenia. Jak już dotrze do domu, to usmaży sobie tosta z bekonem. I naleje szklankę zimnego mleka. Jeśli Wisznu udało się załatwić mu nowego gazeciarza, to może przed progiem będzie już czekała gazeta. Najwyraźniej ostatnimi czasy cholernie trudno było kogoś znaleźć, przez te płace minimalne i prawa pracownicze. Jak był dzieciakiem, to brało się to, co dawali i jeszcze cholernie cieszyło.

Nieprzeczytana gazeta ma w sobie coś specjalnego. Teraz wszyscy trzymają nosy w swoich iPadach albo apkach do komórek albo, jak tam to cholera to sobie nazywają, rzadko unosząc wzrok, by nawiązać kontakt wzrokowy z kimś siedzącym naprzeciwko. Nic nie jest lepsze od przewracania tych dziewiczych stron. Kiedy już się zajmie żoną, to wtedy właśnie tak jak lubi, przeczyta gazetę, z radiem grającym w tle, dopijając resztki napoju, może z jakimś środkiem na trawienie.

Tak samo jak ojciec. Zawsze tak samo jak ojciec.

Zmęczenie utrudniało mu stawianie kroków, jednak brnął przed siebie. Jeszcze tylko kilka ulic i już będzie na miejscu. Jedzenie, tak z godzina snu i rusza dalej.

To miejsce zmieniło się przez te wszystkie lata, jakie tutaj spędził, jednak on zachował spokój. Nie należał do desperatów, bezustannie pragnących czegoś lepszego. Był przekonany, że już miał coś lepszego. Uwielbiał swoją pracę, codzienny kontakt z ludźmi,

otwierające się przed nim możliwości. To był spektakl, który mógł z powodzeniem rywalizować z jakimkolwiek kryminałem o morderstwach z telewizji i zawierał w sobie przyipywy oraz odpływy życia równie stałe jak ruch wody, wymywające zarówno śmieci, jak i perły.

Ale może i dla niego przyszedł czas, aby się ruszyć.

Wreszcie powrócił. W domu było cicho. Pachniało starym jedzeniem. Mozolnie wspiał się po schodach i umył ręce. Rutyna mycia rąk miała prawie tyle lat co on.

Rozprostował palce, pokrzywione i zdeformowane. Zimne powietrze sprawiło, że znowu go rozboleły, ale już przywykł. Kolejna pamiątka po ojcu.

Potarł, je, zamyślony. Zalały go wspomnienia.

Stał w piwnicy, miał jedenaście lat i znowu zapomniał umyć rąk. Ojciec wezwał go do kuchni. Zastał go tam stojącego przy blacie, z uśmiechem na ustach i dłonią za plecami.

– Siadaj.

Usiadł z miną pełną wyczekiwana. Może ojciec zamierzał w końcu dać mu kieszonkowe?

– Połóż dłoń na blacie.

– Po co, tato?

– Po prostu to zrób.

Wykonał polecenie ojca, wewnątrz dłoni przykleiło się do winylowej ceraty. Przywykł już do dziwnego zachowania ojca, a szósty zmysł ostrzegał, że lepiej się słuchać. Burczało mu w brzuchu. Był godny.

Patrzył na zegar w kuchni, zastanawiając się, czy ojciec kupi frytki, czy też może zrobi na podwieczorek kanapki z pastą rybną, kiedy nagle jego palce eksplodowały bólem. Wrzasnął, ogień pomknął ku nadgarstkowi, aż to całe uczucie rozmyło się w pulsującym rozbłysku cierpienia.

W ojcowskiej dłoni zawisł szewski młotek.

– Następnym razem zadbaj o to, żeby je umyć. Jeden palec za każdy raz, jak zapomnisz.

Ojciec miał obsesję na punkcie czystości.

Podreptał przedpokojem do kuchni i wyszedł tylnymi drzwiami. Szopa była otwarta. Zgarnął sporą garść granulatu, zaniósł do klatki. Po uczuciu ciepła poczuł ogarniającą go przyjemność.

Kiedy króliki już zjedzą, przyjdzie kolej na niego.

Ona wciąż jeszcze nie otworzyła oczu, więc zrobił sobie kanapkę i herbatę. Lubiał ten prosty akt przyrządzania porannego posiłku. Uniósł gazetę. Kolejne artykuły o zaginionych dzieciach i niekończące się spekulacje, dokąd trafiły oraz kto mógł ją zabrać. Kiedy już skończył, ostrożnie umył talerzyk i filiżankę, zamknął za sobą drzwi od kuchni. Nie lubił zapachu tłuszczu i tego, jak potrafił przylgnąć do włosów oraz ubrania. Przebrał się, wkładając stary podkoszulek i jakieś obszerne spodnie od dresu, które też śmierdziały, ale nie tłuszczem z bekonu, tylko nocną duchotą.

Nastawił budzik. Było jeszcze parę rzeczy do załatwienia. Na przykład sprawa dziewczynki. Dzisiaj, myśli. Dzisiaj. Jednak sen szepcze już swoją kuszącą pieśń, a zanim się zorientuje, już doczołguje się do łóżka i zamykają mu się powieki.

Wstaje po godzinie, świeższy, ale wciąż zmęczony. Nie ma jednak czasu na sen. W ogóle nie ma czasu. Po prysznicu przegląda garderobę i starannie wybiera sobie ubranie. Zamyka za sobą drzwi, potem wychodzi na zimny poranek.

70

Godzina 9.54

Fitzroy usłyszała go, zanim zobaczyła. Jego kroki człapały po chodniku.

– Przyjechałem najszybciej, jak mogłem – wydyszał Chambers. – Wszystkie służbowe samochody zajęte, musiałem pojechać metrem.

– Mam wrażenie, że mógłbyś sobie odświeżyć znajomość z siłownią – stwierdziła, pchając drzwi. – Chodźmy, czekają na nas.

Zastępca dyrektora Muzeum Hunteriańskiego, słysząc głosy dochodzące z holu na dole, pojawił się na szczycie schodów i zszedł po nich pospiesznie. Była to niewysoka, ciemnowłosa kobieta z ozdobną chustą, gustownie udrapowaną na głowie.

– Profesor Hayley Abrahamson – przedstawiła się. – Chodźmy do mojego biura. Możemy tam porozmawiać.

Ruszyli za nią schodami i przez niewielkie drzwi. Kiedy weszli, Fitzroy zerknęła za siebie, na niezliczone rzędy szklanych słoików z pływającymi w nich eksponatami. Przywykła do oglądania części ciał, ale teraz poczuła się jakoś tak dziwnie, jak gdyby te wszystkie szczątki znajdowały się w stanie zawieszony animacji i w każdej chwili mogły zacząć się poruszać.

W gabinecie profesor Abrahamson panowała przytulna atmosfera. Były tam oprawione w ramki rodzinne fotografie, w chaotycznych stosach leżały setki książek. Na twarzy miała wyraz oczekiwania.

– Tak jak mówiłam przez telefon, jesteśmy w samym środku dużego śledztwa w sprawie zaginięcia – oznajmiła Fitzroy. – I mamy nadzieję porozmawiać z kimś, kto może mieć jakieś związki z tym muzeum.

– Nazwisko? – zapytała, stukając w klawiaturę.

– Na tym polega problem. Nie znamy go.

Palce profesor Abrahamson zastygły bez ruchu.

– Tak – powiedziała. – To jest problem. Wiecie państwo cokolwiek o tej osobie?

– To starszy...

– Owszem, pracuje tutaj sporo emerytowanych chirurgów. Powinna pani zobaczyć, jaki ludzie mają wyraz twarzy, kiedy sobie uświadamiają, że właśnie kupują pocztówkę od największego światowego autorytetu w kwestii bliźniąt syjamskich.

– ...i bardzo szczupły, wysoki, siwowłosy. Około dwóch metrów wzrostu.

Profesor Abrahamson zmarszczyła nos.

– Nie brzmi to jakoś znajomo, ale może to być jeden z naszych wolontariuszy. Jakiś czas mnie tutaj nie było – na wpół świadomie dotknęła chusty – i wróciłam do pracy dopiero w zeszłym tygodniu, więc mogłam się jeszcze na niego nie natknąć. Clive, jeden z naszych najdłużej pracujących przewodników, może go znać. Poszukajmy go.

Clive stał przy grupie turystów i opowiadał, jak to John Hunter wyleczył kiedyś woźnicę chorego na tętniaka podkolanowego, podwiązując mu arterię udową.

– Kiedy nieco ponad rok później woźnica zmarł z innych powodów, Hunter oczywiście pozyskał jego nogę, chcąc sprawdzić rezultaty swojej pracy.

Grupa zachichotała z uznaniem.

Profesor Abrahamson przechwyciła spojrzenie Clive'a.

– Można na słówko?

– Może teraz przyjrzyjcie się państwo temu sztucznemu nosowi i okularom, specjalnie wykonanym dla syfilityczki? – zaproponował, wskazując gablotę po drugiej stronie. – Odesłała mu to po tym, jak ponownie wyszła za mąż. Najwyraźniej nowy małżonek wołał ją bez nich.

Tłumek posłusznie westchnął i zrobił to, o co go poproszono.

Clive podszedł.

– Hayley, wszystko w porządku?.

Miał włosy nastroszone jak szczotka i mówił z walijskim akcentem.

– Państwo są z policji – oznajmiła. – Wspólnie staramy się odnaleźć pewną osobę z naszego personelu, ale nie umiem jej z nikim sobie skojarzyć. – Powtórzyła opis podany przez Fitzroy.

Clive zmarszczył brwi, co nadało mu wygląd udręczonego polityka.

– Jesteście państwo pewni, że tutaj pracuje? To nie brzmi jak opis kogoś, kogo bym znał.

Policjantka zaklęła pod nosem.

– Mówiąc szczerze – ciągnął Clive – to jest za to kropka w kropkę opis jednego z naszych stałych odwiedzających.

– Proszę kontynuować – powiedziała.

– Nie wiem, jak się nazywa, ale przychodzi ze trzy, cztery razy w tygodniu. Taki

zamknięty w sobie, no wiedzą państwo, w każdym razie, ze mną dużo nie rozmawia. – Fitzroy zauważyła w jego głosie lekkie rozczarowanie utraconą okazją do popisania się wiedzą.

Frustracja znowu uderzyła. Davenport przecież powiedział, że tamten pracuje w muzeum.

A jednak.

Tutaj coś ją przyciągało, coś, co tkwiło mocno i domagało się uwagi.

Clive podrapał się po głowie.

– Wie pani, ja nie lubię osądzać ludzi. Mnóstwo odwiedzających nas osób ma swoje powody, żeby z bliska przyglądać się eksponatom. Studenci chirurgii piszący prace dyplomowe. Szkolne dzieciaki rysujące obrazki. Ale to jest trochę dziwne. On się przygląda tylko dwu eksponatom. Wpatruje się w nie godzinami.

Chambers i Fitzroy wymienili spojrzenia.

– A które to eksponaty? – zapytał Chambers.

– Zawsze Charles Byrne, Irlandzki Gigant. On ma dwieście trzydzieści jeden centymetrów. To jeden z naszych najszlachetniejszych eksponatów. No tak, stary Charlie Byrne i jeszcze Pan Jeffs.

– Pan Jeffs? – zapytała Fitzroy.

Twarz Clive'a się ożywiła.

– Zgadza się. Żył w Anglii, zmarł w osiemnastym wieku. Ma fascynujący szkielet. Jego kręgosłup zrósł się, przez co był permanentnie zgarbiony, ma też kostne gruzły i kostne płytki tam, gdzie nie powinno ich być.

Dzyń.

– Biedny facet. Wciąż nie ma na to lekarstwa, chociaż z tego, co rozumiem, poczyniono pewne postępy.

– Lekarstwa na co? – zapytała Fitzroy, chociaż już wiedziała, co usłyszy.

– Przepraszam – powiedział Clive, uśmiechając się z zakłopotaniem. – Przyjąłem, że wszyscy znają kolekcję tak dobrze jak ja. Pan Jeffs miał rzadką chorobę kości: *Fibrodysplasia ossificans progressiva* znaną jako syndrom człowieka z kamienia.

Przerzucił nogi przez brzeg sofy. Mięśnie pleców i szyja bolały jak jasna cholera. Czuł się otepiały i oszołomiony.

Palce stóp dotknęły pustej butelki po whisky Laphroaig.

– Cholera – wymamrotał.

Jak przez mgłę przypomniał sobie, że wczoraj wieczorem nalewał szklaneczkę, gdy Lilith wciąż spała, a ściany zamykały się wokół niego. Kiedy ciepło z gardła rozprzestrzeniło się po piersi, wypił jeszcze jedną, starając obluźować drzazgę tkwiącą mu w sercu. Tak około trzeciej rano musiał mu się urwać film.

Otworzyły się drzwi i powłócząc nogami, weszła Lilith. Miała zmierzwiłone włosy, twarz szarą i starą. Schyliła się, podniosła butelkę.

– Wiesz, to nie pomoże.

Tak samo jak te pigułki, które bierzesz co pięć minut.

Chciał na nią krzyknąć, potrząsnąć, aby zaczęła walczyć. Jednak tego nie zrobił. Bo rozumiał, że to jest właśnie ta podpora, która pozwala jej zachować pion. Odejmie ją i Lilith się wywróci. A on nie zniesie utraty także jej.

Zaparzył kawę, czarną i mocną.

– Czy Belinda dzisiaj wraca? – Lubił tę oficer łącznikową. Nie przejmowała się tym, czy Lilith jest opryskliwa, czy zapłakana, czy może chce się jej spać.

– Nie – powiedziała Lilith, napełniając szklanek wodą z kranu. – Mam już dosyć obcych ludzi w moim domu. Chcę być wreszcie u siebie.

– A co ze mną? – zapytał, na wpół żartując.

– Cokolwiek – powiedziała. – Idę się położyć.

– Lilith...

Odwróciła się do niego. Cierpienie odcisnęło piętna na jej nieumytym ciele, wokół ust miała głębokie zmarszczki. Stała w drzwiach, wyglądała jak malowidło. Albo jak złe przeczucie.

– Znajdę go.

– Zawsze tak mówisz... – Pozostawiła niedopowiedzenie. Nie powiedziała o tym, że jego wielkie plany, jego ambitne pomysły zawsze schodziły na niczym.

Mozolne kroki żony po schodach zgrały się z biciem jego nieszczęśliwego serca.

Był już znużony tymi ciągłymi rozczarowywaniami. Chociaż raz, tylko raz, pragnął zrobić coś jak należy.

Jednak nie wiedział, gdzie zacząć. Albo jak go znaleźć.

Gdyby przemierzał ulice, gdyby uczynił się taki dostępny, może tamten obcy zabrałby jego.

Biegła tak szybko jak królik, ścigany przez stado psów. Dyszała urywanym oddechem, kurczowo trzymała się swojego boku, rozdzierał ją ból. Zerknęła za ramię i pędem puściła się między drzewami, z jedną ręką na wilgotnym drewnie, gdy pochylała się, napełniając płuca powietrzem.

Musiła ją odnaleźć. Przeczesała ciemny las, obliczając swoje szanse powodzenia.

Po prawej stronie ciała, we wklęśnięciu w klatce piersiowej, paliło z bólu, ale zmusiła się, żeby biec dalej, a stare buty sportowe klapały po leśnym podszyciu.

On tutaj był. I była też Grace. Usłyszała krzyk, jeszcze bardziej przyspieszyła. Każdy oddech stawał się walką, aż wreszcie wydawało się, że serce bije jej już tak szybko, że drobniutkie przerwy w pulsowaniu zniknęły i jest tylko jeden ciągły dźwięk.

Wbiegła na polanę.

Błysk ostrza w świetle księżyca i potem jeszcze jeden, jeszcze jeden, wgrzyzały się w skórę Grace jak stalowe zęby pułapki, a potem tamten krzyk, który przedziurawił ciemność oraz niski, rzeźący rechot i do tego dźwięk klikających, żerujących insektów.

Fitzroy ocknęła się gwałtownie. Nawet we śnie, za peryferiami świadomości, zmarli budzili ją ze snów. Wokół niej trząsł się i turkotał pociąg. Uniosła głowę z ramienia Chambersa, dyskretnie otarła ślinę z podbródka.

– Wyglądasz, jakby właśnie tego było ci trzeba – szturchnął ją łagodnie. – Wsiadamy na następnym przystanku.

Przed nią unosił się obraz Grace, jej zmasakrowanego, zniszczonego ciała.

Nawet we śnie wciąż przemawiali do niej zmarli.

Na peronie Fitzroy zawahała się, a potem wyjęła telefon z kieszeni, modląc się, żeby ona wreszcie odebrała.

Conchita Rodriguez czekała na jakieś wieści już od dwunastu miesięcy.

Przez większość poranków klęczała przed oprawionym w ramki zdjęciem Grace i otrzymanym od matki obrazem *Jesucristo*, w kapliczce, która kiedyś była jej salonem i modliła się, aby właśnie dzisiaj nastał ten dzień. Teraz jednak zjawiała się tutaj pierwszy raz od tygodnia. Zniknięcie tamtej dziewczynki wytrąciło ją z równowagi, z wdzięcznością przyjęła zaproszenie od brata i jego żony, aby spędzić kilka dni z nimi, w ich domu pod Bath. Słyszając telefon, Conchita Rodriguez podniosła się z dywanu, kolana miała sztywne i obolałe.

– *Si?*

– Pani Rodriguez, tutaj detektyw Fitzroy, hm, Etta.

Serce zaczęło jej szybciej bić.

– Przepraszam, że dzwonię do pani tak ni z tego, ni z owego, ale muszę zadać pani kilka pytań o Grace, w ramach prowadzonego właśnie śledztwa. Wiem, że to przywoła straszliwe wspomnienia, ale przeglądałam akta sprawy już kilkanaście razy i wciąż nie mogę znaleźć tego, czego szukam.

– Pani detektyw Etto Fitzroy, te wspomnienia są przy mnie codziennie. Pani telefon już niczego nie pogorszy.

– Dziękuję – powiedziała Fitzroy.

Pani Rodrigues wetknęła słuchawkę w zagłębienie między głową a ramieniem, drugą ręką zapaliła zapalniczkę, przyłożyła płonącą końcówkę do knota świecy przy zdjęciu Grace. Dotknęła wargami ust córki. Szkło było chłodnym przypomnieniem.

– To pytanie może zabrzmieć nieco dziwacznie, ale Grace była zdrową dziewczynką, prawda? Na nic nie chorowała?

– Nie, była silną dziewczynką. Uwielbiała pływanie, siatkówkę.

– Tak, pamiętam. Należała do szkolnej drużyny.

– Ach, *si*. – W głosie pani Rodriguez pojawiła się tęsknota. – Nie mogła się doczekać, aż zagra w szkolnych zawodach w tym tygodniu, kiedy zniknęła, ale bolała ją szyja i w końcu nie poszła. Jaka ona była rozczarowana.

Na drugim końcu linii Fitzroy milczała. W tle głośniki dudniły ogłoszeniem o odwołaniu pociągu.

– Pani Rodriguez, co takiego działo się z jej szyją? Pamięta pani?

Oczywiście, że pamiętała. Za jaką matkę uważała ją ta detektyw?

– Kilka dni przed zniknięciem zrobili jej rentgen. Doktor powiedziała, że jeśli będzie jej to robiło za dużo problemów, powinna to usunąć.

– Pani Rodriguez, co usunąć? Proszę, to ważne.

– Pani detektyw, Grace miała podwójne żebra szyjne. Dodatkowe żebro po każdej stronie.

Lilith zignorowała pisk dzwonka. Wrzucała kolejne pigułki nasenne z powrotem do buteleczki.

Uniosła się klapka otworu do wrzucania listów.

– Pani Frith, jest tam pani? Proszę otworzyć. Muszę z panią porozmawiać.

Ta cholerna detektyw.

Fitzroy zadzwoniła raz jeszcze i znowu zagrzechotała klapką otworu na listy.

– Proszę, to ważne.

Lilith powlokła się do drzwi. Po obu stronach twarzy zwisały jej brązowe strąki włosów, wypłukując z niej każdy ślad koloru. Jeśli Fitzroy zauważyła, że Lilith wcisnęła się w podkoszulek ze Spider-Manem, dla dzieci w wieku od pięciu do sześciu lat, to w ogóle nie dała po sobie poznać.

Policjantka weszła do przedpokoju, za nią Chambers.

– Możemy wejść?

Cholera, trochę późno, żeby się o to pytać, co?

– Znaleźliście Jakeya?

– Jeszcze nie.

Lilith poczuła, że wewnątrz niej zapala się wściekłość, jak zapalka.

– To idź stąd, wracaj do swojej cholernej pracy i zostaw mnie w spokoju.

– Ja jestem teraz w pracy, pani Frith – odparła Fitzroy. – To jest jej część.

Lilith podkasała spodnie od piżamy i podreptała z powrotem do jadalni. Już od wielu dni czuła się martwa w środku, czuła się niczym więcej jak rozplaszczonym odrętwieniem, ale kiedy spojrzała w twarz detektywa, powaliła ją litość, którą w niej ujrzała.

Zobaczyła, jak Fitzroy układa pigułki na stole, a następnie unosi dłoń w stronę Chambersa, bez słów polecając mu wyjść.

Nie dbała o to, czy on na nie patrzy. W ogóle o nic już nie dbała.

– Czy zastałam pana Fritha?

– Wyszedł.

Fitzroy bawiła się aparatem fotograficznym na swoim telefonie.

– Może będę mogła mu to wysłać na komórkę?

– Nie ma już komórki – powiedziała Lilith. – Ukradziono mu ją, pamięta pani? Zabawne, ale jeszcze sobie nowej nie załatwił. – Sarkazm w jej słowach był wyraźny. – Miał inne sprawy na głowie.

Fitzroy nie zwróciła na nią uwagi. Przekręciła telefon ekranem do Lilith.

– Niech pani się przyjrzy temu facetowi i powie mi, czy go pani poznaje.

Lilith zerknęła na ziarniste zdjęcie jakiegoś starszego mężczyzny, pokręciła głową, chciała odejść. Fitzroy jej nie pozwoliła.

– Niech pani się jeszcze raz przyjrzy, pani Frith. Uważnie. Mamy powody, aby sądzić, że

on może być zamieszany w uprowadzenie pani syna. – Zrobiła przerwę, żeby dotarła do niej siła tego stwierdzenia. – To nam pomoże go odnaleźć.

Lilith ciężko opadła na krzesło. Przystudiowała zdjęcie, tym razem uważniej. Na jej czole pojawiły się niewielkie zmarszczki.

– Gdzie je zrobiono?

– Mamy je z monitoringu w Muzeum Hunteriańskim. – I teraz cios. – Zna go pani?

Lilith przez dłuższy czas nie odpowiadała. Po policzku potoczyła się jej łza, plasnęła o wyświetlacz telefonu.

– Myślałam, że tak, przez chwilę. Ale teraz nie jestem pewna.

– Pani Frith, jak pani sądzi, kim on jest? – Fitzroy sięgnęła po dłoń Lilith, ścisnęła. Lilith nie odwzajemniła uścisku, ale też nie odsunęła ręki. Detektyw nachyliła się ku niej, starając się wykorzystać intymność tej chwili.

– Kim on jest?

Lilith nie odrywała oczu od zdjęcia. Niepewność stawiała na jej twarzy delikatne, taneczne kroki. On był znajomy, ale gdzie go widziała, gdzie? Presja, żeby go zidentyfikować, napierała na nią, miażdżyła swoim ogromem.

– Nie muszę chyba pani mówić, że jesteśmy w samym środku dużego dochodzenia w sprawie zaginięć. Potencjalnie dochodzenia w sprawie morderstwa. Staram się pomóc pani rodzinie, jak również drugiej rodzinie w takiej samej ekstremalnej sytuacji. – Jej ton zrobił się natarczywy. – Jeśli znajdziemy tego człowieka, będziemy mogli znaleźć wszystkie zaginione dzieci.

Lilith pomyślała, że zaraz załamie się pod ciężarem oczekiwań Fitzroy.

Macała w ciemnościach swojej pamięci. Znała go. Ale skąd go znała? Gdzie widziała tę pociągłą twarz i to długie, chude ciało?

Miała świadomość niecierpliwego spojrzenia Fitzroy, padającego na jej policzek niczym snop światła. Policjantka musiała wracać do biura, wydrukować tę podobiznę i puścić w obieg.

A potem Lilith ujrzała go oczyma duszy.

Zrobiła się bardzo cicha.

Potem wzięła drżący oddech, przygarbiła ramiona, jak gdyby szykując się do zrzucenia z siebie jakiejś ogromnej prawdy.

– Tak, na pewno go już widziałam.

Fitzroy powstrzymała się, aby nie krzyknąć i zmusiła głos do tego, by pozostał spokojny.

– Gdzie? Pani Frith, czas nie jest naszym sprzymierzeńcem.

W zmarszczkach na twarzy Lilith wypisane były żal, poczucie winy, strach.

– Wie pani, nie jestem pewna, ale chyba sobie przypomniałam.

– Gdzie, pani Frith?

Wyraz jej twarzy rozsypał się jak kopnięty stos cegieł wysoko ustawionych jedna na

drugiej.

– W szpitalu. Pracuje w Royal Southern.

74

Godzina 13.01

Fitzroy, nawet gdy przyglądała się swoim drżącym palcom wystukującym numer do szefa, klęła się za to, że wcześniej tego nie zauważyła. Starła się ułożyć myśli w jakiś schludny stosik, ale były zbyt zamglone, pozaginane na brzegach i nie chciały się wygładzić.

To było straszliwie, oślepiająco wręcz oczywiste.

On kolekcjonował nietypowe kości.

Jego „okazami” byli wszyscy pacjenci szpitala Royal Southern.

W ustach czuła żółć, gorzką i piekącą. Smak strachu. Smak porażki. Utonęłaby w niej, gdyby tego nie hamowała, bo wiedziała, czym on jest, a nie wiedziała kim, co czasem bywało gorsze od całkowitej niewiedzy.

Szef przekierował do szpitala trzydziestu swoich funkcjonariuszy, żeby przesłuchali personel oraz pacjentów. Zjawił się z kilkoma zdjęciami podejrzanego, wydrukami formatu A4 z monitoringu w muzeum Huntera. Był energiczny, skupiony, zdeterminowany.

– Przyszpilmy tego skurwiela – powiedział. – Ale chcę być dyskretny. Nie chcemy go spłoszyć.

Fitzroy, razem z Chambersem oraz szpitalnym kierownikiem kadr, wysłano więc do małego biura.

Kierownicy różnych komórek szpitala wchodzili i wychodzili. Żaden nie rozpoznawał mężczyzny z fotografii. Fitzroy czuła pierwsze dotknięcia paniki. Bębniła palcami po blacie stołu.

– To trochę dla was kłopotliwe, co? – zapytał Chambers, odchylając się na krześle, aby lepiej przyjrzeć się kadrowemu. – Czy to nie w zeszłym roku z pańskiego szpitala zniknęło kilka ciał? Szczerze mówiąc, to macie tutaj nawet sporo takich przypadków. A teraz znowu zjawia się policja i prowadzi śledztwo w sprawie jednego z waszych pracowników.

Kadrowy machnął dłonią.

– Było trochę takich przypadków, ale teraz wszystko już załatwione. Sprawę z rodzinami załatwiliśmy w sądzie.

– Zawarliście poufną ugodę, prawda? – odezwała się Fitzroy.

Uśmiechnął się nieznacznie, obdarzając ją spojrzeniem, które mówiło „mam przed sobą ciężki tydzień, więc proszę, nie męcz mnie”.

– Przyślijcie następnego – powiedziała detektyw.

Gromadziły się chmury, popołudnie szykowało się do zmiany w noc. Kadrowy wytknął głowę przez drzwi, dał komuś znak, aby wszedł.

– Karen Matthews, nasz kierownik personelu sprzątającego.

Naprzeciwko Fitzroy usiadła kobieta w średnim wieku z burgundowymi pasemkami. Pachniała perfumami i środkami dezynfekującymi. Chambers pochylił się ku niej, opierając na łokciach. Fitzroy skinęła głową, przesuwając zdjęcia po blacie.

– Czy poznaje pani tego człowieka?

Wszystko zajęło tylko kilka sekund.

– Tak, znam go. Jest z mojej ekipy. Nazywa się Brian Howley. – Uniosła połyskujący wydruk. – Co on zrobił?

Fitzroy nie słyszała jej pytania. Czas spowolnił, pokój zaczął się rozwiewać. W ciele detektyw wzrastało ciśnienie krwi, żyły kurczyły się i rozszerzały.

Wymieniła się z Chambersem krótkimi, triumfującymi spojrzeniami.

Alleluja! Mamy to pierdolone nazwisko!

– Byłabym wdzięczna, gdyby zachowała pani tę rozmowę tylko dla siebie – powiedziała za to. – Tylko przez jakiś czas.

Kadrowy, którego nazwiska za nic nie potrafiła zapamiętać, wręczył jej jasnobrązową teczkę, zdjętą ze stosu na biurku. Wypisano na niej „Brian Howley”, przyklejono z przodu białą etykietę.

– Zajmuje się sprzątaniami – powiedział Człowiek Bez Imienia. – Myje podłogi i tak dalej. Przychodzi na noc, jest w szpitalu już od dłuższego czasu, wie pani.

Fitzroy nie wiedziała. Jednak miała nadzieję, że ten Brian Howley ją oświeci. Najpierw jednak chciała się dowiedzieć, z kim ma do czynienia. Nalała sobie szklankę wody. Zaprażyła, aby była to kawa. Albo Red Bull.

– Jak długiego?

Znowu przypomniała sobie słowa emerytowanego detektywa inspektora Felixa Tappa: „A potem Erdman zwymiotował w gabinecie jakiejś szczy i musieli wezwać kogoś, żeby posprzątał”.

Starła się nie myśleć teraz o tych rodzinach, o Lilith i Erdmanie Frithach, albo o Milesie i Amy Foyle’ach i o krótkim błysku nadziei, jaki usłyszała w głosie Conchity Rodriguez. Nie zniosłaby tego, gdyby ich zawiodła.

– Czyli, że pracuje nocą?

Karen powoli przytaknęła.

– Zgadza się i od czasu do czasu także w dzień.

Fitzroy zerknęła do notatek w teczce.

– Na oddziale położniczym?

– Zazwyczaj. Ale czasem gdzie indziej, tam gdzie mamy braki w ludziach.

– Czy pan Howley kiedykolwiek zachowywał się w sposób wzbudzający podejrzenia pani albo pani kolegów?

– Szczerze mówiąc, to ledwie zauważam, że tutaj jest. Nie mówi dużo. Po prostu robi swoją robotę. Wiem, że mieszka z żoną. Jak sądzę, jest chora.

Chambers zapisała coś w notatniku.

– Czy to dobry pracownik?

Karen się roześmiała.

– Czy dobry? Od czasu do czasu trochę się spóźnia. Mógłby się dokładnie umyć i użyć dezodorantu.

– Czy jest teraz w pracy? – zapytała Fitzroy.

Karen wyjęła z kieszeni pomiętą harmonogram i rozłożyła go.

– Nie, wyszedł o siódmej rano.

– Pracuje dzisiaj w nocy?

– W poniedziałki noce ma wolne.

– Wie pan, gdzie mieszka?

– Powinno być w jego aktach. Myślę, że nieopodal Catford albo w Bromley. Gdzieś tam.

– Karen skubała skórę przy paznokciu. – Czy to wszystko? Chętnie państwu pomogę, ale muszę wracać do pracy. Do szóstej muszę wyjść, żeby odebrać synka z przedszkola.

– Oczywiście – powiedziała Fitzroy, wstając. – Proszę nas powiadomić, jeśli pani jeszcze coś sobie przypomni, dobrze?

Szef szedł szybko. Zebrał elitarną grupę starszych funkcjonariuszy, która za kilka godzin miała wejść do domu Howleya.

– Chcę tam być – powiedziała Fitzroy.

Łagodnie położył dłonie na jej ramionach, spojrzał w oczy.

– Nie sądzę, żebyś była już na to gotowa.

– Nic mi nie jest.

– Fitzroy...

– Powiedziałam, że nic mi nie jest.

– A ja powiedziałem nie. Wiem, co to dla ciebie znaczy i chcę, żebyś była w pokoju przesłuchań, jak go sprowadzimy. Ale nie chcę ciebie w terenie, w sytuacji dużego stresu, uświadom to sobie.

Każda sylaba rozbrzmiewała empatią. Fitzroy nie była w stanie tego znieść.

– Niech mi pan nie mówi, że to przez ostatni rok. Wiem, że to co zrobiłam, było złe, ale

zapłaciłam za to już ze sto razy. Straciłam panowanie nad sobą, ale obiecuję, to się już nie powtórzy.

– Fitzroy, wyciągnęłaś pochopne wnioski. Owszem, to był błąd, ale to odciągnęło naszą uwagę od poszukiwań Grace. – Zmierzył ją spojrzeniem. – I kosztowało mnie doświadczonego detektywa.

– Ale teraz wróciłam, prawda? Zatem mnie użyj. Proszę.

Jednak szef był nieustępliwy.

– Kiedy tylko zjawi się w pokoju przesłuchań, to walnij go mocno. Nie daj mu, kurwa, nawet chwili oddechu. Będę cię informował na bieżąco, obiecuję.

Poczekala aż wyjdzie, zanim walnęła pięścią w mur, dowodząc, że miał rację.

Na miasto opadł wieczór. Szpitalne korytarze wypełniły się odwiedzającymi, którzy dźwigali torby załadowane kanapkami i ciastami, mającymi uzupełnić szpitalne posiłki. Fitzroy prześlizgnęła się obok nich, niczym ryba płynąca przez nadciągającą falę.

Znajomy ostry zapach środka antyseptycznego przypomniiał jej okropne, ponure czasy. Tamten straszny weekend, jaki tutaj spędziła, sama i opuszczona. Przed Davidem. Przed tym, jak dobrze zrozumiała, co oznacza bycie matką. To były jednak inne czasy, nad którymi ciężko pracowała, aby ukryć je pod powłokami życia.

Niechciane łzy ukłuły ją w oczy. Zamrugła. Płacz w pracy nie był niczym dobrym.

Na zewnątrz zimne powietrze uderzyło niczym cios w policzek.

Teraz będą planować, starannie, szczegółowo. Kto będzie dowodził? Kto będzie prowadził obserwację? Ilu będzie wyspecjalizowanych funkcjonariuszy z bronią palną? Kiedy będą mogli bezpiecznie wkroczyć? Chambers ruszył do akcji, ona nie. Mimo wszystko szef nie był jeszcze gotów ponownie jej zaufać. W trakcie śledztwa w sprawie Dziewczynki z Lasu pozwoliła, aby zawładnęły nią uczucia i najwyraźniej uważał, że to się powtórzy. Potarła kostki palców. Może i miał rację.

Fitzroy powędrowała przez szpitalny parking w stronę alejki, która mogła zaprowadzić ją z powrotem do jej mieszkania. Miała kilka godzin, co najmniej, zanim będzie potrzebna. David pewnie poszedł na trening piłkarski. Mogła więc coś przekąsić, wziąć prysznic.

Na samochodach z wolna zaczął osadzać się szron. Szybkim krokiem przemknęła jakaś postać z kapturem na głowie. Gwiazdy były klejnotami na tle nieba.

Dźwięk kroków rozbrzmiewał echem po betonowej ścieżce.

Jej palce odnalazły w kieszeni kluczyki od samochodu, odwróciła się, nie wiedząc czego się spodziewać, jednak zawsze gotowa.

Zobaczyła Karen Matthews, szefową personelu sprzątającego.

– Wszędzie pani szukałam.

Fitzroy odetchnęła, puściła kluczyki. Karen wyciągnęła z torebki parę skórzanych rękawiczek.

– Udało mi się w końcu namówić mamę, żeby odebrała go z przedszkola. Coś tam

mruczała pod nosem, ale uwielbia wnuczka, a obiecałam, że przyniosę rybę z frytkami.

Na wzmiankę o jedzeniu Fitzroy napłynęła śliska do ust. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio cokolwiek jadła, nie wspominając już o jakimś porządnym posiłku. Karen zapinała teraz płaszcz.

– Rety, ale zimno. Jestem pewna, że w radiu słyszałam, że będzie śnieg. Uwielbiam, jak pada śnieg – uśmiechnęła się szeroko. – A raczej lubię go, jeśli akurat nie muszę wtedy jechać samochodem.

Fitzroy posłała jej błady uśmiech. Była zmęczona i wkurzona. Chciała być sama. Z dala od tego ceglanego gmachu szpitala, z jego tajemnicami i smutkiem.

– Powiedziała pani, że mnie szukała.

– Tak, racja – oznajmiła Karen, wciągając czapkę na uszy. – Właśnie miałam iść do domu, kiedy przypomniałam sobie coś o Brianie Howleyu.

75

Godzina 21.14

Lilith znowu spała. To, że tak ciągle spała, zaczynało go martwić. Jak gdyby coraz bardziej zamykała się przed światem i któregoś dnia miała się w końcu nie obudzić.

Erdman ostrożnie napaął na drzwi i zerknął do pokoju. Przy łóżku Lilith paliła się lampka, na stoliku stały szklanka z wodą i otwarte opakowanie pigułek nasennych. Była blada i nieruchoma.

Czas stanął w miejscu.

Odetchnęła.

Czas ruszył z miejsca.

Oddech miała teraz powolny i miarowy, ale nawet we śnie zmarszczki na twarzy zdradzały jej rozpacz.

Nie powinien tak odchodzić, powinien przy niej zostać. Tak, była wredna. Ale nie powinna zostawać sama. Kochał ją. Powinien się nią zaopiekować. A zamiast tego cały dzień włóczył się po ulicach, odwiedzając miejsca, które zwykle nawiedzał i wciąż oglądał się przez ramię. I po co? Chodź tu i mnie zabierz, chciał wrzeszczeć w rozległe, szare niebo.

Ale tamten nigdzie się nie pojawił.

Erdman poprawił koc na swojej żonie i z bólem zamknął drzwi.

Na półpiętrze panowały chłód i zimowy półmrok. Drzwi do pokoju Jakeya były lekko

uchylone.

Zapraszająco.

Nie było go tam, od środy. Ale teraz chciał ukarać sam siebie.

„Erdman Frith został ogłoszony frajerem dekady w noc, w którą nie zdołał ochronić swojego jedyne go dziecka. Jako ojciec może winić tylko sam siebie”.

Policja starała się pozostawić pokój posprzątany, ale skąd oni mogli wiedzieć, że Jakey wolał stawiać swoje modele lego na parapecie, bo nie mógł dosięgnąć półki? I że jego szlafrok nigdy nie wisiał na drzwiach, tylko zasłaniał „oczy” z uchwytów szafy?

Erdman wydał się z siebie gardłowy dźwięk, udęczony, pierwotny.

Chodził po sypialni syna. Zebrał wszystkie pluszaki Jakeya i ułożył je na jego poduszce. Poskładał piżamę ze Spider-Manem, wsunął w chłodne łóżko.

Podniósł szkolną kurteczkę, wiszącą niedbale na krawędzi kosza na pranie i wdychał zapach noszonego, niewypranego ubrania, szukając w nim śladów swojego synka. Potem cisnął nią, wraz ze swoim rozczarowaniem, tam gdzie już leżał rozmemłany, brudny mundurek.

Wszędzie cisza, bezkresna cisza.

Obejrzał się na przyglądający mu się rząd pluszaków i poczuł ukłucie paniki.

Pan Bunnikins. Gdzie jest Pan Bunnikins?

Poczuł wielki przymus. Po prostu musiał odnaleźć tego pluszowego królika Jakeya. Tego, którego chłopiec miał od narodzin. Tego, którego wszędzie ze sobą zabierał. Tego, o którym Erdman wiedział, że pachnie jego synem, bo zawsze drażnił się z Jakeyem, mówiąc, że Panu Bunnikinsowi przydałaby się kąpiel.

Palce Erdmana macały po zakurzonej podłodze pod łóżkiem Jakeya, w przestrzeni między materacem i ścianą, za pudłami zabawek, w odrębnych zaułkach i kątach jego pokoju, w różnych kryjówkach. Nic. Gdzie on może być? Myśl Erdman, myśl.

Może Jakey wziął go do szkoły. Pamiętał, że dzieciom wolno było zabierać ze sobą pluszaki mieszczące się w kieszeni. „Mieszczące się w kieszeni” w tym wypadku stanowiło dosyć luźne pojęcie, nie pierwszy raz choroba Jakeya pozwalała robić wyjątek od zasad.

Przerzucał rzeczy, szukając szkolnej torby Jakeya. Bez powodzenia. Pospieszenie zszedł na dół, do szafki w holu, pełnej starych okryć, butów i wspomnień.

I tam właśnie był. Plecak syna ze Spider-Manem.

Erdmanowi trzęsły się ręce, kiedy mozolił się z zamkiem. Zacisnął palce na klocku Lego, potem na długopisie bez zamknięcia, na kilku kolekcjonerskich kartach z piłkarzami.

Ale nie na Panu Bunnikinsie.

Czy Jakey zabrał go ze sobą do szpitala? Przeszukiwał mózg, starając się przypomnieć sobie pluszowego królika, wetkniętego w słabe ramiona syna.

Sprawdził raz jeszcze, na wypadek gdyby jakimś cudem coś przeoczył. Znalazł książkę z czytankami. Butelkę na wodę. I zamkniętą kopertę.

Erdman wysunął biały prostokąt koperty, przyjrzał się odręcznemu pismu. List zaadresowano do panny Haines, nauczycielki Jakeya. Jednak nie napisał go ani on, ani Lilith.

Rozerwał kopertę, przejrzał linijki nakreślone charakterem pisma, którego nie poznawał.

Co za skurwiel. Ten gnój wszystko sobie zaplanował.

Chwycił swoją kurtkę, zasznurował sportowe buty, wsadził list do kieszeni, żeby pokazać go Fitzroy. Mógł pozwolić Lilith na sen, jednak syn gdzieś tam był i teraz zamierzał go dla niej odnaleźć.

A szukanie mógł zacząć od Pana Bunnikinsa i od szpitala.

Kilka ulic dalej pewna rodzina siedziała przy dużym kuchennym stole w pięknym domu. Każdy, kto spojrzełby przez okna, mógłby pomyśleć, że los tym ludziom sprzyja. Światło lampy ocieplało ich twarze i drogie dzieła sztuki wiszące na ścianach. Jakaś mała dziewczynka z zaferowaniem mówiła coś swoim rodzicom, wymachując przy tym rękoma. Matka popijała wino z kieliszka, ojciec z lekko pochyloną głową przyglądał się swoim dziewczynom.

Jednak wewnątrz rodzina Foyle'ów właśnie się rozpadała.

Eleanor wymachiwała rękoma, ale ze zdenerwowania, nie z radości.

– Gdzie jest Gina?

– Jej mama się rozchorowała. Musiała pojechać do domu. – Amy niemal wierzyła w swoje słowa.

– Tatusiu?

– Tak, to prawda kochanie. – Unikał jej spojrzenia.

– No to kiedy wróci?

Kuchnię wypełniła cisza.

– Mamusiu?

Amy podniosła się z krzesła i objęła córkę, gładząc jej włosy.

– El, nie wiem, czy w ogóle wróci, jej mamusia jest bardzo chora.

– Tylko ona się tutaj mną zajmowała, a teraz też jej nie ma.

Eleanor z płaczem wybiegła z pokoju. Amy pozwoliła jej iść.

Nie do końca wiedziała, co się wydarzyło, tylko że jej starsza córka była bardzo zdenerwowana po ich kłótni i nie chciała rozmawiać ani z nią, ani z Milesem. Amy miała swoje podejrzenia, oczywiście. Gina prawie nie patrzyła jej w oczy, a kiedy mamrotała pod nosem, że musi szybko wracać do siebie, do Lincolnshire, a Miles, kiedy wrócił po odwiezieniu jej na stację, miał taką dobrze znaną jej minę zbitego psa. Nawet nie wiedziała, czy ją to w ogóle obchodzi. Zaczynała rozumieć, jak bardzo oddaliła się od swojej rodziny, jak z wolna wycofywała się do kruchej świata manicure, lunchów, zakupów i jak puste, niematerialne było to miejsce.

Miles wciąż siedział przy stole, popijając merlota i bawiąc się iPadem. Przyglądała mu się przez chwilę a on uniósł wzrok, czując na sobie jej spojrzenie. Oczy miał zamglone... Czym? Uznała, że poczuciem winy. Czyli, że jednak chuć nie miała barwy czerwonej, tylko wodniście jasnoniebieską.

Odwróciła się do niego plecami i bez słowa weszła schodami na górę, aby zacząć pracę nad byciem matką dla tego dziecka, które jej pozostało.

76

Godzina 21.37

Ciemność rzuciła wyzwanie w walce o to pomieszczenie, a pasma półmroku pełnące przez okno dawno już zniknęły.

Blask lampy prześlizgiwał się między kręgami szkieletów podwieszonych pod półksiężycem sklepienia, oświetlając krzywizny i dłuższy kości. Echo ich dawnego życia dryfowało poprzez jego muzeum niczym muzyka.

Szklane gabloty w dziwnym ossuarium na dole pełne były zdeformowanych kości, zniekształconej istoty zbitej i gąbczastej, każda z nich stanowiła hołd oddany nieszczęściu i bólowi.

Jednak kości tych szkieletów – ukrytych na piętrze, na poddaszu tego ceglanego pudełka przy anonimowej ulicy – były zwyczajne, niewyróżniające się.

Porzucone.

Zapadała noc, ciemność zdawała się gęstsza, bardziej intensywna. Ciche odgłosy ruchu ulicznego przesączały się przez szczeliny w murach.

Po podłodze szurały jakieś kroki. Pewnie to myszy.

Cienie poruszyły się i zatańczyły, gdy światło księżyca pieściło horyzont.

W pokoju obok pewien mały chłopiec otworzył oczy i dwukrotnie zakaszał. Z bólem zmarszczył czoło. Mocno piekło w płucach, ale gorączka ustąpiła, skóra była teraz chłodna i sucha. Nowy kościany guz zatrzymał jego „dobrą” rękę przy brzuchu, ale udało mu się wyjść z tego zapalenia z ruchomą dłonią.

Jakey, chociaż o tym nie wiedział ani tego nie czuł, naprawdę miał szczęście.

Nie leżał już na zimnej, twardej podłodze, ale na nierównym materacu, nie pamiętając, jak się na nim znalazł, wyjąwszy wspomnienie śpiewu małej dziewczynki.

Kiedy usiadł, zakręciło mu się w głowie, światło lampy zmusiło go do zmrużenia oczu.

Jego piżama była nieświeża, brzydko pachniała. Na ziemi leżał kawałek chleba z maleńkimi, błękitnymi plamkami pleśni. Rzucił się na niego, okruszki wylatywały mu z ust. Mleko ze szklanki smakowało jak kreda, jednak wypił je i otarł usta brzegiem dłoni.

Poczuł bolesny napór w pęcherzu, pogramolił się do wiadra w kącie, potem wrócił na materac.

Bardzo mocno starał się nie myśleć tym, co zdarzyło się tego poranka.

Nie myśleć o tym, jak obudził go dźwięk otwieranych drzwi i jakiś coraz głośniejszy, dziecięcy głos, zadający pytania. Potem usłyszał niski głos i dwa rodzaje kroków, jedne lżejsze. Żadnych odgłosów walki, żadnych łez. Wszystko się oddaliło, pozostawiając za sobą ciszę pustego pokoju.

Nie myśleć o tym, jak na wpół pogrążony w delirium, pełznął po betonowej podłodze, przyciskając usta do kratki wentylacyjnej.

– Clara? – wyszeptał. – Jesteś tam?

Jednak nie odpowiedziała.

Nie odpowiedziała teraz, kiedy spróbował ponownie po paru godzinach, ani gdy słabe popołudniowe słońce ogrzało chłodne niebo na zewnątrz albo kiedy noc rozpostarła się ponad miastem i gwiazdy ukryły swoje światło.

77

Godzina 22.00

Clary nie było ani w pokoju preparatorskim, ani w muzeum. W ogóle nie było jej w tym domu. Dziewczynka, której szukał cały kraj, spała teraz w naznaczonej mrozem ciemności, w miejscu, gdzie jeszcze nigdy nie była.

Pozostawała tam, dopóki pierwsze promienie świtu nie dotknęły jej skóry i nie słyszała szczurów, które zagnieździły się pod spodem, ani też polujących sów.

Kiedy Nocny Pan zjawił się po nią rano, obiecał, że zabierze do domu, do jej matki, pod warunkiem że napije się mleka i grzecznie zejdzie z nim po schodach do furgonetki.

To właśnie była ta rozmowa i te kroki, które słyszał Jakey Frith.

Clara zrobiła to, o co prosił Nocny Pan, chociaż mleko było nieświeże i miała po nim mdłości. Chociaż w środku ścisnął ją strach, wspięła się do tego znenawidzonego, szarego pudła i postarała się nie płakać.

Na podłodze auta znalazła pluszowego królika, tak bardzo kochanego, że miejscami miał

powycierane futerko. Przysunęła jego kłapciaste uszy do swojego policzka i zastanawiała się, czy może należał do tego chłopca z pokoju obok.

Jay-keya.

Miała nadzieję, że teraz, kiedy wraca do domu, to z chłopcem też wszystko będzie w porządku.

Ruch furgonetki i działanie narkotyku dodanego do mleka uspiły Clarę. Nie wiedziała, że wąskie miejskie uliczki poszerzyły się, stając się drogą krajową, że wysokie budynki i tablice reklamowe tworzące miejską straż honorową zmieniły się w drzewa i opustoszałe, płaskie pola, ujęte w klamrę morza.

Wreszcie mężczyzna o nazwisku Brian Howley skręcił w lewo, na polną drogę, a jego furgonetka podskakiwała na nierównej nawierzchni, aż dotarła do pola z furtką zamkniętą na kłódkę. Deszczowe, brudnoszare niebo rozpościerało się swoim ogromem nad głową Clary, kiedy wniósł ją przez dziurę w ogrodzeniu i przez porastającą piaski rzadką trawę do nowej kryjówki, jaką dla niej przygotował.

Tutaj wszystko wyglądało tak samo, nawet po tylu latach. Wyłowił z kieszeni mały srebrny kluczyk.

Po wypiciu tego mleka dziewczynka będzie spała jeszcze kilka godzin, ale i tak związał jej ręce i stopy. Postanowił jej nie kneblować. Z doświadczenia wiedział, że na tym polu będzie teraz pusto co najmniej do wiosny. A ona musiała jeść i pić dopóki nie postanowi, co dalej z nią robić.

Ułożył koce na śpiącym dziecku, oparł dłoń na wilgotnej sofie, a zapach butanu, propanu i pleśni wypełnił mu nozdrza. Wiedział, jak zimno może się tutaj zrobić, ale postanowił wrócić zaraz po tym, jak zabierze chłopca i pobędzie trochę w szpitalu. To była tylko godzina jazdy.

Pogramolił się z powrotem do furgonetki i wrócił z walizką pełną pieniędzy, które chomikował przez lata, i plastikową torbę. Zatrzymał się na chwilę, aby odetchnąć słonym powietrzem. Wsunął walizkę pod sofę, wyjął z torby dużą butelkę wody, odkręcił ją, wsunął szyjkę do spragnionego gardła. Potem rozdarł opakowanie herbatników. Okruchy obsypały stolik jak konfetti. Ostrożnie położył na sofie nieco winogron. Był pewien, że dziewczynka zdoła sięgnąć ich ustami.

Instynkt ostrzegał, że policja zacieśnia pętlę wokół niego, że dobrze zrobił, przenosząc małą.

Trochę teraz żałował, że nie przewiózł ich oboje, jednak ryzyko transportowania dwojga dzieci naraz było o wiele za duże. Chłopiec mógł przybyć tutaj później, żywy albo martwy.

Przyglądał się stadu drożdżików, jak wydziobują jagody z żywopłotu, a potem rozpierzchają się na pustym niebie. Gdzieś daleko dostrzegł przez chwilę morze. Tutaj będzie bezpieczna. Nikt jej nie odnajdzie.

Światło dnia nikło, gdy Brian Howley zaciągnął zasłony, zamknął drzwi i rozpoczął podróż powrotną do miasta.

I tak oto, gdy zmierzch gęstniał, a ciemność wypełniła się innym rodzajem życia, Clara nadal spała, jeszcze nie wiedząc, że jej matka i ojciec są teraz od niej dalej niż kiedykolwiek wcześniej.

78

Godzina 23.51

Erdman siedział w pustej stołówce, przypatrując się, jak personel szpitala wchodzi i wychodzi, biorąc sobie czekoladkę albo kubek letniej kawy z automatu. Światła były przygaszone, stalowe kontuary wyczyszczone, aby były gotowe na śniadaniowy szczyt. Nastął spokój. Minęło dziesięć minut, dwadzieścia. Nikt nie zwrócił uwagi na załamane go ojca z głową w dłoniach. W szpitalu Royal Southern nie był to jakiś niezwykły widok

Przyjście tutaj było głupim pomysłem. Erdman hołubił takie niejasne przekonanie, że zdoła porozmawiać z pielęgniarkami, wypytać je, co się stało w tę noc, kiedy zniknął Jakey. Jednak, oczywiście, połowa personelu była teraz na innych dyżurach, a on czuł się głupio, zaczepiając pracowników, wiedząc, jacy są zajęci, bo dzieci na intensywnej terapii potrzebowały ich bardziej od niego.

Jednak nie mógł tak po prostu siedzieć. Ostatnie, co mógł zrobić, to poszukiwania pluszaka Jakeya. Stał się dla niego takim talizmanem. Jak gdyby znajdując Pana Bunnikinsa, mógł jakoś odnaleźć syna.

Mógł teraz pójść na oddział intensywnej terapii, zapytać pielęgniarki, czy znalazły zabawkę, sprawdzić szafkę przy łóżku Jakeya. Tak tylko, na wszelki wypadek.

Nie miał pojęcia, że Fitzroy szuka już tego samego, prowadzona swoim „dzyń”, potrzebą potwierdzenia, że Brian Howley jest właśnie tym człowiekiem, którego śledziła, i zaciąga luźne węzły śledztwa w sieć dowodów na tyle mocną, aby go zatrzymać.

Erdman znalazł schody i zaczął samotną wspinaczkę na szóste piętro.

WTOREK

79

Godzina 12.21

Nikt nie zwracał większej uwagi na Briana Howleya, kiedy cicho przechodził między łózkami, przesuwając mop po plamistej, niebieskiej podłodze, z takim niespiesznym chłapnięciem i szurnięciem.

Gdyby próbowali dokładniej mu się przyjrzeć. zobaczyliby chudego mężczyznę z kiepską fryzurą i dwóch głębokich parowach biegnących od jego nosa ku ustom. Mężczyznę wyglądającego, jak gdyby dźwigał na barkach cały ciężar świata, mężczyznę, który potrzebował solidnego posiłku i prysznic.

Mężczyznę, który wślizgnął się do pracy, nie mówiąc nic menadżerowi, chociaż dzisiaj miał wolną noc.

Brian pracował na nocnej zmianie przy sprzątaniu już przeszło czterdziestą zimę. Rok 1973 zdawał się tak dawno temu, a jednak czasem jak gdyby był wczoraj.

Jego ojciec chciał, żeby znalazł sobie jakąś pracę. Rzucił mu w twarz gazetą, na początku był temu niechętny, ale ojciec bardzo nalegał. To się przydaje, mówił i faktycznie, przydawało się. Zwłaszcza gdy przychodziło do wybierania preparatów. Jednak Brian nauczył się też ją kochać.

Przez czterdzieści lat sporo się nauczył. Na przykład, że szum pracującego dnia zasłania wiele rzeczy, ale podobała mu się klarowność nocy. Mógł słuchać i obserwować.

I oczywiście jest Marilyn. Panna Marilyn Grayson. Brian poznał ją zimą 1974 roku i pobrali się sześć miesięcy później. Czasem z trudem dostrzega w przykutej do łóżka żonie tę pięknooką dziewczynę pełną nadziei. Sam nie był zbyt przystojny, ale ukrywały to gesta czupryna i gładka skóra, jaką miał za młodu. Jednak nie teraz. Teraz jest już starym człowiekiem.

Brian ma ważną wiadomość do przekazania Namicie Choudray, starszej przełożonej nocnej zmiany na intensywnej terapii. Namita musi szybko przyjść, bo na oddziale Ariadny potrzebują jej wiedzy praktycznej z zakresu urazów głowy u noworodków.

Przynajmniej taką ma przykrywkę. Nie miał żadnej wiadomości dla Namity Choudray. Po prostu chciał znowu odwiedzić oddział intensywnej terapii.

Brian nie miał pojęcia, kto przy zdrowych zmysłach nazwał oddział dziecięcy imieniem kobiety z greckiej mitologii, która wywiodła Tezeusza na wolność po tym, jak zabił Minotaura, tylko po to, aby tchórzliwy księżę potem ją zdradził. Przymuszczałnie więcej sensu miałyby nazwanie oddziału dziecięcego jakoś bardziej zwyczajnie, może jakimś rodzajem drzewa albo ryby; chociaż nie było też niczego zwyczajnego w szkaradnicy albo japońskiej rybie fugu.

Nie było nikogo na recepcji, kiedy zadzwonił domofonem i czekał na buczenie oznaczające, że go wpuszczają. Pielęgniarki, kiedy akurat nie były zajęte ratowaniem życia, to miały zwyczaj gromadzić się w dyżurce na głupie plotki o celebrytach, którym w prawdziwym życiu nikt nie poświęciłby nawet spojrzenia. W poniedziałkowe noce jest prawie zawsze cicho. Kiedy jakaś posterunkowa o bladej twarzy wychodzi do toalety, Brian prześlizguje się obok niej jak liście niesione oddechem wiatru.

Pielęgniarka praktykantka w szarym kitlu robi notatki na kawałku papieru przyczepionym do podkładki i nie unosi wzroku, kiedy on ją mija. Personel przywykł, że ciągle ktoś wchodzi i wychodzi i częścią ich pracy jest wiedzieć dokładnie, kto wchodzi i wychodzi, ale on jest w uniformie i ktokolwiek był na tyle ciekawski, aby rzucić mu drugie spojrzenie, uznałby, że personel sprzątający na oddziale intensywnej terapii jest przeciążony pracą i skierowano go, aby im ulżył.

Światła są przyciemnione, wyjąwszy trzy fluorescencyjne paski, które świecą się dzień i noc. W trzech, czterech wnękach pozaciągane są zasłony. Słyszy ciche mruczenie matki, opowiadającej bajkę swojemu synowi, z którym nie ma kontaktu i rżący oddech innego dziecka, ale większość tych kociazków śpi. W szpitalu czas ma tendencję do wewnętrznych krwotoków i nie do odróżnienia stają się podziały na sekundy, minuty i godziny, nawet między nocą a dniem.

Skórę ma zatłuszczoną, nieumytą, a kiedy sięga dłonią, aby podrapać się po plecach, kość łopatkki wydaje mu się tak ostra i twarda jak krzemień.

Brian zerknął na zegarek. Ukradkowe spojrzenie na tablicę przy dyżurce zdradza mu, że najbliższy obchód będzie pół godziny po północy, czyli, że ma czas dla siebie, tylko musi działać szybko.

Ponownie zapina klip z tyłu uniformu i wślizguje ręce w parę lateksowych rękawiczek. Ich wypudrowany dotyk przyprawia go o dreszcze. Przymocowuje końcówkę mopa do kija i pcha go ku łóżku na drugim krańcu oddziału.

Zasłony, niebieskie i plisowane, zaciągnięte są do połowy, dając iluzję prywatności, jednak

jej nie zapewniając. Jest tak blisko, że może odczytać przyczepioną do nich informację: „Podano fantex przeciwko drobnoustrojom”. Myśli o ukrytej dziewczynce. Chronienie się jest bardzo ważne.

Łóżko otacza policyjna taśma.

Jest teraz spokojnie, dzieci śpią, ale jego przepełniają emocje. Grzechot maszynierii, popiskiwanie alarmów, buczenie interkomu i zapach stęchłego powietrza wymieszany z alkoholem do dezynfekcji. Jest czujny.

Stawia swój żółty trójkąt – „Uwaga mokra podłoga” – i zaczyna systematyczne czyszczenie, przysuwając się coraz bliżej łóżka. Nie powinien teraz tutaj być i tak właściwie spodziewa się zaraz wypytywania przez jakąś pielęgniarkę, dlaczego tak późno zabrał się do sprzątanía. Pamięta jednak słowa swojego starego ojca. „Zachowuj się z pewnością siebie a zdołasz wynieść prawie wszystko”. Wyprostowuje więc ramiona i dalej czyści, jak gdyby była to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

Kiedy jest już odpowiednio blisko, zerka przez ramię. Pielęgniarki cały czas rozmawiają, odwrócone do niego plecami. Zasłony przy innych łózkach są zaciągnięte. Nigdzie ani śladu policjanta. Pochyla się, grzebie w swoim wózku, szukając kartonowego pudełka i obok czystej pizamy oraz książek Roalda Dahla, w szafce z boku pustego łóżka chłopca kładzie królicze kości.

Zarzuca swoją torbę na ramię i sunie dalej przez podwójne drzwi, wpadając prosto na ojca chłopca.

Pochyla głowę, odwraca twarz. Nie sądzi, aby ten mężczyzna go zobaczył.

Brian szybko idzie korytarzem, ryzykuje spojrzenie za plecy, kiedy skręca za róg, trąca ramieniem jednego z tych naciągaczy na zasiłkach, zatrudnionych właśnie przez Karen Suczą Twarz.

– Wesołych świąt, kolego – mruczy jakiś męski głos.

Święta są za miesiąc, głupi chuju, ma ochotę mu odpowiedzieć. Ale teraz nie pora na ściąganie czyjejkolwiek uwagi. Bierze głęboki oddech, wchodzi do windy. Zdenerwowanie czyni go niezdarnym. A jest blisko, tak blisko.

W małym, zagraconym pomieszczeniu na parterze szpitala Royal Suthern nie ma nikogo.

Za sześć godzin zostaną pospiesznie zabrane pobrudzone uniformy i wetknięte do worków. Z poobijanych szafek wyjęte zostaną z kolei buciory, wełniane czapki i rowerowe kaski. Koniec nocnej zmiany, pora spać.

Za sześć godzin utonie w ogólnym zamieszaniu wykrzykiwanych pożegnań i szczęku metalowych drzwi, gdy pracownicy szpitala, w większości personel sprzątający i ci, co mieli dyżury, będą się przygotowywać do wyjścia.

Ale nie teraz. Teraz jest połowa zmiany i prawie nie ma tu żywej duszy.

Na wszystkich ruchomych oknach osadza się wilgoć, jej krople skapują też z sufitu. Przez szczeliny w ceglanej ścianie wpełza mroźne powietrze i zderza się z wiszącą falą ciepła z podkręconych grzejników. Po niebie pnie się cienki księżyc.

Brian jest wykończony, ale jeszcze nie kładzie się spać.

Nigdy nie patrz za siebie – powiedział kiedyś ojciec, w jednej ze swoich rzadkich chwil refleksji. Byli na jakiejś plaży, w obskurnym miasteczku, którego jeszcze nigdy nie odwiedzał, parę kilometrów jazdy od ich przyczepy kempingowej. Teraz nie potrafi sobie przypomnieć nazwy tego miejsca, tylko uczucie, że tam był. Wciąż jeszcze słyszy syntetyczną symfonię maszyn do gier, burzę upadającej monety, wodospad drobniaków uderzających o metal, ich zapach w dłoniach.

– Co masz na myśli, tato? – Dojadł pączka, rozkoszując się jego tłustym ciepłem i oblizywał cukier z warg. Potem sięgnął do papierowej torby po następnego.

– Nie warto niczego żałować. Rób to, co robisz. Nigdy nie oglądaj się za siebie.

I nigdy się nie oglądał. Bo nawet jeśli przeklinał to miejsce, coś go tutaj trzymało. Jeśli ktokolwiek zapyta go kiedyś, dlaczego wciąż tam pracuje, puści oko i odpowie, że dla pielęgniarek. Ale tak naprawdę to dla tego całego syfu rzucanego mu pod nogi, tej presji całkiem nowego życia, bycia świadkiem samego jego początku. To go odnawia.

Ale pora się ruszyć, znaleźć gdzieś coś nowego. Znowu myśli sobie, że policja jest już blisko.

Sracz dla kalek śmierdzi szczyną. Podłogę zaśmiecają skrawki papieru toaletowego. Unikając fosy wokół miski klozetowej, wypuszcza strumień w wodę o barwie gówna. Szybko ściąga miękkie, bawełniane spodnie i zdejmuje bluzę przez głowę. Rozpina zamek torby, wsuwa swój uniform do poszwy na poduszkę, gdzie są już poufne dane medyczne kilku pacjentów w różnym stopniu dotkniętych deformacjami kości.

80

Godzina 24.38

Brian Howley się mylił. Erdman go zobaczył. Albo przynajmniej zobaczył znajome siwiejące włosy, trupią chudość.

Gdy jego mózg zdołał połączyć się z ciałem, podwójne drzwi oddziału intensywnej terapii właśnie się za nim zamykały i Erdman odwrócił się, uderzył wnętrzem dłoni o otwierający je przycisk.

– Dalej – wymamrotał. – No, dalej.

Drzwi gramoliły się z powolnością przyprawiającą o szaleństwo. Przecisnął się, gdy tylko pojawiła się ciasna szparka. Jego sportowe buty klapały po szpitalnej posadzce. Dotarł na róg korytarza, nie miał pojęcia, czy iść w lewo, czy dalej biec przed siebie. Przyjrzał się korytarzom, ale oba były puste.

Ten facet tutaj sprząta.

W tym szpitalu.

Miał Jakeya pod nosem.

Tak jak mojego brata.

Ignorując gasnący ból obrażeń sprzed tygodnia, Erdman rzucił się w dół, przez siedem pięter, aż do głównego holu; przyjrzał się pijakom, ofiarom domowych awantur i chodzącym rannym. Dostrzegł mignięcie włosów w świetle reflektorów na zewnątrz szpitala.

Wybiegł z budynku w stronę parkingu.

Jakiś ambulans z piskiem wjeżdżał w zatoczkę przed szpitalem, zasłaniając Erdmanowi widok. Uskoczył przed nim, cały czas szukając obcego, który nawiedzał jego życie. Bolały go płuca, każdy oddech był jak wyrzut sumienia.

Do szlabanu podjeżdżał jakiś mały biały samochód.

Biały samochód ze znajomym kierowcą. Żadna szara furgonetka. Erdman domyślił się, że ona stoi gdzieś w garażu, z dala od wścibskich oczu.

Wyteżył wzrok, aby dostrzec numery rejestracyjne, cokolwiek, co mógłby przekazać policji. Tyle że Erdan niewiele wiedział o markach, modelach i pojemności silnika. „Panie Frith, co może pan nam powiedzieć o jego pojeździe? Hm, spod lakieru prześwitywała rdza i z boku było takie brunatne zadrapanie, ale było ciemno, więc trudno powiedzieć”.

Dostrzegł mignięcie czerwonych tylnych świateł skręcających w prawo. Erdman pobiegł do własnego auta, upuścił kluczyki na asfalt. Kiedy uruchomił silnik, tanto auto odjechało.

– Kurwa – powiedział, waląc pięścią o drzwiczki.

Wiatr się wzmógł, pchając po niebie chmury. Wyobraził sobie zamykającą się wokół niego ciemność. Życie jego syna mogło zależeć od tego, jaką teraz podejmie decyzję.

Wcisnął pedał gazu.

Erdman dogonił go na światłach w Rushey Green, zsuwając się na swoim fotelu tak nisko, jak tylko się odważył. Co on, kurwa, wyprawiał. Przecież nie był żadnym bohaterem. Nie miał telefonu, więc nie miał jak skontaktować się z policją. Ale nie mógł pozwolić mu zniknąć.

Niech tropiący stanie się tropionym.

Drzewa były ogołoczone z liści do samych gałęzi, a ostry wiatr niczym wydech mknął przez pochyłość parku. Usadowił się w nim nocny mrok, zmieniając krzaki w niewyraźne smugi. Na bezchmurne niebo wschodził księżyc.

Fitzroy, z miejsca w którym stała, ledwie widziała biurowce Canary Wharf, wznoszące się niczym monolity. Pióropusz pary unosił się ponad One Canada Square, kiedyś najwyższego budynku City, teraz prześcigniętego przez Shard. Ruch na A2 był odległym szumem. Nawet zmiana pór roku nie mogła naruszyć piękna Greenwich Park.

Ze szpitala ruszyła prosto do centrum operacyjnego policji, ale tam usiadła wkurzona i czując się beużyteczna, zastanawiała się, gdzie do cholery podziewa się Frith. W głowie mielila słowa Karen.

– To pewnie nic takiego – powiedziała, gdy odnalazła Fitzroy na szpitalnym parkingu. – Ale zastanawiałam się, czy pani wie o domu.

– Jakim domu?

– No tak. W ogóle o tym zapomniałam, ale kiedy siedziałam w swoim biurze, rozmyślając o Brianie i o tym, jak mało go znam, przypominałam sobie coś, co się stało w zeszłym roku.

– Proszę mówić.

Twarz Karen zalało białe światło reflektorów przejeżdżającego obok auta.

– Przez trzy tygodnie nie przychodził do pracy. Bez żadnych wyjaśnień, żadnego telefonu, w ogóle niczego. Wreszcie pojechałam się z nim zobaczyć. Wyglądał okropnie. Okazało się, że zmarł mu ojciec. Wie pani, wyglądał na tak zdruzgotanego, że było mi go żal. Wiedziałam, że ma chorą żonę, więc zaproponowałam pomoc w posprzątaniu domu po ojcu, zaproponowałam, że jeśli chce, mogę mu przysłać ekipę ze szpitala. Oczywiście po cichu.

Rysy Karen stężały.

– Zaczął się na mnie wydzierać, że to nie moja sprawa, że ten dom teraz jest jego i że sam go sobie posprząta – zmarszczyła nos z odrazą – jak będzie miał „jebnany” czas. – Cmoknęła z dezaprobatą. – Potem przez miesiąc prawie ze mną nie rozmawiał.

Dom jego ojca.

Doskonale miejsce, aby ukryć rzeczy, które należało trzymać w ukryciu.

Korzystając z daty urodzin Howleya z jego danych osobowych w szpitalu, Fitzroy przewertowała bazę danych dotyczących urodzeń i znalazła nazwisko jego ojca. Potem już było łatwo znaleźć w spisie wyborców adres Marshalla Howleya. Jak to ona, w Experian sprawdziła jeszcze kredyty, szukając poprzednich adresów Briana Howleya.

Był tylko ten jeden. Pasował.

Jej instynkty śpiewały, orkiestra w synapsach zaczynała uwerturę. Musiała to wykluczyć. Chociażby dla własnego spokoju.

Nie mówiąc nikomu, pięć minut później wyslizgnęła się z biura.

Znowu zaczęła biec. Było tak ciemno, że ledwie cokolwiek widziała, wyjąwszy miękkie eksplozje swojego oddechu uderzające powietrze.

Powinna o tym powiadomić, powinna. Ale szef wyraził się jasno, aby ją odsunąć. Karen miała rację: to pewnie nic nie było. Jeśli się pospieszy, będzie mogła to sprawdzić i zdąży jeszcze wrócić, żeby przesłuchać Howleya.

Palto miała wilgotne i ciężkie, skórę oziębł bezlitosny deszcz. Wydało się jej, że wyczuwa za sobą jakiś ruch i odwróciła się gwałtownie, ale dostrzegła tylko blask księżyca, sączący się przez sito z drzew, oświetlając gałęzie uformowane jak naczynia krwionośne.

Spojrzała w dal, ponad światłami City.

Jeśli teraz odejdzie, nikt nie będzie miał do niej pretensji. Będzie mogła zacząć nowe życie, jako florystka. Albo bibliotekarka.

Clara mogła już nie żyć, Grace też. A Jakey? Zabije go jego choroba, nawet jeśli nie zrobi tego kolekcjoner Kości.

Dlaczego po raz drugi miała ryzykować karierę, działając bez pozwolenia?

Dlaczego miała ryzykować życie?

Ale już знаła odpowiedź.

Bo cudze pretensje nie miały żadnego znaczenia. Sama mogła mieć do siebie pretensje. Za to, że zechciała życia bez obciążeń sumienia. Bo tutaj w ogóle nie chodziło o nią. Chodziło o to, aby małemu chłopcu i małej dziewczynce dać szansę na przetrwanie, a ich rodzinom dać szansę, aby się odbudowały.

Wysłuchała się w wycie wichru i przeszedł ją dreszcz.

82

Godzina 1.01

Brian wszedł do domu i odetchnął zapachem swojego drugiego życia: środka do czyszczenia mebli, środka dezynfekującego i rozgotowanej mielonki.

Od razu wiedział, że ona śpi; dom czekał na niego, wyczuwał to, a teraz gdy wrócił, dom się odprężył, witając go skrzypieniem i nieznacznym ruchem. Jednak nie mógł poczuć się zbyt wygodnie. Już prawie nadszedł czas. Nie uniknie tego, nie wykpi się od

odpowiedzialności.

To jego powinność.

Boli go biodro i lekko się zatacza, gdy ściąga buty i rzuca je pod ścianę. Kuśtyka przez przedpokój do kuchni, gdzie zrzuca torbę na imitację marmurowego blatu.

Może to artretyzm. A może napięcie ostatnich kilku dni. Nie ma pewności. Chciał tylko długiej kąpieli, aby dać odpocząć swoim kościom, aby ze znużonego ciała zmyć osad najdłuższego dnia, jednak wie, że to nie jest możliwe. Jeszcze nie.

Prawdę mówiąc, to się martwi.

Tamta paskudna sprawa z Marilyn i króliczym szkieletem wytrąciła go z równowagi. Przypomniała mu o jego kruchości. O wrażliwości na ciosy.

A w drodze do pracy widział policję w szpitalu, przeszedł obok Karen Suczej Twarzy Matthews, uzewnętrzniającej się na parkingu tej węższej suce Fitzroy.

Nie wie, kiedy przyjdą. Tylko że w końcu to zrobią.

Myśli, że powinien stąd odejść. Nic go tutaj nie trzyma. Powinien spakować swoją kolekcję i nie oglądać się za siebie.

Ale najpierw musi zabrać chłopca.

Albo go zabić.

Zatopić w nim nóż.

Odsłonić piękno skryte pod skórą.

Mózg ma zmęczony, ale musi myśleć. Zalewa ogród światłem, wychodzi na zewnątrz zając się króliczkami. Przez jakiś czas czyści klatkę, napełnia wodą butelki, rozkłada świeżą słomę.

Kiedy kończy, dom nadal pogrążony jest w ciemnościach. Idzie do kuchni i odgrzewa rondel zupy, zanoszą do jej pokoju.

Gumka spłowiałej maski na oczy jest tak naciągnięta na czole, że aż wystaje znad niej fałdka ciała. Skórę ma bladą. Oczy są otwarte, ale już niczego nie widzą. Marilyn już nigdy niczego nie zobaczy.

Siada na krześle i podaje jej do ust łyżkę zupy. Zupa się rozlewa, wyciera strużki chusteczką.

– Kochanie, jedz, jedz. Musisz nabrać sił.

Ona nie odpowiada.

On idzie długim korytarzem lat, jakie razem spędzili. Kiedyś uwielbiali ze sobą rozmawiać, śmiać się. To było całe życie temu.

Zima 1974 roku. Widzi Marilyn w szpitalnym łóżku, jej oczy lśniące nadzieją, kiedy zatrzymuje się, aby zamienić z nią kilka słów. Ból jeszcze nie odcisnął na niej swojego piętna. To miejsce nazywało się wówczas Oddział Jałowca.

Widzi ją w dzień ich ślubu. Pannę młodą w sukni zdobionej ręcznie wyrabianymi koronkami, z bukietem czerwonych i białych chryzantem.

Widzi, jak się do niego uśmiecha. Wózek inwalidzki wcale nie pomniejsza jej piękna, raczej je zwielokrotnia.

Widzi jej smutek przez to, że nigdy nie zostanie matką.

Widzi, jak ugina się pod ciężarem skoliozy, niczym młode drzewko na wietrze.

Widzi ją teraz.

Jej oczy są otwarte i w ogóle się nie zmieniły.

– Kocham cię – mówi, przesuwa kciukiem po jej chłodnym, suchym policzku. Wspólnie wślizgują się w znoszone bambosze ciszy.

Kończy zupę i myje swój talerz. Chociaż jest już późno, nie potrafi się odprężyć. Grube zasłony powstrzymują ciemność napierającą na okno, ale jego uszy nieustannie nasłuchują pukania do drzwi.

Wreszcie wchodzi do jej łóżka. Jej ciało jest zimne, nawet ciepło jego ramion nie wystarcza, żeby przegonić śmierć. Zamyka jej oczy. Odpocznie jeszcze godzinę, a potem zacznie swój nocny trud.

Pies sąsiadów ujada, a pęcherz wysyła pilne sygnały do mózgu, jednak Brian nie chce zostawiać żony, chociaż musi. Nadeszła zapowiadana wichura, deszcz ze śniegiem siecze o dach. Nie naprawił przecieku, w komórce zaraz zacznie kapać. Powinien wstać i poszukać wiadra.

Tak samo padało w noc, kiedy zniknęła jego matka. Miał dziesięć lat. Sylvie. Srebrna Dziewczyna. Wciąż pamiętał dotyk jej ciepłej dłoni. Jej żółte buty rozbryzgujące kałużę, jej jasny uśmiech pod przeciwdeszczowym kapeluszem, jak słonecznik wśród burzy. I dziurę jej nieobecności, wypaloną w tle jego życia.

– Odeszła. – Ojciec mówił szorstkim, twardym tonem. – Teraz do mnie należy zrobienie z ciebie mężczyzny.

Tamtej nocy po raz pierwszy asystował ojcu podczas sekcji.

Brian z całych sił skupia się na tym, aby zignorować jeszcze inne, bardziej natarczywe pragnienie. Ono go szturcha, zmusza, by zwrócił na nie uwagę. Wzdycha i ostrożnie przerzuca nogi nad krawędzią łóżka, tak aby nie potrącić Marilyn. Krew odpływa mu z głowy, wokół mózgu wiruje pasmo błyszczących gwiazdek. Zamyka oczy, czeka, aż to uczucie przejdzie.

W domu jest lodowato zimno. Ona nie lubi, kiedy na noc włącza się ogrzewanie, bo wtedy puchną jej kolana, a nogi niespokojnie uderzają o pościel. Cicho zamyka za sobą drzwi.

Światło na szczycie lodówki rzuca zielonkawy poblask na kuchnię, gdy nalewa sobie szklankę wody z kranu i opiera się o zlew, aby się napić. Zastanawia się, czy nie zrobić kanapki. Albo dorzucić do pieca w salonie i poczytać dzisiejszą gazetę. Taktyka opóźniająca. Nie chce jej zostawiać. Jednak widzi, że nie ma innego wyboru. Czas nagli. Trzeba złożyć

ofiare.

Ubranie wisi schludnie w plastikowej torbie, na wieszaku w jego pokoju. Ponieważ marznie, szybko zdejmuje spodnie od piżamy i zakłada czarne spodnie, które luźno zwisają w pasie. Czarną, prążkowaną marynarkę, parę czarnych butów o ostrych czubkach. Łańcuszek na szyję. Jeszcze torba i zapach śmierci w nozdrzach.

Kiedy wyślizguje się z pokoju, dostrzega w szkle swoje blade odbicie. Spogląda na niego Kolekcjoner Kości.

– Do widzenia – szepcze. – Do widzenia.

83

Godzina 2.41

Erdman prawie go przegapił. Gdyby nie ujadanie psa, to by zasnął, przykryty starym kocem, który za sprawą nalegań Lilith wozili w bagażniku.

Był zziębnięty, obolały, a najrozsądniejsze wydawało mu się teraz podjechać do najbliższego komisariatu i opowiedzenie tam wszystkiego, co wie.

Jednak Erdman nigdy nie miał za dużo czasu na rozsądne rzeczy, a jakiś instykt kazał mu czekać. Bo jeżeli to był ten sam człowiek, który porwał jego syna i Clare Foyle, jeżeli istniała jakaś szansa, że jeszcze żyli, to z pewnością nie trzymał ich w tym ciasnym bungalowie z trawnikiem wielkości znaczka pocztowego, nad którym z każdej strony piętrzyły się domy i nigdzie nie było widać nawet śladu garażu dla szarej furgonetki.

Nie, on przyglądał się i czekał, aby starannie wybrać moment konfrontacji, nawet gdyby to miało oznaczać czekanie tutaj przez całą noc.

Erdman przeciągnął się, uderzył kolanem o kierownicę i pożałował, że nie włożył grubszej kurtki. Księżyc wisiał nad jego autem, dzieląc się światłem. Ziemię okrywał szron. A Erdman, kątem oka zauważył jakiś ruch.

Serce zaczęło walić mu jak oszałałe.

Mężczyzna szedł prosto na drugą stronę ulicy, z jakąś torbą w ręku. Erdman wyślizgnął się z samochodu w noc.

Nieoznakowana furgonetka powoli wsunęła się na swoje miejsce. Autoryzacja i przygotowanie działań przy udziale uzbrojonych funkcjonariuszy policji zajmuje zwykle wiele godzin. Szef wiedział, że to ich szansa, ich okazja. W skrócie – nie wolno mu było tego spieprzyć.

Oczywiście, mógł to przekazać nocnej zmianie. Jednak podobnie jak w każdą z dziesięciu nocy od zaginięcia pierwszego dziecka uznał, że nie jest w stanie zrezygnować z dowodzenia akcją. Sen we własnym łóżku, ciepłym i bezpiecznym, nie wydawał się czymś dopuszczalnym tak długo, aż nie zostaną odnalezione zaginione ofiary, dlatego podobnie jak Fitzroy tylko co jakiś czas łapał godzinę snu.

Fitzroy.

Jedna z jego najlepszych ludzi, nieważne czym się zajmowała. A jednak zachowywała się tak, jak gdyby chciała sobie spieprzyć karierę. W zeszłym roku nieźle się nagimnastykował, wstawiając za nią. Mało brakowało, a postawiono by jej zarzuty. To by jej dopiero zapaskudziło papiery.

Wiedział, dlaczego to zrobiła. Zarejestrowany pedofil, mieszkający kilka ulic od domu Grace Rodriguez przyznał, że spacerował po Oxleas Woods z psem w dzień zniknięcia dziewczynki i nikt nie mógł zapewnić mu alibi.

Dodała dwa do dwóch i wyszło jej pięć.

Miała szczęście, że wtedy nie wyleciała z pracy, ale teraz jeszcze nie czuł się gotowy, aby wypuszczać ją do akcji w teren. Nie, dopóki się nie upewni, że można jej ufać.

Funkcjonariusze w jego furgonetce rozmawiali pełnymi napięciami, ściszonymi głosami. Powietrze aż drżało od emocji. Sprawdził stoper. Zaczynał się denerwować, nie wiedział, czy dobrze zrobił, sugerując, aby czekano właśnie tyle. Wołał jednak uderzać w podejrzanego, gdy ten nie był przygotowany, kiedy był najbardziej bezbronny. Zresztą i tak postanowił przyspieszyć rajd o całą godzinę. Prawie już nadeszła pora.

Przy odrobinie szczęścia Brian Howley będzie spał, korzystając z wolnej nocy. Nie będzie miał żadnych szans przeciwko czterem furgonetkom i falandze policji.

Szef nie mógł wiedzieć, że jego cel wymknął się tylnymi drzwiami siedem minut temu i teraz był już tylko dwie ulice od domu swojego ojca.

Znów spojrzął na zegarek i tym razem dał sygnał.

Garnitur i krawat to doskonałe ubranie. Do tego jeszcze wypolerowane czarne buty. Muszka jest już przesadą, a dżinsy i sportowe buty są zbyt niechlujne. Jednak czarny, prążkowany garnitur, do tego czarny krawat i wykrochmalona biała koszula nadają odpowiednią aurę władzy, kontroli. To aż dosłownie domaga się respektu.

Starannie dobiera strój. Ważne, aby wyglądać jak najlepiej. To dziwna sprzeczność, ale sposób, w jaki się ubiera, pozwala mu jednocześnie się wyróżniać i zniknąć z zasięgu.

Mżawka kłuje go w twarz, ale prawie nie zwraca uwagi. Drży, chociaż nie z zimna, a z wyczekiwania. Nie widzi ojca, który wśród ciemności idzie kilka kroków za nim.

Powietrze pachnie siarką z fajerwerków, wystrzeliwanych przez tych obrzydliwych nastolatków, których w parku tylu, co psich gówien. Dawno już minęła Noc Guya Fawkesa, ale wydaje się, że te bachory czerpią jakąś sadystyczną przyjemności z detonowania rac.

Zastanawia się, co by zrobiły, gdyby pokazał im skalpel ukryty w marynarce.

Dzisiaj w końcu zacznie odsłaniać szkielet chłopca. Może doda trochę wody utlenionej, żeby wybielić kości.

A potem jego kolekcja stanie się wspaniała.

Myśli o swojej żonie i bodzie go smutek.

Kiedy się poznali, miała dwadzieścia siedem lat. Te oczy, ten jaśniejący uśmiech. Szpitalne oddziały były wtedy większe, a obowiązujące na nich przepisy surowsze, ściślej przestrzegane. Dwa miesiące wcześniej odbyły się wybory, które stary Wilson wygrał o włos. Londyn był miastem oglądającym się przez ramię. Wybuchy bomb, strajki i gnijąca moralność stanowiły materię codziennego życia.

Oddział wtedy spał. Dopóki nie zapytała go o imię. Odwrócił się gwałtownie, zaskoczony tym zakłóceniem ciszy.

– Brian – powiedział.

– Cześć, Brian.

Uśmiech miała równie krzywy jak kręgosłup.

Tam się to właśnie zaczęło i nigdy nie skończyło.

Idzie pospiesznie, mija porzucone opakowania, psie kupy, idzie pod ziejącym, nocnym niebem. Jest już tak blisko, że niemal czuje tego smak, ten balsam, który ukoi mu sny, tak spękane jak wargi.

Fitzroy czuła, że jeśli zaraz nie położy się spać, to zatrzyma się ze zgrzytem, jak króliczek z reklamy Duracella, który coraz wolniej i wolniej uderzał talerzami, aż wreszcie nieruchomiał. Nie spała już od tylu godzin, że nie dało się ich zliczyć. Oczy ją piekły, były podkrążone. Jednak zaraz powinna zadziałać świeża dawka adrenaliny. Żywych czy martwych, musiała odnaleźć ich wszystkich: Clare, Jakeya, Grace.

Komisarz Angela Carpenter ogłosiła alert, gdy tylko wróciła na swój posterunek i zobaczyła nieco uchylone drzwi szpitalnej szafki.

Przy piżamie i książkach chłopca leżał następny króliczy szkielet. Coś makabrycznego i jednocześnie spodziewanego. Obok kolejny cytat: „Czy te kości żyją?” Te słowa sprawiły, że Fitzroy przeszedł dreszcz.

Dostała potwierdzenie, którego potrzebowała, linię łączącą wszystkie kropki. Brian Howley miał motyw i miał okazję.

Zadrwił z nich pod samym nosem.

Nie odnaleziono jeszcze żadnego ciała, ale wiedziała, że to jedynie kwestia czasu. Po prostu jeszcze nie mogła oficjalnie potwierdzić tego, że jakiś seryjny morderca zabiera dzieci z deformacjami kości.

Zawodowe emocje zwykle wyostrzały jej myśli, jednak nie dzisiaj. Dzisiaj ciało miała ociążałe, uplecione ze zmęczenia, rozpaczy i nadziei.

W przeciagu godziny wejdą do domu Howleya. A ona, Fitzroy, miała czekać w komisariacie, aby go przesłuchać. Uwierzyła „dzyń” w swojej głowie, mówiącemu, że należy jeszcze sprawdzić adres, pod którym mieszkał jego ojciec. Pewnie i tak okaże się to ślepym zaułkiem. Szef okaże się mądrzejszy. Jednak przecież nie mogła tak siedzieć w komisariacie, wyłamując palce i nic nie robiąc, podczas gdy trwała policyjna akcja. Tak to już było ze ślepyimi zaułkami. Gdy się już nimi poszło, nie było innej drogi.

Fitzroy, przemierzając ten krótki odcinek ulicy, wpatrywała się w sklepowe witryny, które rozmywały się i drżały w deszczu. Nie potrafiła wymazać z głowy obrazu Jakeya Fritha. Jego łopatek wystających jak anielskie skrzydła. To przecież było małe dziecko.

Śmierć bywała okrutna, tak brutalnie wchodząc w codzienne życie. Jednego dnia spakowane drugie śniadanie, lekcje pływania i wspólna zabawa, a drugiego po prostu koniec. Jakiś skuter. Cofające się auto. Zabójca. I bum. Nie ma już ciepłych, lepkich rączek do potrzymania. Nie ma już buziaków. Nie ma już nieporządku i bałaganu, nie ma żadnego hałasu poza rykiem ciszy, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, długo po tym, jak ci, co złożyli kondolencje, wrócą już do własnych rodzin. Zaczyna się nowy rodzaj pólzycia.

Pomyślała o własnej ranie, tym, że chociaż się zasklepiła, to blizna wciąż była widoczna.

Ból straty mógł człowieka pochłoniąć, jeśli tylko mu się na to pozwoliło. Niektóre nieszczęsne dusze, kiedy go już dopuszczają, nigdy nie są w stanie ponownie odetchnąć. Przez wszystkie lata, które minęły, potrafiła oddychać. Ale naprawdę, z trudem.

Powinna chronić Jakeya. Poczucie winy kłuło ją niczym cierniowa korona.

Ulice były ciche. Mizerny księżyc ze wszystkich sił próbował przedrzeć się przez adamaszkowe ciemności, ale wkrótce dał za wygraną i pozwolił chmurom się zasłonić.

Fitzroy cały czas szła, mijając nocne bary z kebabem i bramy zamieszkałe przez bezdomnych.

Bolały ją stopy, czuła się bardzo, ale to bardzo zmarznięta, wołała jednak unikać tej całej biurokracji związanej z pobieraniem służbowego auta, wszystkich tych pytań i spojrzeń pełnych współczucia. Siadła na ławeczce przed wejściem do kościoła Najświętszej Marii Panny przy High Street i patrzyła na przemykające samochody.

Myśli kierowała ku Ninie i swojemu siostrzeńcowi, Maxowi. Ku Davidowi i martwemu ciężarowi ich małżeństwa. Ku samotnym i opuszczonym Clarze oraz Jakeyowi. Ku innej nocy, takiej jak ta.

Podłoże było nierówne, pełne gałęzi i błotnistych kałuż, a ona zataczając się, parła coraz głębiej w mrok.

Fitzroy wcale nie chciała, żeby tutaj przychodziła, było o wiele za ciemno, ale Conchita Rodriguez nalegała. Powiedziała, że jest to winna córce.

Napierały, brnąc w ciemną płataninę drzew. Z konarów spadły jesienne liście, pozostawiając je nagie, lecz światło księżyca było zbyt słabe, aby przedrzeć się między gałęziami.

Blask latarki Fitzroy podskakiwał, gdy szła. Pani Rodriguez milczała.

Wreszcie dotarły do białego namiotu i policyjnej taśmy rozpiętej między drzewami. Wyglądało to jak fragment posepnego festynu.

Wzmógł się wiatr, zdmuchnął chmury zasłaniające księżyc. W snopie srebrnego blasku, pod konarami samotnego jarzębu, pani Rodriguez patrzyła na miejsce, w którym jej córka stanęła twarzą w twarz z ciemnością. W błagalnym geście padła kolanami na wilgotną, pełną zgnilizny ziemię.

Fitzroy wstała.

Obcasy jej butów skrzypiały na okrytych szronem chodnikach. Wyobrażała sobie siebie jako wypatrującą źródeł ciepła kamerę na podczerwień, przedzierającą się przez czerwone cegły wiktoriańskich szeregowców, którymi dławiała się ta część miasta.

Patrowała ulice, aż na stopach powychodziły jej pęcherze – i wtedy nagle dotarła na miejsce.

Ten dom wcale nie rzucał się w oczy, był zwyczajny, anonimowy. Powąłęsała się trochę ulicą naprzeciwko. Wyostrzyła zmysły pomiędzy smagnięciem wichru a odległym szumem

ruchu samochodowego z A21.

Właśnie starała się zdecydować, co powinna dalej robić, czy wybić okno, czy może wspiąć się po ogrodzeniu i poszukać tylnych drzwi, kiedy dostrzegła chudą postać, przemykającą ścieżką przez ogród.

Ponownie przywarła do muru. Wpierw zdawało się, że mężczyzna jej nie zauważył, ale potem opuścił rękę trzymającą pęk kluczy i odwrócił się od domu, przyglądając nocnej ulicy. Zrobił kilka kroków w stronę Fitzroy i zamarł bez ruchu. Policjantka, która miała już nogi jak z waty, odetchnęła, ale nie z ulgi, tylko żeby wyrzucić z siebie strach, gromadzący się we wnętrzościach jak zawartość gejjera tuż przed wybuchem.

Mężczyzna miał czarne oczy, nie mrugał, a kiedy jego spojrzenie napotkało jej wzrok, przez chwilę dostrzegła w tych oczach wiedzę o niewypowiedzianej grozie. Zapragnęła uciec od ciemnej postaci, idącej ramię w ramię ze śmiercią, lecz oczy ją przygwoździły, nie potrafiła się wyrwać.

Mężczyzna przeszedł na drugą stronę ulicy, zbliżając się do Fitzroy. Niebo ponad nią ściemniało, wiatr ucichł, wydawało się, że zaraz połknie ją noc.

Policjantka krzyknęła, niezgrabnie wycofała się w alejkę, szukając jakiegoś skrótu, żeby szybko się stąd wydostać, ale wszędzie były mury, a po obu stronach ulicy rzędy przepełnionych koszy na śmieci, dlatego znowu przycisnęła się do wilgotnej szorstkości. A potem on już był obok, poczuła na twarzy jego cuchnący oddech. W patykowatych palcach ścisnął skalpel.

Mówił łagodnym, uprzejmym tonem, jak gdyby prowadził zwyczajną rozmowę.

– Detektyw Etta Fitzroy. Co za przyjemność wreszcie panią spotkać.

Nie odpowiedziała. Nie byłaby w stanie.

Wpatrywała się w niego.

– Wie pani, że Grace, kiedy umierała, to wzywała ojca, a prawie nie wspomniała o matce?

Fitzroy wiedziała, co to strach, ale teraz strach był zagnieżdżonym w trzewiach przerażeniem, wykręcał żołądek i zaciskał się na sercu. Wystarczał sam ten człowiek, sama jego powierzchowność. Nosił śmierć Grace jak medal zasługi.

– Chcę teraz odejść – powiedziała. – Puść mnie, a odejdę i nie będę oglądała się za siebie.

Zadał głowę, taksując ją wzrokiem.

– Nie sądzę, aby to było możliwe.

Właśnie w tym fragmencie czasu wszystko co trzeba, stało się zrozumiałe, a Fitzroy zobaczyła, że zdecydowano już o jej przyszłości.

Mężczyzna okręcił się i zawirował skalpelem z taką prędkością, że nie dało się odróżnić matowej płaszczyzny ostrza od jednolitej barwy nocy. Jak łucznik cofnął i uniósł broń, zataczając nią zgrabne półkole. Uderzył Fitzroy w klatkę piersiową, między prawdziwym siódmym zębem a fałszywym ósmym.

Otworzyła usta do krzyku, ale wydobył się z nich tylko zduszony pomruk. Zatoczyła się

na kosz śmieci. Coś mokrego i zgniłego poleciało jej na spódnicę, potem upadła na chodnik, rozdierając pończochy i ocierając kolana.

Mężczyzna piętrzył się nad nią, wysoko unosząc ostrze, triumfujący, ale zdeterminowany. Ciął, celując w ramiona, rozdarł materiał płaszcza, a wewnątrz niej rozkwitł ogień. Fitzroy ponownie otworzyła usta, by krzyknąć, aby krzyczeć, dopóki nie zedrze sobie gardła, dopóki on nie zniknie w szarawych cieniach.

Ale wtedy pojawiła się u niej jedna prosta myśl, a była to myśl tak śmiała, tak różna od ciągu czynności, jakie powinna teraz wykonać, że od razu wiedziała, że jest to myśl słuszna.

Nagle zwiotczała, wstrzymała oddech. Skalpel zawisł nad nią z niezdecydowaniem, a potem mężczyzna upuścił go i w bladej poświacie gwiazd zarzucił sobie Fitzroy na ramię, a następnie zaniósł do domu swojego ojca.

Kiedy Fitzroy otworzyła oczy, policzek miała przyciśnięty do drewnianej podłogi, a nozdrza wypełniał jej zapach stęchlizny.

Przytuliła twarz do chłodnej twardości posadzki. Uspokajało ją takie leżenie w ciemnościach. Bok ciała był bardzo poobijany, lecz kamizelka antynożowa obroniła przed ukąszeniem ostrza. Znacznie gorzej działo się z ramieniem, teraz wilgotnym, lepkiem i piekącym jak diabli. Komórka i radio zniknęły. Wpatrywała się w plamę pleśni na ścianie, dusząc ból.

Pokój był niewielki, prostokątny. Ściany miał z cegły, obnażone jak ludzkie szkielety otaczające detektyw półkolem. Wpatrywała się w kościotrupy, szeroko otwierając oczy. Obrane do gołych kości zwisały z sufitu na metalowych prętach wkręconych w czaszki.

Jednak podstęp Fitzroy się udał. Nie miała związanych rąk, leżała na boku w jakimś pokoju o ciężkich drzwiach. Wnętrze brzucha podrażniły jej skrzydełka motylków.

Panował lodowaty ziąb. Potarła się po gęsiej skórcie na przedramionach. Niechcący szarpnęła ranę, skrzywiła się z bólu. Na posadzce obok zgromadziła się kałuża krwi. Pachniała jak monety, które w dzieciństwie zbierała do butelki po whisky.

Nauka nie znała sposobu na dokładne określenie poziomu strachu. Podobnie jak Fitzroy. Niektórzy uważali, że przerażenie zmienia krew w lód. Inni, że ludzkie serce zaczyna bić tak szybko, że aż wyrywa się z piersi. Fitzroy pomyślała, że żadna z tych rzeczy tak do końca nie jest prawdziwa. Dla niej strach był ukłuciem oczekiwania, zimnym prysznicem potu spływającym pomiędzy łopatkami, świadomością działania zła.

Zastanawiała się, czy właśnie patrzy na kości Grace Rodriguez.

Wzięła głęboki oddech, spróbowała uspokoić nerwy, myśleć logicznie. Trafiała do komnaty Domu Umarłych i nikt o tym nie wiedział.

Jednak głosik gdzieś w środku niej podpowiadał, że przypuszczalnie, w tym domu jest jeszcze Clara. I jest Jakey.

Tylko nie wiedziała, czy jeszcze żyją. Fitzroy zmusiła się, aby uklęknąć, z bólem powlekła się na czworakach w stronę drzwi. Musiała spróbować jakoś dotrzeć do dzieci, znaleźć drogę ucieczki.

Detektyw opuszczały siły, a utrzymujący ją na chodzie strumień adrenaliny robił się coraz słabszy, aż wreszcie zanikł zupełnie. Usłyszała rżenie własnego oddechu. Powinna iść do szpitala. Rana na nadgarstku zasklepiła się, jednak wysiłek związany z przemieszczaniem się, znowu ją otworzył. Policjantka traciła krew.

Naparła na drzwi. Pozostały zamknięte.

Twarz Fitzroy była teraz tak blada, że w księżycowej poświacie wyglądała jak zamrożona. Detektyw położyła się na podłodze, tylko na chwilę.

– Muszę się ruszyć – wymamrotała. – Tu nie jest bezpiecznie.

Ale nie miała gdzie ruszyć. Nigdzie.

„Głupa dziewczynka”.

Fitzroy była jak szczur w potrzasku.

87

Godzina 3.03

Erdman usłyszał krzyk, był tego pewien. Krzyk kobiety. Taki, jak gdyby coś ją zabolalo. Zawahał się. Dał nura za jakiś samochód i czekał.

– O, kurwa...

W pomarańczowej poświacie ulicznych świateł zobaczył mężczyznę wnoszącego jakąś kobietę do wnętrza budynku. Kobietę o takich samych lokach jak detektyw Fitzroy.

Erdman wiedział, że ma teraz dwa wyjścia. Może zapukać do jednego z pogrążonych we śnie domów, znaleźć tam telefon, zadzwonić na policję i stracić cenne minuty, czekając i tłumacząc, pozwolić komuś na podjęcie decyzji i przejęcie kontroli.

Albo może też zrobić rzecz, jakiej nigdy dotąd nie robił.

To, co kazało mu zrobić serce.

Był na miejscu. Teraz, właśnie teraz mógł się do czegoś przydać. Mógł przydać się Fitzroy i mógł odnaleźć syna.

Erdman obiegnął dom, szukając innego wejścia. Znalazł obłożoną farbą bramę garażu. Przekreślił klamkę, poczuł, że ustępuje i dźwignął wrota. Hałas przy tym był głośny jak łomot bębnow, a to go uspokoiło. Powoli zaciągnął bramę za sobą.

W środku garażu było ciemno. Erdman musiał wyciągnąć przed siebie ręce, aby wymacywać drogę. Dotknął jakiegoś błyszczącego metalu. Furgonetki.

Wiedział, nawet bez światła, że to właśnie ta furgonetka, której szuka policja.

Przycupnął wśród ciemności, czekając. Jednak dom pozostał cichy, przyglądał się jego kolejnym posunięciom.

Minęła minuta. Potem dwie. Erdman szurał rękoma po ścianie. Pustaki, jakaś półka, Gładka powierzchnia wewnętrznych drzwi.

88

Godzina 3.07

Lilith skuliła się pod kołdrą o słabnącym już zapachu Jakeya.

Czubek nosa miała zimny, widziała obłok oddechu. Bojler znowu się zepsuł, a nie umiała go naprawić. Zwykle zajmował się tym Erdman, ale przespała teraz wiele, bardzo wiele godzin i nie widziała go od śniadania. Wiedziała jedynie, że gdzieś poszedł, usłyszała trzaśnięcie drzwiami. A prześcieradło po jego stronie było gładkie, nietknięte. Przypuszczalnie znowu położył się do łóżka z butelką whisky.

Powinna coś z tym zrobić, ale nie potrafiła wykrzesać z siebie tyle energii, aby się ruszyć. Nie potrafiła znaleźć energii, aby zrobić cokolwiek, poza leżeniem tutaj i wspomnianiem życia, jakie kiedyś wiodła. Życia, przeciwko któremu kiedyś się buntowała, a teraz poświęciłaby wszystko, żeby tylko do niego wrócić, chociaż na jeszcze jeden dzień.

Przesuwała palcami po trzymanej w dłoni fotografii, tej, którą zabierała do łóżka i do łazienki, tej, którą nosiła w kieszeni szlafroka. Tej, która zaczynała mięknąć i strzępić się na brzegach.

– Przepraszam, przepraszam, że cię nie dopilnowałam. – Z nosa pociekła jej łza, potem jeszcze jedna. – Tęsknię za tobą – dodała, a głos miała spękany jak szkło.

Sześć lat temu przywieźli go do domu ze szpitala. Taki mały okruszek, za którego życie stali się właśnie odpowiedzialni.

Przypomniała sobie pierwszy spacer, ten strach przed wszystkim: autami z hukiem jadącymi ulicą, okrzykami robotników zakłócającymi mu sen, deszczem padającym na zadarty nosek.

To, jak Erdman uniósł rękę, aby zatrzymać ruch uliczny, by jego żona mogła przepchnąć wózek w bezpieczne miejsce.

Ojcowski uśmiech pełen dumy i radości.

A potem Jakey się obudził i ryczał całą drogę pod górę, płakał coraz głośniej i głośniej. Lilith spanikowała. Bo co, jeśli płakał z bólu? Dlatego, że ta straszna choroba już zaatakowała jego ciało?

Wyciągnęła synka z wózka i pobiegła do domu, łzy ciekły jej po policzkach.

Nie wiedząc, co jeszcze może zrobić, rozpięła swój top i przytuliła chłopczyka, a on zaraz przestał płakać.

Erdman wpatrywał się wtedy w nią jak w boginię.

– On jest doskonały – powiedział wtedy. – Oboje jesteście.

I miał rację. Wbrew wszystkiemu, jej syn był doskonały.

Ale teraz go nie było.

Dla Lilith ten nowy, odkryty teraz stan bezdzietności wcale nie stanowił upadku w otchłań bez dna. Wiązał się z czymś znacznie zwyczajniejszym.

To były wytarte szkolne buciki w szafce w przedpokoju, to było brakujące stołowe nakrycie, to był pokój pusty od jednej rozbrzmiewającej echem godziny do drugiej.

Ja już dłużej tego nie wytrzymam.

Powietrze było ciężkie od rozpaczyny Lilith, od jej spoconego nieumytego ciała, od przetłuszczonego kłębu włosów.

Gdy księżyc zawisł już na niebie, powlokła się do łazienki, ciągnąc za sobą kołdrę Jakeya udrapowaną na ramionach jak pelerynę. Cienie były konturami z szarości i czerni.

On nie wróci do domu. On nigdy nie wróci do domu.

Rozpacz, ciężka i czarna jak smoła lepiła się do niej, ciągnąc w dół.

Nalała do szklanki wody z kranu nad umywalką. Tą umywalką, nad którą Jakey szcztokował zęby i mył swoją jaśniejącą twarz. Zapach chloru wypełnił Lilith nozdrza.

Gdyby miał wrócić do domu, policja już by go znalazła.

Ale on nie wraca.

On nie żyje.

Nie dam rady słuchać, jak będą mi to mówić.

Policja.

Nie dam rady ich słuchać, jak będą wypowiadać te słowa.

Nie dam rady.

Te słowa.

Nie żyje.

Nie.

Nie dam rady.

Jakey na mnie czeka.

Ciemność.

On się boi ciemności.

On chce do mnie.

On chce do mamusi.

Ponura pewność opadła na Lilith jak szybujące fragmenty popiołu. Pogromiła się z powrotem do pokoju i zacisnęła palce na buteleczce pigulek nasennych z szafki nocnej.

Pomyślała o Erdmanie i smutku, który go zdruzgocze.

Pomyślała o Jakeyu, jakimś cudem uwolnionym z niewoli, tylko po to, aby się dowiedzieć, że jego matka nie żyje.

Pomyślała, jaki szok, rozpacz i czysta zgroza zawładnęłyby nimi dwoma i to nie tylko na kilka dni, ale na resztę życia.

Pomyślała o zobaczeniu raz jeszcze uśmiechu Jakeya.

I nadzieja, ten podstępny, niechciany intruz wkradła się po kryjomu.

89

Godzina 3.16

Ktoś nią potrząsał. Dopiero po kilku chwilach Fitzroy zdała sobie sprawę, że to gwałtowne drganie pochodzi z jej ciała. Była rozdygotana, miała kłopoty, ale przynajmniej żyła.

Przewróciła się na bok i coś wilgotnego przesączyło się przez rękaw jej bluzki. Leżała tak nieruchomo, a potem zmusiła się, aby wstać. Wokół jej głowy w powietrzu zatańczyły ciemne punkty. Zanim otworzyła oczy, policzyła do siedemdziesięciu.

Pokój pogrążył się w ciemnościach, żaluzje zasłoniły księżyc. Dom był pełen śpiących tajemnic. Jednak Fitzroy dobrze wiedziała, że pod tą spokojną fasadą czekają na nią umarli. Umarli i daj Boże, również żywi.

Musiała ich odnaleźć i się stąd wydostać.

Obróciła się na brzuch, podniosła na kolana. Oparła wnętrza dłoni o ścianę, wspięła się po niej. A potem to usłyszała. Odgłosy kroków na schodach. Dalekie kliknięcie otwieranego mechanizmu zamka.

Szept.

– Detektyw Fitzroy?

W drzwiach stanął Erdman Frith. Wysunął ramię, obejmując Fitzroy w pasie, pomógł się podnieść.

Nie zwracała mu głowy pytaniami.

Na zewnątrz było wąskie półpiętro, a z prawej strony schody. Zatrzymała się, nasłuchując

Howleya, serce podchodziło jej do gardła. Dom był jednak cichy, odpoczywał. Z bólem zeszła po stopniach. Znaleźli się w holu na dole, gdzie było troje drzwi. Wszystkie zamknięte. Krew z jej rany ściekała na podłogę.

– Muszę znaleźć Jakeya – powiedział Erdman.

– Tak – odparła. – Ale najpierw musimy uzyskać jakąś pomoc.

Próbowała zachowywać się jakoś sensownie, rozglądała się za swoim telefonem i krótkofalówką. Jednak widziała tylko szkło i kości. Pokuśtykała przed siebie, pod ciężkie drzwi. Wiele potrafiła o kimś powiedzieć na podstawie stanu jego drzwi wejściowych. Te były pozbawione okna i z odpadającą farbą. Jednak to nie miało znaczenia. Wychodziły na świat zewnętrzny.

– Chodźmy – powiedziała cicho, ponagającym tonem.

Kiedy Erdman uniósł dłoń, żeby ją uciszyć, pomyślała najpierw, że rzuca wyzwanie, ale na twarzy miał desperację. Skądś dobiegał odgłos kroków wspinających się po schodach, nie do pomylenia z niczym innym.

– Schowajmy się – syknęła.

Erdman popchnął ją w stronę grubej kotary przypiętej do paneli na ścianie, a sam zniknął wśród cieni. Przycupnęła, zbliżyła policzek do materiału, ryzykując spojrzenie w ciemność.

Zobaczyła, jak tamten mężczyzna, same cienie i kości, wyłania się z piwnicy, przechodzi przez przedpokój i wspina po tych samych schodach, którymi właśnie zeszła z Erdmanem.

Przez szczeliny w żaluzjach sączyło się srebrzyste światło, iluminując szklane gabloty razem z ich nieszczęśliwą zawartością.

Fitzroy pozwoliła, by opadły jej powieki, tak żeby nie musiała oglądać obnażonych kości tych wszystkich, którzy ucierpieli nie raz, a dwa razy. Jednak zrobiła to dopiero po tym, jak zobaczyła coś w ciemnościach, coś zaraz przed sobą.

Pośrodku sali, na podwyższeniu, stała gablota, umieszczona tak, aby tafle szkła odbijały wschodzący księżyc.

Wewnątrz była postać, przygarbiona, ale niewątpliwie postać dziecka. Zdeformowany szkielet, owinięty płatami i wstęgami dodatkowych kości. Dziecko uwięzione za życia i uwięzione po śmierci. Zamienione w kamień.

Dzyń.

Na metalowej plakietce wygrawerowano literę C. A obok tej gabloty stała druga, pusta, czekająca na eksponat.

To Carlton Frith, brat bliźniak Erdmana, a puste miejsce jest dla Jakeya.

Brian kuśtyka w górę piwnicznych schodów w domu swojego ojca. Biodro znowu mu przeszkadza, ale jest zbyt zajęty myśleniem, co zrobi z Jakeyem Frithem, aby jakoś bardzo się tym przejąć.

Czy na zewnątrz czekają gliny? Słyszy jakiś samochód na jałowym biegu, ale to gdzieś dalej, prawie na pewno. Kiedy zabierał tamtą pieprzoną policjantkę, zabrał jej też telefon i krótkofalówkę.

Powoli wspina się po głównych schodach, na sam szczyt domu.

Drzwi do Pokoju Numer Jeden są otwarte.

Wchodzi do środka, wdeptuje w lepką kałużę. Krew. Dużo krwi. A gdzie jest ta kobieta? Brian się rozgląda.

Krwawy odcisk dłoni na drzwiach potwierdza jego najgorsze obawy.

Brian ostrożnie wychodzi na korytarz i zerka znad balustrady. Hol muzeum pogrążony jest w ciemnościach, tylko kości chłopca kąpią się w blasku księżyca. Jest pusto, słyszy to po sposobie, w jaki rozbrzmiewa echo.

No gdzie ona jest, do kurwy nędzy?

Przyczają się na korytarzu, tak na wpół oczekując policji walącej do drzwi wejściowych. Jednak nie rozlega się w ogóle żaden dźwięk, jest tylko ponagląjący głos jego własnego ojca. I zwyczajny, cichy szum płynący z oczodołu ściany.

Jeśli ta policyjna świnią uciekła, trzeba ją będzie znaleźć.

Na powrót rusza schodami w dół.

A potem słyszy. Delikatne stuk, stuk, stuk. Palce odnajdują usta, żuje rozdartą skórę, oczy poszukują źródła dźwięku.

Klekotu kości.

Unosi wzrok ku chlubie swojej kolekcji. Szkielet chłopca chybotrze się, a jego przedramię majta przy krzywym torsie, parodiując ruchy idącego człowieka.

To tylko wiatr w tym starym domu, pełnym przeciągów.

Tyle że szkielet jest przecież zamknięty w szklanej gablocie.

Tyle że ktoś właśnie się do niej włamał.

Ktoś taki, jak ta policyjna świnią Fitzroy.

Brian przystaje, nagle zdjęty niepewnością. Chce ją ścigać, zabić. Jednak nie czuje się już tutaj bezpieczny. Powinien ruszać.

Gdy już nabierze pewności, że nie jest obserwowany, zapakuje swoje rodzinne muzeum, swoje kolonie chrząszczy i ucieknie. Znajdzie nowe ossuarium, aby ukryć kolekcję, znajdzie

nowe tereny łowieckie.

Ale najpierw chłopiec. Najpierw musi go przenieść, a potem zbierze plon jego kości.

Kiedy Brian po raz pierwszy zobaczył ten dom, od razu się w nim zakochał. Miał wtedy sześć lat. Poprzedni właściciel zaprowadził ich krętymi schodami do przestronnego pomieszczenia z projektorem. „To moja sala kinowa”, z dumą oznajmił pan Thomas. „Dźwiękoszczelna”. Otworzył drzwi ukrytej szafki i wysunął rząd dwunastu krzeseł.

Matka, Sylvie, nalegała, aby je usunąć, oryginały z lat trzydziestych, każde ze składanym siedzeniem i wyłożone fioletowym pluszem. Straszna szkoda, jednak chciała zrobić z tego pomieszczenia pokój dziecięcy i pokój zabaw. Ojciec powyrywał więc krzesła i popołudniami ściągał tapetę, cyklinował podłogi i malował wszystko na biało. Dobudował ściankę, żeby Junior miał miejsce na zabawki. Czasem przychodziła tutaj na górę, spoglądała ponad dachami mokrymi od deszczu. Jednak dziecko się nie pojawiło. Potem w ogóle już tam nie wchodziła.

Brian sztywno ruszył schodami z powrotem na górę, do chłopca, do Pokoju Numer Trzy.

Jest ostrożny, unika skrzypienia. Nie chce go wystraszyć. Ostatnim razem, gdy Jakey usłyszał, że idzie, zaczął płakać. Dotyka wyciągniętego ramienia dziecka. Z gruczołu łzowego chłopca ciekną łzy, jak gdyby znał już plany Kolekcjonera.

Wlepia w ciemność swoje błyszczące oczy.

– Wszystko w porządku?

Chłopiec bez słowa przytakuje szarpnięciem głowy, jest taką maleńką, niematerialną rzeczą, kurczącą się w sobie, aż stanie się zupełnie niewidzialna. Skórę ma bladą, za sprawą braku światła słonecznego. Brian przygląda się własnym ramionom. Są takie same. Białe i chude.

– Pora iść.

Twarz chłopca się rozpromienia.

– Zabiera mnie pan do domu?

Brian uśmiecha się, a potem przytakuje.

– Tak, Jakey. Zabieram cię do domu.

– Taaak. – Chłopiec cmoka językiem o przednie zęby, przypatruje mu się uważnie. – Teraz?

– Tak. Ale musisz być cicho. Jeśli chociaż piśniesz, to obawiam się, że nie będę mógł odprowadzić cię do mamusi. Czy to jasne?

Równie dobrze mógłby pchnąć go teraz w czoło i rozkołysać, chłopiec tak energicznie przytakuje.

– Będę, będę, będę.

– Dobrze. Zabrałeś wszystko?

Bawią go takie proste uprzejmości, jak gdyby chłopiec był jego gościem, przygotowującym się do wyjazdu.

Chłopiec patrzy niepewnie.

– Mój kocyk ze szpitala...

– Nie przejmuj się nim, synu.

Rozpuścił koc w kwasie, trzy dni temu, w pokoju preparatorskim w piwnicy, ale chłopiec nie musi znać takich drobnych szczegółów.

Jakey patrzy na niego spod rzęs, jego piękne kości wyzierają spod cienkiej bawełnianej piżamy. Kolekcjonera Kości ekscytuje wyobrażanie sobie odzierania ich ze skóry.

– Tym ciebie owiniemy – mówi, kładąc chłopcu na ramiona jakiś stary koc.

Chłopiec stoi spokojnie, oczekując dalszych poleceń. Tak, czuje się niepewnie, jednak Brian wyczuwa emanujące z niego podekscytowanie, tak jak potrafi wyczuć jego strach. Feromony. Lubi to słowo, czuje jego dotyk na języku.

– Pamiętaj, co ci mówiłem o byciu cicho – ostrzega i znosi go na dół po schodach.

Zatrzymuje się tam na chwilę, uważnie nasłuchując. Większość pewnie śpi, ale to już taki nawyk kogoś, kto od dawna cierpi na bezsenność. „Brian, nie guzdraj się”. Ucichło nawet tanto auto z silnikiem na jałowym biegu.

Otwiera boczne drzwi do garażu, tak cicho jak tylko potrafi, wślizguje się przez tylne drzwi furgonetki. Krzywi się, słysząc zgrzyt metalu o metal, a potem daje znak szarpnięciem głowy.

– Wsiadaj.

Chłopiec odwraca się w jego stronę, a jego oczy mówią, że absolutnie nie ma ochoty wspinać się do tego ciemnego, ciasnego miejsca. Jednak usta się nie poruszają.

– Wsiadaj albo już nie zobaczysz mamusi.

Chłopiec piszczy coś cicho, niezdarnie opiera kolano o zderzak furgonetki i podciąga się, wchodząc do środka. Brian mocno go popycha, napierając całym ciężarem ciała. Jakey leci do przodu, uderzając głową o metalowy róg pudła na narzędzia. Zaczyna skomleć, jego płacz rozbrzmiewający jak wycie syreny staje się coraz głośniejszy. Kolekcjoner Kości zasuwa drzwi auta, tłumiąc ten dźwięk.

Brian przygląda się ulicy przez małe okienko w głównej bramie garażu. Wciąż jest cicho, ale pod numerem dwudziestym ósmym, na oszronione okno na piętrze napiera światło. Wsiada do furgonetki, uruchamia silnik. Chłopiec płacze, jednak dudnienie motoru go zagłusza.

Ponownie wychodzi z furgonetki, aby zamknąć wewnętrzne drzwi garażu, prowadzące do domu jego ojca.

Brian z zainteresowaniem przyglądał się nagłówkom gazet, rozbebeszającym rodziny na oczach świata i coraz większemu podenerwowaniu policji. Histeria związana ze zniknięciem trojga dzieci tylko zwiększa jego ubaw.

Jednak teraz nadchodzi kulminacja, chwila, na którą czekał przez większą część swojego życia.

Pragnął ponownego spotkania braci bliźniaków.

Ale teraz będzie jeszcze lepiej.

Stryj i bratanek.

To prawie tak samo dobre jak ojciec i syn.

I wtedy coś przykuwa jego spojrzenie.

91

Godzina 3.22

Fitzroy leżała w niszy, ukryta za kotarą. Po tym jak Erdman przepchnął ją w bezpieczne miejsce, wczółgała się tam głębiej, pchana jakimś instynktem samozachowawczym. Potem wyczołgała się na nowo. Podciągnęła się na ścianie, stając na równe nogi.

Jej krew cały czas znaczyła ściany i szkielet chłopca, kości wykrzywione w milczącym potępieniu, nadal zamknięte we szkle. Chłopiec był uwięziony po śmierci tak samo jak za życia.

Potem usłyszała kroki Howleya nad głową

Miała nadzieję, że Erdman zachował tyle rozsądku, aby pozostać w ukryciu.

Oddech Fitzroy stał się przyspieszony, rzęzący. Nabierała więc powietrza, a krótkie chwile ciszy przed jego wypuszczeniem wykorzystywała na wsłuchiwanie się w ciemność. Może powinna stąd uciekać? Każde zakończenie nerwowe, każdy instynkt wrzeszczał, aby się stąd wydostać. Jeżeli tamten się dowie, że ona wciąż żyje, zabije ją. Ale gdyby odeszła, to by porzuciła dzieci. I porzuciłaby też Erdmana. Nie zamierzała tego zrobić.

Wyślizgnęła się zza kotary, kierując w stronę drzwi piwnicy. Zeszła na dół, do tego urzeczywistnienia piekła, cuchnącego śmiercią i rozkładem. Odór gnijącego mięsa obecny w całym domu tutaj był znacznie silniejszy. Fitzroy zakrztusiła się i cofnęła, potykając o coś, co zaklekotało jak wyschłe kości. Usłyszała jakieś klikanie, zobaczyła butelki z płynem do balsamowania. Narzędzia tortur. Dziecięcą torebkę.

W tyle gardła zebrało jej się na wymioty.

Poczuła, jak bardzo chce, jak bardzo chce znaleźć Jakeya, znaleźć Clare. Musi ich znaleźć. Ale gdzie tamten się schował?

Fitzroy paraliżowało niezdecydowanie. Jednak niezdecydowanie było dla słabych,

stanowiło wrogie działanie. Zabierało czas. Kradło życie. A jednak... Zwolnienie tempa czasem bywało potrzebne, aby nabrać rozwagi, ostrożności.

Przyciągnęły ją wspomnienia.

Po tym, jak wróciła z matką Grace z samotnej pielgrzymki do lasu, zaprowadziła oszołomioną szokiem, patrzącą tępyim wzrokiem Conchitę Rodriguez, na ławkę w komisariacie.

– Niech pani tutaj zostanie – wyszeptła do starszej kobiety. – Wróć.

Fitzroy pospiesznie weszła po schodach, ignorując zdumione spojrzenia kolegów, chcąc prędko znaleźć w komputerze pewien adres.

Kiedy już odwiozła panią Rodriguez do domu, poczekała, aż zjawi się ten jej kolega, a potem przebiegła kilka ulic dzielących ją od jego mieszkania.

Szedł dróżką, odwrócony plecami. Wyciągnęła starą pałkę, z czasów kiedy chodziła w mundurze i walnęła go mocno, w kark.

Mężczyzna opadł na trawę, trzepocząc powiekami.

Dla Fitzroy to było jeszcze za mało. Stanęła nad nim, bijąc po ramionach, po brzuchu, wszędzie, gdzie mogła sięgnąć, a to ją oczyszczało.

Przestała dopiero, gdy do ogródka wbiegł sąsiad.

I tak się zaczęło.

Śledztwo, wściekłość mediów, gorycz porażki.

Matka nadal szukająca ciała córki, szansy, aby ją pożegnać.

Dzisiaj Fitzroy poszuka zemsty innego rodzaju. Na podłodze leżał kuchenny nóż do filetowania. Podniosła go.

Powoli wspięła się po piwnicznych schodach, trzymając przed sobą ostrze. Nasłuchiwała odgłosu kroków. Czy wciąż był na górze? A może prześlizgnął się na dół, kiedy przeszukiwała jego podziemny karner? Żarówka zamigotała.

Potem rozległ się głos.

Była sobie dziewczynka mała,

Co mały loczek miała,

Na samym środku czoła.

A kiedy była grzeczna,

To była bardzo, bardzo grzeczna.

A kiedy była zła

To była straszliwa.

Brian Howley podśpiewywał sobie drwiącym tonem, przypatrując się jej z cienia bocznych drzwi, a z dłoni zwisał mu szewski motek.

– Czy to ma potrwać długo? – uśmiechał się chytrze. – Po prostu tak to jest, kiedy

Kolekcjoner Kości znajdzie się w samym środku zdarzeń.

Kolekcjoner. Czyli, że jej teoria była prawdziwa.

Na twarzy miał rozsmarowaną krew, wyglądało to jak blizna. Kuśtykał w stronę Fitzroy. Jego policzki były jeszcze bardziej zapadnięte niż zwykle, jak gdyby od wewnątrz wyszano z nich ciało. Skóra wydawała się całkiem wyschnięta, jak gdyby wystarczyć mogło delikatne szturchnięcie, żeby się rozsypał, zmieniając w stos pyłu i martwych komórek.

Czarne oczy Kolekcjonera były jak hipnotyzująca toń, przyciągając Fitzroy niczym rybę na haczyku. Miały w sobie coś znajomego, ale także ciemność, cień w wyzywającym spojrzeniu. To coś jednak wystarczyło, aby otrząsnęła się z ich wpływu i przypomniała o wyznaczonym sobie zadaniu.

– Gdzie oni są? – zapytała

Brzęczenie. Głośny trzask. Wodospad iskier.

Zapach dymu.

Kolekcjoner powęszył, a jego nozdrza zadrżały. Wyciągnął po nią chude ramię, zacisnął palce na nadgarstku. Fitzroy zachwiał wilgotny chłód. Walczyła z chęcią, aby usiąść. Ale jeśli by tak zrobiła, wszystko zostałoby stracone. Zmusiła się więc do skupienia na wyobrażeniu ciepła. Letnich wakacji, dawno temu spędzonych we Francji. Żarze słońca na skórze, cieniu Mont Blanc. Nie, nie myśl o tej górze i jej okrytym śniegiem majestacie. Zapomnij o chłodnej głębinie doliny i skradającym się ziąbie nocy. Myśl o południowym skwarze, palącym dotyku słońca na twarzy, obłokach suchego pyłu wzbijanych przez przejeżdżające samochody. Myśl o lasach w ogniu.

Ogień. To słowo zatrzepotało w jej umyśle.

W kącie pokoju płomienie zaczęły lizać stopnie schodów, chwytając pręty balustrady, gwałtownie wędrowały po jej poręczy, zajmując lakierowane drewno. Unosiły się coraz wyżej, aż farba na suficie zaczęła czernieć i pękać.

Kolekcjoner mocniej zacisnął dłoń.

Potem podniósł młotek i uderzył ją w usta, z całej siły. Spodobał mu się ten miękki, wilgotny odgłos.

Fitzroy zwiotczała, złożyła się jak akordeon, a jej przednie zęby rozsypały się po podłodze jak liście.

Za nim Erdman wyslizgnął się z kryjówki pod schodami.

Ogień rozprzestrzenił się gwałtownie, zajmując mahoniowe szafy i drewniane panele podłogi u podnóża schodów, liżąc drzwi piwnicy.

Kolekcjoner dał susa w stronę swojej kolekcji, ale cofnął się przez żar.

Wydał okrzyk udreki.

Ściana ognia zaczynała przypalać drobne włoski na twarzy Fitzroy. Gorąco i dym by ją pochłonięły, gdyby nie ból w krwawej miazdze ust. Z trudem usiadła, oczami dając Erdmanowi znak, by wracał do kryjówki, by trzymał się z dala od tego mordercy, tego

złodzieja kości.

Jednak Erdman nie patrzył na detektyw. Wpatrywał się w szklaną gablotę ze szkieletem oznaczonym literą C.

Kolekcjoner podążył za wzrokiem policjantki. Odwrócił się. Uśmiechnął.

– Och – powiedział. – Spotkanie rodzinne.

Erdman wymamrotał obietnicę zwrócenia wolności bratu, którego kochał, za którym tęsknił przez całe życie. Potem pchnął ze wszystkich sił.

Zgrzyt, odgłos szkła przesuwającego się po drewnianej powierzchni.

Gablota się zachybotała.

Przewróciła.

Odłamki szkła, jak gwiazdy obsypały zniekształcone kości chłopca.

– Dlaczego tu przyszedłeś i to zrobiłeś? – zapytał Kolekcjoner, krocząc w jego kierunku.

Krew w żyłach Erdmana płynęła coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie pomyślał, że serce chyba zaraz przestanie mu bić.

Kiedy mężczyzna się zbliżył, a Erdman odetchnął jego smrodem, poczuł w sobie rosnący ziąb. Już kiedyś czuł taki zapach, kiedy Lilith wyrzuciła do śmieci przeterminowanego kurczaka, ale zapomniała opróżnić kubła. Wtedy akurat nadeszła niepodziewanie fala upałów i kiedy wrócili z wakacji, kuchnia cuchnęła gnijącym mięsem. Minęło dobrych kilka dni, zanim pozbyli się tego zapachu.

Erdman nie był w stanie mówić, nie był w stanie formować w ustach kształtu liter.

Kolekcjoner uniósł młotek.

Erdman runął do przodu, przez odłamki szkła, ścianę z płomieni, po szkielet Carltona Fritha. Przez króciutką chwilę tulił brata w ramionach, a potem uniósł nad głowę.

– Gdzie mój syn?

Kolekcjoner zaśmiał się.

Erdman cisnął szczątki chłopca prosto w płomień.

– Nie! – wrzasnął Kolekcjoner, gorączkowo zbliżając się do stosika kości, który wylądował w samym środku ognia. Ciemne oczy błyszczały z furii.

Upuścił młotek i sięgnął w pożar.

Erdman podbiegł do Fitzroy, na wpół wyciągnął ją z rozprzestrzeniających się płomieni. Oczy miała zamknięte. Kolekcjoner obejrzał się za siebie i uśmiechnął szeroko.

Przez szczeliny w drzwiach na hol wylewała się kawalkada falującej ciemności, popędzana żarem rozgrzewającym cegły domu.

Erdman wzdrygnął się, gdy zbliżało się do niego morze chrząszczy, tysiące malutkich szczypczyków szukało martwego, gnijącego ciała, a zwielokrotnione odgłosy ich ruchu były basowym szumem.

Żuki wlewały się, okrywając posadzkę jak dywan, na głębokość trzech, czterech owadzych ciał. Na Erdmana napierała zasłona ciemności, paraliżowała go.

Kolekcjoner podniósł błyszczący but i nadepnął Fitzroy na brzuch, a wtedy płomień był już zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz niej. Runęła przed siebie, twarzą w masę insektów, wpełzających do jej nosa, jej uszu, szukających własnego schronienia przed coraz większym żarem.

Erdman złapał ją za nadgarstki i wyciągnął z chmary żuków. Strząsnął ich maleńkie, czarne ciała z jej twarzy, ze swoich ramion.

– Muszę znaleźć Jakeya! – wrzasnął wśród ryku płomieni. A potem zaczął cofać się w stronę schodów, w stronę pewności własnej śmierci.

Z sufitu spadł kawałek płonącego drewna, uderzył Kolekcjonera w bark. Płasnął o kołnierz marynarki, o włosy na karku i jego ramiona wymachujące gorączkowo jak skrzydła kolibra.

Tego już było dosyć.

Fitzroy, na kolanach, próbowała odczołgać się ku Erdmanowi, poprzez chrząszcze i wzmagający się żar. Prawie na pewno miała złamaną szczękę, ale nawet to nie bolało tak bardzo jak świadomość, że ofiary Kolekcjonera mogą cały czas przebywać w domu, że ich młode ciała mogą zaraz spłonąć i że nie da się nic z tym zrobić. Że gdyby powiedziała szefowi, że się tutaj wybiera, można by jakoś ocalić im życie.

Serce ją bolało przez to niszczenie dowodów, które pomogłyby w identyfikacji zaginionych z okresu wielu lat. Ciał ukradzionych z kaplicy pogrzebowej w szpitalu. Grace Rodriguez.

Jednak uspokajał ją inny, cichszy głos.

Dla ofiar, rozwieszonych i umieszczonych w gablotach dla zaspokojenia jego chorych apetytów, był to taki stos pogrzebowy. Godne pożegnanie.

Z oddali dobiegło Fitzroy buczenie wozu straży pożarnej, ryk syren. Ogarnęło ją déjà vu. Leżała na podłodze, podeszwy stóp dotykał parzący żar.

Za nią zatrzasnęła się brama garażu.

Potem były buty kopiące w drzwi wejściowe, do tego zwodniczy zapach świeżego powietrza, deszczu i wolności. Szef pomagający jej wstać. Kaszłała, raz za razem, wypowiadając imię Erdmana.

A przez cały czas na Dom Umarłych padał płonący deszcz.

Chce zostać i przyglądać się, jak detektyw płonie, jak strach na jej twarzy się rozprzestrzenia niczym plama z portu. Jednak nie ma wyboru. Musi odejść.

O, kurwa. Dłonie ma całe w bąblach, ale ignoruje ból. W gardle ma dym, kaszle. O, kurwa. Za kilka chwil dom jego ojca ulegnie zniszczeniu. Drogocenna kolekcja przepadła.

Otwiera się w nim czarna dziura, a potem już jest z tyłu furgonetki, rozsuwając drzwi. Chłopiec leży rozciągnięty na podłodze auta. Wyjmuje skalpel. Oczy chłopca bacznie go obserwują, a Kolekcjoner Kości już wie, że to nie ta chwila. Ta chwila przyjdzie później. Teraz wystarczy brudna szmata, którą wsadza chłopcu w usta, związując jej końce, tak że knebel wbija się w policzki.

Chłopcu zsunęła się piżama. Kolekcjoner widzi biały poblask pośladków. Podciąga mu spodnie. Nie wypada, aby starszy pan gapił się na pupę małego chłopca.

Chłopiec leży nieruchomo, ale nasłuchuje, można to dostrzec po tym, jak unosi ramiona, jak unosi się i opada jego pierś.

– Czy ty mnie słyszysz? – pyta. Chłopiec nie odpowiada. Ech dzieciaki, co można na nie poradzić?

Muszą jednak stąd odejść, zanim znajdzie ich policja, a cały dom się zawali.

Palce ma śliskie od potu, wyciera je o spodnie. Słyszy, że chłopiec coś mamrocze.

– O co chodzi? – pyta Brian. – Co mówisz?

Ziąb w garażu sprawia, że w biodrze pojawia się pieczenie, a to pieczenie kłuje. Wyciąga chłopcu knebel, przysuwa ucho blisko jego ust.

Jego oddech jest białym obłokiem.

– Chcę do mamusi.

Płaszczynna jego dłoni kąsa policzek chłopca.

Wsuwa knebel z powrotem na miejsce, mokry od śliny i strachu. Kuśtyka z powrotem na przód furgonetki.

Uszy wypełnia mu własne dyszenie. Zatrzymuje się, wciąga tyle powietrza, żeby wypełnić całe płuca. Jest rozgorączkowany, czujny, adrenalina robi swoje, lecz nie ma już tak młodego ciała jak kiedyś.

Hałas oddechu cichnie i dopiero wtedy Kolekcjoner słyszy ten dźwięk. Odgłos stóp szurających po betonowej podłodze garażu.

Brian zastyga bez ruchu, wstrzymuje oddech, ale odgłos własnej krwi pompowanej do głowy jest zbyt głośny, wypuszcza więc powietrze ze świstem.

I znowu odwraca się, zaciska dłonie na skalpeli ukrytym w kieszeni marynarki. Serce bije mu teraz szybciej.

Brian, przez sześćdziesiąt siedem lat, jakie spędził na tym świecie, zobaczył już dużo. Zniszczone ciała skradzionych przez siebie trupów, cienie śmierci na krawędziach swojego życia. Ojciec wyszkolił go tak, aby dostrzegał to wszystko, aby wyczuwał drogę wokół

poszarpanych konturów prawd innych ludzi i umieszczał się w ich historii, nie stając się podejrzanym.

Tego jednak nie zobaczył.

W plamie księżycowego blasku, przesiąkającego przez kwadrat garażowego okna stoi Erdman Frith. W dłoni trzyma młotek Kolekcjonera.

Na zwyczajnej londyńskiej ulicy, w samotną listopadową noc, Brian widzi, jak zderzają się jego przeszłość i przyszłość.

To jest coś, czego zawsze się obawiał, czego nieuchronność wyczuwał, tak pewną, jak ciemność nadchodząca po zmierzchu.

Powiew wichru posyła księżyc z powrotem za chmury. Gdy Kolekcjoner unosi wzrok, Erdmana już nie ma.

Potem czuje eksplozję bólu z tyłu głowy.

Zatacza się w stronę furgonetki, z niedowierzaniem unosi dłoń do rany. Słyszy odległe krzyki, przysuwające się coraz bliżej i bliżej. W nozdrzach ma dym, na zewnątrz garażu migoczą latarki, jak błędne ogniki. Nie ma sensu uciekać.

Palce zbliżają się do skalpela w kieszeni.

Gdy ojciec znowu do niego przyjdzie, będzie gotowy.

93

Godzina 3.33

Erdman jeszcze nigdy dotąd nikogo nie uderzył. Usłyszał jednak płacz dziecka, brzmiący jak płacz swojego syna. W tej furgonetce był Jakey, a on musiał go stamtąd wyciągnąć, zanim dym, kłębiący się pod drzwiami wypełni cały garaż, a wokół nich zapadnie się dom.

Dziko machnął młotkiem i w coś trafił. Jednak Kolekcjoner nie padł na podłogę. Znowu się zbliżał do drzwi furgonetki. Do Jakeya.

Zdusiła go panika. Znowu uniósł młotek, mężczyzna odwrócił się i uśmiechnął. Tak samo jak przedtem.

Na piersi Erdmana otworzył się kwiat bólu.

Opuścił młotek, upadł na kolana. Na betonowej podłodze pod nim rozkwitła krew, takim brutalnym i pięknym cynobrem.

Erdman zobaczył twarze swojego ojca i matki. Jakeya, Lilith. I twarz taką samą jak jego. Wszystkich, których kochał. Troje z nich już stracił.

Powietrze dookoła zdawało się drzeć. Nie, to tylko ruszały się ściany garażu. Nie, to tylko kończył się świat.

Zastanawiał się, czy będą na niego czekać po drugiej stronie, czy te duchy, które nawiedzały krawędzie jego życia, powitają go po śmierci. Zastanawiał się, czy jego własna śmierć wreszcie uciszy ich głosy. Czy przyniesie im spokój.

Ale nie chciał umierać. Potrzebowała go jego rodzina. On sam jej potrzebował.

Spróbował zawołać imię swojego syna, ale powieki miał coraz cięższe, ciało reagowało coraz wolniej.

Przez tyle lat czuł się do niczego, czuł się totalnym rozczarowaniem. Najpierw dla swojej matki, potem dla Lilith, a teraz, co już łamało serce, i dla Jakeya, bez szans w starciu z chorobą zjadającą mu syna. Bojący się zrobić mu krzywdę podczas zabawy. Niezdolny dotrzeć do swojej żony, której ból zrozumiał nagle z przenikliwą jasnością. Sprawił, że wolała się wycofać, niż zwrócić do człowieka, na którym nie mogła polegać.

Ale już nie chciał być takim człowiekiem.

Jakey, mój mały. Mistrzu mój. Tatuś już idzie.

Erdman z wysiłkiem podniósł się na nogi.

94

Godzina 3.35

Kolekcjoner Kości ponownie otwiera drzwi furgonetki.

Opada na wilgotny materac, obok chłopca, wdychając zapach jego strachu. Knebel się wysunął, chłopiec pojękuje. Unosi mu bluzę od piżamy, drepcze chłodnymi palcami po zdeformowanej klatce piersiowej, muska brzeg obojczyka. W drugiej dłoni trzyma skalpel.

Jeżeli teraz go zabije, chłopiec ucichnie.

– Już dobrze – uspokaja go. – Zaraz będzie po wszystkim.

Chłopiec przygląda się ostrzu, wyczuwa poruszenia powietrza. A potem Kolekcjoner czuje uderzenie bólu z tyłu głowy i skalpel upada.

Znikąd pojawiają się mknące szybko szare plamy, szczerzące wściekle. Otacza go chmara psów, a chłopiec płacze. Kolekcjoner zostaje wyciągnięty na zewnątrz, na ulicę, w zasnutą dymem noc. Trzej funkcjonariusze – co za cholerne zwierzęta – przesuwają go brutalnie, otaczają mu nadgarstki metalem, a detektyw Fitzroy idzie do niego przez ciemność, twarz ma wykrzywioną i umazaną sadzą.

Ledwie mówi przez połamane zęby i zmasakrowane usta.

– Gdzie jest Clara Foyle, ty chory pojebie?

Nie podnosi głosu, ale jej wściekłość można odczytać z mowy ciała. Z naprężonych barków, z kamiennego spojrzenia, ze zmieszanej z krwią śliny, pryskającej z ust.

Wzrusza ramionami.

– Skurwiel. – Detektyw mocno pcha go w pierś. Howley traci równowagę, zatacza się do tyłu, upada plecami na błyszczący metal policyjnego auta. Ona unosi pięść, uderza go w nos. Chrząstka przeciw kości.

Brian znosi to wszystko.

Chambers łapie detektyw za ramię, ogląda się za siebie.

– Co ty wyprawiasz? Jeszcze szef zobaczy.

Kolekcjoner jest świadomy obecności, gdzieś na skraju pola widzenia, policjantów gromadzących się wokół Erdmana Fritha. Głos z radia wzywa dodatkową karetkę. Słyszy szlochy chłopca i uspokajający głos jakiejś kobiety, syk wody dławiącej ogień. Czuje kłanie stali wokół nadgarstków i lekki kopniak w zębra. Ktoś kieruje na niego światło, rażący blask zmusza go do zmrużenia oczu.

Nie jest w stanie patrzeć na ruiny ojcowskiego domu.

Fitzroy idzie po chodniku. Obserwuje, jak kroczy w stronę chłopca, a potem wraca do niego. Na jej szczęce czernieje już siniak, zęby są rozchwiane i połamane.

– Na miłość boską, dlaczego to robiłeś?

Zastanawia się nad jej pytaniem i decyduje się powiedzieć prawdę. Dowody są wszędzie. Szybko znajdują wypalone pozostałości jego pokoju preparatorskiego, tłącą się kolekcję kości. Oczy Kolekcjonera ciemnieją, odbijając zimne, posiniaczone niebo.

– Odpowiem na twoje pytanie, jeśli ty odpowiesz mi na moje.

Detektyw kręci głową, na twarzy ma wypisaną odrazę, jednak on wie, że złapała przynętę, że nie zdoła się powstrzymać. Składa przed sobą skute dłonie i czeka.

Wreszcie policjantka zgadza się, nawet jeśli wydaje się, że dużo ją to kosztuje.

– Jak mnie znalazłaś?

Fitzroy mruży oczy, patrzy na niego spode łba.

– Dzięki twojej sztuczce ze szkieletami królików i cytatom z Huntera dowiedzieliśmy się, że jesteś zafascynowany Muzeum Hunteriańskim. Rozpoznała cię rodzina jednej z ofiar, ty pierdolony cwaniaczku. Doszliśmy do wniosku, że pracujesz w szpitalu, że właśnie tam znajdowałeś i wybierałeś sobie ofiary. Weszliśmy więc do twojego domu. Tyle że tam ciebie nie było. Bo byłeś tutaj, u swojego ojca. Kiedy jeden z twoich kolegów powiedział, że ojciec zostawił ci ten dom, uznaliśmy, że to oczywiste miejsce, w którym należy cię szukać.

Znowu pokiwał głową, powoli. Karen, pierdolona, nadęta suka. Nie było sensu się wypierać, skoro wiedzieli już o wszystkim.

– Znaleźliśmy twoją żonę. – Wypluwała na niego słowa. – Też ją zabiłeś?

– Nie – powiedział ze smutkiem. – Nie zabiłem.

– Howley, mamy nakaz przeszukania twojego domu. Teraz, jak sobie tutaj rozmawiamy, są tam moi funkcjonariusze. A teraz odpowiedz na moje pytanie. Dlaczego?

Wyglądało, jak gdyby się namyślał, zastanawiał, jak najlepiej to ująć.

– Szukałem ich.

– Kogo?

– Kości. Chroniłem je. Byłem ich kustoszem, jeśli tak wolisz. Dbąłem o rodzinną kolekcję. To była moja praca. Moja powinność.

Detektyw parska z odrazą.

– Dziękuję, Howley. To zajebicie wyjaśnia całą sprawę.

– Opiekowałem się nimi. – Milknie. – Okazywałem im szacunek.

– Gdzie jest Clara Foyle?

Uśmiecha się. Też może mieć swoje tajemnice.

Fitzroy przygląda się mu chłodnym, szacującym wzrokiem. Postanawia, że powie mu resztę.

– Kiedy wkroczenie do twojego domu nie przyniosło nam sukcesu, zespół powrócił na komendę. Moi koledzy nie mogli się ze mną skontaktować, przeszukali więc moje biurko i znaleźli notatki. Adres domu twojego ojca. – Odwzajemnia jego uśmiech. – Dotarli tam akurat, żeby zobaczyć, jak płonie.

Howley zbliża twarz do jej twarzy, Etta czuje jego oddech na policzkach, widzi oskarżenie w jego oczach.

– Ty to zrobiłaś.

Odsuwa się od niego, zaskoczona.

– Pożar? Nie, nie miałam z tym nic wspólnego. Howley, w domu ojca była stara instalacja elektryczna, wiesz? – śmieje się. – A to cholernie grozi pożarem.

Pcha go w stronę radiowozu, światła sygnału zmieniają domy w kalejdoskop elektrycznego błękitu. Detektyw otwiera drzwi, pcha go na tylne siedzenie i odwraca się, by odejść.

– Fitzroy – woła za nią. Policjantka zatrzymuje się, lecz nie odwraca. – Przykro mi z powodu twojej straty.

To wystarcza. Odwraca się na pięcie, przez jej twarz mkną złość i zdumienie, lecz w jego szyderczym uśmiechu jest coś, co ją zatrzymuje.

– Utrata dziecka zawsze jest taka smutna.

Howley pozwala sobie na łagodny uśmiech, a potem go odwożą.

Jakey zamrugał na widok światła. Dla niego było jaśniejsze od blasku słońca. Zbliżała się do niego jakaś kobieta z krwią na twarzy, wyciągała ręce.

– Jakey, już dobrze – powiedziała ta kobieta. – Jesteś teraz bezpieczny. Mam na imię Etta i chcę zabrać cię do mamusi i tatusia.

Sięgnęła po rękę Jakeya, ale chłopiec się cofnął. Matka mówiła mu, żeby nigdzie nie chodził z nieznajomymi i nie chciał powtórzyć błędu, zwłaszcza z kimś, kto tak strasznie wygląda.

Zerknął w bok, szukając wzrokiem Krwawych Gnatów, przyglądając się twarzom mężczyzn i kobiet z błyszczącymi latarkami unoszącymi się i opadającymi w mroku, ale nigdzie go nie zobaczył. Chociaż miał ograniczone ruchy, zachował tyle swobody, żeby wsunąć dłonie między kolana i odwrócić twarz w stronę ramienia. Zamknął oczy.

– Jesteś teraz bezpieczny – powtarzała kobieta, nazywająca się Etta, która przykucnęła obok niego na chodniku. – Obiecuję.

Tatuś też obiecywał, że będzie go pilnował, że będzie bezpieczny.

Wśród zimnego, nocnego powietrza, wśród tej obcości i dymu, który wszystko zasnuwał, Jakeyowi wydało się, że słyszy głos ojca.

– Mistrzu?

A potem tatuś już przy nim był, z białym bandażem na piersi. Odsunął kobietę i płakał. Objął syna tak mocno, że chłopiec nie mógł oddychać.

– Tatuśmójtatuświedziałemżeprzyjdiesz.

Tatuś mu obiecał i tym razem dotrzymał słowa. Tatuś zadbał, aby był bezpieczny. Jakey oparł głowę na ramieniu ojca. Zauważył, że kobiecie z krwią na twarzy śmieją się oczy. Przyglądała się im obu. Wyciągnęła przed siebie karton soku. Powoli, Jakey sięgnął ręką i chwycił swoją przyszłość.

Detektyw Alun Chambers rozmyślał o posiłku, jaki przyrządzi żonie, aby w ten sposób

przeprosić ją za wszystkie godziny przepracowane nad tą sprawą, która przykuwała uwagę całego kraju. Myślał o swoich dzieciach, których prawie nie oglądał przez ostatnie dziesięć dni, o tym, jak zawsze biegły do matki, gdy coś je zabolalo. Rozmyślał o miękkości własnego łózka.

Przesunął spojrzenie na wsteczne lusterka, na siedzącego z tyłu podejrzanego. Brian Howley zwiesił głowę, zapadnięta twarz kryła się w cieniu. Chambers zazwyczaj starał się trochę pogadać z aresztantami. To w końcu byli tylko ludzie. Jednak teraz, po raz pierwszy, nie miał ochoty.

Do licha ciężkiego, był wykończony. W skroniach czuł ból, któremu mógł ulżyć jedynie sen. Kiedy już odwiezie Howleya na komisariat, na przesłuchanie, może szef da mu odpocząć.

Myślami powędrował do detektyw sierżant Fitzroy. Lubiał ją. Stanowiła dla niego zagadkę, ale była dobrym policjantem. Zasłużyła na wymazanie swoich win, nawet jeżeli jeszcze nie nauczyła się nad sobą panować.

Ulice miasta budziły się do życia. Zobaczył sprzątaczkę, spieszącą ze starym odkurzaczem w dłoni i papierosem zwisającym z ust, taksówkarza opierającego się o swój wóz pod siedzibą przedsiębiorstwa taksówkowego. Przyglądał się kloszardowi, który szedł, wymachując wysoką puszką, pewnie Special Brew. Może kiedy już odwiezie Howleya, wróci tutaj i znajdzie tamtemu facetowi jakąś noclegownię. Za zimno, żeby spać na dworze.

Bo właśnie ktoś taki potrzebował pomocy, a nie taki śmieć jak Howley, który pewnie dalej będzie miał dach nad głową i pełny brzuch, mimo tego wszystkiego, co zrobił.

Detektyw Chambers miał głowę pełną planów i pomysłów i jeszcze różnych innych myśli, a oczy zmęczone. I panował zimowy półmrok.

Właśnie dlatego nie zauważył lisa przemykającego przez ulicę.

Zwierzę na chwilę zastygło, jego oczy zaślniły w blasku reflektorów, a nawet wtedy detektyw Chambers wciąż rozmyślał.

Tyle że to był na to kurewsko zły czas.

To, co wydarzyło się następnie, stanowiło rozmyte obrazy i uczucia.

Gwałtowny skręt radiowozu.

Pasy bezpieczeństwa wpijające się Chambersowi w ramię.

Łomot, kiedy pojazd wpadł na przejście dla pieszych.

Ostrzegawczy krzyk Howleya.

Smuga pędzącej na nich czerwonej ciężarówki.

Potężne uderzenie.

Grzmot, hałas.

Nic.

Dwa miesiące później

Bywały dni, że kiedy Lilith wydobyła się już z płataniny pościeli, miała pewność, że ktoś ją obserwuje. Mogła akurat siedzieć w łazience, wgapić się tępo w telewizor albo leżeć w łóżku Jakeya, wtulona w jego małe, ciepłe ciało i nagle włoski na ramionach stawały dęba, i już wiedziała, że ktokolwiek to jest, znowu jest właśnie tam, na zewnątrz.

Bywały dni, że czuła ciepło, łagodzące szorstkość krawędzi jej strachu, opatulające swoją dobrocią, sprawiające, że robiło się jej lżej. Bywały też dni, gdy poczucie zagrożenia stawało się tak obezwładniające, że najchętniej zaciągnęłaby wszystkie zasłony, wczołgała pod pierzynę i siedziała tam, dopóki nie upewni się, że niebezpieczeństwo minęło, a nawet wtedy byłaby zbyt wystraszona, aby poruszyć się, zanim skradająca się perlowość późnego styczniowego poranka nie wypełni sypialni i nie usłyszy sąsiadów wychodzących do pracy.

Niektórzy – poeci, piosenkarze, pierdolona Alyson Carruthers – poczucie nieobecności ukochanej osoby nazywali męką.

Chyba żadne inne słowo nie było aż tak beznadziejnie nieadekwatne. Mękę czuło się, kiedy bolał ząb, albo gdy tańczyło się na wysokich obcasach, albo za długo stało w jednej pozycji. Porwanie Jakeya nie zostawiło po sobie męki, tylko ogromny zakrwawiony krater.

Ale to się wygoi.

Jakey żył. Jej piękny chłopczyk żył. I to był wystarczający powód, aby trzymać ciemności w ryzach.

W tamtą dziwną i straszliwą noc, kiedy Lilith się zagubiła, a Jakey się odnalazł, zastanawiała się nad połknięciem wszystkich swoich tabletek.

Jednak Erdman nie chciał się poddawać.

Uratował ich syna.

Nie uprzedził jej o swoich planach, nie powiadomił policji. Lilith drzemała w łóżku, kiedy Belinda Chong, o godzinie czwartej pięćdziesiąt siedem zaczęła dobijać się do drzwi. Zerwała się wtedy z posłania, a ten natarczywy, obcy dźwięk oblał ją adrenalinowym potem. Twarz oficer łącznikowej policji w blasku lampy była blada, okryta łzami.

Przez jedną chwilę bezruchu Lilith nie mogła oddychać.

A potem Belinda rozjaśniła ciszę między nimi dwoma prostymi słowami.

– Uwolniliśmy Jakeya.

Poczuła, jak gdyby zawrót głowy, nogi zaczęły się trząść, kolana się ugięły. Belinda pomogła Lilith zapiąć dzinsy, bo za bardzo trzęsły jej się ręce. Potem już gnały w stronę świtu, aby jak najszybciej dotrzeć do szpitala.

On tam był.

Jej chłopczyk.

Jej dzieciaczek.

Śmiała się i płakała, i całowała każdą część jego twarzy, aż wijąc się, uwolnił się z jej objąć.

Potem palcami głaskała policzek Erdmana i oboje stali, dotykając się głowami. Wtedy obiecała sobie, że zapamięta czystość tej chwili na resztę życia.

Fitzroy kilka godzin po aresztowaniu Briana Howleya (media ochrzciły go Rzeźnikiem z Bromley, ale Lilith nie potrafiła znieść przyznania mu prawie mitycznego statusu seryjnego mordercy i nie chciała o nim słuchać ani czytać) wstała ze szpitalnego łóżka, aby się z nimi zobaczyć.

Jakey spał. Niedługo mieli go wypisać. Wciąż był jeszcze osłabiony po zapaleniu płuc i wskutek niedożywienia, jednak podpięli mu kroplówkę i wpakowali w niego całą furę mocnych środków przeciwbólowych i antybiotyków. Lekarze odradzali wypis, ale Lilith nalegała. Pod salą warował jakiś posterunkowy o młodzieńczej twarzy, lecz nie ufała już szpitalom.

Detektyw była bardzo blada, miała na sobie luźny podkoszulek, w którym wyglądała młodziej, co sprawiało, że wydawała się bardzo krucha.

Miała też napuchniętą szczękę, a część zębów złamanych albo wybitych. Wyjaśniła, że kiedy tylko zejdzie opuchlizna, czeka ją operacja, odrutowanie. Mówiła z trudem.

Po krótkiej wymianie uprzejmości Erdman przyniósł im herbatę w plastikowych kubkach. Lilith usiadła, trzymając męża za rękę, a Fitzroy odstawiła swój napój gestem pokazującym, że rozmowa będzie się toczyła na poważny temat.

– W domu swojego ojca miał sekretne muzeum. a w piwnicy zaimprovizowane laboratorium. Ludzkie kości i tego typu rzeczy – mówiła powoli, z wahaniem.

Lilith pochyliła głowę. Z ust Fitzroy wypływały kolejne informacje. Owszem, to był szok. Chciała udawać, że porwanie Jakeya to był jakiś surrealistyczny sen.

Fitzroy kontynuowała, zmusiła się więc do skupienia.

– Howley miał obsesję na punkcie nietypowych albo zdeformowanych kości, podobnie jak jego niedawno zmarły ojciec. Pierwsze oględziny sugerują, że Marshall Howley z pewnością też interesował się takimi sprawami. Niektóre szczątki, te, które przetrwały pożar, były tam od wielu, wielu lat. Sądzymy obecnie, że to Brian Howley i przypuszczalnie jego ojciec odpowiadają za kradzież ciała Carltona – sięgnęła ku dłoni Lilith, ucisnęła ją. – Jakey został specjalnie wybrany ze względu na swój stan zdrowia. Jak pewnie już państwu powiedziano, długo nie mogliśmy ustalić, w jaki sposób uprowadzono państwa syna. Po tym, jak w zeszłym roku z kaplicy pogrzebowej zniknęło parę ciał, w szpitalu zainstalowano dodatkowe kamery monitoringu. Wtedy szpitalowi Royal Southern udało się utrzymać całą sprawę w

tajemnicy, rodzinom wypłacono odszkodowanie. Teraz sądzimy, że przypuszczalnie zwłoki wyniósł Howley. Wiemy także, że Howley, zanim porwał Jakeya, uszkodził te kamery. Zostały zasłonięte czarnymi plastikowymi torbami wypełnionymi klejem. Koledze z pracy Howley powiedział, że „pakuje” je do naprawy.

– A mój brat? – zapytał Erdman.

– Cały czas przeprowadzamy testy próbek DNA, ale spodziewamy się potwierdzenia, że w domu Marshalla Howleya były szczątki Carltona. Pracujemy najszybciej, jak tylko możemy, aby przedstawić panu i pana rodzinie ostateczne wyniki, jednak jak sam pan rozumie, jest jeszcze mnóstwo do zrobienia.

Fitzroy upiła łyk herbaty, skrzywiła się.

– Wykorzystywał swoją pracę w szpitalu jako sposób na znajdowanie nowych ofiar, zarówno do swojej kolekcji, jak i w celach zarobkowych. Mógł tak lokalizować potencjalne cele. Sądzimy, że dowiedział się o pani mężu i państwa synu podczas państwa wizyty na ostrym dyżurze. Wtedy uświadomił sobie rodzinne powiązania. Uzyskiwał adresy pacjentów z ich danych medycznych. Sprzedawał także części ciała do laboratoriów. Oczywiście, szpital to świetny dostawca, ale nie mógł przesadzać, to byłoby zbyt oczywiste. Sądzimy, że przez lata zabrał stąd kilka zwłok. Kiedy wkroczyliśmy do jego domu, znaleźliśmy notatnik, z którego wynikało, że płacił łapówki dyrektorowi zakładu pogrzebowego. Aresztowaliśmy go kilka godzin temu. Znaleźliśmy także części ubrania, które mogły należeć do Grace Rodriguez.

Ból szczęki i serca Fitzroy utrudniał jej mówienie, była jednak bardzo zdeterminowana, aby z tą rodziną, która tak wiele wycierpiała, podzielić się wszystkim, co wie.

– Zakładamy, że Howley planował zabicie Jakeya i albo sprzedanie zwłok, albo zatrzymanie ich w swoim muzeum. Dzięki Bogu, dotarliśmy na czas. Ale... – Nagle detektyw bardzo zainteresowała się wzorem na swoim wierzchnim okryciu.

– Ale co?

– Państwo Frith, będę z państwem szczerą, bo wiem, że zawsze my prosimy was o to samo. – Pociągnęła jeszcze jeden ostrożny łyk herbaty. – Martwię się o bezpieczeństwo państwa syna.

– Z jakiego powodu? – Erdman zrobił się blady.

Fitzroy do twarzy było z zakłopotaniem. Przycisnęła kostki palców do obolałej zuchwy.

– Proszę nam powiedzieć – nalegał. – Chcemy wiedzieć.

– Na wypadek gdyby próbował dokończyć to, co zaczął. Przy aresztowaniu bełkotał coś o opiekowaniu się kośćmi, swoją kolekcją. To po prostu była taka paplanina, nonsens, takie chrzaniecie będące samousprawiedliwieniem się podejrzanego, często to słyszymy. Najwyraźniej potrzebuje badań psychiatrycznych.

– Zostanie im poddany?

Fitzroy zacisnęła usta i z przesadną starannością odstawiła kubek na stolik przy łóżku

Jakeya.

– Między innymi właśnie dlatego przyszedłam zobaczyć się z wami obojgiem. – Wzięła głęboki oddech. – Belinda mówiła wam, co się wczoraj stało?

Erdman krótko skinął głową.

– No tak, sytuacja się nie zmieniła. Jak państwo wiecie, Brian Howley nigdy nie dotarł na policję. Detektyw Chambers, funkcjonariusz, który go wiozł, został ciężko ranny w wypadku drogowym, a po Howleyu ślad zaginął. Zdołał się jakoś uwolnić i po prostu odszedł. Kiedy na miejscu zjawili się ratownicy, już go nie było. Szukamy go, ale wciąż przebywa na wolności. Gdzieś. Obserwujemy jego dom. Oba domy. Znajdziemy go, ale dopóki to się nie stanie, chciałabym przedyskutować z państwem możliwość umieszczenia Jakeya w zamknięciu, dla jego bezpieczeństwa.

Howley przebywał na wolności.

Ten skurwiol, który zabrał brata Erdmana, ten, który porwał jej syna, wciąż przebywał na wolności.

Ale umieścić Jakeya w zamknięciu? Zabrać go z domu, ze szkoły, ze wszystkiego, co zna? Czuję, że należy odmówić. Jakey wycierpiał już wystarczająco dużo. Potrzebował stabilności, znajomego otoczenia.

– Znalazła pani Clarę Foyle? – zapytała Lilith, celowo zmieniając temat.

Fitzroy odwróciła wzrok, nie była w stanie odwzajemnić jej spojrzenia. Udawała, że miesza herbatę, chociaż Lilith wiedziała, że nie sładzi.

– Pani Frith, proszę mi wierzyć, nie przestanę jej szukać, dopóki jej nie znajdę.

Lilith wierzyła. Takiego spojrzenia pełnego przekonania nie można było udać.

Twarz detektywa przybrała szarozielony odcień.

– Przepraszam, mogę skorzystać z łazienki Jakeya?

Lilith starała się nie słuchać odgłosów wymiotowania i zastanawiała się, czy może powinna tam pójść i sprawdzić, co się z nią dzieje. Erdman uniósł brwi. Kilka chwil później rozległ się odgłos spuszczonej wody, a Fitzroy wyłoniła się z ubikacji.

– Bardzo przepraszam – powiedziała, delikatnie ocierając usta chusteczką. – Chyba coś zjadłam.

To było dwa miesiące temu i od tamtej pory nie mieli jakoś dużo do czynienia z policją. Rodziny Frithów nie umieszczono w zamknięciu. Erdman i Lilith postanowili żyć tak, jak chcieli, po swojemu. Postanowili, że Jakey będzie żył po swojemu. Zainstalowano przycisk alarmowy. Przez kilka wieczorów pod ich domem parkował radiowóz, od czasu do czasu ktoś dzwonił, upewniając się, czy wszystko w porządku. Erdman chciał, aby się wyprowadzili, ciągle mówił o domu nad morzem, o nowym początku. O tym, że ich własny dom chciałby wynająć, a dom Shirley sprzedać. Lilith jednak wolała czekać. Zdawało się, że

poza spędzaniem czasu z Erdmanem i Jakeym nic jej nie obchodzi.

Dopóki nie przyszła tamta przesyłka.

To był zwyczajny poranek, a raczej jeden ze zwyczajnych poranków ludzi, którzy starają się odbudować sobie życie.

Jakey i jego rodzice jedli śniadanie, rozmawiali o Carltonie, a chłopczyk znowu uparcie twierdził, że Clara nadal żyje, że pomogła mu przetrwać w Ciemnym Miejsu. Terapeuta wyjaśniał, że to mechanizm psychologiczny ułatwiający radzenie sobie z ciężkimi przeżyciami.

Spojrzenie Erdmana spochmurniało, a Lilith posadziła sobie Jakeya na kolanach, on jednak po chwili wyślizgnął się jej i poszedł się bawić samochodzikami. Lilith pogładziła męża po włosach, a on uśmiechnął się do niej i wyszedł po niespodziankę.

Po chwili do ich drzwi zapukał listonosz i zanim zdołała zebrać się w sobie, by wypowiedzieć jakieś sensowne zdanie, z uśmiechem wręczył przesyłkę.

– Proszę bardzo – powiedział i podał elektroniczny długopis, żeby pokwitowała odbiór.

– Niczego nie zamawiałam – zaprotestowała Lilith.

Zmarszczył czoło, sprawdził dane w swoim wykazie.

– Pani Lilith Frith, 227 Granville Terrace?

– Tak, to ja, ale ja się nie spodziewam...

– To pewnie prezent – przerwał. – Niech się pani cieszy.

Powoli zamknęła drzwi, obracając pudełko w dłoniach. Nie było na nim adresu zwrotnego. W ogóle nic.

Lilith wzięła nóż do warzyw z zestawu na blacie, rozsiadła się przy kuchennym stole i rozcięła opakowanie.

Wypadła duża biała koperta.

Podniosła jej klapkę, ostrożnie wyjęła zawartość. Wpatrywała się w nią. Przez minutę. Dwie minuty. To niemożliwe. To na pewno jakaś pomyłka.

Wsunęła to z powrotem do koperty.

Jej palce znalazły drogę do ust i mocno je zagryzła, łamiąc paznokcie. Poczwała obezwładniająco szok. Znowu wsunęła dłoń w kopertę i wyciągnęła jednokolorowe, szare zdjęcie rentgenowskie pokrzywionej klatki piersiowej.

Najpierw pomyślała, że to część danych medycznych Jakeya, przysłana przez policję albo lekarzy z Royal Southern. Dopiero potem uświadomiła sobie, że data na zdjęciu to dwudziesty czwarty listopada 2012 roku.

Jakeya nie było wtedy w szpitalu.

Był wtedy u Briana Howleya.

Drżącymi rękami wyciągnęła z koperty kawałek papieru. Białą powierzchnię kartki zajmowały zawijasy i pętle jego pisma.

„Abyście ożyły...”

Strach zagnał ją do regału z książkami. Wyciągnęła swoją Biblię, podniszczoną pamiątkę ze szkoły. Tam to było. Kolejny cytat z Ezechiela.

Czy to groźba? Czy może pożegnanie?

Wzdrygnęła się, nagle uświadamiając sobie, że centralne ogrzewanie nie działa i pada rzadki, styczniowy śnieg. Pod lampą w kuchni czarno-biała przejrzystość połyskiwała chłodno.

Zaciągnęła zasłony, pozamykała wszystkie drzwi i okna. Potem co najmniej raz zmówiła pacierz.

Nigdy nie wierzyła w duchy.

Ale ten potwór był prawdziwy.

Kiedy po godzinie Erdman zjawił się w domu, Lilith już schowała zdjęcie rentgenowskie na dnie swojej szuflady z bielizną. Nie było potrzeby budzić dawnych uczuć. Przekaze to Fitzroy, a detektyw zadecyduje, co robić dalej. A ona powie Erdmanowi, że zmieniła zdanie, że jednak chce tego nowego początku nad morzem.

– I co, dostałeś? – zapytała.

Z szerokim uśmiechem rozpiął kurtkę i wysunął to, co pod nią chował. Odwzajemniła jego uśmiech, ujrzała odbitą w oczach męża całą swoją miłość do rodziny.

– Jakey – zawołała w górę schodów. – Możesz zejść na chwilę?

– Właśnie kończę czytanekę.

– Chcemy ci coś pokazać.

Kiedy syn schodził po schodach, Lilith i Erdman wymienili konspiracyjne spojrzenia. W Lilith nabrzmiewało poczucie wdzięczności za drugą szansę odbudowania ich małżeństwa, spróbowania bycia inną matką dla swojego syna.

Jakey pokuśtykał do salonu. Minę miał skwaszoną, nieufną. Pozostałość po czasach, które będzie zapominać latami.

– Mamusiu, czego ode mnie chcesz?

Erdman podszedł do syna, który tyle wycierpiał i który codziennie przypominał im, że chowanie się przed życiem, to żadne życie.

Rozpiął kurtkę, wyjął z za niej wiercącego się szczeniaczka i podał Jakeyowi.

Amy cały czas mu się przyglądała. Teraz nadeszła ta chwila, kiedy już nie mogła znieść widoku tego, jak odchodzi, ale nie wiedziała, jak mu to powiedzieć. W tych dniach żadne z nich nie wiedziało, co mówić drugiemu.

– Jedź ostrożnie – powiedziała.

– Będę – odparł.

– Kiedy wrócisz?

– Nie wiem.

Poklepał się po kieszeni. Sprawdził, czy zabrał paszport i portfel. Twarz miał chudsza, nieogoloną. Świeże zmarszczki przecinały mu czoło i delikatną skórę wokół oczu. W trakcie długiego urlopu w prywatnym gabinecie lekarskim miał go zastępować kolega.

– Eleanor będzie za tobą tęsknić.

– Kiedy już się ogarnę, może do mnie na trochę przyjechać. Ale muszę wyjechać z Londynu. Nie mogę tu dłużej być. – Skłonił głowę, bawił się paskiem zegarka. – Amy, widzę ją w każdym kącie. Słyszę ją w głosie każdego dziecka. – Uniósł oczy, aby napotkać spojrzenie żony i zobaczył w nim udrękę. Odbicie jego własnej. Głos mu się załamał. – Nie było mnie tam. Nie było mnie, kiedy najbardziej potrzebowała swojego tatusia i to miejsce codziennie mi o tym przypomina.

Amy rozumiała go. Boże, jak ona go dobrze rozumiała. Jednak Eleanor miała tutaj szkołę. Miała przyjaciół, swoje kluby. Byłoby okrutne zabierać ją teraz, gdy tak wiele jej młodego życia zostało już rozdarte na strzępy, niczym kawałek materiału na drucie kolczastym.

– Gina przyjdzie? – mówiła lekko, spokojnie. Była już zmęczona kłótniami, ciężarem smutku, który wydawał się nigdy nie zmniejszać.

– Nie rozmawiałem z Giną od tygodni – stwierdził ostrożnie.

– Och.

Amy spróbowała się uśmiechnąć, ale łzy spływały jej po policzkach i łączyły się jedna z drugą, jak gdyby ten fizyczny akt w jakiś sposób przerzucał most nad szczeliną między nimi, która przez dni i tygodnie, jakie minęły po zniknięciu Clary, zmieniła się w kanion.

– Wrócisz na uroczystości żałobne?

– Oczywiście.

– Detektyw Fitzroy obiecała przyjść.

– Miło z jej strony.

– Tak.

Gdyby Miles zaraz nie ruszył, straciłby możliwość ucieczki.

– Dasz sobie radę? – zapytał.

– Nie wiem.

– Mogę zostać. Jeśli chcesz, żebym został, zostanę.

– Nie wiem.

Delikatnie objął żonę i poczuł jak jej ciało drży. Tego dnia nie miała makijażu, paznokcie

były bez lakieru. Wolał ją taką.

– Wróć. Obiecuję.

Jej usta skrzywiły się w uśmiechu i wytarła nos chusteczką z kieszeni. Ostatnio wszędzie nosiła chusteczki. Rozpacz zaskakiwała ją w zupełnie niespodziewanych miejscach.

Otworzył drzwiczki od strony kierowcy, uruchomił silnik. Amy nie widziała wcześniej tego samochodu. Domyśliła się, że go wynajął. Zostawi go na lotnisku. Tak jak zostawiał sobie ją. Rozczarowanie przygniotło jak kamień.

Opuścił szybę.

– Jeśli chcesz, też możesz przyjechać. Z Eleanor. Siedzieć na plaży. Jeść dobre jedzenie. Trochę popływać. – Wyciągnął do niej rękę. – Przez chwilę zapomnieć.

Dotknęła czubków jego palców.

– To niezły plan.

99

Fitzroy wyprostowała palce stóp, rozkoszując się ciepłem i przestrzenią łóżka. Po raz pierwszy miała cały dzień na odpoczynek i nie musiała być w żadnym określonym miejscu, nie musiała robić nic poza obijaniem się po domu. Przesunęła dłonią po wypukłości brzucha.

Nie potrafiła się przyzwyczaić do samotnego sypiania.

Wśród spokoju niedzielnego, miejskiego poranka wciąż potrafiła usłyszeć cichutkie początki śpiewu ptaków i dostrzec zarysy teczki z aktami sprawy Howleya na stoliku nocnym.

Z łóżeczka w pokoju gościnnym dobiegło ją ciche kwilenie.

Fitzroy uśmiechnęła się do ciemności i podreptała przez mieszkanie, pochyliła nad łóżeczkiem i podniosła siostrzeńca.

– Dzień dobry, Max – wyszeptwała. – Trochę wcześniej jak na wstawanie. – Ułożyła mu główkę w zagłębieniu ramienia i wdychała jego słodki zapach snu.

W ten weekend Nina i Patrick świętowali rocznicę ślubu, zaproponowała więc, że zaopiekuje się ich dzieckiem.

– Jesteś pewna? – Młodsza siostra spojrzała nieufnie, ich wzajemne relacje wciąż jeszcze odżywały. Kiedy Fitzroy odparła, że jest pewna, Nina zarzuciła jej ramiona na szyję, a Etta ze śmiechem odwzajemniła uścisk.

Davidą nie było. Wyprowadził się kilka tygodni temu. Zgodzili się na tymczasową separację. Tak, aby oboje mogli uporządkować to, co czują. Ale ona nadal nie wiedziała, co

czuje.

Fitzroy przeniosła siostrzeńca do swojej sypialni, do wysokiego okna, które wychodziło na światła jaśniejące na horyzoncie.

On gdzieś tam był. A ona go odnajdzie. Odnajdzie także Clarę. Nigdy nie przestanie szukać.

W trakcie przesłuchiwania Jakeya, po jego uwolnieniu, nakłoniła go, aby opowiedział o swoich rozmowach z Clarą, o schodach, które oddzielały go od sąsiedniego pokoju.

Tak blisko. Była tak blisko.

Zespół zaangażował w te poszukiwania wszystko, tysiące godzin pracy, kolejne setki funkcjonariuszy, jednak Howley i Clara przepadli, nie zapomniani, jeszcze nie, ale już błędny jak bolesne wspomnienie.

Aż do telefonu od pani Frith w zeszłym tygodniu.

Wiadomość o zdjęciu rentgenowskim zaniepokoiła Fitzroy. Czy to tylko takie straszenie, czy konkretna groźba?

Cokolwiek nim kierowało, przywołał wspomnienie tamtego dnia, kiedy znaleźli Jakeya kulącego się z tyłu furgonetki i kiedy uświadomiła sobie, że życie, z całą swoją kruchością i ułomnościami, jest darem.

Gdy Chambers odjechał z Howleyem, Fitzroy błagała szefa, żeby pozwolił jej wrócić do tamtego domu. Miał już odmówić, tłumaczył, że to byłoby nieodpowiedzialne, nieprofesjonalne i niebezpieczne, ale dostrzegł na jej twarzy przemożną potrzebę ponownych odwiedzin tamtego miejsca i zmienił zdanie.

Dom okazał się tylko dymiącym ruinami, z wałącym się dachem, za gorący i zbyt zdradliwy, aby ktokolwiek mógł tam wchodzić.

Szef zawiózł ją do szpitala.

– Dobrze się dzisiaj spisałaś – powiedział, żeby chociaż trochę ją pocieszyć.

Kilka dni później wróciła tam sama, popiół był jeszcze ciepły, aby przyglądać się, jak specjalnie przeszkoleni strażacy przesiewają zgliszczka tyłu istnień.

Grace nie żyła. Widziała, jak wydobywają jej szczątki z pokoju na piętrze domu Marshalla Howleya. Dodatkowe żebra szkieletu zgadzały się ze szpitalnymi danymi nastolatki.

Intensywny żar zniszczył jednak większość muzeum na dole. Nigdzie nie było nawet śladu Clary.

Mimo że szukali tak długo, aż noc połknęła dzień, a Fitzroy padła na kolana i dołączyła do strażaków, przedzierając się przez sadzę i gruzy, a łzy płynęły jej po brudnych policzkach.

Po jego kolekcji została już tylko garść kostnych odłamków, kupka prochu, a u Fitzroy wspomnienie straty.

Z drążącymi rękoma i pękniętym sercem wróciła do ciszy swojego mieszkania i zadzwoniła do siostry.

Teraz, kiedy pojawiło się zdjęcie rentgenowskie Jakeya, Howley zaczął męczyć ją na

nowo.

Ale już po niego szła.

Głowa Maxa zaciążyła Fitzroy na ramieniu, jego oddech był równy i głęboki. Powieki mu zatrzepotały, zakwilił przez sen. Zastanowiła się, gdzie jest teraz Clara, czy jej ciepło, czy on ją skrzywdził.

Czy już nie żyła.

To wszystko sprawiało, że serce Etty wzbijało się i nurkowało w dół, za sprawą radości i strachu.

100

Słabe słońce lutego grzało Erdmanowi kości. Dużo czasu minęło, zanim poczuł, że jest w stanie zająć się ogrodem, ale oto właśnie przycinał róże i głóg. Sprząta, przygotowując dom dla lokatorów, którzy mieli się wprowadzić w przyszłym tygodniu.

Wrócił drozd, na patio leżały stopy pokruszonych muszelek, a Erdmana cieszył piękny ptasi śpiew. Policja jeszcze nie znalazła ciała Carltona. Ostrzegano, że przypuszczalnie nigdy nie znajdzie. Tak, tak, ślady DNA. Ale pożar okazał się niszczycielski, za sprawą wadliwej instalacji elektrycznej i zbyt dużej ilości lakierowanego drewna. Kiedy zjawili się strażacy, było już za późno, aby coś ratować.

Przez kolejne tygodnie Erdman odkrył własny sposób radzenia sobie z żalem. Pozwolił sobie na przebaczenie matce.

Kochała swoją rodzinę i starała się go chronić, strzegąc tajemnic. Świadomość tego zmyła piętno niedoskonałości, jakie nosił przez większość życia.

Co do Lilith, to ostatniej nocy dotknęła go tak, jak nie dotykała od bardzo dawna. Wspomnienie jej ciepłych ust sprawiło, że aż ugięły się pod nim nogi.

Erdman wbił widły w na wpół zamrożoną ziemię, zdjął stary ogrodniczy fartuch i zawiesił na trzonku. Chciało mu się pić. W kuchni przechylił się nad blatem zastawionym teraz pudłami, do połowy wypełnionymi naczyniami stołowymi, i wypił chłodną colę z puszki.

– Mistrzu! – zawołał. – Gdzie jesteście?

Ale Jakey nie odpowiadał.

Nie było w tym nic dziwnego. Po tym, co wydarzyło się w listopadzie, chłopiec stał się bardziej cichy, wycofany, jednak Erdman i Lilith obiecali sobie, że nie pozwolą mu ukraść ich synowi czegokolwiek. Nie pozwolą niczego ukraść swojej rodzinie.

Boże Narodzenie było ciężkie. Skromny posiłek i kilka prezentów dla Jakeya. Radość,

jaką czuli z powrotu syna, przytębiała świadomość tego, że Clara Foyle nadal się nie znalazła i strach, że te przeżycia naznaczyły chłopca w sposób, jakiego nie potrafili dostrzec. Znaleźli jednak na to sposób, odcinając się od mediów i skupiając energię na dziecku.

Co wieczór, po szkole, bawili się razem. W weekendy chodzili do kina i gonili za piłką po parku, a Lilith kupiła specjalny kask i ochraniacze, żeby Jakey mógł jeździć na rowerze. Za tydzień o tej porze będą już mieszkali w miłym starym domu nad morzem, wybranym wspólnie przez Lilith i Erdmana.

A jeżeli Jakey płakał przez sen i każdą noc spał w ich łóżku, to trudno.

Powoli dochodził do siebie.

Erdman znalazł Jakeya siedzącego przy oknie salonu, ze szczeniakiem u stóp.

– Mistrzu, chcesz kanapkę? A może masz ochotę pomóc mi w ogrodzie? Mam dla ciebie trochę chwastów do wyrwania.

Syn spojrzał na niego nieprzytomnymi oczyma.

– Wszystko w porządku? Co się dzieje?

Przez dłuższy czas chłopiec nie odpowiadał, ale Erdman dostrzegł, że drżą mu usta, że się kuli, starając się być mniejszy, bardziej ukryty. Terapeuta uprzedzał, że takie rzeczy mogą się zdarzać, że trauma związana z przeżyciami odbarwi zwyczajność, że cienie zawsze gdzieś będą się czaić, mogąc odciąć blask słońca.

– Jakey?

Chłopiec powrócił spojrzeniem na ulicę. Była pusta, tylko kilka zaparkowanych aut i jakaś kobieta prowadząca rower.

– Tatusiu, on wrócił. Widziałem go. Stare Krwawe Gnaty powrócił.

101

Dosyć łatwo było znaleźć sobie miejsce do mieszkania. Mało kto w środku lutego był skłonny wynająć pełen przeciągów dom na plaży, zwłaszcza taki smagany wichrami od ujścia rzeki.

Odpowiada mu takie odseparowanie.

Siedzi na krześle przy oknie. Poszarpany blask błyskawicy oświetla zatokę. Potem spada deszcz.

Gdzieś w tle gra radio. W Rosji, w Czelabińsku spadł meteoryt. Ten paraolimpijczyk ze sztucznymi nogami zastrzelił swoją dziewczynę. A jego wciąż szuka policja.

Jego lub jej.

Dopija kubek herbaty. Napar jest zimny, ale nie zwraca na to uwagi. Opłacił czynsz za sześć miesięcy z góry. Jego nowy gospodarz napisał w mailu, że jest możliwość zakupu domu. Jeśli mu się tutaj spodoba.

Wie, że się spodoba.

W tym domu są trzy sypialnie. Strych. Mały ogródek dla królików.

Patrzy, jak fale rozbijają się o ścianę zatoki i po raz pierwszy od tygodni czuje spokój. Myśli, że jego żona nie cierpiałaby tego miejsca. Nadal za nią tęskni.

Na stole leży rozpostarta miejscowa gazeta. Przewraca kolejne strony, zatrzymuje się, w skupieniu czyta artykuł. Wyławia z szuflady ołówek, zaznacza nazwisko. Ulicę.

Pisze list.

Później, tego samego dnia, przenosi z garażu do holu mahoniowe gabloty, które kupił na targu staroci. Są wysokie i wąskie. Mają szklane drzwiczki.

Stara się nie wspominać tego, co utracił.

Wyobraża sobie tego chłopca o wykrzywionym szkielecie, miejski dom rodziny Frithów, z napisem „Wynajęto”, łatwość, z jaką wydobył ich nowy adres od pracownika firmy sprzątającej, sprowadzonej, by razem z kurzem, uprzątnęła z domu historię jego mieszkańców. Myśli sobie, że cierpliwie zaczeka. Jeszcze nie czas.

Jeszcze nie.

A co do dziewczynki ze zniekształconymi rękoma i bez nadziei w oczach, jeszcze nie zdecydował o jej przyszłości. Ale nie ma pośpiechu.

Teraz jest bezpieczna, ukryta.

Myśli, że już można zacząć wszystko na nowo.

Kilka dni później wychodzi z domu.

Włosy ma dłuższe, znacznie ciemniejsze. Okulary w drucianych oprawkach odciągają uwagę od czarnych oczu. Broda ukrywa szczękę i zapadłe policzki. Nosi luźną, białą koszulę, sprane dżinsy. Trochę utył.

Podąża nadbrzeżną ścieżką, spogląda na spienione morze. Kiedy wieje wiatr, czuje w ustach smak soli. Pasuje mu, że znalazł się akurat tutaj, krocząc śladami swojego przodka.

Idzie przez Stare Miasto aż dociera pod dom, którego szukał, przyciśnięty do sąsiednich budynków. Framugi okien pomalowane są na biało, cegły brzydtko kontrastują brązem i czernią.

Puka do drzwi.

Otwiera młoda kobieta. Ma dwadzieścia pięć lat, sukienkę w kwitnące gałązki i grube, czarne rajtuzy. Jej twarz się zapada, niedorozwinięte kości nie są w stanie utrzymać mięśni i pozostałych tkanek. Ma mały podbródek, oczy ukośnie pochylone w dół. Nad zdeformowanymi uszami wiszą blond włosy. Ma w sobie coś, co przypomina mu jego żonę.

Czuje w piersi uderzenia radości.

– Zjawił się pan – mówi dziewczyna, a uśmiech rozjaśnia jej twarz. – Nie wierzyłam, kiedy dostałam pański list. Dziękuję. – Wstydliwie pochyla głowę. – Jeszcze nikt nie prosił mnie, żebym mu pozowała do rysunku. Nie jestem pana typową – śmieje się – modelką.

Zadiera głowę, odwzajemnia jej uśmiech. Przesuwa językiem po zębach.

– Niedoskonałość jest piękna – mówi.

Młoda kobieta rumieni się i przesuwając palcami po twarzy. Mężczyzna jest wysoki, zdaje się wypełniać sobą całą framugę drzwi.

Podeszwą jednego z błyszczących czarnych butów szura o stopień ganku.

Do przodu i do tyłu.

Do przodu i do tyłu.

Wydaje się zakłopotany, może nieco zawstydzony. To urocze. Uśmiecha się do niego zapraszająco. Zanim napnie się między nimi cisza, dziewczyna przytrzymuje mu drzwi i Kolekcjoner Kości wchodzi za nią do środka.

Podziękowania

Była sobie kiedyś dziewczynka, która marzyła o tym, że zostanie pisarką. Te marzenia by nimi pozostały, gdyby nie ci, którzy stali się częścią mojego książkowego życia.

Dziękuję niezrównanej Trishi Jackson z wydawnictwa Pan Macmillan, która wspierała Grzechot od samego początku. Praca z Tobą to przyjemność. Wiwaty należą się także Natashy Harding, Claire Gatzen, Amy Lines, Anne O'Brien, Silvi Crompton i cudownemu zespołowi wydawniczemu z Pan Mac.

Ściskam serdecznie moją agentkę, Sophie Lambert, za bystre oko, wspaniałe pomysły i niezrównaną umiejętność wyciągnięcia ze mnie historii wartej opowiedzenia. Twoja wiara i przyjaźń są bardzo cenne.

Dziękuję całemu zespołowi agencji Conville & Walsh, zwłaszcza Jake'owi Smithowi-Bosanquetowi, Alexandrze McNicoll i Carrie Plitt. Wasze umiejętności naprawdę pomagają w płaceniu rachunków.

Jestem wielką dłużniczką wszystkich chorych na postępujące, kosztujące zapalenie mięśni. Wasze historie zainspirowały postać Jakeya Fritha. Szczególne dziękuję Chrisowi Bedfordowi-Gayowi, jego synowi Oliverowi i fundacji FOP Friends, a także Nancy Sando, założycielce stowarzyszenia IFOPA, których zapał oraz pozytywne myślenie nauczyły mnie, że ta choroba nie oznacza wyroku śmierci. Stan Jakeya pogarszał się szybciej przez wzgląd na nararcję książki. Jestem odpowiedzialna za wszystkie popełnione błędy.

Należy uhonorować wiedzę i cierpliwość Florin Feneru, z Identyfikacji i Doradztwa w Muzeum Historii Naturalnej. I to bardzo uhonorować. Ponownie, ewentualne pomyłki są tylko moje.

Dziękuję moim kochanym przyjaciółom, którzy zadawali entuzjastyczne pytania i dzielili ze mną chwile ekscytacji; moim kolegom pisarzom; Richardowi Skinnerowi oraz ekipie Akademii Fabera.

Jestem winna wielkiego drinka Keith Loakman za to, że użyczyła mi Bank, Tracie Couper za zabawne anegdoty z pracy (swoją drogą, jej czasopismo w ogóle nie przypomina „Tygodnika Wróżbiarskiego”) i Cherry Anthony, mojej pierwszej czytelnicy.

Mamo i Tato, jestem Wam tak bardzo wdzięczna za bezwarunkową miłość, bezgraniczny entuzjazm i całą tę darmową opiekę nad dzieckiem; dziękuję Steve'owi i Cein, jak widzicie

w końcu możecie to przeczytać; dziękuję Pops2, wspierającemu mnie najgłośniej i Steve'owi Blissowi, gliniarzowi z naszej rodziny. Wszystkie niedoskonałości to moja wina, nie jego.

Dziękuję Ci za kupienie tej książki. Pisarze są nikim bez czytelników. Mam nadzieję, że ci spostrzegawczy wśród Was przebaczą mi, że pozwoliłam sobie zmienić nazwy kilku uroczych zakątków Blackheath.

Każda opowieść ma swoich herosów, a oto moi.

Moi Isaac i Alice, którzy nigdy nie narzekali, że spędzam weekendy przed komputerem, że dom nie jest posprzątny, a lodówka na wpeł pusta. Jesteście źródłem bezustannej radości.

I wreszcie dziękuję Jasonowi. Który sprawia, że każdego dnia zakochuję się na nowo. Który przynosi nieskończone ilości kubków herbaty i chusteczek. Który ratuje moje słowa (i moje zdrowie psychiczne), kiedy przysypiam nad laptopem. Który jest pełen pomysłów i zachęty, zawsze gdzieś w pobliżu, popędzając mnie, żebym parła naprzód.

To jest więc dla Ciebie, mój kochany. Wierzyłeś we mnie, jeszcze zanim odważyłam się uwierzyć w siebie.

Przypisy

^[1] Wszystkie cytaty biblijne zaczerpnięte z internetowego wydania *Biblii Tysiąclecia*, www.biblia.deon.pl (przyp. tłum.).